

ZESZYT STO SZEŚCDZIESIĄTY SZÓSTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

2008

ZESZYT STO SZEŚCDZIESIĄTY SZÓSTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
2008

BIBLIOTEKA «KULTURY»
TOM 545

ISSN 0406-0393
ISBN 2-7168-0213-0

Éditeur: ASSOCIATION INSTITUT LITTÉRAIRE KULTURA
91 av. de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

Imprimé en France

Krzysztof TARKA

«ŻYĆ ŻYCIEM KRAJU».
«CASUS» BOLESŁAWA TABORSKIEGO

[...] o kraju – ciebie biorę w dłoń
i w oczy i w serce i pieśczę
twój próg przestępuję
twój gospodarz twój gość [...]

B. Taborski, *Przestępując granicę*,
„Więź” 1958, nr 4, s. 88.

W pierwszych dniach marca 1958 roku Bolesław Taborski, młody poeta i publicysta, członek zespołu redakcyjnego „Mercuriusza Polskiego”, złożył w Konsulacie Generalnym PRL w Londynie wniosek o udzielenie wizy. W kraju zamierzał odwiedzić chorego ojca oraz nawiązać bezpośredni kontakt ze środowiskami twórczymi. Przy okazji załatwiania sprawy wdał się w rozmowę z pracownikiem konsulatu Mieczysławem Kowalskim, w rzeczywistości kadrowym oficerem wywiadu PRL. Taborski pozytywnie wypowiadał się na temat kraju, równocześnie podważał sens emigracji politycznej. Poprosił nawet „Bartosza” (pseudonim kapitana Kowalskiego w korespondencji z centralą MSW) o pomoc w przewiezieniu do Polski 30 egzemplarzy swojego debiutanckiego tomiku wierszy *Czasy mijania* (Londyn 1957), 10 egzemplarzy książki Grahama Greene’a *Moc i chwała* (polski przekład w tłumaczeniu Taborskiego ukazał się w „Bibliotece

„Kultury” w 1956 roku) oraz 120 egzemplarzy miesięcznika „Merkuriusz Polski”. Książki i czasopismo zamierzał przekazać bibliotekom, pisarzom oraz znajomym w kraju. Obawiał się jednak zarekwirowania przesyłki na granicy. Kowalski obiecał mu pomoc w tej sprawie¹.

„Bartosz” poznał Taborskiego w 1956 roku podczas jednego z odczytów zorganizowanych przez Zrzeszenie Studentów i Absolwentów Polskich na Uchodźstwie. Taborski był wówczas aktywnym działaczem ZSAPU (przez pewien czas nawet wiceprezesem Zarządu Głównego). Interesował się również sprawami politycznymi i ideologicznymi. Z czasem ich znajomość pogłębiała się coraz bardziej przybierając niemal przyjacielski charakter².

1. Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej [AIPN], 01136/279, Raport z 15 III 1958 r. dot. przedsięwzięć operacyjnych w związku z przyjazdem do Kraju figuranta naszego rozpracowania kryptonim „Karawana”; *ibidem*, Parafraza szyfrogramu „Sulmy” z Londynu z 11 III 1958 r. Na prośbę Taborskiego redaktor „Kultury” Jerzy Giedroyc wysłał mu do Londynu 10 egzemplarzy książki Greene’a do rozdysponowania w kraju, zob. Archiwum Instytutu Literackiego w Maisons-Laffitte [AIL], Listy J. Giedroycia do B. Taborskiego z 10 I i 19 II 1958 r.

2. AIPN, 01136/279, Fragment raportu „Bartosza” z lutego 1962 r. dotyczący „Karawany”. Taborski nigdy publicznie nie wspominał o swoich kontaktach z ambasadą czy konsulem generalnym w Londynie, ani tym bardziej z wywiadem PRL. W rozmowie z autorem podkreślił, że jego stosunki z konsulem ograniczały się do składania wniosków o wizę. Potwierdził jednak informację o pomocy peerelowskiej placówki nad Tamizą w przewiezieniu książek przed swoją pierwszą wizytą w kraju, rozmowa autora z B. Taborskim z 23 X 2008 r. Zob. też *Poezja, teatr, przekład* [z B. Taborskim rozmawiał A. Ziembicki], „Nowe Książki” 1981, nr 10, s. 7-13; B. Taborski, *Młodsza literatura emigracji w perspektywie ćwierćwiecza*, „Pamiętnik Literacki” [Londyn] 1983, t. 6, s. 79-98; *Śповідź emigranta* [z B. Taborskim rozm. G. Misiorowska], „Poezja” 1987, nr 8, s. 9-20; *Trudna obecność* [z B. Taborskim rozm. K. Lisowski], „Dekada Literacka” 1991, nr 14, s. 1, 4; *Pragnę, aby widziano we mnie poetę polskiego* [z B. Taborskim rozm. J. Wojtacka], „Gazeta Niedzielną” 1999, nr 14, s. 6-7; nr 15, s. 4; *Życie, praca, zadania twórcy na emigracji* [z B. Taborskim rozm. B. Tarnowska], „Archiwum Emigracji” 2000, z. 3, s. 207-220; B. Taborski, *Przełamując stereotypy. Sylwetka własna na cudzym tle*, w: *Życie literackie drugiej emigracji niepodległościowej*, t. 1, pod red. J. Kryszaka i R. Moczkodana, Toruń 2001, s. 221-235. Biogram B. Taborskiego m.in. w: *Współcześni polscy pisarze i badacze literatury. Słownik bibliograficzny*, t. 8, pod red. J. Czachowskiej i A. Szałagan, Warszawa 2003, s. 279-283.

W wyniku „rozpracowania” wywiad PRL ustalił, że „figurant” urodził się 7 maja 1927 roku. Przed wojną mieszkał wraz z rodzicami w Toruniu. Ojciec Bolesława – Józef – był zawodowym oficerem wojska w stopniu kapitana, matka – Irena – prowadziła prywatny gabinet stomatologiczny. Na początku 1940 roku Bolesław zamieszkał u babci w Krakowie. W lutym 1943 roku wstąpił do Armii Krajowej. Dwa miesiące później przeniósł się do Warszawy. W wieku siedemnastu lat wziął udział w powstaniu warszawskim. Walczył na Mokotowie w szeregach Armii Krajowej w pułku „Baszta”. Po upadku powstania dostał się do niewoli. Został wywieziony do obozu jenieckiego w głębi Niemiec (Stalag XB w Sandbostel w pobliżu Bremy). Po wyzwoleniu uczył się w polskim liceum w Lubece³.

W grudniu 1946 roku Taborski wyjechał do Wielkiej Brytanii. W latach 1947-1952 studiował anglistykę i teatrologię na uniwersytecie w Bristolu. Po ukończeniu studiów zamieszkał w Londynie. Działal w Zrzeszeniu Studentów i Absolwentów Polskich na Uchodźstwie. Współredagował miesięczniki „Życie Akademickie” i „Merkuriusz Polski”. Publikował także na łamach katolickiego tygodnika „Życie” oraz w „Kulturze”. W 1956 roku z optymizmem patrząc na dokonujące się przemiany nawiązał współpracę z czasopismami krajowymi. Zamieszczał wiersze oraz artykuły na tematy literackie i teatralne na łamach „Teatru”, „Twórczości”, „Tygodnika Powszechnego”, „Dialogu”, „Odry”, „Więzi”, „Współczesności”, „Życia Literackiego”. Pozytywny stosunek „figuranta” do kraju oraz jego ostentacyjną niechęć wobec emigracyjnych ugrupowań potwierdzały informacje przekazane przez agenta „Charlesa”, działającego w grupie „Merkuriusza”⁴.

3. AIPN, 01136/279, Raport z 15 III 1958 r.; *ibidem*, pisma kpt. Z. Grochowiaka, szefa Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Toruniu do dyrektora Departamentu VII Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego z 3 V 1954 r. oraz do dyrektora Departamentu I Komitetu ds. Bezpieczeństwa Publicznego z 17 IV 1956 r. Zob. też wspomnienia B. Taborskiego: *Moja «kampania wrześniowa»*, „Przegląd Artystyczno--Literacki” 1999, nr 3, s. 10-22; *Moje powstanie wtedy i teraz*, Warszawa 1998; *«Moja wojna» – początek i koniec*, „Zeszyty Historyczne” 1996, z. 118, s. 45-94.

4. AIPN, 01136/279, Raport z 15 III 1958 r. Na walnym zebraniu 21 X 1956 r. Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie podtrzymał negatywne stanowisko w sprawie drukowania w kraju utworów autorów emigracyjnych. W przyjętej uchwale postanowiono, że pisarze polscy na obczyźnie

Peerelowskie służby wiedziały również o kontaktach Taborskiego z literatami i publicystami z kraju. Szczególnie serdeczne stosunki łączyły początkującego poetę z Jerzym Zawieyskim, który był kimś w rodzaju jego duchowego mentora. Korespondował również ze Zbigniewem Herbertem⁵.

„winni nadal powstrzymywać się od wszelkiej współpracy z instytucjami kontrolowanymi przez władze totalistyczne” w kraju. W ankiecie zorganizowanej przez „Kulturę” Taborski stwierdził, że nie solidaryzuje się z londyńską uchwałą, zob. *Literatura emigracyjna a Kraj. Ankieta «Kultury»*, „Kultura” 1956, nr 12/110, s. 68 (szerzej P. Ziętara, *Emigracja wobec Października. Postawy polskich środowisk emigracyjnych wobec liberalizacji w PRL w latach 1955-1957*, Warszawa 2001, s. 160-166). Według nieco późniejszej opinii Z. Broncła „Młodzi [emigranci] zaś wyraźnie szukają «miejsca». Stąd to Taborski tak się rwie do drukowania w kraju, gdyż tu po prostu nie ma gdzie. Gdybyż były pieniądze na zrobienie w Londynie miesięcznika literackiego, to znaczy miesięcznika z przewagą materiału literackiego i informacji kulturalnych! To by ich mogło utrzymać, inaczej – jestem przekonany, że albo całkowicie przejdą na pisanie do prasy krajowej, albo po prostu pisać przestaną”, cyt. za M. Ptasieńską, *W cieniu Października. Listy Jerzy Giedroyc – Zdzisław Broncl, styczeń 1958*, „Zeszyty Historyczne” 2005, z. 151, s. 166 (list Z. Broncła do J. Giedroycia z 12 I 1958 r.).

5. Taborski przysłał Zawieyskiemu do oceny swoje wiersze, zob. AIPN, 01136/279, odpis listu J. Zawieyskiego do B. Taborskiego z 1 V 1956 r. Spotykali się również podczas podróży członka Rady Państwa PRL do Paryża i Londynu, J. Zawieyski, *Kartki z dziennika 1955-1969*, wybór J. B. Brudnicki, B. Wit, Warszawa 1983, s. 127, 145, 146; J. Zawieyski, *List do młodych przyjaciół – poetów*, „Merkuriusz Polski” 1957, nr 7/8, s. 2-3. Taborski uważał miał Zawieyskiego „za mędrca”, zob. AIL, List J. Mieroszewskiego do J. Giedroycia z 8 IX 1957 r. Według redaktora „Kultury” (list do J. Mieroszewskiego z 6 V 1958 r.) Taborski był „bardzo związany” z Zawieyskim. Podobną opinię wyraził J. Mieroszewski w liście do J. Giedroycia z 2 VI 1958 r. Zob. też *Listy Zbigniewa Herberta do Bolesława Taborskiego (w relacji adresata)*, „Więź” 2000, nr 11, s. 86-111. Szerzej na temat grupy literackiej „Merkuriusza” i „Kontynentów” zob. A. Czerniawski, J. Darowski, *Czy spadliśmy z księżycą? Rozmowa o przyjęciu antologii «Opisanie z pamięci»*, „Miesięcznik Literacki” 1966, nr 3, s. 55-59; M. Danilewicz-Zielińska, *Szkice o literaturze emigracyjnej*, Wrocław 1992; P. Kądziała, *O publicystyce londyńskich «Kontynentów»*, w: *Mysł polityczna na wygnaniu. Publicyści i politycy polskiej emigracji powojennej*, pod red. A. Friszke, Warszawa 1995, s. 193-203; M. Kisiel, *Kontynenty*, w: *Literatura emigracyjna 1939-1989*, t. 1, pod red. M. Pytasza, Katowice 1994, s. 133-145; Z. Lichniak, *Mój skorowidz poezji polskiej na emigracji*, Warszawa 1989; *Londyn – Toronto – Vancouver. Rozmowy z pisarzami emigracyjnymi* [m.in. z J. Darowskim, F. Śmieją, B. Taborskim, A. Czerniawskim, B. Czaykowski, A. Buszą], oprac. A. Niewiadomski, Lublin 1993; R. Moczko, *«Życie Akademickie» – «Kontynenty» 1949-1966*.

Głośnym echem na emigracji odbił się programowo-dyskusyjny artykuł Taborskiego *Moralne prawo*, opublikowany w styczniowo-lutowym numerze „Merkuriusza Polskiego” z 1957 roku. Tekst stał się swego rodzaju politycznym *credo* rodzącej się grupy „Merkuriusza”. Był też świadectwem zasadniczych różnic między „młodymi” i „starymi” („niezłomnymi”) zarówno jeśli chodzi o stosunek do emigracji, jak i do kraju. Taborski kwestionował moralne prawo emigracyjnych ugrupowań do reprezentowania narodu i przemawiania w jego imieniu. Twierdził również, że na wychodźstwie nie ma nikogo, kto mógłby reprezentować emigrację: „Wszelkie osobistości, instytucje, pisma, partie itd. mogą przemawiać wyłącznie w imieniu grupek i klik, które nie tylko nie koordynują swej działalności, ale są skłócone i przeczą sobie we wszystkim, z czego dla sprawy polskiej żaden pożytek – przeciwnie: szkoda i to wielka”. Publicysta „Merkuriusza Polskiego” nie widział możliwości politycznego działania na wychodźstwie. Wytykał emigracyjnym władarzom upieranie się przy zbankrutowanej koncepcji legalizmu, zakłamanie, obracanie się w świecie fikcji, głoszenie patriotycznych frazesów bez pokrycia: „Ośrodki polityczne na emigracji – pisał – uległy zupełnemu uwiądowi starczemu tak pod względem intelektualnym jak i organizacyjnym. Ich rozbitcie, degeneracja i bankructwo jest zupełne. Ich groteskowa działalność nie byłaby pozbawiona swoistego komizmu, gdyby nie była szkodliwa”. Taborski nie ograniczył się tylko do surowej oceny politycznego kierownictwa wychodźstwa. Miazdzącej krytyce poddał także działalność emigracyjnych instytucji kulturalnych i społecznych: „Są one albo agencjami politycznych klik, albo zabytkami historycznymi, lub mają znaczenie wyłącznie zaściankowe”. Wyśmiewał megalomanię, brak poczucia rzeczywistości oraz przesadny kult przeszłości: „Kult minionych bezpowrotnie zjawisk polskiego życia, jak ułan z lancą (z modyfikacjami na rzecz «aktualności»: Orleńta Lwowskie zastępuje się czasem przez dzieci oblewające benzyną

Bibliografia zawartości, Toruń 2001; *Opisanie z pamięci. Antologia poetycka londyńskiej grupy «Kontynentów»*, wybrał, oprac. i przedmową opatrzył A. Lam, Warszawa 1965; *Poetycki krąg «Kontynentów». Artykuły i szkice*, pod red. Z. Andersa i J. Wolskiego, Rzeszów 1997; *Ryby na piasku. Antologia wierszy poetów «londyńskich»*, pod red. A. Czerniawskiego, słowo wstępne J. Przyboś, Londyn 1965; J. Sikora, *Londyńska grupa literacka «Merkuriusza» i «Kontynentów»*, Olecko 2000.

czołgi w Powstaniu Warszawskim)". „Szowinistyczna atmosfera", którą – jego zdaniem – prześlągnięte było szkolnictwo na wychodźstwie prowadziła do bezideowości lub wręcz wynarodowienia najmłodszego pokolenia. Publicysta rozprawił się również z prasą emigracyjną. Ukazujące się na wychodźstwie czasopisma określił jako „zaściankowe, eklektyczne, lub związane z bankrutującymi ośrodkami politycznymi". Wyrażały one jedynie poglądy „klik lub indywiduów i na ogół nie wychodzą poza sferę fikcji" (pozytywnym wyjątkiem była „Kultura" „w sporej mierze dzięki temu, że jest otwarta na sprawy Kraju i od niego się nie odizolowuje"). Krytycznych słów nie zabrakło także pod adresem „Merkuriusza Polskiego" (od października 1955 aż do końca 1956 roku wskutek wewnętrznych sporów Taborski oraz Adam Czerniawski, Zygmunt Ławrynowicz i Jerzy Sito pozostawali poza redakcją miesięcznika): „Pismo to było do tej pory eklektyczne i „odpadkowe" (w tym sensie, że pisywały do niego w dużej mierze osoby, których zasadnicza twórczość wyrażała się na innych łamach), nie miało sprecyzowanej linii i nie było wyrazem niczyich poglądów na współczesność". Taborski deklarował, że nowy zespół redakcyjny „świadomy swych celów będzie wydawał pismo coraz lepsze, które w oparciu o analizę współczesnej rzeczywistości polskiej wniesie do niej coś pozytywnego. Będzie to więc pismo rewolucyjne, bo przełamanie fikcji i wejście w sferę rzeczywistości jest w naszych warunkach rewolucją – rewolucją pilną i konieczną dla uratowania naszego pokolenia". W sytuacji, gdy Kościół w kraju „może rozwijać się swobodnie", również „polskie ośrodki kościelne na uchodźstwie nie mogą pretendować do roli reprezentantów Kościoła Polskiego". Taborski apelował, „aby księża w kazaniach częściej mówili o bezpośrednich sprawach parafii, a znacznie rzadziej grzmieli w przestarzałe polityczne trąby". Publicysta nawołując do porzucenia nierealnych ambicji politycznych i nieużytecznych symboli wzywał emigrację do otwarcia na Kraj: „Październikowa rewolucja w Kraju była autentycznym dziełem narodu i negatywny stosunek do niej byłby równoznaczny z pogardą i nienawiścią do własnego narodu. Nie jesteśmy członkami jakiegoś sui generis narodu emigracyjnego. [...] Emigracja świadoma o tyle ma sens, o ile będziemy uważali się za przynależnych do narodu polskiego, którego 95% żyje w Kraju. Dlatego trzeba obserwować Kraj i żyć

jego życiem, gdziekolwiek by się nie przebywało”⁶.

6. B. Taborski, *Moralne prawo (artykuł programowo-dyskusyjny)*, „Merkuriusz Polski” 1957, nr 1-2, s. 2-5. W tym samym numerze redakcja deklarowała, iż nie będzie unikać problemów uważanych za drażliwe: „jeżeli stosunek nasz do Kraju będzie odmienny od oficjalnie przyjętego przez emigracyjne ośrodki, to nie jest to zwykła przekora. [...] Wychodząc z założenia, że i na emigracji od szeregu lat panuje specyficzna odmiana drętwiej mowy i wybujały kult fikcji, chcemy widzieć rzeczy takimi, jakie one są i mówić o nich możliwie jasno i prosto. Będąc Polakami, których zadania leżą za granicą, chcemy zachować żywotną łączność z narodem”, Zespół Redakcyjny, *Od Redakcji*, „Merkuriusz Polski” 1957, nr 1, s. 1. Numer „Merkuriusza” z artykułem Taborskiego „rozszedł się, co do egzemplarza”. Do redakcji napłynęło również wiele listów i artykułów popierających bądź polemizujących z autorem, zob. „Merkuriusz Polski” 1957, nr 4, s. 6-13; nr 5, s. 6-10; nr 6, s. 18-20. Redakcja „Merkuriusza” zaatakowały dwa emigracyjne tygodniki katolickie. Młodzieńczy zapal byłego współpracownika londyńskiego „Życia” wyśmiał Jan Bielatorowicz: „Między cytata z Norwida i cytata ze Słowackiego, dwu ideowych kolegów Bolesława Taborskiego po piórze, krewki młodzieniec ustawił tarczę z pokraczną sylwetką babci-emigracji i strzela do niej z wiatrówki jak w kaczy comber”. Według Bielatorowicza, nowa redakcja „Merkuriusza” stylizowała się na emigracyjne „Po prostu”: „Ale emigracyjnych «poprostowiczów» urzekła raczej metoda niż cel mistrzów z Kraju. Na razie ogłosili tylko, że będą śmiało, drażliwi i odmienni w stosunku do Kraju. W jaki sposób i dlaczego, to się ma dopiero wyjaśnić. Jak dotąd, pewne tylko to, że trzeba koniecznie walić w tarabany”, J. B., *Notatki*, „Życie” 1957, s. 22 (zob. też J. B., *Fikcyjność życia na emigracji*, „Życie” 1957, nr 15, s. 19). W obronie emigracji wystąpił były współpracownik „Merkuriusza” Roman Jasieńczyk: „Nie dlatego – pisał – bym się nie zgodził z bardzo wieloma uwagami p. Taborskiego. Jego gorzka krytyka jest nieraz bardzo celna. Obawiam się jednak, że gorycz, która podyktowała mu niektóre sądy, utrudniła mu obiektywne ich rozważenie. Stąd, niewątpliwie w najlepszej intencji, zdaje się rzucać do ataku na pozycje, których albo nie zna, albo które ocenia pod kątem widzenia goryczy a nie – realnych możliwości”, R. Jasieńczyk, *O rząd dusz*, „Życie” 1957, nr 15, s. 18-19. Infantylnizm, rozrzewniającą zarozumiałość, bezkrytyczność zarzucał również Taborskiemu publicysta paryskiej „Polski Wiernej”: „Nie ma w tych «lamentacjach» nad emigracją nic nowego, ale trzeba przyznać, że autor dosyć dokładnie streścił własnymi słowami to wszystko, co pisała kiedykolwiek prasa komunistyczna lub paryska «Kultura» (!) o «upadku» emigracji”, W. T. Żegota, *Bunt żaków w «Merkuriuszu»*, „Polska Wierna” 1957, nr 10, s. 5. Odpowiedź B. Taborskiego, *Wyciągając kij z mrowiska*, „Merkuriusz Polski” 1957, nr 6, s. 16-18; B. Taborski, *List do Redakcji*, „Kultura” 1957, nr 4/114, s. 156-157. Artykuł Taborskiego dostrzegła również prasa w kraju. Streszczenie ukazało się najpierw w „Trybunie Ludu” (*«Trzeba żyć życiem kraju». O emigracyjnej fikcji, szkodliwości działania emigracyjnych polityków i obowiązkach wobec Polski*, „Trybuna Ludu” 1957, nr 52, s. 4), obszerne fragmenty „bez wiedzy i zgody autora oraz redakcji «Merkuriusza

Już dwa lata wcześniej, w pierwszym numerze „Merkuriusza Polskiego” ze stycznia 1955 roku, Taborski odciął się od emigracyjnych sporów i waśni. Wytykał wychodźstwu zaściankowość, krytykował za stwarzanie „sztucznych i nierealnych kwestii, dostarczających pożywki tzw. emigreyaństwu”. Według niego emigracyjne elity zajęte same sobą, pasjonując się konfliktami „o legalizm symbolicznej władzy i o przeróbki w ornamentacjach państwowego godła”, nie dostrzegały, że „tymczasem z dniem każdym przemienia się nie tylko oblicze, ale i dusza Kraju”⁷.

Stosunek do wydarzeń nad Wisłą stał się dla Taborskiego probierzem oddzielającym „nową emigrację polityczną” od „emigracji *ancien régime*’u”. Linia podziału przebiegała „przez całą emigrację”. W jego ocenie: „W Październiku komuniści polscy przestali być agenturą, ale dzierżą nadal monopol rządów, na tej podstawie, że nasza geografia się nie zmieniła”. Nadzieję na ewo-

Polskiego” przedrukowały paksowskie „Kierunki” (B. Taborski [!], *Moralne prawo*, „Kierunki” 1957, nr 10, s. 3), wzmiankę zamieściło „Życie Literackie” (J. S., *Przegląd prasy*, „Życie Literackie” 1957, nr 11, s. 11). Charakterystyczna jest błędna pisownia nazwiska emigracyjnego publicysty (Taborski) we wszystkich trzech pismach. O „Merkuriuszu” i młodych emigracyjnych poetach ciepło pisał J. Ficowski, dodał, że pismo „jak najrychlej powinno uzyskać debiet w Polsce” (*Przyjaciele*, „Nowa Kultura” 1957, nr 12, s. 7). Fragment artykułu Taborskiego poświęcony emigracyjnym czasopismom opublikował również „Magazyn Polski”, miesięcznik przedruków Wydawnictwa „Kraj” (1957, nr 3, s. 36-38). Pierwszy numer „Merkuriusza” pod odnowioną redakcją (m.in. z artykułem Taborskiego) zrobił dobre wrażenie na redaktorze „Kultury”. W liście do Taborskiego pisał: „Numer «Merkuriusza» dostałem i gratuluję. Nareszcie żywy, ciekawy, dyskusyjny. Zaczyna wyglądać na to, że «Merkuriusz» może się stać emigracyjnym «Po prostu»” (AIL, List J. Giedroycia do B. Taborskiego z 22 II 1957 r.). Podobną opinię Giedroyc zawarł w liście do J. Mieroszewskiego z 19 II 1957 r. Wbrew nadziejom redaktora „Kultury” młodzi poeci z grupy „Merkuriusza” nawiązali kontakty nie z komunistycznymi rewizjonistami, ale ze środowiskami katolickimi skupionymi wokół „Znaku”, „Tygodnika Powszechnego” i „Więzi”, zob. *List do Redakcji* [list warszawskiego Klubu im. E. Mouniera przy Ogólnopolskim Klubie Postępowej Inteligencji Katolickiej], „Merkuriusz Polski”, 1957, nr 5, s. 11. Według J. Mieroszewskiego (list do J. Giedroycia z 19 IX 1957 r., AIL): „«Merkuriusz» jest dziś filią «Tygodnika Powszechnego»”.

7. B. Taborski, *Studnia niepamięci*, „Merkuriusz Polski” 1955, nr 1, s. 10-11, 16. Redakcja miesięcznika dystansując się od „polskiego” Londynu uważała emigracyjne spory za jałowe, zob. Zespół Redakcyjny „Merkuriusza”, *Zamiast słowa wstępnego*, „Merkuriusz Polski” 1955, nr 1 (wkładka).

lucję systemu komunistycznego wiązał z kontynuacją procesów zachodzących od Października w kraju. Taborski uważał, że w miarę utrwalania się nowej sytuacji „konieczny i nieunikniony jest koniec monopolu władzy obecnie rządzącej partii i znaczne poszerzenie bazy społecznej tej władzy”. Proces ten – jego zdaniem – powinien się jednak odbywać stopniowo. Jak dodał „niekoniecznie będzie to oznaczać powrót na widownię historycznych partii. Jest możliwe, że nowy ustrój przyszłości wyłoni się z podziału [Polskiej] Zjednoczonej Partii [Robotniczej] i utworzenia partii nowych, odzwierciedlających współcześnie nurtujące naród prądy. Automatyczny powrót do władzy rozmaitych emigracyjnych «rad», «zatków» i «stronnictw» może nie być realną propozycją nawet w wypadku, gdyby... Rosja sowiecka przestała istnieć”. Ludziom o „wczorajszej mentalności” trudno było się pogodzić z tymi faktami: „Dla ocalenia własnego znaczenia i własnej aktualności kwestionują znaczenie Października i zdarza się, że zamykając oczy na istotne interesy Polski nieświadomie jej szkodzą”. Stanowili oni jednak „niewielkie, zamknięte grono «zawodowców»”. W przeciwieństwie do tej grupy „nowa emigracja nie zastępuje i nie ignoruje Kraju”⁸.

Ze względu na „pozytywną” rolę, jaką Taborski odgrywał w środowisku „niezależnych” oraz „trochę «poetycki» stosunek do życia”, zarówno w londyńskiej rezydenturze, jak i w Centrali uważano początkowo, że jego „werbunek” nie był celowy. Wyjazd poety i publicysty do kraju stwarzał jednak dogodny pretekst do nawiązania z nim bliższego kontaktu. W nowej sytuacji major Władysław Wojtasik, naczelnik Wydziału V Departamentu I Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, rozważał wykorzystanie „Karawany” (kryptonim nadany „rozpracowaniu” Taborskiego) jako inspiratora i realizatora planowanej gry operacyjnej wobec

8. B. Taborski, *Linia podziału*, „Merkuriusz Polski” 1957, nr 9, s. 2-3. Zob. też wypowiedzi Taborskiego podczas redakcyjnej dyskusji na temat politycznej działalności emigracji i sytuacji w kraju po 1956 r.: *Drogowskazy*, „Kontynenty-Nowy Merkuriusz” 1959, nr 7/8, s. 7-10. J. Mieroszewski komentując artykuł Taborskiego (list do J. Giedroycia z 21 X 1957 r., AIL) stwierdził: „Na emigracji powstaje gomułkowy Ozon [...], który pod adresem Gomułki nie wysuwa absolutnie żadnych żądań i nie ma żadnej koncepcji”. Londyńczyk dodawał: „Nikt się nie orientuje dokładnie w tym, co się w Kraju dzieje, bo to wymaga czasu i trudu – a legenda Października i Gomułki trwa niezachwianie dalej”.

grupy „Merkuriusza”, albo „zwerbowanie” go w celu „zabezpieczenia” dopływu informacji ze środowiska studenckiego, dziennikarskiego i literackiego na emigracji. Przewidywał, iż podczas pobytu w kraju „figurant” zetknie się z różnymi środowiskami, „w tym również z wrogimi”. Oficer wywiadu uważał, że „Karawana” był „stosunkowo słabo wyrobiony politycznie”. Obawiał się nawet, że po powrocie do Londynu Taborski „mógłby swoimi relacjami – np. przez niewłaściwe zrozumienie pewnych problemów krajowych, lub pod wpływem wrogich sugestii – prowadzić robotę destrukcyjną w środowisku «niezależnych»”. Dlatego za konieczne uważał stworzenie mu „takiej atmosfery w trakcie pobytu w kraju, która by oddziaływała na niego pozytywnie z punktu naszego widzenia [!] i ułatwiała nam prowadzenie z nim rozmów”. W porozumieniu z Departamentem III MSW planowano wytypować „tajnych współpracowników” ze środowiska literackiego i dziennikarskiego, „którzy by prowadzili sondaż «Karawany»”. Mieli oni wywierać na Taborskiego „odpowiedni wpływ w kierunku właściwego zrozumienia przez niego problemów krajowych”. Do tej roli major Wojtasik zamierzał również wykorzystać działaczy Zrzeszenia Studentów Polskich, będących w kontakcie z Departamentem III, w szczególności „Olszewskiego” (Taborski poznał go w Londynie w kwietniu 1956 roku) oraz „Mirskiego”. Doskonały pretekst do nawiązania kontaktu z „figurantem” stwarzała pomoc w przewiezieniu do kraju jego książek i egzemplarzy „Merkuriusza”. Oficer wywiadu, oddając „Karawanie” przesyłkę, mógł w naturalny sposób zawrzeć z nim znajomość, wykorzystując przy tym poczucie wdzięczności z jego strony. Aranżując dyskusję na temat twórczości Taborskiego oraz działalności „niezależnych” zgrupowanych wokół redakcji „Merkuriusza Polskiego” miał stopniowo związać „figuranta” z wywiadem. Do tej roli wytypowany został porucznik Zbigniew Gazda. Gdyby Taborski nie był skłonny do współpracy z tajnymi służbami, oficer operacyjny poprzez podstawionych informatorów (w szczególności poprzez „Olszewskiego”) dążyć miał „do transmitowania za ich pośrednictwem figurantowi naszych wytycznych odnośnie dalszej działalności «niezależnych»”⁹.

Wiadomość o podróży Taborskiego do Polski za „sensacyjną”

9. AIPN, 01136/279, Raport z 15 III 1958 r.

uznał Jerzy Giedroyc. Podtrzymywanie więzi z krajem, śledzenie zmian zachodzących nad Wisłą oraz próby oddziaływania na środowiska krajowe pozostawało w centrum zainteresowania redaktora „Kultury”. W liście do Taborskiego z 10 stycznia 1958 roku pisał: „W tym momencie może to być nie tylko ciekawe, ale i b. ważne. [...] Atmosfera w Polsce się psuje. [...] Trudno to jednak sądzić na odległość i dlatego Pana wyjazd jest tak ważny, gdyż szereg rzeczy będzie mógł Pan wyjaśnić dokładnie”. Giedroyc dodał, że ma „masę spraw do kraju” z prośbą o „zbadanie, wyjaśnienie”. Chciał się spotkać z Taborskim w Londynie przed jego wyjazdem, „by wszystko obgadać”. Zależało mu przede wszystkim na kontakcie z Klubem Krzywego Koła: „To bardzo ważne, że zna Pan J[ana] J[ózefa] Lipskiego. Można mieć wiele pretensji do KKK, ale to dziś jest jedyny i najważniejszy ośrodek w Polsce”. Chcąc sobie rozłożyć zawczasu zajęcia oraz uzyskać wizę brytyjską prosił Taborskiego o podanie terminu jego podróży do kraju¹⁰.

Publicysta „Merkuriusza” zamierzał wyjechać do Polski około 20 marca. W liście do Giedroycia z 11 lutego dodał obiecująco: „wszystko chętnie dla Pana załatwię”¹¹. Aby się „rozmówić” z Taborskim redaktor „Kultury” chciał przyjechać do Londynu w połowie marca: „To dla mnie wyjątkowa okazja taki *postillon* do kraju” – pisał do Mieroszewskiego¹².

Kilka dni później Giedroyc – swoim zwyczajem – ponow-

10. AIL, List J. Giedroycia do B. Taborskiego z 10 I 1958 r. W końcu stycznia 1958 r. Z. Broncl informował Giedroycia, że „za jakiś miesiąc najdalej Taborski jedzie do Polski”, zob. M. Ptasńska, *op.cit.*, s. 177 (list do J. Giedroycia z 27 I 1958 r.). Ze względu na planowaną podróż do Londynu redaktor „Kultury” dopytywał się o dokładną datę wyjazdu Taborskiego. Dodał, że Taborski „Obiecał dać mi znać, ale on jest trochę księżycowy”, M. Ptasńska, *op.cit.*, s. 180 (list do Z. Broncla z 31 I 1958 r.).

11. AIL, List B. Taborskiego do J. Giedroycia z 11 II 1958 r. Rękę na pulsie trzymał również J. Mieroszewski. Informując redaktora „Kultury” o planowanym terminie wyjazdu Taborskiego dodał, że wzięłby on „pewne rzeczy dla KKK”. Nie znając dokładnie zamiarów Giedroycia sugerował mu, aby przyjechał na kilka dni do Londynu, gdyż „Najlepiej byłoby poinstruować Taborskiego ustnie” (list do J. Giedroycia z 10 II 1958 r., AIL).

12. AIL, List J. Giedroycia do J. Mieroszewskiego z 12 II 1958 r. O przyjeździe do Londynu i planowanej rozmowie z Taborskim Giedroyc poinformował również Broncla: „Taborski jest mało wyrobiony politycznie, ale jako *postillon* może być dobry. Proszę o dopilnowanie, by mnie uprzedził na czas [o dacie swojego wyjazdu do kraju], gdyż przy całej dobrej woli, jest on bardzo roztargniony” (listy do Z. Broncla z 19 i 27 II 1958 r. oraz list J. Broncla

nie dopytywał się Taborskiego o dokładną datę jego wizyty w Polsce: „Najpilniejsza dla mnie sprawa obecnie – to jest Pana wyjazd do kraju. Naprawdę kładę Panu na serce zawiadomienie mnie jak najszybciej, gdy termin się skonkretyzuje, bo chciałbym wtedy przyjechać, by z Panem szereg rzeczy omówić”¹³.

Taborski wyjeżdżał do Polski 24 marca. Zapraszając Giedroycia do Londynu oferował gościnę i nocleg zapewniając, że „oczywiście jestem całkowicie do Pana dyspozycji”¹⁴.

Zgodnie z planem, po przyjeździe Taborskiego do Polski, kontakt z „figurantem” nawiązał porucznik Gazda. Nie chcąc odstraszyć na wstępie swojego rozmówcy oficer wywiadu przedstawił się jako pracownik Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Przekazał mu również książki i czasopisma wysłane z Londynu pocztą dyplomatyczną. Spotkali się 12 kwietnia 1958 roku. „Karawana” ochotczo dzielił się swoimi wrażeniami z wizyty w ojczyźnie. Choć w ostatnich latach pilnie śledził sytuację w Polsce, systematycznie czytał krajową prasę, rozmawiał też z wieloma rodakami przyjeżdżającymi z Polski do Londynu, to jak podkreślił z patosem „kraj wywarł na nim bardzo silne wrażenie”. Precyzując swoje poglądy miał stwierdzić, że przyszłość należeć będzie do komunizmu. W tej sytuacji występowanie w roli emigranta politycznego uważał za nonsensowne. Dodał, że podczas ostatniej wojny polscy komuniści byli jedynym ugrupowaniem, które we właściwy sposób oceniło sytuację w kraju i jego przyszłość. Krytykując nieufność dowództwa Armii Krajowej wobec Związku Sowieckiego uznał powstanie warszawskie za szaleństwo. Sam deklarował się jako polityczny sympatyk angielskiej Partii Pracy. Sondując poglądy Taborskiego oficer wywiadu zarzucił mu, że „Merkuriusz Polski” jest pismem zanadto elitarnym. „Doradzał” zwiększenie jego objętości i uatrakcyjnienie tak, aby miesięcznik stał się czasopismem interesującym dla szerszego grona czytelników. „Karawana” wspominając o pla-

13. ALL, List J. Giedroycia do B. Taborskiego z 19 II 1958 r.

14. ALL, List B. Taborskiego do J. Giedroycia z 25 II 1958 r. Redaktor „Kultury” zapowiadał się w Londynie „zaraz po 15 marca. Omówimy sobie wtedy wszystkie sprawy zarówno krajowe, jak i tutejsze [emigracyjne]” (list do B. Taborskiego z 27 II 1958 r.). Po latach Taborski wspominał, że przed wyjazdem do Polski Giedroyc spotkał się z nim w Londynie i „nadał” mu „plik spraw do pisarzy i intelektualistów w kraju”, B. Taborski, *Przełamując stereotypy...*, s. 231.

nach rozbudowy pisma i wprowadzenia nowych rubryk wyjął, że na przeszkodzie temu stał brak pieniędzy. Porucznik Gazda nie chcąc już na pierwszym spotkaniu rozwijać wątku finansowego pozostawił sprawę otwartą. W trakcie rozmowy pojawiła się również kwestia debitu dla „Merkuriusza Polskiego”. Taborski przyznał, że nie widzi szans ani celu starania się o debit. Redakcja miesięcznika byłaby natomiast zadowolona z możliwości przesyłania 20-30 egzemplarzy czasopisma do ważniejszych bibliotek w kraju i czołowych literatów. Na marginesie dyskusji przybyś z Londynu stwierdził, iż Marek Hłasko na pewno powróci do kraju, gdyż w emigracyjnych warunkach nie potrafi sobie ułożyć życia. Dodał, że w jego przekonaniu Jerzy Giedroyc nie jest amerykańskim agentem. Wspomniał również, że wraz z Bohdanem Czaykowskim, jako współpracownicy prokrajowych „Odgłosów”, byli przesłuchiwanii przez Anglików. Brytyjskie służby interesowało źródło finansowania wydawanego przez Karola Lewkowicza tygodnika¹⁵.

Podczas pierwszego spotkania Taborski nie wywarł dobrego wrażenia na swoim rozmówcy. Według Gazdy polityczne opinie „Karawany” grzeszyły naiwnością, były zbyt ogólnikowe i uproszczone. W raporcie dla przełożonych porucznik zarzucał mu, że nie potrafił dostrzec „poważniejszego znaczenia politycznego, jakie jeszcze do dzisiaj ma dla Kraju emigracja polityczna”! W trakcie rozmowy „figurant” nieustannie przekakiwał też z tematu na temat, nie kończąc rozpoczętego wątku: „«Karawana» – oceniał oficer wywiadu – nie jest materiałem na agenta, który mógłby jeśliby nawet poszedł na werbunek – dawać systematycznie właściwie opracowane materiały. Jest on bardzo słabo wyrobiony politycznie, ulega chwilowym refleksom i impulsom czy też sugestiom. Jego poglądy polityczne – lojalny stosunek do PRL – ukształtowały się w wyniku niemożliwości literackiego wyżycia się na Zachodzie, przywiązania do Kraju, rodziny, upadku autorytetów politycznych na emigracji, i więzi z takimi ludźmi, jak Zawieyski, który ma na niego jako literat poważny

15. AIPN, 01136/279, Raport por. Z. Gazdy z 15 IV 1958 r. dot. rozmowy z „Karawaną”. Taborski potwierdził, że po przyjeździe do kraju odebrał od mężczyzny, który przedstawił się jako pracownik MSZ, książki przesłane pocztą dyplomatyczną z Londynu. Spotkali się w jednej z warszawskich kawiarni (rozmowa autora z B. Taborskim 23 X 2008 r.).

wpływ”. Ostatecznie Gazda uważał, że jeśli uda mu się sprowadzić Taborskiego na ziemię oraz przeprowadzić z nim rzeczową dyskusję na temat roli, jaką on i jego koledzy mogą odegrać, to „nasze sugestie będzie realizował”. Sugerował wykorzystanie „figuranta” w planach dotyczących grupy „Merkuriusza”: „Jednak, w jakim stopniu – pisał – trudno mi w tej chwili przewidzieć”. Dodał, że Taborski chce mieć „jak najlepszą pozycję w Kraju”. Oficer wywiadu miał nadzieję, że w przyszłości pokusa nie do odrzucenia będą również pieniądze¹⁶.

Kolejny raz porucznik Gazda spotkał się z Taborskim 10 maja 1958 roku na obiedzie w warszawskiej restauracji „Rarytas”. Druga rozmowa – w ocenie oficera wywiadu – „miała odmienny charakter niż poprzednia. Była rzeczowa, bez przeszukiwania z tematu na temat ze strony «Karawany»”. Taborski chętnie dzielił się swoimi wrażeniami z pobytu na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, gdzie miał szereg prelekcji i wykładów na temat współczesnej literatury angielskiej oraz twórczości młodych poetów i pisarzy emigracyjnych. „Figurant” miał oświadczyć, że od pierwszego spotkania sprzed miesiąca jego poglądy stały się jeszcze bardziej prokrajowe. Obawiał się nawet, że po powrocie do Londynu może mieć z tego powodu trudności w porozumieniu się ze swymi współpracownikami. Charakteryzując na prośbę Gazdy poglądy polityczne członków redakcji „Merkuriusza Polskiego” podkreślił, iż niezależnie od ewentualnych zastrzeżeń pod adresem kraju zajmowali oni negatywny stosunek wobec emigracyjnych polityków. Przyznał też, że za pośrednictwem Zrzeszenia Studentów i Absolwentów Polskich na Uchodźstwie miesięcznik otrzymywał subwencję z Radia Wolna Europa¹⁷. Zastrzegł jednak, że „wroga” rozgłośnia nie miała z tego tytułu żadnego wpływu na linię polityczną pisma. Według Taborskiego, władze PRL zdecydowanie przeceniały znaczenie „starej” emigracji oraz jej możliwości wpływania na politykę Wielkiej Brytanii. Uważał, że „młodzi” emigranci na tym

16. AIPN, 01136/279, Raport por. Z. Gazdy z 15 IV 1958 r.

17. O przedłużenie dotacji RWE w czerwcu 1958 r. zabiegał redaktor naczelny „Merkuriusza Polskiego” Florian Śmieja, zob. Zakład Narodowy im. Ossolińskich we Wrocławiu [Ossolineum], Dział Rękopisów, Archiwum Jana Nowaka-Jeziorańskiego, Korespondencja, t. 31, List F. Śmiei do J. Nowaka-Jeziorańskiego z 20 VI 1958 r.

odcinku mogą zrobić znacznie więcej. Chwalił się, że on sam i jego koledzy mają wielu znajomych wśród swoich angielskich rówieśników. Na marginesie wspomniał, iż utrzymywał kontakt z młodym Anglikiem, pracownikiem Foreign Office. Rozmawiał z nim na temat sytuacji w Polsce i na emigracji. Sprawa bardzo zainteresowała oficera wywiadu. Wykorzystując sprzyjającą sytuację Gazda zaproponował Taborskiemu podobne konsultacje z polskim MSZ. Wyjaśniał, że rozmowy tego rodzaju pozwoliłyby władzom w kraju bliżej zapoznać się z problematyką emigracyjną. Tłumaczył, że ułatwiłoby to prowadzenie odpowiedniej polityki kulturalnej i polonijnej. Taborski „przyjął propozycję bez zastrzeżeń, a nawet z pewnym zadowoleniem”. Zaproponował, że rozmowy na ten temat mógłby prowadzić w Londynie z „Bartoszem”. Mówiąc o swoich planach na przyszłość stwierdził, że po powrocie do Londynu zamierza rozpocząć pracę w British Broadcasting Corporation (BBC)¹⁸. Gazda próbował początkowo odciągnąć go od tego pomysłu. Argumentował, że stała praca nie pozwoli mu na systematyczną działalność publicystyczną i dalsze studia. Przy okazji napomknął, że rozważany jest projekt przydzielania stypendiów dla emigrantów, którzy po ukończeniu studiów zamierzają powrócić do kraju lub pozostając za granicą będą „pracować na odcinku polonijnym”. Spytał wprost „Karawanę”, czy byłby zainteresowany takim stypendium. Ten jednak odmówił, stwierdzając, że ma na razie dobrą sytuację finansową. O ewentualnych kandydatach miał poinformować „Bartosza”. Prowadząc rozmowy z „figurantem” Gazda chciał go „oswajać” i stopniowo wciągać do współpracy. Oficer wywiadu uważał, że Taborski „może pójść na współpracę, jeśli nie agencjonalną (po pewnym czasie), to przynajmniej będzie go można wykorzystywać kapturowo”. Na podstawie szeregu rozmów w środowiskach twórczych w kraju Taborski miał stwierdzić, iż „Kultura” nie ma już tak dużego znaczenia, jak dwa-trzy lata wcześniej. Paryski miesięcznik stracił według niego na wiarygodności „przez niepoważne angażowanie się w sprawę Hłaski i robienie wokół niego szumu”. W związku z podróżami Tabor-

18. Na początku 1958 r. do pracy w BBC, początkowo dorywczej, Taborskiego wciągnął Z. Broncel, który już wcześniej zatrudniony był w sekcji polskiej brytyjskiej rozgłośni radiowej, zob. M. Ptasńska, *op.cit.*, s. 177 (list Z. Broncla do J. Giedroycia z 27 I 1958 r.).

skiego po kraju na zakończenie spotkania oficer wywiadu jeszcze raz wystąpił z ofertą pomocy finansowej. „Karawana” ponownie odmówił. Stwierdził, że otrzymał trochę pieniędzy za publikacje od wydawnictw krajowych, pomyślnie udało mu się również załatwić sprawy spadkowe¹⁹. Taborski wdawał się w rozmowy z „urzędnikami MSZ” (oficerami wywiadu), bo chciał przyjeżdżać do kraju, by tu – z myślą o powrocie w przyszłości na stałe – budować swoją literacką pozycję. Nie chciał jednak, by te kontakty poszły za daleko i przybrały formę współpracy agenturalnej.

O swoich wrażeniach z pobytu w Polsce Taborski z Warszawy (przez Londyn) pisał do Maisons-Laffitte: „Poznanie tego kraju z autopsji jest sprawą arcyciekawą. W ogólnych zarysach poglądy moje nie uległy rewizji, jedynie w szczegółach. Ale do widzenia pewnych spraw autopsja jest niezbędna”. Informował również Giedroycia o recepcji „Kultury” w kraju: „Przyjechałem w okresie trudnym i nie sprzyjającym załatwianiu Pana spraw. «Kultura» jest dziś tu [w kraju] mocno inkryminowana z powodu procesu [Hanny] Rewskiej i aresztowań za kolportaż ulotek oraz z powodu numeru kwietniowego, który dużo złej krwi narobił w opinii wszystkich. Nie spotkałem ani jednej oceny przychylnej dla Pana. [...] Pomysł pisma rewizjonistycznego] za granicą uważa się za nierealny. Tylko tu [w kraju] walka ma sens. No cóż – w tej chwili wszyscy się od Pana odzegnują (zaznaczam: nie czynniki oficjalne, ale wszyscy ludzie, z którymi się rozmawia), krytykują Pana. [...] W każdym razie ogólna opinia jest, że: mając sympatię do rewizjonistów, trzeba popierać Gomułkę. Innej, lepszej alternatywy nie ma. Pisząc o słabości tego reżimu nie docenia Pan siły i presji Moskwy”²⁰.

W końcu maja krakowski oddział Związku Literatów Polskich zorganizował wieczór poezji z udziałem Taborskiego. Przybysz z Londynu mówił o młodych poetach i pisarzach polskich na emigracji. Czytał wiersze swoje i kolegów. Według autora anonimowej notatki, opublikowanej na łamach „Życia Literackiego”, miał również złożyć polityczną w istocie deklarację lojalności wobec władz PRL: „Czujemy, myślimy i piszemy

19. AIPN, 01136/279, Raport por. Z. Gazdy z 14 V 1958 r. dot. spotkania z Taborskim Bolesławem krypt. „Karawana”.

20. AIL, List B. Taborskiego do J. Giedroycia z 13 V 1958 r.

po polsku – powiedział Taborski. – Uważamy, że ojczyzna nasza, rząd nasz, są tu, w kraju. Chcemy być w całym tego słowa znaczeniu polskimi pisarzami»²¹. W liście do redakcji „Życia Literackiego” Taborski stwierdził, że zacytowanych słów „nigdy i nigdzie” nie wypowiedział. Kategorycznie protestując przeciwko tego rodzaju manipulacjom podkreślił zwłaszcza, że na wspomnianym wieczorze „ani w prelekcji, ani w części dyskusyjnej – nie mówiłem w ogóle nic o władzach PRL ani ich nie wymieniałem w jakimkolwiek kontekście”. Dodał, iż „określenia «rząd nasz» nie mógłbym użyć ani w imieniu własnym czy kolegów, którzy są naturalizowanymi obywatelami obcymi, ani w imieniu kolegów posiadających statut uchodźczy”. Krakowskie spotkanie z Taborskim odbiło się również echem w „polskim” Londynie²².

Po powrocie do Warszawy, 18 czerwca 1958 roku, „Karawana” ponownie spotkał się z porucznikiem Gazdą.

21. *Wieczór poezji emigracyjnej*, „Życie Literackie” 1958, nr 22, s. 11.

22. B. Taborski, *Do Redaktora „Życia Literackiego”*, „Życie Literackie” 1958, nr 26, s. 12 [list z 9 VI wydrukowany w numerze z datą 29 VI 1958 r.]. Powołując się na anonimową notatkę w „Życiu Literackim” Taborskiego zaatakował Zygmunt Nowakowski. Felietonista londyńskiego „Dziennika Polskiego” pominął jednak jego list opublikowany ponad trzy tygodnie wcześniej na łamach krajowego tygodnika: „Może ten rząd Gomułki i Cyrankiewicza – pisał Nowakowski w numerze z 24 VII – jest rządem polskim dla p. Taborskiego, dla nas nie. [...] my mówimy z uporem starym, że to jest rząd obcy, narzucony, działający pod dyktando sowieckim”, T. Nowakowski, *Młodości, ty nad poziomy wylatuj...*, „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza” [„DPDŻ”] 1958, nr 175, s. 2. B. Czaykowski w liście do redakcji „Dziennika Polskiego” przypomniał, że Taborski „zaprzeczał stanowczo wypowiedziom, jakie włożył w jego usta anonimowy autor notatki [w „Życiu Literackim”]. Redakcja pozostawiła list B. Taborskiego bez komentarza – dowód chyba dostateczny na «nieścisłość» notatki. [...] Przeoczenie tego listu przez p. Nowakowskiego wyrządza krzywdę moralną B. Taborskiemu”, B. Czaykowski, *B. Taborski zaprzeczył*, „DPDŻ” 1958, nr 178, s. 2. O krakowskim „incydencie” Taborski na bieżąco informował J. Giedroycia, zapowiadał też wytoczenie procesu redakcji „Dziennika Polskiego”, prosił również o opublikowanie w „Kulturze” pełnej wersji jego listu do „Życia Literackiego”. Redakcja krajowego tygodnika opuściła m.in. stwierdzenie Taborskiego, „że pozytywny stosunek do kraju nie oznacza i nie musi, dla emigranta czy Polaka mieszkającego za granicą, oznaczać politycznych deklaracji w stosunku do takich czy innych władz państwa ludowego, w żadnym zaś razie deklaracji wiernopoddaniałości”, B. Taborski, *List do Redakcji*, „Kultura” 1958, nr 9/131, s. 153-154, zob. też ALL, Listy B. Taborskiego do J. Giedroycia z 30 VI i 12 VIII 1958 r.

Opowiadał mu o krakowskim wieczorze, wspominał również o przyjeździe do Polski współpracownika „Kultury” Mariana Pankowskiego, poety i pisarza mieszkającego na stałe w Belgii. Taborski miał twierdzić, że koniecznie należy dążyć do tego, aby jak najwięcej młodych emigrantów odwiedzało ojczysty kraj. Przekonywał, że „to może najszybciej doprowadzić do całkowitej izolacji i wykończenia starych polityków”. Ze względu na problemy z przedłużeniem wizy prosił również swojego „opiekuna” o interwencję w Komendzie Miejskiej Milicji Obywatelskiej w Warszawie. W kraju chciał pozostać do połowy lipca²³.

O przedłużeniu swojego pobytu nad Wisłą Taborski poinformował również Giedroycia. Licząc na zainteresowanie redaktora „Kultury” zapowiadał po powrocie do Londynu szybkie spisanie swoich wrażeń z Polski. Miał nadzieję, że „mimo coraz liczniejszych wizyt do [!] kraju ludzi pióra, otworzy mi Pan szeroko łamy dla mojej pisaniny”. W osobnym artykule planował zająć się sprawą teatru w Polsce²⁴.

O poglądach i kontaktach „Karawany” podczas jego pobytu w Polsce Służbę Bezpieczeństwa informował „tajny współpracownik” Zdzisław Najder. Agent donosił, że „ogólne nastawienie Bolesława Taborskiego w stosunku do ustroju PRL i prowadzonej przez Polskę polityki jest niewątpliwie pozytywne”. Emigracyjny poeta i publicysta poważnie myśleć miał o powrocie na stałe do kraju. Według „Zapalniczki” od natychmiastowego przyjazdu „odstraszyło” Taborskiego szereg gwałtownych posunięć władz PRL w polityce kulturalnej, nagminne trudności z wyjazdami za granicę oraz ciągle niepewna sytuacja międzynarodowa. Odbierając od Najdera artykuł dla „Merkurysza” Taborski powiedział mu, że to „jedyne materiały, jakie z Polski wywozi”. Najder poinformował też SB, że Taborski na prośbę Giedroycia namawiał do nawiązania współpracy z „Kulturą” tłu-

23. AIPN, 01136/279, Raport por. Z. Gazdy z 23 VI 1958 r. dot. spotkania z „Karawaną”. O pobycie emigracyjnego poety w Polsce informowała krajowa prasa: *Rozmowa z Januszem Ihnatowiczem i Bolesławem Taborskim*, „Więź” 1958, nr 4, s. 89-92; *Gość z Anglii*, „Nowa Kultura” 1958, nr 14/15, s. 12; A. Z., *Wykłady o Byronie* [na KUL.], „Kamena” 1958, nr 9, s. 7; *Bolesław Taborski w kraju*, „Tygodnik Powszechny” 1958, nr 22, s. 6; *Wieczór poezji emigracyjnej*, „Życie Literackie” 1958, nr 22, s. 11.

24. ALL, List B. Taborskiego do J. Giedroycia z 30 VI 1958 r.

macza literatury rosyjskiej Ziemowita Fedeckiego, ten jednak miał kategorycznie odmówić. Według „Zapalniczki” stosunek Taborskiego do Giedroycia „uległ wyraźnemu pogorszeniu”. W rozmowie z Najderem Taborski miał twierdzić, że redaktor „Kultury” jest szalenie uparty, ma ambicje odgrywania czynnej roli politycznej, ale nie rozumie zupełnie sytuacji krajowej²⁵.

Giedroyc był bardzo ciekaw opinii Taborskiego o sytuacji w kraju. Prosił go, aby skomunikował się z nim „zaraz po powrocie”²⁶. Gotów był nawet „wpaść” do Londynu, „jeśli Taborski przywiezie coś ciekawego”²⁷. Zaniepokojony brakiem informacji, w końcu lipca dopytywał się Mieroszewskiego, czy Taborski wrócił już do Londynu. Do redaktora „Kultury” dotarło też „szereg reakcji z kraju, bardzo o nim [Taborskim] krytycznych, że mu się przewróciło w głowie z powodu fetowania”²⁸.

Taborski odezwał się wreszcie do Giedroycia 12 sierpnia (do Londynu wrócił w ostatnim dniu lipca). Swoje milczenie tłumaczył brakiem sygnału od... redaktora „Kultury”. Po powrocie z kraju skontaktował się z Broncem, a ten miał mu następnie powiedzieć, że zawiadomił już o sprawie Giedroycia, który odezwie się, a może nawet przyjedzie do Londynu. W tej sytuacji Taborski tylko ogólnikowo pisał, że nie udało mu się załatwić wszystkich spraw, które powierzył mu redaktor „Kultury”: „Okazało się, że wziętem na siebie zbyt wiele spraw. Niemniej jednak coś załatwiłem”. Chwalił się, że z własnej inicjatywy wynotował braki poszczególnych numerów „Kultury” i wydawnictw Instytutu Literackiego w ważniejszych bibliotekach w kraju. Sygnalizując chęć spotkania uprzedzał Giedroycia, by nie

25. AIPN, 01136/279, Doniesienie agenturalne „Zapalniczki” z 12 VIII 1958 r. w sprawie Bolesława Taborskiego. Zob. też P. Machciewicz, A. Paczkowski, *Tajny agent*, „Rzeczpospolita” 2005, nr 236, s. 11.

26. AIL, List J. Giedroycia do B. Taborskiego z 9 VII 1958 r.

27. AIL, List J. Giedroycia do J. Mieroszewskiego z 18 VII 1958 r.

28. AIL, List J. Giedroycia do J. Mieroszewskiego z 27 VII 1958 r. Kilka dni później redaktor „Kultury” alarmował Mieroszewskiego: „Ciekaw jestem co przywiózł Taborski! Jeszcze nie miałem od niego wiadomości” (list do J. Mieroszewskiego z 4 VIII 1958 r.). I ponownie: „Od Taborskiego ani słowa, co mnie – przyznaję się – trochę dziwi i irytuje. Czyżby chłopcu przewróciło się w głowie” (list do J. Mieroszewskiego z 7 VIII 1958 r.). Giedroyc coraz bardziej niecierpliwił się „obojętnością” publicysty „Merkuriusza”: „Taborski jeszcze się do mnie nie odezwał” (list do J. Mieroszewskiego z 8 VIII 1958 r.).

spodziewał się jednak sensacji: „sprawy, jakie przywożem nie są tak ważne i rewelacyjne, żebym z czystym sumieniem mógł Pana namawiać na podróż do Londynu. Pozostawiam więc Panu do uznania czy miałoby dla Pana sens odbycie w danej chwili takiej podróży”. Zapowiadał natomiast, że napisze „serię reportaży, dość niestety impresyjnych, chociaż pod niektórymi względami uda mi się może sięgnąć pod powierzchnię głębiej niż uczynili to autorzy reportaży z kraju, drukowani w kilku ostatnich numerach”. Teksty miał posyłać partiami. Do uznania redaktora pozostawiał, czy wolałby wydać całość w formie książkowej, czy też drukować je w „Kulturze” w kilku częściach²⁹. Giedroyc był bardzo zainteresowany drukiem wrażeń Taborskiego z kraju. Pierwszy tekst gotów był zamieścić już w październikowym numerze „Kultury”³⁰.

Ostatecznie wrażenia z czteromiesięcznego pobytu w Polsce

29. AIL, List B. Taborskiego do J. Giedroycia z 12 VIII 1958 r.

30. *Ibidem*, List J. Giedroycia do B. Taborskiego z 13 VIII 1958 r. Taborski obiecał nadesłać pierwszy artykuł „do 1 września” (list do J. Giedroycia z 15 VIII 1958 r.), a następnie „przed połową miesiąca” (list do J. Giedroycia z 2 IX 1958 r.). W kolejnym liście pisał ze wstydem: „z artykułem szpetnie nawaliłem – nie tylko nie przysłałem na czas, ale do tej pory nie jest on gotowy”. Zapewniał Giedroycia: „Artykułu nie napisałem, bo nie mogłem, a nie dlatego, że nie chciałem. Różnice między nami – jeśli są, dotyczą szczegółów, a nie ogólnej linii. Z «Kulturą» chcę i będę nadal współpracować. To jest chyba jasne”. Niebawem Taborski chciał się ponownie wybrać do Polski (tym razem „z przyczyn czysto osobistych”). Sugerował, że w tej sytuacji może lepiej będzie uzupełnić „zapisane w brulionach” wrażenia z pierwszej wizyty wiadomościami po powrocie z drugiej podróży do kraju (list do J. Giedroycia z 3 X 1958 r.). Giedroyc zgadzał się z jego propozycją. Rozumiał, że drukowanie artykułu Taborskiego przed jego ponownym wyjazdem do kraju mogło być dla niego krępujące: „Ponadto ponowny pobyt da Panu i dodatkowe elementy i pozwoli go uaktualnić. Sytuacja w kraju jest coraz bardziej płynna” (list J. Giedroycia do B. Taborskiego z 8 X 1958 r.). W korespondencji z Giedroyciem Taborski wrócił również do sprawy recepcji „Kultury” w kraju. Przypominał swoją opinię, że paryski miesięcznik był negatywnie oceniany nie tylko przez partyjnych pisarzy i intelektualistów, ale także przez pozostałe środowiska. Odwołując się do swoich rozmów w kraju pisał: „Skrupulatnie wszystko zapisywałem i gdy się zobaczymy, odczytam Panu, co kto o «Kulturze» mówił. Chyba setka rozmówców dzieliła się swymi opiniami” (list do J. Giedroycia z 3 X 1958 r.). Na początku września w podobnym tonie Taborski rozmawiał z Microszewskim. Jak relacjonował Londyńczyk: „Taborski jest do nas [„Kultury”] b. niechętnie ustosunkowany, a poza tym, to jest mętniak. Sam nie wie, co o danej spr-

Taborski ogłosił w dwóch artykułach opublikowanych na łamach „Merkuriusza Polskiego”. Publicysta zarzucał kierownictwu politycznemu wychodźstwa zakłamanie i życie złudzeniami. W podejściu do spraw polskich apelował o unikanie „generalizacji i uproszczeń”. Niestety, świat, w którym żyła emigracja, to „świat prostych pojęć, sloganów i maksymalistycznych pryncypiów”. Natomiast „obraz kraju jest niezwykle skomplikowany i żadne slogany i potępienie w czambuł, żadna hurtowość, niczego nie wyjaśnia”. Według Taborskiego komunizm w Polsce „właściwie nie istnieje”! Partia (pisana konsekwentnie z wielkiej litery) nie cieszy się, co prawda „entuzjastycznym i bezkrytycznym poparciem ze strony mas narodu”. Jednak redaktor „Merkuriusza Polskiego” nie zauważył „w stosunku do niej nienawiści czy aktywnej opozycji”. „Wszyscy na ogół zdają sobie sprawę z tego, że jedynie rządy PZPR są dla Rosji do przyjęcia, i z własnej woli niejako obdarzają Partię mandatem władzy, uważając, że innej alternatywy nie ma. [...] Mimo istnienia rządów mniejszości nie ma mowy o ucisku, czy istnieniu szczelnej bariery między Partią a narodem”. Druga wojna światowa oraz doświadczenia następnych lat stały się dla Polaków wystarczającą lekcją politycznego realizmu: „Politykę zbiorowego samobójstwa zastąpiono wreszcie przez politykę zdrowego rozsądku”. Poniekąd wbrew poglądom „niezłomnych” rodacy w kraju nie stawiają na wyzwolenie przez

wie myśleć – przyparty do mury ze wszystkiego się wycofuje itd.” (list do J. Giedroycia z 2 IX 1958 r.). Kilka dni później uszczypliwie dodał: „Taborski nie jest zły chłopak, ale jest bezkrytyczny i mało inteligentny. Jest teatrologiem, poetą, dziennikarzem, politykiem. Trochę za wiele, jak na 30 lat” (list do J. Giedroycia z 10 IX 1958 r.). Mieroszewskiego trochę zaniepokoiły też ambitne plany Taborskiego. W liście do Giedroycia pisał: „Taborski z «Merkuriusza» chce zrobić «Kontr-Kulturę» (list do J. Giedroycia z 15 IX 1958 r.). Niebawem donosił: „Taborski nie tai swego już nie tylko krytycznego, ale i opozycyjnego stosunku do «Kultury» (list do J. Giedroycia z 26 IX 1958 r.). Jeśli Taborski „zechce nas atakować – uspokajająco pisał Giedroyc – to myślę, że trzeba to przemilczeć, tak jak «Odgłosy». To jest najbardziej mordercza broń. Bardziej ciekawy element z tej paczki [„Merkuriusza”] musi u nas wyładować. Nie widzę potrzeby podtrzymywania fikcji” (list do J. Mieroszewskiego z 30 IX 1958 r.). Zgodnie z intencją Redaktora Mieroszewski zapowiadał „koniec naszego [„Kultury”] flirtu z «Merkuriuszem». Trzeba wyciągnąć stamtąd wszystkich zdolniejszych, a wówczas «Merkuriusz» sam kłapnie. W gruncie rzeczy to jest beznadziejnie redagowany suchotniczy zeszycik o śmiesznym nakładzie” (list do J. Giedroycia z 3 X 1958 r.).

trzecią wojnę, nie dążą do „absolutnej suwerenności”. Ograniczają się do utrzymania maksymalnie możliwej niezależności wewnętrznej. Choć „Polacy Rosji nie lubią, ale stoją zdecydowanie na gruncie sojuszu, czy – jak się to określa oficjalnie – przyjaźni”. W polityce zagranicznej władze PRL skutecznie miały zresztą zabiegać o podstawowe polskie interesy. Taborski dodał, że „Presja sowiecka jest wyczuwalna, choć ukryta”, ale „Do prowadzenia skomplikowanej gry przeciwdziałania tej presji powołana jest Partia”. W jego przekonaniu „mimo cenzury i innych ograniczeń nie można mówić o istnieniu ucisku w sferze kultury” (jednym z nielicznych minusów była decyzja o niewydawaniu książek Czesława Miłosza czy Tadeusza Nowakowskiego). Polska kultura, zwłaszcza teatr, film czy sztuki plastyczne, przeżywać miała wręcz „okres największego rozkwitu w ciągu swego istnienia”. Cenzura w kraju nie była zresztą tak straszna: „walka o przeciwstawianie się ekscesom cenzury toczy się umiejętnie i nie bez powodzenia”. Gorsza była „szalejąca” na emigracji cenzura redakcyjna czy kościelna, „od której nie ma apelacji”. Zastrzeżenia publicysty wzbudziła natomiast polityka gospodarcza, zwłaszcza „dogmatyczne przeświadczenie o tym, iż prywatna inicjatywa jest złem, któremu nie można pozwolić się rozwinąć”. W Polsce – zapewniał – nikt jednak nie pragnął powrotu przedwojennych stosunków³¹.

W kolejnym artykule Taborski tradycyjnie wytykał emigra-

31. B. Taborski, *«Więc im tam w Polsce...» (Refleksje po podróży)*, „Merkuriusz Polski” 1958, nr 9, s. 3-6. Polemizował z nim autor konkurencyjnego pisma „młodzieżowego”, zob. A. Łuczak, *O wybielaniu, czyli odpowiedź na artykuł B. Taborskiego*, „Merkuriusz Polski-Życie Akademickie” 1959, nr 1/2, s. 18-20. Według niego „artykuł Taborskiego jest niesłuszny, szkodliwy dla kraju i wprowadzający w błąd emigrację wybielaniem obecnej sytuacji w Polsce”. Według Giedroycia ostatni numer „Merkurjusza” był „niezmiernie szkodliwy i perfidny” (list do J. Mieroszewskiego z 10 X 1958 r., AIL). Analizując poglądy pozaliterackie grupy „Merkurjusza” i „Kontynentów” J. Sikora trafnie zauważył, iż Taborski zarzucając zakłamanie emigracyjnym ośrodkom władzy „nie dostrzegł tego zakłamania u komunistycznych władz krajowych”. Gloryfikując obraz kraju Taborski „sam wpada w pułapkę „uproszczeń”. Jego sposób myślenia, widzenia kraju i emigracji w licznych artykułach jest bardzo podobny w treści i przesłaniu”, zob. J. Sikora, *op.cit.*, s. 73. W konkluzji badacz stwierdził: „myśli i poglądy «kontynentowców» nieraz tylko pozornie miały charakter «wolnych» i «niezależnych» [po poznaniu kontaktów Taborskiego z wywiadem PRL słowa te nabierają tym silniejszej wymowy – KT].

cji ignorancję, obcość i uprzedzenia w stosunku do kraju. Polemizując z tezami emigracyjnych krakauerów na temat Nowej Huty, wychwalał miejscowy teatr oraz „gigantyczny kombinat” produkujący kilkaset tysięcy ton stali rocznie: „Miasto jest idealnie spokojne (czterokrotnie wracając w nocy nie widziałem tam nawet jednego pijaka), a przecież kilka lat temu był to dziki zachód. [...] Miasto się wciąż rozbudowuje, nowe domy są ładne, dużo w nich szkła i koloru, przestrzeni”. Wbrew zarzutom emigrantów komunści – twierdził Taborski – szanują narodową tradycję i historię: „Musiałem z [Januszem] Ihnatowiczem używać nie lada forteli, żeby precyzyjnie się na Wawelu przez tłumy wycieczek szkolnych, wiejskich, zagranicznych”. Wspominając arrasy wawelskie, „gnijące w kanadyjskich piwnicach”, pisał z wyrzutem pod adresem emigracji: „Komu innemu zależy na tym, by polska młodzież nie oglądała widomych śladów swej historii”. Podkreślając swobodę kultu religijnego i działalności Kościoła negatywnie oceniał społeczną presję polskiego katolicyzmu, mającą prowadzić wręcz do religijnego fanatyzmu: „Trzeba sporej odwagi – pisał – żeby w swoim ogródku, pod okiem sąsiadów podlewać w niedzielę kwiaty. Zdarzają się wypadki – zwłaszcza po wsiach – bicia przez tłum ludzi nie uprawiających praktyk”. Kościół postrzegał jako „potężną” instytucję, „pragnącą przeniknąć wszystkie dziedziny życia”. Według Taborskiego „katolicy, upojeni swą siłą, posuwają się do demonstracji niepotrzebnych i niebezpiecznych”. W tej sytuacji – tłumaczył – „państwo ingerować musi i trudno się temu dziwić”. Nie miało to jednak – w jego przekonaniu – nic wspólnego z prześladowaniem Kościoła³².

Po powrocie z Polski „Karawana” kilkakrotnie rozmawiał z

W swojej publicystyce nie potrafili dogłębnie opisać i zrewidować «polskości». Ten opis był zbyt naskórkowy, mało wnikliwy. W sposób bezkrytyczny (zwłaszcza Taborski) ukazywali obraz reżimowej Polski, przynajmniej częściowo – jak już podkreślałem – wierząc komunistycznej propagandzie. A przeszłość, ojczyzna, tradycje namiętnie krytykowali. Zbyt jednostronnie – nie zauważając w nich tej strony pozytywnej. Nad wyraz chcieli być «światowi» i «nowocześni», *ibidem*, s. 82.

32. B. Taborski, *Obecność i Obcość (Refleksje po podróży – ciąg dalszy)*, „Merkuriusz Polski” 1958, nr 10, s. 1-4. „Liczne głupstwa” Taborskiego wykiął W. Gniatczyński, *Czy Taborski spadł z księżycą?*, „Kontynenty-Nowy Merkuriusz” 1959, nr 1, s. 3-4, polemizował z nim również

„Bartoszem”. Każdorazowo termin spotkania oficer wywiadu uzgadniał telefonicznie z Taborskim. Zachowując środki ostrożności „Bartosz” dzwonił z budki. Rozmowy miały charakter konspiracyjny. Taborski miał świadomość, że dla emigranta wszelkie kontakty z peerelowskimi służbami były wstydlive. Ujawnienie tego faktu narażałoby go na kompromitację. W sierpniu rozmawiali w jednej z kawiarni londyńskich. „Karawana” z pasją opowiadał o swoich wrażeniach z kraju. Jednak w ocenie oficera wywiadu rozmowa „nie wносиła żadnych ciekawych elementów”. Kolejny raz spotkali się na początku września w mieszkaniu Taborskiego. Redaktor „Merkuriusza” ponownie mówił o niedawnej podróży do Polski, ale także o sytuacji w środowisku literackim w kraju oraz o swoich planach na przyszłość. Czytał również „Bartoszewi” swoje wiersze i pokazywał księgozbiór. Podarował mu nawet swój debiutancki tomik wierszy wraz z dedykacją. Po raz trzeci spotkali się 10 października 1958 roku. Taborski nadal był pod silnym wrażeniem wizyty w kraju. Z zachwytem wypowiadał się o polskim filmie i teatrze. Podczas czteromiesięcznego pobytu w Polsce był na 70 przedstawieniach teatralnych, 45 pokazach filmowych oraz 23 wieczorach autorskich i odczytach! Zachwycony powiedział

F. Ś[mieja], *Obrona Częstochowy*, „Kontynenty-Nowy Merkuriusz” 1959, nr 1, s. 4. Zob. też J. Sikora, *op.cit.*, s. 74-75. Obszerne fragmenty drugiego artykułu Taborskiego opublikowała krajowa „Polityka”. We wstępie D. Fikus charakteryzując grupę „Merkuriusza” napisał: „Politycznie można by tę grupę określić jako zdecydowanych przeciwników ortodoksyjnej emigracji, niechętnie odnoszącej się do każdego kroku zbliżającego emigrację do kraju, ludzi, próbujących trzeźwo patrzeć na to, co się w kraju dzieje. Wychodzą oni z założenia, że emigracja oderwana od kraju nie może mieć praktycznie żadnego znaczenia i dlatego poszukują wspólnego języka z ojczyzną. Do tego, co się dzieje w kraju, są nastawieni krytycznie, ale nie negatywnie. W szczegółowych sprawach wypowiadali się oni za utrzymywaniem szerokich kontaktów z krajem i publikowaniem w czasopiśmie krajowych. [...] Szczerze mówiąc sytuacja tej ambitnej młodzieży jest nie do pozazdroszczenia. Atakowani ze wszystkich stron, oskarżani prawie że o «komunizm», działają w niesłychanie trudnych warunkach. Naturalnie komunistami nie są, zresztą nie ukrywają tego, a nawet deklarują swą niechęć do marksizmu”. Odnosząc się do tekstu Taborskiego Fikus stwierdził: „Autor próbuje spojrzeć trzeźwo na to, co się dzieje w kraju oraz z perspektywy kraju ocenić emigrację”, D. F[ikus], *Wrażenia emigracyjnego publicysty z kraju*, „Polityka” 1958, nr 48, s. 8; zob. też B. Czaykowski, *Odpowiedź «Polityce»*, „Kontynenty-Nowy Merkuriusz” 1959, nr 1, s. 2.

„Bartoszewi”, że każde wakacje będzie spędzał w kraju. Podróż do Polski wyostrzyła jeszcze jego negatywną ocenę emigracji: „to pustka i kompletna nuda, posługująca się starymi i utartymi sloganami, i co gorsze w obecnej sytuacji nic nie znaczącymi”. Mimo takich opinii „Karawana” nie był jeszcze zdecydowany na natychmiastowy powrót do kraju. Nie wyobrażał sobie jednak życia na stałe w Anglii: „jeśli istnieje konkretne życie polskie – stwierdził – to tylko w Kraju”. Deklarował, że chce „brać w nim rzeczywisty udział”. Mówił również o planach usamodzielnienia „Merkuriusza Polskiego” i pozbycia się patronatu Zrzeszenia Studentów i Absolwentów Polskich na Uchodźstwie. W przyszłości miesięcznik miał być też pismem „bardziej postępowym”. Redakcja borykała się jednak z chronicznymi problemami finansowymi. Taborski liczył na pomoc ze strony kraju, ale nie w formie bezpośredniej dotacji, a zakupu „odpowiedniej” ilości egzemplarzy miesięcznika: „Każdy inny sposób – twierdził – położyłby pismo, które szczyty się tym, że nie jest przez nikogo finansowane”. Poza tym przy kolektywnym sposobie redagowania miesięcznika dotacji z zewnątrz nie dałoby się utrzymać w tajemnicy przed niektórymi członkami zespołu redakcyjnego. „Bartosz” podsumowując rozmowy z Taborskim stwierdził, iż należą one „do bardzo uciążliwych ze względu na fakt omawiania problemów literatury, teatru i polityki, a [jedynie] w drobnym wycinku spraw nas najbardziej interesujących. Jednak wszystko to, co mówi «K[arawana]» jest przemyślane. Jego stosunek do nas jest pozytywny i nie zauważyłem żadnych oporów w przedstawianiu zagadnień dot[yczących] grupy «Merkuriusza». Stawianie tych spraw musi być delikatne ze względu na uczuciowy charakter i wrażliwą ambicję «K»”. Oficer wywiadu podkreślił, iż „sprawę finansowania pisma i pewne dyktowanie jego profilu należy przeprowadzić bardzo delikatnie i na pewno nie dotychczasowym wzorem innych pism. Jeżeli faktu tego nie weźmie się pod uwagę, całe nasze przedsięwzięcie spali na panewce”³³.

Na spotkaniu w dniu 11 listopada 1958 roku „Karawana” poinformował „Bartosza” o sytuacji w grupie „Merkuriusza” po

33. AIPN, 01136/279, Notatka „Bartosza” z 10 X 1958 r. z rozmowy z „Karawaną”.

zjeździe ZSAPU (Taborski nie był obecny na zjeździe, ale o szczegółach obrad poinformował go kolega z redakcji Adam Czerniawski). Na zjeździe postanowiono rozwiązać redakcję „Merkuriusza Polskiego”, scalić pismo z „Życiem Akademickim” i ściśle podporządkować go władzom ZSAPU. Sprzeciw delegatów wywołały przede wszystkim polityczne artykuły Taborskiego. Listopadowy numer miesięcznika był ostatnim pod dotychczasową redakcją. W zamian za odstąpienie pisma wraz z tytułem redakcja „Merkuriusza Polskiego” ubiegała się o pomoc ZSAPU przy stworzeniu niezależnego pisma dla młodzieży bądź kwartalnika literackiego. Obie propozycje zostały przez zjazd odrzucone. W tej sytuacji ustępująca grupa „Merkuriusza” postanowiła definitywnie zerwać współpracę ze Zrzeszeniem i od nowego roku wydawać własny miesięcznik pod tytułem „Kontynenty-Nowy Merkuriusz”.

Redaktorem naczelnym nowego pisma został Czerniawski. Miało ono być finansowane z dobrowolnych datków członków zespołu redakcyjnego, wpływów z prenumeraty oraz wpłat czytelników na fundusz wydawniczy. „Karawana” zaznaczył, że redakcja liczy również na finansową pomoc ze strony kraju. Ponownie jednak podkreślił, że „musi to być zrobione w odpowiedniej formie. W innym wypadku, gdyby się to rozeszło pismo zostałoby całkowicie położone”. Chcąc ukryć krajową dotację Taborski zasugerował, aby fikcyjni prenumeratorzy wpłacali drobne sumy na fundusz wydawniczy miesięcznika. Pośrednią formą dotacji mogłyby być także reklamy i ogłoszenia zamieszczane przez przedsiębiorstwa krajowe. „Bartosz” również uznał taki sposób finansowania pisma za najlepszy. Za dwa dni Taborski po raz drugi wyjeżdżał do kraju. Chciał ponownie odwiedzić ojca, zamierzał się również ożenić z kobietą, którą poznał podczas poprzedniego pobytu w Polsce, oraz załatwić sprawy wydawnicze. Przy okazji prosił „Bartosza” o przesłanie pocztą dyplomatyczną 30 egzemplarzy ostatniego numeru „Merkuriusza”. W raporcie dla Centrali oficer wywiadu podkreślił: „Rozmowy z T[aborskim] w kraju należy przeprowadzić biorąc pod uwagę jednak jego charakter wybitnie wyczulony. Nie należy stawiać spraw drastycznie, bo mogłoby to zepsuć dotychczasową współpracę. Całe to środowisko [grupę „Merkuriusza”] należy widzieć jako młodych entuzjastów, którzy walczą z reak-

cyjną emigracją, pomału, ale systematycznie zbliżają się na nasze pozycje”³⁴.

Po przyjeździe do Polski, 1 grudnia 1958 roku „Karawana”

34. *Ibidem*, Notatka „Bartosza” z 11 XI 1958 r. z rozmowy z „Karawaną”; A. Czerniawski, *List do Redakcji*, „Kultura” 1958, nr 12, s. 153; A. Czerniawski, *Komunikaty*, „DPDŻ” [„Kontury” dodatek do „DPDŻ”] 1958, nr 294, s. 3. Zob. też komentarze „merkuriuszowców” dotyczące przebiegu XIII Walnego Zjazdu ZSAPU: E. Milewicz, *Studenci i demokracja*, „DPDŻ” [„Kontury” dodatek do „DPDŻ”] 1958, nr 258, s. 3; B. Sulik, *Sprawa „Merkuriusza”*, „DPDŻ” [„Kontury” dodatek do „DPDŻ”] 1958, nr 275, s. 3; Od Redakcji, *Czarownice z Salem*, „Merkuriusz Polski” 1958, nr 11, s. 1. W pożegnalnym artykule Taborski pisał na temat „Merkuriusza Polskiego”, iż pismo „odegrało pierwszorzędą rolę w przełamaniu aberracji społeczności emigracyjnej i w należyтым ustawieniu emigracji wobec spraw krajowych. [...] W publicystyce swej odnieśliśmy pełne zwycięstwo, co zresztą tłumaczy się tym, że – jak mi się zdaje – przewidzieliśmy pewne rzeczy oczywiste wcześniej od innych środowisk emigracyjnych, dzięki temu, że wcześniej i daleko bardziej od nich interesowaliśmy się tym, co się dzieje w kraju, że wcześniej zarzuciliśmy zasadę uznawania emigracji za pępek Polski”. Taborski „z pełną odpowiedzialnością” dodał, że „Merkuriusz Polski” był w latach 1957-1958 „najbardziej liberalnym pismem w języku polskim na świecie”. Nawiązując do zamknięcia „Po prostu” stwierdził: „Organ rewizjonizmu emigracyjnego musiał zostać zlikwidowany przez zwolenników «ustalonego porządku», podobnie jak zlikwidowano organ rewizjonistów w kraju. Pewni ludzie w kraju i na emigracji podają sobie w tych sprawach ręce”, B. Taborski, *Pożegnanie „Merkuriusza”*, „Merkuriusz Polski” 1958, nr 11, s. 4-5. Zob. też polemikę L. Angerera, *Odpowiedź «grupie»*, „Merkuriusz Polski-Życie Akademickie” 1959, nr 1/2, s. 6-7, 10. Redakcja nowego miesięcznika deklarowała: „Chcemy, aby pismo nasze nadal spełniało rolę pomostu pomiędzy młodymi w Kraju i na uchodźstwie. [...] Łączność tę cenimy sobie wysoko, odcinając się równocześnie od wszelkich kontaktów z obcym naszemu myśleniu totalizmem monopartii”, *Od redakcji*, „Kontynenty-Nowy Merkuriusz” 1959, nr 1, s. 1. Taborski komentując w liście do Giedroycia „wydarzenia na froncie domowym” pisał, iż ostatni zjazd ZSAPU „zmajoryzowany był przez takich małych «hłasków», którzy wybrawszy wolność w latach stalinowskich zostali zawodowymi antykomunistami. Ponieważ odebrali dobre wykształcenie, obrady oznaczają dla nich wiecową demagogię, a demokrację uznaje się w wydaniu wschodnim. Studenci-absolwenci brytyjskiej produkcji byli bezradni wobec takich speców. [...] W głowie się nie mieści, żeby taki smród Wschodu był możliwy po tylu latach spędzonych na Zachodzie. Krajowi eks-staliniści i miejscowa reakcja podały sobie ręce wspaniałe”. Zapowiadał również, że 13 XI wyjeżdża ponownie do kraju: „Gdybym mógł Panu coś załatwić, proszę bardzo o list ze zleceniami. [...] Niezależnie od Pana poleceń będę nadal zbierał opinie o «Kulturze», dane o jej dochodzeniu itd.” (list do J. Giedroycia z 7 XI 1958 r., AIL).

spotkał się w warszawskiej kawiarni „W-Z” z porucznikiem Gazdą. Rozmawiali prawie dwie godziny. Taborski „bez specjalnej sugestii” ze strony swego rozmówcy przedstawił aktualną sytuację w grupie „Merkuriusza” (jego wywody – jak zaznaczył oficer wywiadu – pokrywały się z informacjami od „Charlesa” i „Ditty”). Taborski z zadowoleniem podkreślał, że grupa „Merkuriusza” wreszcie zerwała z ZSAPU, czego pozytywnym skutkiem miała być jej dalsza konsolidacja. Od nowego roku grupa zamierzała też wydawać własne czasopismo. Redakcja planowała zwrócić się z apelem do czytelników o wpłacanie dobrowolnych datków. Mówiąc to Taborski spojrzał na Gazdę i „zrobił wymowną minę”. Oficer wywiadu tłumaczył mu, że dobrowolne datki nie rozwiążą problemów finansowych pisma. Zaproponował, aby Taborski opracował „wyczerpującą notatkę” dotyczącą kosztów wydawania nowego miesięcznika. „Karawana” trochę się ociągał, ale ostatecznie zgodził się przygotować notatkę po powrocie z Krakowa. Miał się usprawiedliwiać, że jego teksty drukowane w „Merkuriuszu Polskim” nie odzwierciedlały w pełni entuzjastycznego stosunku do kraju, a w szczególności roli i znaczenia PZPR. Tłumaczył, że artykuły pisał pod czytelników emigracyjnych. W obawie przed atakami ze strony „niezłomnych” nie mógł ujawnić swych poglądów. W rozmowie z porucznikiem Gazdą nie musiał się kamuflować: „Mocno podkreślał, że PZPR jest jedyną partią, która może i powinna kierować Polską. Innej siły nie widzi”. Taborski mówił również o swoich sprawach osobistych. Chciał zaprosić swoją narzeczoną do Londynu, aby tam mogła zebrać materiały do pracy naukowej. Po około roku mieli zdecydować, czy wracać natychmiast do kraju, czy też na jakiś czas pozostać jeszcze w Wielkiej Brytanii³⁵.

W samo południe 11 grudnia 1958 roku Taborski ponownie spotkał się z Gazdą. Tym razem w kawiarni „Świtezianka”. Na wstępie „Karawana” narzekał, że mieszkał gościnnie u licznej rodziny, gdzie było kilkoro dzieci, dlatego nie mógł spokojnie pracować. W rozmowie na aktualne tematy pozytywnie oceniał politykę wewnętrzną władz PRL. Jeśli dostrzegał jakieś bardziej stanowcze pociągnięcia, to winę za nie zrzucał na kler.

35. AIPN, 01136/279, Raport por. Z. Gazdy dot. odbytego w dn. 1 XII 1958 r. spotkania z „Karawaną”.

Zastrzeżenia miał tylko do polityki kulturalnej, a zwłaszcza wydawniczej. Skarżył się, że w wielu wypadkach sam odczuwał trudności w drukowaniu swych publikacji w kraju. Gazda tłumaczył, że wydawanie poezji jest deficytowe i w ten sposób wyjaśniał opory ze strony niektórych wydawnictw. Swoje twierdzenie argumentował faktem, że krajowe oficyny drukują Kafkę, Camusa czy Sartre'a, więc dlaczego – pytał – miałyby mieć zastrzeżenia do wydawania dobrej twórczości publicystów i poetów emigracyjnych. Taborski nie przyniósł notatki dotyczącej kosztów wydawania zapowiadanego czasopisma. Odkładając sprawę do swego powrotu do Londynu twierdził, że chce opracować notatkę po ukazaniu się pierwszego numeru „Kontynentów-Nowego Merkuriusza”. Ponownie wyraźnie dawać miał jednak do zrozumienia, że redakcja miesięcznika liczy na finansową pomoc ze strony kraju w formie wpłat od „czytelników” na fundusz wydawniczy. Aby nie wzbudzić podejrzeń, co do źródła finansowania pisma, zastrzegł, że pojedyncze wpłaty nie powinny przekraczać 5 funtów³⁶.

Sprawę finansowania pisma Gazda omawiał z Taborskim cztery dni później w kawiarni hotelu „Bristol”. Oficer wywiadu wskazał na problemy wiążące się z propozycją „Karawany” (wpłaty małych kwot na fundusz wydawniczy przez różnych „czytelników”). Twierdził, że wymagałoby to zapoznania ze sprawą osób trzecich. „Karawana” podpowiadał, że ofiarodawcami mogłyby być osoby fikcyjne. Sugerował, aby większe sumy przesyłane były z terenu Stanów Zjednoczonych. Gazda upierał się, że nie jest to forma, która na przyszłość rozwiązałaby sprawę finansowania pisma. Podkreślił, że chcąc prowadzić miesięcznik na odpowiednim poziomie, należy wypracować „bardziej konkretne” formy finansowania. Myślał o bezpośredniej dotacji, która bardziej uzależniałaby redakcję od pieniędzy sponsora. Taborski tłumaczył, że takiego sposobu finansowania nie da się ukryć przed członkami kolegium redakcyjnego, a to mogłoby doprowadzić do wewnętrznego konfliktu i rozpadu grupy „Merkuriusza”. Szukając sposobu na rozwiązanie tego problemu „Karawana” nieoczekiwanie zaproponował, że w zamian za stypendium MSZ dla

36. *Ibidem*, Raport por. Z. Gazdy ze spotkania z „Karawaną” odbytego w dniu 11 XII 1958 r.

jego narzeczonej z własnej kieszeni wykladałby równowartość na finansowanie miesięcznika. Gazda odłożył jego pomysł do konsultacji z przełożonymi (Centrala uznała jednak projekt za nie-realny i niemożliwy do realizacji). Widząc brak oporów ze strony Taborskiego proponował mu wprost, by sam przejmował fundusze z kraju na wydawanie pisma. „Karawana” nie odrzucając propozycji zastanawiał się nad sposobem „zalegalizowania” dotacji. Oświadczył również, że musiałby to uzgodnić z redaktorem naczelnym Adamem Czerniawskim. Ostatecznie sprawę rozstrzygnąć miano na następnym spotkaniu. Gazda chcąc jeszcze wybać swojego rozmówcę proponował mu przekazanie pewnej kwoty na doraźne potrzeby pisma. Taborski, zastaniając się przepisami celnymi, odrzekł, że pieniądze mogłyby ewentualnie przyjąć w Londynie od „Bartosza”. W trakcie rozmowy „Karawana” otwarcie deklarował prokrajowe poglądy. Kilkakrotnie stwierdzić miał nawet, że „tylko PZPR jest w stanie pchać taczki władzy w Kraj”. Podkreślił również, że celem działalności grupy „Merkuriusza” było zbliżenie emigracji do kraju. Na podstawie kilkakrotnych rozmów z „Karawaną” oficer wywiadu uważał, że może on „odegrać w nowym piśmie rolę naszego rzecznika zarówno od strony programowej, jak i finansowej”. W trakcie najbliższych spotkań zamierzał uzgodnić sposób finansowania pisma oraz wytyczyć kierunek jego działalności. Planował również przedyskutować z Taborskim „w sposób ramowy artykuły, które zamierza on opublikować po powrocie do Londynu”³⁷.

Podczas spotkania w kawiarni „W-Z” 30 grudnia 1958 roku Taborski kolejny raz sugerował, że zapowiadane czasopismo, zwłaszcza w początkowej fazie, mogłoby być finansowane w formie datków od rzekomych czytelników. Porucznik ostatecznie przystał na jego propozycję³⁸.

Nazajutrz Gazda przyszedł na spotkanie z Taborskim w kawiarni „Świtezianka” wraz ze swoim kolegą z Departamentu I porucznikiem Stefanem Wójcikiem. W trakcie dyskusji ustalono ostatecznie sposób dofinansowywania „Kontynentów”. W

37. *Ibidem*, Raport por. Z. Gazdy z przebiegu spotkania z „Karawaną” odbytego w dn. 15 XII 1958 r.

38. *Ibidem*, Raport por. Z. Gazdy dot. odbytego spotkania z „Karawaną” w dn. 30 XII 1958 r.

początkowym okresie datki miały być przesyłane w listach od „czytelników” ze Stanów Zjednoczonych i Kanady. W przyszłości „Karawana” nie wykluczył przyjęcia bezpośredniej dotacji od władz PRL. Według niego takie rozwiązanie skłonny byłby zaakceptować redaktor naczelny miesięcznika Adam Czerniawski oraz Bolesław Sulik i Jerzy Sito. Taborski uważał, że czasopismo powinno mieć wyraźnie prokrajowe oblicze. Miało pokazywać pozytywny wizerunek kraju oraz popularyzować wśród młodej emigracyjnej inteligencji ideę pomocy gospodarczej dla Polski. W rozmowach z przedstawicielami władz Taborski starał się nie przekroczyć granicy współpracy agenturalnej. Odrzucał sugestie bezpośredniej pomocy finansowej, informacje przekazywał jedynie ustnie. Analizując jego postawę porucznik Wójcik twierdził: „«Karawana» w prowadzonej rozmowie skłonny jest do wywodów ogólnych i stara się narzucić taki sposób dyskusji. Rozmowę prowadzi ostrożnie, nad każdym zdaniem zastanawia się, co jest dla niego charakterystyczne. Niemniej jednak nie ucieka od konkretnych problemów i pytań”. Według oficera wywiadu Taborski „posiadający rozległe kontakty w środowisku młodej inteligencji na terenie Anglii może być dla nas cennym źródłem informacji oraz realizatorem naszych przedsięwzięć na tym odcinku. Istnieją wszystkie dane ku temu, aby «K» pozyskać dla współpracy z nami na płaszczyźnie agenturalnej. [...] W chwili, kiedy przystąpimy do finansowania miesięcznika przez «K» zaistnieje dogodna sytuacja do mocniejszego związania «K» z nami i ewentualnego formalnego werbunku”³⁹.

Po powrocie do Londynu Taborski 19 stycznia 1959 roku spotkał się z „Bartoszem”. Rozmowę zdominowały wrażenia „Karawany” z niedawnej podróży do Polski. Oficer wywiadu z konieczności wysłuchiwał jego zachwyty pod adresem kraju. Taborski miał stwierdzić, iż „W Kraju jest pełnia życia w przeciwieństwie do zastoju i marazmu, jaki tutaj panuje”. „Karawana” negatywnie oceniał tematykę oraz poziom artykułów wydrukowanych w pierwszym numerze „Kontynentów”. Przypadkowość, brak materiałów redakcyjnych oraz obawa przed krytyką ze strony „niezłomnych” i oskarżeniami o charakter „agentural-

39. *Ibidem*, Raport por. S. Wójcika z 31 XII 1958 r. dot. spotkania z „Karawaną”.

ny” doprowadziły – zdaniem Taborskiego – do wydania „nieciekawego i dość reakcyjnego numeru”. W rozmowie z „Bartoszem” „Karawana” skrytykował Bogdana Czaykowskiego za polemikę z warszawską „Polityką”. Za najbardziej wredny uważał jednak artykuł Wojciecha Gniatczyńskiego. Polemikę z oboma autorami zapowiadał w lutowym numerze miesięcznika. W przyszłości wszystkie artykuły publikowane w „Kontynentach”, a dotyczące spraw krajowych miały być uzgadniane z Taborskim. Za najlepszą formę pomocy finansowej dla pisma „Karawana” konsekwentnie uznawał datki od „czytelników”. Natomiast przekazywanie pieniędzy za jego pośrednictwem musiałyby wzbudzić podejrzenia u pozostałych członków redakcji. Taborski skarżył się również na dość nachalne sugestie Gazdy, co do udzielenia pomocy finansowej. Dodał, że współpracował z krajem z przekonania o słuszności sprawy i z nadzieją na powrót, a nie dla pieniędzy. Zaś płacenie mu krępowałoby jego ruchy i onieśmiewało w zwalczaniu oponentów politycznych. Mimo to „Bartosz” nadal uważał, że „Karawana” może być „w niedługim czasie” finansowany przez wywiad PRL⁴⁰.

40. *Ibidem*, Notatka „Bartosza” z 19 I 1959 r. z rozmowy z „Karawaną”. Ze swymi adwersarzami B. Taborski polemizował na łamach lutowego numeru miesięcznika. Zaskoczony pisał: „Gdy po powrocie do Londynu otworzyłem pierwszy numer «Kontynentów», przetarłem oczy ze zdumienia. Czy to na pewno «Nowy Merkuriusz», a nie «Merkuriusz Polski» odrodzony i wydarty z rąk agentom reżimu przez statecznych niepodległościowców? Numer jest jakby przedłużeniem obrad ostatniego zjazdu ZSAPU; huzia na Taborskiego! Ale jednak nazwisko Taborskiego figuruje także w stopce, no i 3 wiersze mu wydrukowano, a przecież zjazd zabraniał jednego i drugiego. Więc jednak «Kontynenty», B. Taborski, *O «wiszeniu nad Polską» i inne polemiki*, „Kontynenty-Nowy Merkuriusz” 1959, nr 2, s. 8-9. Po ukazaniu się pierwszego numeru „Kontynentów-Nowego Merkuriusza” redakcja „bratnich” „Konturów” odnotowała, że „jedyne ostre osobiste ataki, jakie numer zawiera są, o dziwo, pod adresem członków redakcji”, *«Kontynenty»*, „DPDŻ” [„Kontury” dodatek do „DPDŻ”] 1959, nr 11, s. 3; zob. też J. L. Englert, *Dwa pisma*, „DPDŻ” [„Kontury” dodatek do „DPDŻ”] 1959, nr 107, s. 3. W opinii Mieroszewskiego „Wieczór nowego «Merkuriusza» był beznadziejny. To piśmko, które wypuścili – to nędza z biedą. Ci młodzi dosłownie nie wiedzą gdzie – z kim – i dokąd? Ale to jest grupka kilku facetów bez talentu i bez [...]. Jedyny z nich ciekawszy to Czaykowski – ale jeden to trochę mało” (list do J. Giedroycia z 20 I 1959 r., AIL). Opinia redaktora „Kultury” była podobna: „Pierwszy numer [„Kontynentów-Nowego Merkuriusza”] jest słabowity i mało zachęcający” (list do Z. Broncl z 23 I 1959 r., AIL). Kilka

Na spotkaniu w dniu 3 lutego 1959 roku „Karawana” poinformował „Bartosza” o przebiegu redakcyjnej dyskusji na temat linii politycznej miesięcznika. Taborski przekonywał swoich kolegów z „Kontynentów-Nowego Merkuriusza”, że wydawane przez nich pismo powinno zająć zdecydowanie prokrajową postawę. Opowiadał się również za walką ze „wstecznictwem emigracyjnym”. Zagroził nawet, że w przypadku wydrukowania w przyszłości antykrajowych artykułów musiałby opuścić redakcję. Według „Karawany” dyskusja wykazała lewicowość poglądów większości członków zespołu redakcyjnego. Jedynie Florian Śmieja i Maria Badowicz, opowiadając się generalnie za prokrajowym charakterem pisma uważali, że redakcja powinna dopuszczać do głosu różne punkty widzenia: zarówno „komunizujące” teksty Taborskiego, jak i „reakcyjne” wypowiedzi w stylu Gniatczyńskiego. W przeciwnym razie Śmieja zagroził ustąpieniem z redakcji („Karawana” uważał go za „najbardziej zacofanego” członka redakcji, jego ustąpienie – twierdził – wzmocniłoby tylko zespół „Kontynentów”). Stanowisko Taborskiego zdecydowanie poparli natomiast Jerzy Sito, Bolesław Sulik oraz Jan M. Ciechanowski. Pozostali członkowie redakcji różnili się z „Karawaną” jedynie w drobnych szczegółach. Tak na przykład do deklaracji Taborskiego o uznaniu panującej w kraju formy rządów za słuszną dodali sformułowanie: „w obecnych warunkach, w których nie ma innej alternatywy”. Redakcyjną dyskusję „Karawana” uważał za wstęp do dalszej pracy nad „zrewolucjonizowaniem” pisma. Zapewniał „Bartosza”, że drugi numer miesięcznika będzie dużo lepszy od poprzedniego. Deklarował, iż w „niedługim czasie” wykrystalizuje się linia programowa

miesiący później Londyńczyk pisał do Giedroycia: „Powiem Panu, że z przeżeniem czytuję te «Kontynenty» i tego drugiego «Merkuriusza». To jest słabizna już poniżej wszelkiego poziomu. Po co oni to wydają? Ci młodzi są do bani. Czasem mam namiętną ochotę zjechać ich w Kronice do suchej nitki, ale nie chcę Czaykowskiego zrażać do «Kultury»” (list do J. Giedroycia z 15 IV 1959 r., AIL). W odpowiedzi Giedroyc stwierdził: „«Merkuriusze» są rzeczywiście straszne. Myślę jednak, że nie warto o nich pisać. Pisanie o nich, to robienie im niepotrzebnej reklamy. Moda na nich przemija” (list do J. Mieroszewskiego z 17 IV 1959 r., AIL). Mimo sympatii do „Kontynentów” Broncel przewidywał upadek pisma: „Będzie mi żal, jeżeli zawała się ich «Kontynenty», ale nie wyobrażam sobie, jak to może się utrzymać. Jeśli nie zdobyli sobie do tej pory czytelników, to już chyba nie zdobędą” (list do J. Giedroycia z 27 IX 1960 r., AIL).

pisma. Za „hamulcowego” uważał Adama Czerniawskiego, który opowiadał się za tym, by „Kontynenty” pozostały pismem raczej literackim, a nie społeczno-politycznym. Taborski pokazał również „Bartoszewi” zapowiadaną polemikę z tekstem Gniatczyńskiego. Według oficera wywiadu artykuł był „bardzo ostry”, a co najważniejsze, otrzymał aprobatę całej redakcji. Z Sulikiem i Ciechanowskim „Karawana” uzgodnił, że na łamach „Konturów” („młodzieżowego” dodatku, ukazującego się co dwa tygodnie na łamach londyńskiego „Dziennika Polskiego”) będą atakować najbardziej „reakcyjne” wystąpienia emigracyjnych publicystów i polityków. Aby „Kontury” nie zostały zlikwidowane, mieli to czynić w łagodniejszej formie niż w „Kontynentach”. Taka skoordynowana akcja pokazywać miała, że młode pokolenie na emigracji nie zgadza się z anachronicznymi tezami „niezłomnych” i że „Kontynenty” mają szersze poparcie, a nie są jedynym pismem tego rodzaju. Za pośrednictwem „czytelnika” ze Stanów Zjednoczonych wywiad PRL przekazał na fundusz wydawniczy „Kontynentów” 50 dolarów. Przesyłka bardzo ucieszyła redaktorów miesięcznika. Jednak, aby sprawa nie wzbudziła podejrzeń, Taborski prosił „Bartosza” o chwilowe wstrzymanie subwencji. Dodał, że redakcja ma wystarczającą ilość pieniędzy na wydanie trzech numerów pisma⁴¹.

Na początku lutego Taborski odnowił też kontakt z Giedroyciem. Kilkutygodniowe milczenie po powrocie z kraju tłumaczył zaległościami w pracy i poszukiwaniem nowego mieszkania. Prosił redaktora „Kultury” o spotkanie podczas jego najbliższego pobytu w Londynie. Przypominał, że ma wykaz brakujących numerów miesięcznika w krajowych bibliotekach. Chciał również porozmawiać o „bardziej zasadniczych” sprawach⁴². W kolejnym liście żalił się Giedroyciowi na nagonkę prowadzoną „prawie w całej prasie emigracyjnej i przez Radio W. Europy”⁴³.

Podczas rozmowy z „Bartoszem” 8 kwietnia 1959 roku „Karawana” żalił się, że zróżnicowane poglądy członków redakcji „Kontynentów” bardzo utrudniały mu pracę w zespole.

41. AIPN, 01136/279, Notatka „Bartosza” z 3 II 1959 r. z rozmowy z „Karawaną”.

42. AIL, List B. Taborskiego do J. Giedroycia z 5 II 1959 r.

43. *Ibidem*, List B. Taborskiego do J. Giedroycia z 7 III 1959 r.

Taborski, choć cieszył się dużym autorytetem, nie mógł narzucać grupie swojego punktu widzenia. „Bartosza” taka sytuacja wcale nie martwiła. Uważał to nawet za zjawisko pozytywne. W raporcie dla Centrali podkreślał, że dyskusje w łonie zespołu redakcyjnego powstrzymują „Karawanę” przed przekształceniem miesięcznika w pismo prokomunistyczne: „W chwili obecnej – twierdził oficer wywiadu – «Kontynenty» zajmują właściwą linię, a atmosfera w redakcji rości nadzieję, że pismo to odegra rolę, którą mu przeznaczamy”. Miesięcznik zdecydowanie wygrywał rywalizację o rząd dusz w środowisku emigracyjnej młodzieży z nową redakcją „Merkuriusza Polskiego”. Poprawiła się również kondycja finansowa pisma. Według Taborskiego ostatni numer „Kontynentów” ukazał się w nakładzie 1250 egzemplarzy. Niemal cały nakład rozprowadzano w prenumeracie (pismo miało aż 1036 prenumeratorów, przy czym co miesiąc przybywało średnio 40 nowych prenumeratorów). Przysłowiową niedźwiedzią przysługą była natomiast obrona Taborskiego przed atakami Radia Wolna Europa na łamach „Trybuny Ludu” i „Polityki”. Ukazanie się tego typu artykułów w partyjnych czasopismach kompromitowało go w oczach wychodźstwa. Było źródłem rozmaitych domysłów oraz pytań o charakter jego stosunków i współpracy z krajem. Z drugiej strony zatrzymanie przez cenzurę artykułu „Karawany” o młodej literaturze emigracyjnej, który miał się ukazać z „Życiu Literackim”, zniechęcało go do współpracy, wywołało również zdziwienie w redakcji „Kontynentów”. Taborski był gotów na wprowadzenie ewentualnych poprawek, byle artykuł się ukazał. W obu sprawach zwrócił się o pomoc do swojego „opiekuna”. W efekcie naczelnik Wydziału V Departamentu I MSW major Władysław Wojtasik 4 maja interweniował u samego dyrektora Departamentu I pułkownika Witolda Sienkiewicza. Artykuły w krajowej prasie zostały już wydrukowane i nie można było tego faktu zmienić. Chodziło o to, aby podobna sytuacja nie powtórzyła się w przyszłości. W sprawie zatrzymanego artykułu Centrala nie zamierzała jednak podejmować żadnych działań zalecając jedynie Taborskiemu oficjalną interwencję⁴⁴.

44. AIPN, 01136/279, Notatka „Bartosza” z 11 IV 1959 r. z rozmowy z „Karawaną”; *ibidem*, Raport mjr. W. Wojtasika dotyczący współpracownika krypt. „Karawana” z 4 V 1959 r. dla płk. W. Sienkiewicza. Na począt-

Kapitan Zbigniew Mikołajewski oraz porucznik Stefan Wójcik analizując dotychczasowy przebieg współpracy z „Karawaną” stwierdzili, że „nie nosi ona charakteru współpracy czysto agenturalnej”. Rozmowy z Taborskim miały charakter konsultacji, „w których sugerujemy wygodne nam pociągnięcia w środowisku młodzieżowym”. Prowadzący je oficerowie wywiadu (zarówno w Londynie, jak i w kraju) występowali „pod przykryciem” MSZ. W ocenie Mikołajewskiego i Wójcika „Karawana”, choć „operacyjnie jest z nami mało związany, niemniej zalecenia nasze czy sugestie zobowiązuje się wykonywać pozytywnie”. Według nich Taborski był „szczerym patriotą i związał się z nami z uwagi na swój [pozytywny] stosunek do PRL”.

ku lutego 1959 r. Taborskiego ostro zaatakowało Radio Wolna Europa. W jednej z audycji nadanej przez rozgłośnie stwierdzono, że jego refleksje z podróży do kraju, drukowane kilka miesięcy wcześniej w „Merkuriuszu Polskim”, dają „całkowicie fałszywy obraz sytuacji w Polsce, są wodą na młyn komunistycznej propagandy”. Emigracyjnego publicystę wzięła wówczas w obronę krajowa prasa: (sad), *Myślenie «na niby» – i prawdziwa nienawiść*, „Trybuna Ludu” 1959, nr 46, s. 6; jaw, *Oni wiedzą lepiej*, „Polityka” 1959, nr 8, s. 10; zob. też B. Taborski, *List do redakcji*, „Kontynenty-Nowy Merkuriusz” 1959, nr 4, s. 14. Kilka miesięcy wcześniej, po lekturze wrażeń Taborskiego z podróży do kraju, J. Nowak-Jeziorański w prywatnym liście do F. Śmiei oświadczył, że popełnił poważny błąd „usilnie zabiegając” wcześniej o subwencję dla „Merkuriusza Polskiego”: „Popierając «Merkuriusza» – pisał kierownik Rozgłośni Polskiej RWE – zakładałem więc z góry, że zetknę się na łamach tego pisma z opiniami i wypowiedziami, które nie będą mi odpowiadały, co więcej, będą mnie raziły. Przypuszczałem natomiast, znając Pana, że pomimo wszelkich różnic mamy wspólną platformę. Niestety, po przeczytaniu artykułu p. Taborskiego spostrzegłem po niewczasie, że byłem w błędzie”. Przytoczwszy następnie fragmenty artykułu Taborskiego podsumował: „Gdyby te słowa pochodziły od naiwnego emigranta, który nie zna rzeczywistości krajowej, mógłbym dopuścić, że jest on w błędzie. Ponieważ stwierdzenia te zostały ogłoszone przez człowieka, który spędził w Polsce kilka miesięcy, muszę przyjąć, że są one świadomym fałszem. [...] Oczywiście zespołu, który ogłasza tego rodzaju wypowiedzi, jak artykuł p. Taborskiego, nie mogę uznać za sojusznika nawet w najszerszym tego słowa znaczeniu. Jeżeli działalność przyszłego pisma [chodzi o zapowiadane „Kontynenty-Nowy Merkuriusz”] ma iść po tej linii, sądzę, że nie będzie ono miało najmniejszych trudności w uzyskaniu pomocy z zupełnie innej strony i jestem równie mocno przekonany, że spotka się ono z należytą odprawą nie tylko na emigracji, ale przede wszystkim wśród Waszych rówieśników w Kraju”, zob. Ossolineum, Archiwum Jana Nowaka-Jeziorańskiego, Korespondencja, t. 31, List J. Nowaka-Jeziorańskiego do F. Śmiei z 25 XI 1958 r.

„Karawana” nie zgodził się jednak na przekazywanie informacji na piśmie. Ustne informacje dotyczące osób z jego otoczenia, choć szczupłe, mogły natomiast „stanowić podstawę do typowania i opracowania kandydatów w środowisku młodzieżowym”. Taborski był ideowym współpracownikiem: „w rozmowach z nami podkreślał, że jest gotów nam pomagać, gdyż jest przekonany, że obecna polityka PRL jest jedynym realnym wykładnikiem sytuacji, w jakiej znalazł się nasz kraj i prowadzi do szybkiego rozwoju życia w kraju na wszystkich odcinkach”. Konsekwentnie natomiast odrzucał sugestie pomocy finansowej. Informacje uzyskane od „Karawany” zgodne były z donosami agenta „Charlesa” oraz wiadomościami uzyskiwanymi przez wywiad PRL z innych źródeł w środowisku młodzieżowym. W ocenie oficerów wywiadu Taborski był ważnym i cennym współpracownikiem: „Przy pomocy «Karawany» – pisali Mikołajewski i Wójcik – realizujemy nasze zasadnicze przedsięwzięcia ingerencyjno-polityczne w środowisku młodej inteligencji polskiej w Anglii”. Wywiad PRL zainteresowany był nie tylko informacjami o osobach ze środowiska młodej emigracyjnej inteligencji skupionej wokół „Kontynentów”, ale także wiadomościami na temat sekcji polskiej Radia BBC, gdzie od stycznia 1959 roku pracował Taborski. „Karawana” był nie tylko źródłem informacji, przydzielano mu również zadania o charakterze inspiracyjnym: „Realizacja powyższych zadań – pisali oficerowie wywiadu – może stanowić pewien sprawdzian szczerości i prawdomówności «K» oraz bliżej określić jego stosunek do nas”.

Czy Taborski wiedział, kim w rzeczywistości byli jego rozmówcy? Oficjalnie podawali się za pracowników MSZ. Jednak ze względu na tematykę oraz charakter rozmów „Karawana” powinien się domyślać, że faktycznie byli funkcjonariuszami tajnych służb PRL. Zresztą MSZ, podobnie jak MSW, realizowało politykę komunistycznych władz, której jednym z celów było zwalczanie emigracji. Według oficerów wywiadu: „«Karawana» jest zorientowany (w wyniku przeprowadzonych z nim rozmów i postawionych mu zadań) o naszych zamiarach podporządkowania postępowej grupy młodzieży skupionej wokół «Kontynentów». Z tego względu przyszła współpraca z «Karawaną» winna być nastawiona na mocniejsze związanie go z nami z perspektywą oficjalnego werbunku”. W związku z tym w Centrali rozwa-

ziano formalne „zwerbowanie” Taborskiego podczas jego kolejnego pobytu w Polsce⁴⁵.

W połowie lipca 1959 roku Taborski w korespondencji z Giedroyciem nieoczekiwanie wrócił do propozycji drukowania w „Kulturze” swych zapisków: „Myślę, że przyszedł czas na opublikowanie mojego dziennika z obu podróży do Polski, obejmujących w sumie półroczny pobyt, do stycznia br. Nie będzie tam chyba zbyt wiele powtórzeń w stosunku do tego, co już się ukazało, a sporo jest nowego materiału. Notowałem wszystkie szczere rozmowy z wszystkimi, więc część nazwisk będę musiał zastąpić inicjałami, ale treściowo niczego nie pominę. Rzecz chyba będzie musiała iść w kilku numerach, będę Panu to również posyłał na raty. [...] Podejmuję pewne ryzyko decydując się na publikację – zarówno wobec kraju jak i emigracji – zwłaszcza skoro «syntetyczne» reportaże w «Merkuriuszu» wywołały tyle nieporozumień, ale uważam, że tym bardziej powinienem opublikować pełne materiały»⁴⁶.

Na łamach „Kontynentów” Taborski konsekwentnie piętnował „niewolę umysłową” wychodźstwa, „zamordyzm panujący na emigracji”, „malowanie na czarno wszystkiego, co się dzieje w kraju”, „zaduch” i „talmudystyczną atmosferę” emigracyjnej publicystyki. Gloryfikując sytuację w kraju twierdził wręcz, iż „rzetelna wymiana myśli możliwa jest w emigracyjnym «wolnym świecie» w mniejszym zakresie niż w «bezwolnym kraju»”. Zarzucał „niezłomnym” ideologiczne zaciętrzewienie i wrogie

45. AIPN, 01136/279, Analiza przebiegu współpracy z agentem „Kara-wana” z 21 IV 1959 r.

46. AIL, List B. Taborskiego do J. Giedroycia z 17 VII 1959 r. Kilka miesięcy później zapowiadał przysłanie swojego dziennika podróży do Polski po ukończeniu recenzji książki J. Kirchmayera o powstaniu warszawskim (list do J. Giedroycia z 9 IX 1959 r. Po doświadczeniach z poprzednich miesięcy redaktor „Kultury” wymownie milczał w tej sprawie. Zresztą po artykułach w „Merkuriuszu” rzecz straciła walor świeżości i aktualności. Niebawem Taborski ponownie obiecywał jednak przysłanie dziennika do oceny. Ponieważ w grudniu 1959 r. po rocznej przerwie po raz trzeci jechał do Polski uznał, że „w tej sytuacji najlepiej będzie opracować to jako «Trzy podróże»” (list do J. Giedroycia z 29 IX 1959 r.). Tym razem Giedroyc dał się skusić. Chciał jednak otrzymać materiał „możliwie zaraz” po powrocie Taborskiego z Polski (list do B. Taborskiego z 30 IX 1959 r.). Propozycja redaktora „Kultury” bardzo odpowiadała Taborskiemu (list do J. Giedroycia z 7 X 1959 r.).

nastawienie do komunizmu, który przedstawiają jako „frankensteinowskiego potwora”: „Politycznym wypowiedziom na emigracji nadają dziś ton nie tyle niepodległościowcy z prawdziwego zdarzenia, co zawodowi anty-komuniści, a nawet anty-lewicowcy. Na uwadze mają oni nie tyle aktualne dobro Polski i narodu polskiego, co walkę o likwidację komunizmu na całym świecie”. Szansę na ideowe odrodzenie emigracji upatrywał Taborski w działalności młodych niekonformistycznych „lewicowców”, do których zapewne sam siebie zaliczał. „«Nieźłomni» – podkreślał – nie mają monopolu na emigracyjność”⁴⁷.

Z upływem czasu grupa „Kontynentów” coraz wyraźniej orientowała się na kraj. Postępowała również konsolidacja zespołu redakcyjnego. W tej sytuacji „prawicowe” stanowisko, jakie reprezentowali Śmieja i Badowicz, Taborski uważać miał nawet za zjawisko pozytywne. Ich obecność zbijała zarzuty „nieźłomnych” o prokomunistyczne sympatie redakcji. Nakład „Kontynentów” przekraczał 1 tys. egzemplarzy, z czego większość rozchodziła się w prenumeracie. W najbliższym czasie redakcja planowała zwiększyć nakład i objętość pisma. Mimo stabilnej sytuacji „Karawana” nadal apelował o pomoc finansową ze strony kraju w formie wpłat od „czytelników”. Redakcja zamierzała też w większym stopniu oddziaływać na młodą emigracyjną inteligencję oraz studentów. Służyć temu miał również założony przez członków grupy Klub Piątego Koła. Decydującą rolę odgrywali w nim Sulik, Ciechanowski, Badowicz, Taborski oraz Zdzisław Broncel, współpracownik BBC. Broncel nie był związany z grupą „Kontynentów”, w rozmowie z Taborskim miał jednak powiedzieć, że „całkowicie do nich należy”. Klub poprzez swoją działalność miał wciągać emigracyjną młodzież w sprawy krajowe i polonijne. W pracach Klubu uczestniczyła również „dość duża” grupa młodszych działaczy emigracyjnych, przeważnie związanych z Polskim Ruchem Wolnościowym „Niepodległość i Demokracja”. Sulik, Taborski i Broncel wchodzili również w skład zarządu Klubu Filmowego, który zajmował się wyświetlaniem polskich filmów oraz aranżowaniem dyskusji na tematy poruszane przez filmy. Aktywność członków grupy „Kontynen-

47. B. Taborski, *Clerkowie zdradzeni*, „Kontynenty-Nowy Merkuriusz” 1959, nr 9, s. 1-2.

tów” na różnych polach doprowadzić miała do powstania szerokiego środowiska polonijnego wyraźnie orientującego się na kraj. Na spotkaniu w dniu 10 listopada 1959 roku Taborski poinformował „Bartosza”, że redakcja „Kontynentów” trzykrotnie odrzuciła propozycję pomocy finansowej ze strony Radia Wolna Europa. Członkowie grupy mieli też stać na stanowisku, że swoje utwory będą publikować w kraju, a nie na emigracji. Spotkała ich jednak przykra niespodzianka. Jeszcze w 1958 roku Taborski złożył w Państwowym Instytucie Wydawniczym wiersze kilku swoich przyjaciół. Z planów wydania w kraju antologii grupy „Kontynentów” nic jednak nie wyszło. W końcu października 1959 roku dyrektor PIW odesłał rękopisy z lakoniczną informacją, że w najbliższych latach utwory te nie zostaną wydane. Taborski był „bardzo rozgoryczony” takim finałem. Miał się skarżyć „Bartoszewi”, że w ten sposób krajowe instytucje pomagają emigracyjnym „reakcjonistom” w walce z „Kontynentami”. Oficer wywiadu starał się uspokoić „Karawanę”. Odmowę druku przez PIW tłumaczył nawałem pracy w wydawnictwie, a nie względami politycznymi. Zachęcał Taborskiego, aby spróbował wydać antologię w innym wydawnictwie. W raporcie dla Centrali pisał: „Proszę sobie wyobrazić, jak ci ludzie dostali obuchem w łeb. Sami walczą przeciw tzw. Związkowi Pisarzy na wygnaniu, odrzucają pomoc «Wolnej Europy», usuwają wszystkie wiersze, które mogłyby być odrzucone przez cenzurę, głośno krzyczą, że pisarz winien wydawać w Kraju, bo możliwość wydawania utworów emigracyjnych jest realna, nie zgadzają się z «Kulturą» i Mieroszewskim i ostatecznie okazuje się, że nie mają racji. [...] Są więc w głupiej sytuacji i boją się, że wszyscy reakcyjniści zaczną z radości podskakiwać i udowadniać im, że nie poznali się na komunistach”. „Bartosz” tłumaczył przełożonym: „jeśli chcemy grupę «Kontynentów» wygrać, a przez nią mieć wpływ na emigrację, to i ta sprawa nie może być za trudna do załatwienia w naszym własnym Kraju. Chyba, że staniemy na stanowisku, że cała ta grupa jest dla nas nieważna, to wówczas trzeba sobie nią głowy nie zawracać”. Z jego uwagami w pełni solidaryzował się „Sulma”, rezydent wywiadu PRL w Londynie: „Przecież trzeba pamiętać – pisał do Centrali – że tu na emigracji idzie cała wojna o to, aby emigracyjni pisarze i poeci nie drukowali w Kraju. Argumentowano, że drukowanie w Kraju

jest wyrazem uznawania rzeczywistości krajowej i uzależnienia od wydawcy krajowego. Szakale reakcyjni zdają sobie sprawę, co to znaczy, jeśli młodzi pisarze i poeci będą drukować w Kraju. Przesaną oni wówczas mieć jakikolwiek wpływ na nich. Nie będą mogli ich wykorzystywać do dywersji «niepodległościowej»”. „Sulma” uważał, że należy dołożyć wszelkich starań, aby pozytywnie załatwić tę sprawę: „ze względów taktycznych – argumentował – nawet, jeśli te utwory nie mają wielkich walorów artystycznych i mogą czasami budzić wątpliwości od strony politycznej, należałoby 2000 egzemplarzy wydrukować, choćby tylko pod kątem widzenia rynku polonijnego”⁴⁸. Projektowana antologia wydana jednak została w kraju dopiero kilka lat później.

Przed trzecią podróżą do Polski Taborski ponownie skontaktował się z Giedroyciem. Poinformował redaktora „Kultury”, że wyjeżdża wieczorem 1 grudnia 1959 roku: „Jeśli zależy Panu na wybadaniu w Polsce jakichś szczególnych spraw, to może Pan jeszcze listownie mi je przekaże”⁴⁹. Trzy dni później Giedroyc odpowiadał, że ze spraw krajowych najbardziej interesuje go sytuacja na odcinku kulturalnym: „Podobno są drastyczne cięcia w wydawnictwach, skasowanie wierszowego w prasie etc.”. Redaktor „Kultury” zamierzał niebawem ogłosić ankietę na temat polskiego modelu gospodarczego. Obok wypowiedzi zagranicznych i emigracyjnych ekonomistów bardzo zależało mu na głosach ekonomistów z kraju (teksty tych ostatnich byłyby oczywiście drukowane anonimowo). Prosił Taborskiego, by skontaktował się w tej sprawie z Janem Józefem Lipskim z Klubu Krzywego Koła. Planował również wydać specjalne numery „Kultury” w języku rosyjskim, niemieckim i czeskim. Za pośrednictwem Lipskiego chciał pozyskać artykuły na temat współpracy gospodarczej Polski ze Związkiem Sowieckim, Niemcami i Czechosłowacją. Redaktor żalił się, że od pół roku Państwowy Instytut Wydawniczy oraz wydawnictwo „Książka i Wiedza” nie przysłały do Maisons-Laffitte swych książek. Giedroyc prosił ponadto Taborskiego, by skontaktował się z Agnieszką Osiecką i Jarosławem Nowerlym ze Studenckiego Teatru Satyryków oraz zachęcił ich do zbierania i przesyłania dowcipów politycznych.

48. AIPN, 01136/279, Notatka „Bartosza” z 11 XI 1959 r. ze spotkania z „Karawaną”.

49. AIL, List B. Taborskiego do J. Giedroycia z 24 XI 1959 r.

Zamierzał bowiem wprowadzić w „Kulturze” dział humoru politycznego⁵⁰. Taborski deklarował, że postara się załatwić wszystkie prośby Giedroycia, „co przyjdzie mi tym łatwiej, że z Lipskim i STS w każdym razie się zetknę”. Po powrocie do Londynu obiecał również przygotować wrażenia z trzech podróży do Polski⁵¹.

Z kraju Taborski wyjechał w pierwszych dniach stycznia 1960 roku. Giedroyc zaniepokojony jego milczeniem w połowie miesiąca interweniował u Mieroszewskiego: „Czy Taborski wrócił z Polski? Miał wrócić 8 stycznia. Do mnie się nie odezwał jak dotąd. Bardzo mnie interesuje czy wrócił i co przywiózł. Czaykowski zapewne będzie poinformowany. Nie chcę do Taborskiego pisać bezpośrednio, by nie zdradzać się, że to mnie tak interesuje”⁵².

Po powrocie z Polski Taborskiego ponownie ogarnęły wątpliwości, co do druku w „Kulturze” dzienników podróży do kraju. W liście do Giedroycia pisał: „Swoją drogą myślę o opracowaniu dla Pana tych «Trzech podróży», ale wciąż się zastanawiam, czy nie nadaje się to bardziej do druku... pośmiertnego. Nie chciałbym pomijać nic z rzeczy istotnych, a zbyt to wszystko jeszcze gorące”⁵³.

Podczas trzeciej wizyty w kraju Taborski wyraźnie unikał spotkania z oficerem wywiadu, choć ten bardzo chciał się z nim widzieć. Porucznik Wójcik dzwonił nawet w tej sprawie 28 grudnia do znajomych „Karawany”, u których mieszkał podczas wizyty w kraju w 1958 roku. Jeszcze tego samego dnia rozmawiał również telefonicznie z jego żoną. Taborska tłumaczyła, że mąż jest bardzo zajęty, ma zaplanowanych szereg spotkań i całymi

50. *Ibidem*, List J. Giedroycia do B. Taborskiego z 27 XI 1959 r.

51. *Ibidem*, List B. Taborskiego do J. Giedroycia z 28 XI 1959 r.

52. ALL, List J. Giedroycia do J. Mieroszewskiego z 14 I 1960 r. Ponownie kilka dni później dopytywał się Londyńczyka: „Czy widział Pan B. Czaykowskiego? Czy Taborski wrócił?” (list do J. Mieroszewskiego z 18 I 1960 r.). W odpowiedzi na monity Redaktora Mieroszewski informował: „Taborski przyjechał i dostałem od niego list. Możliwe, że przesadzam, albo list był pisany naprędce, ale odniosłem wrażenie maksymalnej niechęci w tonie i dość jednostronnej uszczypliwości, jeśli idzie o informacje o «Kulturze» z kraju” (list do J. Giedroycia z 21 I 1960 r.).

53. ALL, List B. Taborskiego do J. Giedroycia z 22 I 1960 r.

54. AIPN, 01136/279, Notatka por. S. Wójcika z 12 I 1960 r. dot. „Karawany”.

dniami przebywa poza domem. Obiecała, że poinformuje go o rozmowie. „Karawana” nie nawiązał jednak kontaktu. Parę dni później Wójcik rozmawiał telefonicznie z jego teściową. Dowiedział się, że Taborski załatwia sprawy na mieście. W domu miał być dopiero wieczorem, ale jeszcze tego samego dnia o godzinie 22 wracał wraz z żoną do Londynu. Takie zachowanie Taborskiego oficer wywiadu tłumaczył jego licznymi spotkaniami na terenie Warszawy i w innych miastach⁵⁴. Wydaje się jednak, że przyczyna była zupełnie inna. „Karawana” wyraźnie unikał rozmów ze swoim „opiekunem”. Nie zamierzał być jedynie wykonawcą dyrektyw władz PRL.

W prywatnych rozmowach ze znajomymi z kraju „Karawana” skarżył się, iż „pracownicy Służby Bezpieczeństwa występujący pod przykryciem MSZ nie dają mu spokoju na terenie Londynu i w sposób nachalny żądają od niego różnych rzeczy”. Taborski miał ponadto powiedzieć, że jako obywatel brytyjski i pracownik BBC „nie chciałby mieć cokolwiek wspólnego z tymi ludźmi, gdyż może mu to jedynie zaszkodzić”. Informacje powyższe pochodziły z materiałów „agenturalnych” Departamentu II (kontrwywiad). Ostatecznie zachowanie „Karawany” wyjaśnić miała rezydentura londyńska⁵⁵.

O próbie pozyskania do współpracy przez polską placówkę nad Tamizą Taborski zwierzył się również znajomemu dziennikarzowi „Polityki” Dariuszowi Fikusowi. „Karawana” obawiał się przede wszystkim prowokacji i skompromitowania go jako agenta warszawskiego. Twierdził, że Anglicy wiedzieli o rozmowach, jakie prowadził z urzędnikiem konsulatu generalnego Mieczysławem Kowalskim (faktycznie oficerem wywiadu). W BBC miano mu delikatnie dać do zrozumienia, by nie angażował się w kontakty z polską placówką⁵⁶.

Ostatecznie wrażenia z trzeciej podróży do Polski Taborski opublikował w lutowym numerze „Kontynentów-Nowego Merkuriusza” z 1960 roku. Publicysta polemizował z opinią, że Polska jest krajem policyjnym: „Reżim polski jest obecnie monopartyjny, ale nie policyjny. To znaczy przy władzy jest jedna par-

55. *Ibidem*, Notatka służbowa por. S. Binka z 23 I 1960 r. dot. Taborskiego Bolesława ps. „Karawana”.

56. *Ibidem*, Notatka uzupełniająca z 10 X 1960 r. na podstawie informacji TW „Diogenes”.

tia, która dla realizacji swych celów posługuje się – poza perswazją – środkami przymusu administracyjnego, ale nie policyjnego. Ludzie o poglądach nie odpowiadających monopartii polskiej mogą z hukiem wylecieć z zajmowanych posad (z reguły po cichu otrzymując inne, często nie gorsze), ale nie wędrują do więzienia. Reżym policyjny opiera się na terrorze, atmosferze strachu, a tego w Polsce nie zauważyłem. (Swoboda słowa mówionego w miejscach publicznych trwa w Polsce nadal)”. Podkreślił, iż wbrew komentarzom emigracyjnej prasy w kraju nie zauważył też zasadniczych zmian na gorsze w stosunku do sytuacji sprzed roku, choć „ogólnego rozwoju sytuacji na przestrzeni ostatniego roku na pewno nie można uznać za zadawalającą”. Źródło krajowych problemów upatrywał w sferze gospodarki (niezrealizowane reformy, spadek cen węgla, niewydajność małych gospodarstw wiejskich, kryzys mięsny, problem mieszkaniowy). Jednak mimo kłopotów z zaopatrzeniem „Polacy w dalszym ciągu jedzą więcej mięsa niż mieszkańcy Europy Zachodniej”. Ze sceptycyzmem pisał o panikarskich nastrojach i czarnowidztwie środowiska literackiego w kraju. Mimo zmniejszenia honorariów autorskich, redukcji funduszy wydawniczych, nużących bojów z cenzurą czy widocznego niezrozumienia i niechęci ekipy Gomułki dla szeroko rozumianej kultury, „przybieranie jednak pozy męczenników przez ludzi żyjących nadal lepiej niż większość społeczeństwa jest chyba rzeczą śmieszna”. Podobnie, jak podczas poprzednich wizyt w kraju Taborski zachłystywał się „wspaniałymi” osiągnięciami polskiego teatru i filmu⁵⁷.

Opowiadał się za normalizacją stosunków z Niemcami. Dla Polski była to sprawa o kluczowym znaczeniu. Nie łudził się, że sprawę rozwiązały stworzone po zakończeniu wojny fakty dokonane i „papierowa przyjaźń polsko-niemiecka”. Trafnie podkreślał, że „Niemcy, to nie tyle NRD, co NRF”. Rozmowy z Niemcami powinien oczywiście prowadzić rząd warszawski. Pewną rolę do odegrania – według Taborskiego – miała również emigracja. Mogłaby ona uzupełniać i korygować akcję podjętą

57. B. Taborski, *Polska po raz trzeci*, „Kontynenty-Nowy Merkuriusz” 1960, nr 14, s. 16-18. Według Giedroycia artykuł Taborskiego był „w najwyższym stopniu niepokojący. [...] Szkoda mi Czaykowskiego, by się znowu nie zaplątał” (list do J. Mieroszewskiego z 23 III 1960 r., AIL).

przez władze PRL. Współpraca przy rozwiązaniu problemu niemieckiego zbliżałaby w ten sposób emigrację do kraju. Publicysta wskazywał na konieczność pragmatycznego podejścia strony polskiej do rozmów z Niemcami: „Do zagadnienia normalizacji stosunków z Niemcami należy podejść rzeczowo, z pominięciem czynników emocjonalnych, bo wobec obfitości smutnych naszych doświadczeń w tym zakresie, wszelkie odwoływanie się do przeszłości może jedynie utrudnić osiągnięcie celu. W naszym interesie leży spuszczenie zasłony na przeszłość, gdy rozmawiamy z Niemcami. Sami musimy o przeszłości pamiętać, by na przyszłość nie mieć złudzeń wobec tego narodu. Na eksport do Niemiec jest to zbyt cenne”. Trzeba zaznaczyć, że takie realistyczne, a zarazem pragmatyczne stanowisko w rozmowach z Niemcami na początku lat sześćdziesiątych ani na emigracji, a tym bardziej w kraju nie było powszechnie aprobowane. Podstawowym warunkiem nawiązania stosunków dyplomatycznych przez oba kraje było uznanie przez Republikę Federalną powojennej granicy. Dopóki Niemcy „nie zdobędą się na ten krok, dopóki wreszcie mocarstwa zachodnie nie uznają granicy na Odrze i Nysie za ostateczną, dopóty jedyną gwarantką polskich ziem zachodnich pozostanie niestety Rosja. Tego niewątpliwego faktu nie zmienią próżne i jałowe gesty”⁵⁸.

Po powrocie z kraju „Karawana” z obawy przed dekonspiracją „zamroził” rozmowy z „Bartoszem”. Spotkali się dopiero po kilkumiesięcznej przerwie 19 grudnia 1960 roku. Taborski tłumaczył oficerowi wywiadu, że w sprawach zasadniczych nie zmienił swojego stanowiska. W dalszym ciągu opowiadał się za rozbudową kontaktów z krajem, twierdził również, że należy zwalczać „reakcyjną” emigrację. Stał się jednak bardziej ostrożny. Uważał, iż należy ograniczyć liczbę spotkań oraz zachować szczególną dyskrecję. W trakcie rozmowy wróciła sprawa finansowania „Kontynentów”. Taborski przekonywał „Bartosza”, że należy wstrzymać anonimowe wpłaty na fundusz wydawniczy. Obawiał się, że na tym tle mogłoby dojść do sporów, a nawet do rozpadu redakcji. Według „Karawany” Czaykowski domyślał się, iż w ten sposób pismo było dofinansowywane przez władze PRL. Nie

58. B. T[aborski], *Taniec nad grobami?*, „Kontynenty-Nowy Merkuriusz” 1960, nr 18/19, s. 6.

widział jednak nic złego w tym, gdyby ktoś z peerelowskiej ambasady oficjalnie przesłał pieniądze, podając swoje nazwisko i adres. Część członków redakcji nie podzielała zdania Czyżowskiego uważając, że nieważne, kto wpłaca pieniądze, byle pismo miało środki na bieżące wydatki. Taborski sądził, iż najlepszą formą pomocy dla „Kontynentów” byłoby zamieszczanie reklam przez firmy emigracyjne i krajowe oraz większy zakup pisma przez ambasadę. Wówczas peerelowska placówka mogłaby też sporadycznie przysyłać bezimienne datki. W celu zdobycia nowych prenumeratorów ostatni numer miesięcznika wydany został w zwiększonym nakładzie 3,5 tys. egzemplarzy, z czego 2 tys. redakcja rozesłała bezpłatnie na prywatne adresy. Wróciła też sprawa „zwerbowania” informatora. „Bartosz” proponował formalnie „pozyskać” „Karawanę” do współpracy na początku przyszłego roku. Taborski zamierzał wówczas ponownie przyjechać do kraju. Oficer wywiadu uważał również, że należałoby się „poważnie zastanowić” nad formą finansowania „Kontynentów”⁵⁹.

Taborski choć nie został formalnie „zwerbowany” przez wywiad, traktowany był jak „tajny współpracownik”. Współpraca z „Karawaną” polegała na „praktycznym uzgodnieniu ramowym postępowania na odcinku młodzieżowym”. Taborski był „bardzo pożytecznym” informatorem. Przekazywał ustnie charakterystyki członków zespołu redakcyjnego „Merkuriusza Polskiego”, a następnie „Kontynentów”, naświetlał intrygi „niezłomnych”, wskazywał najlepsze jego zdaniem formy pomocy finansowej ze strony kraju dla pisma wydawanego przez młodych emigrantów. Jak zaznaczył oficer wywiadu: „Zawsze zwykł pytać jakie jest nasze zdanie odnośnie poszczególnych problemów, które miały być poruszone na łamach «Kontynentów»”. Taborski bardzo obawiał się, aby jego rozmowy z „Bartoszem” nie stały się publiczną tajemnicą. Tym bardziej, że przez „niezłomnych” był „ostro atakowany jako ten, który sieje na emigracji komunistyczne poglądy”⁶⁰. Na początku marca 1961 roku w Centrali postanowiono jednak przekwalifikować „agenta” na „kontakt informacyjny”. Powodem była dekonspiracja kontaktów

59. AIPN, 01136/279, Notatka „Bartosza” z 20 XII 1960 r. ze spotkania z „Karawaną”.

60. *Ibidem*, Fragment raportu „Bartosza” z lutego 1962 r. dotyczący „Karawany”.

„Karawany” z „Bartoszem” wobec Anglików⁶¹.

Na spotkaniu w dniu 28 czerwca 1961 roku „Karawana” przekazał „Bartoszowi” najnowsze wiadomości o sytuacji w redakcji „Kontynentów”. Taborski narzekał na niechlujne redagowanie miesięcznika przez Czykowskiego. Miał on publikować cały materiał, jaki otrzymywał, bez żadnej selekcji pod kątem linii politycznej „Kontynentów”. W efekcie – według Taborskiego – miesięcznik zatracił bojowy charakter. Redakcja zalegała też z terminową wysyłką pisma stałym prenumeratorom. Zaniedbania wynikały z przeciążenia Czykowskiego, który oprócz wydania książki o Polakach w Wielkiej Brytanii (wraz z Sulikiem)⁶², uczył w szkole, robił doktorat i był zaabsorbowany życiem rodzinnym (urodziło mu się dziecko, kupił dom). Po burzliwej dyskusji w gronie zespołu redakcyjnego postanowiono, że od października nowym redaktorem miesięcznika będzie Taborski. „Karawana” oświadczył „Bartoszowi”, że „postara się zrobić z «Kontynentów» bojowe pismo, które znów będzie torowało drogę nowym poglądom na emigracji”. Nowy redaktor zamierzał zwiększyć objętość „Kontynentów”. Na przeszkodzie stał jednak brak pieniędzy. Taborski miał świadomość, że bezpośrednie finansowanie emigracyjnego pisma przez władze PRL krępowało i kompromitowało redakcję. W tej sytuacji sugerował, aby konsulat generalny w Londynie zwiększył liczbę prenumerowanych egzemplarzy „Kontynentów”. Miesięcznik mogłyby również zaprenumerować peerelowskie placówki dyplomatyczne w innych krajach. W końcu sierpnia 1961 roku Taborski wraz z żoną planował kolejny wyjazd do Polski. „Bartosz” przypominał Centrali, że w ewentualnych rozmowach z informatorem na terenie kraju „nie należy być jednak zbyt natarczywym, lub dawać mu zbyt dużo poleceń, aby go do nas nie zrazić”⁶³.

61. *Ibidem*, Protokół z 6 III 1961 r. z oceny sprawy dotyczącej agenta Taborski Bolesław ps. „Karawana” nr 5128/56.

62. B. Czykowski, B. Sulik, *Polacy w W. Brytanii*, „Biblioteka «Kultury»” t. 63, Paryż 1961.

63. AIPN, 01136/279, Notatka „Bartosza” z 29 VI 1961 r. z rozmowy z „Karawaną”. Po kolejnej wizycie Taborskiego w kraju Giedroyc ponownie oczekiwał od niego aktualnych informacji: „Wreszcie wrócił Taborski po dłuższym pobycie w kraju. Broncel obiecał mi informacje, ale może Pan go przysusi. Teraz każda informacja z kraju jest dla nas niezmiernie ważna (list do J. Mieroszewskiego z 19 X 1961 r., AIL). Kilka dni później

Na kolejne spotkanie z Taborskim 7 listopada 1961 roku w kawiarni przy Regent Street „Bartosz” przyszedł w towarzystwie „Artura”. Kapitan Kowalski kończył swoją misję w Londynie i wracał do kraju. Swojemu następcy w londyńskim konsulacie przekazał kontakt i prowadzenie rozmów z „Karawaną”. Powrót do Polski na stałe rozważał również Taborski. Od nowego roku miał jednak przejąć obowiązki redaktora naczelnego „Kontynentów”. Presja ze strony „niezłomnych” („leśnych dziadków” – według określenia Taborskiego) oraz różnorodność poglądów politycznych w łonie grupy „Kontynentów” nie sprzyjały wydawaniu pisma. W tej sytuacji „Karawana” uważał, że wydawanie miesięcznika nie potrwa dłużej niż rok, po czym zamierzał wrócić do kraju. Taborski był również zniechęcony brakiem rezultatów w walce z „niezłomnymi”. Ponownie narzekał też na „chwijną postawę i niechęć do pracy” Czaykowskiego, który ze względu na problemy materialne gros czasu poświęcał pracy zarobkowej. Czaykowski miał też ulegać skrajnie zachowawczym poglądom swojej żony. Znacznie gorzej sprawa wyglądała ze Śmieją, który reprezentował „wyraźnie reakcyjne stanowisko”. Taborski wspominał również o poważnych problemach finansowych „Kontynentów”. Ponownie sugerował zwiększenie prenumeraty przez polską placówkę nad Tamizą. Rozmówcy uzgodnili, że od grudnia 1961 roku londyński konsulat zwiększy zamówienie z 50 do 100 egzemplarzy. Prenumerata była w istocie ukrytą formą pomocy dla „Kontynentów”. Mimo kamuflażu Taborski obawiał się, że może to wywołać sprzeciw niektórych członków zespołu redakcyjnego. Przekonywał „Artura” i „Bartosza”, aby kupowane przez konsulat egzemplarze miesięcznika trafiały przynajmniej do niektórych bibliotek i ważniejszych redakcji czasopism w kraju. Mówiąc o sytuacji w BBC Taborski stwierdził, że polityka brytyjskiej stacji wobec Polski była „umiarkowana i w miarę obiektywna”. Natomiast w stosunku do Związku Sowieckiego polityka ta „staje się wykładnikiem zaostrenia się stosunków między ZSRR a blokiem zachodnim”. Według „Artura” rozmowa z „Karawaną” mogła być obserwowana. Na kilkanaście minut przed zakończeniem spotkania do

w swoim stylu dopytywał się Mieroszewskiego: „Czy widział Pan Taborskiego i wycisnął Pan z niego wiadomości? [...] On jest cieniem Zawieyskiego” (list do J. Mieroszewskiego z 26 X 1961 r., AIL).

wolnego stolika obok przysiadł się młody mężczyzna, który wyraźnie przysłuchiwał się ich rozmowie⁶⁴.

Na przełomie 1961/1962 roku Taborski zamierzał na miesiąc wyjechać do Polski. Przy okazji załatwiania wniosku wizowego 4 grudnia 1961 roku rozmawiał w konsulacie z „Arturem”. Informator bardzo pesymistycznie oceniał los „Kontynentów”. Uważał, że miesięcznik będzie się jeszcze ukazywał najwyżej przez kilka miesięcy. Powodem był stały nacisk „niezłomnych” na redakcję oraz ogromne trudności finansowe. Jedyne wyjściem w tej sytuacji byłoby wsparcie z zewnątrz. Jednak ze względu na politycznie zróżnicowany skład redakcji wszelka tego rodzaju pomoc – według „Karawany” – była „absolutnie wykluczona”. Problemy pogłębiał fakt, że w ostatnim okresie pismo straciło znaczną część dotychczasowych czytelników. Taborski narzekał na nieokreślone oblicze „Kontynentów”. W rozmowie z „Arturem” stwierdził: „Nijakie oblicze pisma wynika z faktu, że w skład redakcji wchodzi b. różny element. W związku z taką sytuacją nie może zwyciężyć żadna koncepcja ani prokrajowa, ani proniepodległościowa”. W tej sytuacji, nie chcąc być „grabarzem” miesięcznika ostatecznie zrezygnował z objęcia stanowiska redaktora naczelnego⁶⁵.

Podczas pobytu w kraju Taborski 18 stycznia 1962 roku rozmawiał z kapitanem Kowalskim. Mówił mu o tragicznej sytuacji finansowej „Kontynentów”. Redakcja zalegała z opłatą za druk, a liczba prenumeratorów spadła do 130 osób. W tej sytuacji zdecydowano, aby pismo zlikwidować. Komunikat zamieszczony w grudniowym numerze miesięcznika z 1961 roku stwarzał nadzieję na przedłużenie egzystencji pisma w razie wzrostu liczby prenumeratorów i pomocy finansowej czytelników. Gdyby sytuacja finansowa nie uległa zmianie ostatni numer „Kontynentów” miał się ukazać w kwietniu 1962 roku. Według „Karawany” pismo odegrało już swoją rolę. Wykazało, że emigracyjna młodzież nie podziela poglądów grupy „reakcyjnej”, a nawet była gotowa walczyć z nimi. Taborski miał jeszcze nadzieję, że miesięcznik nie zostanie całkowicie zlikwidowany i w jego miejsce będzie się ukazywał kwartalnik kontynuujący dotychczasową

64. AIPN, 01136/279, Notatka „Artura” z 10 XI 1961 r. dot. spotkania z „Karawaną”.

65. *Ibidem*, Notatka „Artura” z 4 XII 1961 r. dot. „Karawany”.

linię „Kontynentów”. Przeszkodą były nie tylko problemy finansowe, ale także polityczne zróżnicowanie i brak wolnego czasu członków zespołu redakcyjnego „Kontynentów”. Taborski oprócz pracy zawodowej w BBC dużo czasu poświęcał na tłumaczenia książek na angielski, chciał mieć również czas na własną twórczość. W podobnej sytuacji był prawie każdy z członków grupy „Kontynentów”. Aby wydawać dobre pismo – argumentował Taborski – co najmniej jedna osoba musiałaby poświęcić cały swój wolny czas na prace redakcyjne oraz dysponować środkami na jego wydawanie. W odpowiedzi kapitan Kowalski zaoferował pomoc finansową. „Karawana” obiecał, że po powrocie do Londynu zastanowi się nad jego propozycją. W tej sprawie miał się skontaktować z „Arturem”⁶⁶.

Departament I MSW systematycznie obserwował działalność oraz krajowe kontakty Taborskiego. W związku z tym 19 listopada 1962 roku porucznik Janusz Topiłko, rozpatrzywszy materiały dotyczące „figuranta”, przygotował formalne „postanowienie o założeniu sprawy ewidencyjno-obserwacyjnej” kryptonim „Rodak”⁶⁷.

W trakcie kolejnej wizyty w kraju Taborski ponownie rozmawiał z kapitanem Kowalskim. Spotkali się 1 lipca 1963 roku

66. *Ibidem*, Raport kpt. M. Kowalskiego z 21 I 1962 r. Zob. też: *Od Redakcji*, „Kontynenty” 1961, nr 36, s. 1. Taborski wyjaśniając przyczyny rozstania z miesięcznikiem i rozpadu grupy „Kontynentów” pisał: „zużywanie energii i – nielicznych – wolnych chwil na redagowanie i pisywanie do pisma, będącego czymś niewiele pokazniejszym od prywatnego druku, nie jest tym, co pociąga mnie w życiu najbardziej. Ale i choćby gazetę ścienną w jednym egzemplarzu wydawać by było warto, gdyby dawała ona pełny i zdecydowany wyraz jakiejś idei, poglądom ożywiającym jednego człowieka czy kilku lub kilkunastu ludzi. Natomiast, gdy pismo nie może mieć określonej, jednoczącej je linii, bo wachlarz poglądów tworzących je ludzi jest zbyt szeroki, aby uniknąć rozłamu drukuje się rzeczy obojętne. Pismo ma wtedy charakter eklektyczny, jest zneutralizowane. Przyjemność oglądania własnego nazwiska w druku prywatnym – bo do tego się wówczas rzecz cała sprowadza – może być wystarczającą satysfakcją tylko dla ludzi bez ambicji. Członkowie zespołu «Kontynentów» nie są jednak całkowicie ambicji pozbawieni, nie są więc z tego stanu rzeczy zadowoleni, i fakt ten nie powinien być również tajemnicą dla czytelników”, B. Taborski, *Czy «Kontynenty» się przeżyły?*, „Kontynenty” 1962, nr 40/41, s. 19-20.

67. AIPN, 01136/279, Postanowienie z 19 XI 1962 r. o założeniu sprawy ewidencyjno-obserwacyjnej kryptonim „Rodak”.

w kawiarni „Dom Chłopa” w Warszawie. Znajomego z Londynu poinformował, że wraz z kilkoma przyjaciółmi (m.in. z Sulikiem) zamierza podjąć działania na rzecz popularyzowania kultury polskiej w Wielkiej Brytanii (film, literatura, teatr). Tego typu działania uważał za jedynie słuszne i pożyteczne dla kraju, w przeciwieństwie do działalności „niezłomnych”, którą uważał za szkodliwą i wrogą Polsce. Akcentując „pozytywną ocenę sytuacji i swą pełną lojalność do Polski” wspominał, że w ciągu kilku lat zamierza wrócić na stałe do kraju⁶⁸.

Intensywne na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych kontakty Taborskiego z peerelowskim wywiadem w następnym okresie uległy wyraźnemu osłabieniu. Złożyło się na to kilka czynników: obawa przed ujawnieniem kompromitującego emigranta faktu, sugestie ze strony Anglików wskazujące, że brytyjskie służby „rozpracowały” jego tajne kontakty, rozpad grupy „Kontynentów”, poświęcenie się działalności literackiej, nie bez znaczenia był chyba również powrót „Bartosza” do kraju.

Na początku 1965 roku podporucznik Tadeusz Osmulski z Wydziału VIII Departamentu I MSW proponował przełożonym wznowienie kontaktów z „Rodakiem”. Zamierzał wykorzystać go do nowych zadań na terenie Wielkiej Brytanii. Oficer operacyjny uważał, że „Kontynenty” pod redakcją Zbigniewa Grabowskiego zostały przejęte przez zwolenników flirtu z Niemcami. Poprawa jakości druku oraz zapowiedź rozwinięcia przez redakcję szerszej działalności świadczyły – w przekonaniu Osmulskiego – że pismo było również finansowane ze źródeł niemieckich. W tej sytuacji, z inspiracji wywiadu PRL, Taborski miałby zamieszczać w prasie emigracyjnej („Kronika”, „Oblicze Tygodnia”, „Kontynenty” czy nawet „Myśl Polska”) zdecydowanie prokrajowe i antyniemieckie artykuły. Jako jeden z założycieli „Kontynentów”, „powinien rozpocząć kampanię kompromitowania germanofilów typu – Grabowski, Bregman, Mieroszewski, którzy opanowali ostatnio i publikują w «Kontynentach», wykorzystując ten miesięcznik dla głoszenia tez rewizjonistycznych”. Taborski, „jak nikt inny – twierdził pryncypialnie podporucznik – ma do tego nie tylko moralne prawo, ale i obo-

68. *Ibidem*, Notatka ze spotkania z Bolesławem Taborskim w dniu 1 VII 1963 r. w Warszawie.

wiązek”. Powinien być również tym, który „obudzi” niektórych swoich zrezygnowanych przyjaciół z nieistniejącej już grupy „Kontynentów”. Oficer wywiadu zauważył, że podczas podróży do kraju Taborski odwiedzał wiele miast, w tym Wrocław, gdzie miał dotychczas kilka wieczorów autorskich. Stwarzało to w jego przekonaniu doskonałą okazję do napisania antyniemieckiego artykułu „na bazie osobistych wrażeń”. Osmulski uważał, że planowane przedsięwzięcie ma duże szanse powodzenia. Pracownik MSW przeprowadzający rozmowę z Taborskim miałby mu „przypomnieć”, że od dawna nosi się z zamiarem powrotu na stałe do Polski, a publikacje na łamach krajowej prasy dają mu możliwość zarobkowania oraz ugruntowują jego literacką pozycję: „Te dwa elementy – konkludował podporucznik – powinny zdecydować, że T[aborski] przyjmie nasze argumenty – oparte głównie o potrzebę przeciwstawienia się Niemcom”. Oficer wywiadu nie wzdragał się również przed ewentualnym szantażem na tle obyczajowym, albo zablokowaniem „Rodakowi” możliwości wizyt w kraju. Zaznaczył, że rozmówca Taborskiego nie powinien chować się za szyldem MSZ i „wystąpić z pozycji MSW”. Przeciwstawiając się „infiltracji niemieckiej” w prasie emigracyjnej „Rodak” miałby napisać dwa lub trzy artykuły rocznie: „Żadnych innych zadań wysuwać nie należy – podkreślił Osmulski. Rodzaj i ramowe terminy artykułów, a także gazety, do których będzie pisał należy uzgodnić, przy czym trzeba pozostawić mu swobodę wyboru. Takie zadanie będzie «strawne» dla T., a nam w niczym nie zaszkodzi, gdyby fakt rozmowy ujawnił Anglikom”⁶⁹.

Taborski wyraźnie nie miał jednak ochoty występować w roli wykonawcy politycznych zleceń władz PRL. Tym bardziej że od dawna domyślał się (wiedział), iż jego rozmówcami nie byli pracownicy MSZ, ale oficerowie MSW. W tej sytuacji próba formalnego „werbunku” mogła przynieść niepożądane – z punktu widzenia peerelowskiego wywiadu – rezultaty. Forsowanie sprawy „z pozycji” MSW kapitan Narcyz Grzechowiak trafnie uznał za niecelowe. Podkreślił, iż zamiar wykorzystania Taborskiego dla celów publicystycznych „z wyraźnym akcentem antyniemieckim”

69. *Ibidem*, Raport ppor. T. Osmulskiego z 12 I 1965 r. o wyrażenie zgody na rozmowę z Taborskim.

można osiągnąć „z pominięciem ujawniania naszego resortu”. Planowaną rozmowę z informatorem proponował przeprowadzić „z pozycji MSZ”, wykorzystując jego pobyt w kraju. Na rozmówcę typował Osmulskiego. Podporucznik oddelegowany był do MSZ i niebawem wyjeżdżał do pracy w konsulacie generalnym w Londynie: „Nawiązanie kontaktu z pozycji instytucji przykrycia stworzy tow. Osmulskiemu możliwość podtrzymania kontaktu z «R[odakiem]» na płaszczyźnie polonijnej w Wielkiej Brytanii oraz inspirowanie jego poczynąń na tamt[ejszym] terenie”. Zarówno ze względów rodzinnych, jak i zawodowych Grzechowiak wykluczał odrzucenie przez Taborskiego przedstawionej mu propozycji⁷⁰. Ostatecznie do planowanej rozmowy z „Rodakiem” jednak nie doszło.

W kwietniu 1967 roku Taborski zamierzał na dwa miesiące wyjechać do Polski. Chcąc uniknąć przykrych doświadczeń z ubiegłego roku do wniosku wizowego dołączył osobisty list do konsula generalnego Tadeusza Martynowicza (w 1966 roku pomimo wczesnego złożenia wniosku nie otrzymał wizy w terminie, żalił się również, iż musiał kilka godzin czekać w korytarzu na odebranie wizy). „Szelest” (oficer wywiadu oddelegowany do pracy w londyńskim konsulacie) pod pretekstem omówienia kwestii poruszonych przez Taborskiego w liście do konsula umówił się z nim telefonicznie na rozmowę. Spotkali się 16 lutego 1967 roku w kawiarni przy Regent Street. Podczas krótkiej rozmowy „Rodak” powtórzył swoje polityczne credo: od dawna nie uważa się za emigranta politycznego, wszystko, co robi, obliczone jest na jego przyszłą działalność w kraju. Za swój cel Taborski deklarował popularyzację polskiej kultury w strefie języka angielskiego. Z tego powodu wprost „uginął się” pod ciężarem pracy. Ponownie mieli się spotkać w kwietniu, a później po powrocie „Rodaka” z kraju. W przyszłości „Szelest” zamierzał uzyskać od Taborskiego informacje o emigracyjnych wydawnictwach, sytuacji w środowisku literackim oraz o polskiej sekcji BBC i osobach tam zatrudnionych⁷¹.

Taborski od lat był obiektem obserwacji. Przed jego kolej-

70. *Ibidem*, Wnioski kpt. N. Grzechowiaka z 1 VII 1965 r. do raportu dot. przeprowadzenia rozmowy z Bolesławem Taborskim ps. „Rodak”.

71. *Ibidem*, Notatka „Szelesta” z 22 II 1967 r. ze spotkania z „Rodakiem”; *ibidem*, List B. Taborskiego do T. Martynowicza z 2 II 1967 r.

ną wizytą w kraju wiosną 1967 roku Wydział VIII Departamentu I wraz z Wydziałem II Departamentu III MSW opracował „plan przedsięwzięć operacyjnych”. Zamierzano ustalić jego powiązania ze środowiskiem twórczym w kraju, zebrać za pośrednictwem dostępnej „agentury” informacje o rodzaju tych kontaktów oraz wyrobić sobie pogląd o celowości dalszego interesowania się „figurantem”. W tym celu wywiad „złożył zamówienie” na „PT” (podśluch telefoniczny) podczas pobytu „Rodaka” w Warszawie. Terenowe jednostki Służby Bezpieczeństwa miały również zbierać informacje na temat jego kontaktów i działalności we Wrocławiu oraz Krakowie⁷².

O pobycie Taborskiego w Krakowie przełożonych informował podpułkownik Jan Gibski, naczelnik Wydziału III Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej. Do Krakowa „Rodak” przyjechał 10 maja w godzinach popołudniowych. Zamieszkał w hotelu „Cracovia”. Z miasta wyjechał dwa dni później około godziny piętnastej. „Operacyjnie” pobyt Taborskiego w Krakowie „zabezpieczał” znany pisarz i historyk, równocześnie „tajny współpracownik” SB Olgierd Terlecki pseudonim „Lachowicz”. Podczas krótkiego pobytu w Krakowie „Rodak” kontaktował się przede wszystkim z Zygmuntem Greniem z „Życia Literackiego” (Taborski od lat współpracował z krakowskim tygodnikiem) oraz z redaktorami Wydawnictwa Literackiego, gdzie wydawał tomik wierszy i książkę o teatrze angielskim. W rozmowach Taborski pochlebnie wyrażał się o teatrze wrocławskim (do Krakowa przyjechał z Wrocławia). Dyskutował również o sztuce Rolpha Hochhutha o zamachu na generała Władysława Sikorskiego. Oskarżenia pod adresem Winstona Churchilla o zamordowanie polskiego premiera uważał za nonsensowne. Bardzo krytycznie miał się wypowiadać na temat Leopolda Tyrmanda. Uszczypliwie czy wręcz ironicznie mówił też o środowiskach emigracyjnych. Podkreślił, że w ogóle nie czyta prasy emigracyjnej, a jedynie czasopisma angielskie i krajowe. Nie wspominał już o swoim powrocie na stałe do Polski. Krajowe kontakty Taborskiego nie miały jednak dla SB wartości „operacyjnej”. W czasie pobytu w Krakowie Taborski usiłował również skontaktować się z redak-

72. *Ibidem*, Notatka służbowa mjr. N. Grzechowiaka z 14 IV 1967 r. dot. „Rodaka”.

torami „Tygodnika Powszechnego” Jerzym Turowiczem i Tadeuszem Myślikiem. Według SB do spotkania jednak nie doszło⁷³.

Brak realnych szans na „zwerbowanie” „Rodaka” sprawił, że wywiad zaniechał dalszego prowadzenia „sprawy ewidencyjno-obszerności”. Ostatecznie w listopadzie 1969 roku zebrane materiały zostały przekazane do archiwum Departamentu I MSW. Taborski od dawna utrzymywał zresztą jedynie sporadyczne kontakty z Konsulatem Generalnym PRL w Londynie. Sprowadzały się one w zasadzie do urzędowych wizyt przed wyjazdem do kraju. Jak wynikało z „rozpracowania”, poświęcił się pracy literackiej i nie był zaangażowany w działalność anty-krajową⁷⁴.

Już wcześniej Taborski zrezygnował ostatecznie z myśli o powrocie na stałe do Polski. Zarówno w okresie PRL, jak i dziś, mieszkając w Londynie, publikuje przede wszystkim w kraju. Posługując się brytyjskim paszportem przyjeżdża zresztą każdego roku na kilka miesięcy do Polski.

Krzysztof TARKA

73. *Ibidem*, Pismo ppłk. J. Gibskiego z 31 V 1967 r. do naczelnika Wydziału IV Departamentu III MSW.

74. *Ibidem*, Notatka końcowa z 25 VIII 1969 r. dot. sprawy kryptonim „Rodak”; *ibidem*, Postanowienie z 6 XI 1969 r. o zakończeniu i przekazaniu sprawy do archiwum Departamentu I MSW.

Andrzej PACZKOWSKI

KOMITET OBRONY KRAJU W LATACH 1959-1991*

Instytucja łącząca na najwyższym szczeblu czynniki wojskowe i cywilne była słabo zakorzeniona w polskiej tradycji państwowej. W niepodległej Polsce okresu międzywojennego istniały wprawdzie tego rodzaju organy państwa, ale były one efemerydami: Rada Wojenna działała w latach 1921-1923, powołany 25 X 1926 r. Komitet Obrony Państwa zebrał się tylko raz, a Komitet Obrony Rzeczypospolitej (KOR) utworzony 9 V 1936 r. odbył zaledwie dwa posiedzenia. Choć na czele tych instytucji stał zawsze prezydent, podstawowe sprawy wojska i obronności kraju pozostawały w rękach wojskowych: w latach 1926-1935 zarządzał nimi osobiście Marszałek Józef Piłsudski, a po jego śmierci Marszałek Edward Rydz-Śmigły.

Po objęciu w 1944 r. władzy przez komunistów przez kilka lat nie powstał żaden odpowiednik przedwojennych instytucji i kluczowe decyzje dotyczące wojska – w tym personalne – podej-

* Polska wersja artykuł pt. *Das Komitee für Landesverteidigung (Komitet Obrony Kraju) in den Jahren 1959-1961* opublikowanego na stronach: <http://www.nationaler-verteidigungsstrat.de> w ramach programu: *Projektgruppe Protokolle des Nationalen Verteidigungsrates der DDR* współorganizowanego przez: Militärgeschichtliches Forschungsamt (Potsdam); Bundesarchiv (Berlin-Lichterfelde) oraz Institut für Zeitgeschichte (München-Berlin).

mowane były przez Biuro Polityczne KC partii komunistycznej (najpierw PPR, a od grudnia 1948 r. PZPR). Dopiero w październiku 1948 r. Biuro Polityczne powołało zespół, którego zadaniem było opiniowanie projektów dozbrojenia i organizacji armii, a w maju 1949 r. – na jego bazie – powstała Komisja Wojskowa Biura Politycznego. W jej skład wchodził zarówno członkowie Biura Politycznego, jak i najwyżsi dowódcy wojskowi (m.in. minister obrony narodowej i szef Sztabu Generalnego). Na czele Komisji stał Bolesław Bierut, Przewodniczący (później I Sekretarz) KC. Komisja zajmowała się wszystkimi kluczowymi sprawami wojska oraz związkami między armią a gospodarką narodową. Działała niejawnie i nigdy nie została umocowana w jakichkolwiek aktach prawnych. W 1952 r., gdy Bierut objął stanowisko premiera, jej rolę przejęła specjalnie utworzona rządowa Komisja dla Spraw Obrony Narodowej, właściwie identyczna pod względem składu personalnego z poprzednią. Z kolei wiosną 1954 r., gdy Bierut ograniczył się do pełnienia funkcji I Sekretarza KC, Komisja stała się ponownie organem Biura Politycznego, z tym że w jej skład wchodził tym razem tylko członkowie BP (wśród nich był minister obrony narodowej, sowiecki marszałek Konstanty Rokossowski). Półtora roku później przekształcona została ponownie w organ rządowy – Komitet do spraw Obrony Kraju (KOK). Formalnie powstał on na mocy wspólnej uchwały Rady Ministrów i Rady Państwa (był to kolektywny urząd prezydencki) z 21 XII 1955 r. Instytucja ta była „państwowa” tylko z nazwy, gdyż w jej skład wchodził wyłącznie członkowie Biura Politycznego, a przewodniczącym był niezastąpiony Bierut, nie pełniący wówczas żadnej funkcji państwowej. Z powodu serii wydarzeń, które miały miejsce w ciągu 1956 r. – XX Zjazd KPZPR, śmierć Bieruta i usunięcie z kierownictwa partii niektórych jego najbliższych współpracowników, powrót na stanowisko I Sekretarza (usuniętego w 1948 r.) Władysława Gomułki, odesłanie do ZSRR marsz. Rokossowskiego i oficerów sowieckich, którzy od 1950 r. zajmowali wszystkie najważniejsze stanowiska dowódcze w Wojsku Polskim – Komitet nie podjął systematycznej działalności i w listopadzie 1957 r. został formalnie rozwiązany. W tym czasie najważniejsze decyzje w sprawach wojska podejmowało bezpośrednio Biuro Polityczne.

Dopiero w grudniu 1958 r., gdy sytuacja w kraju i w partii komunistycznej została ustabilizowana, Gomułka zaproponował wznowienie działalności KOK. Nastąpiło to na mocy uchwały Rady Ministrów z 18 II 1959 r., która ustanawiała Komitet jako organ państwowy. Od tego momentu instytucja ta działała już bez żadnych przerw przez ponad 30 lat. Zgodnie z uchwałą na czele KOK stał premier (do grudnia 1970 r. był nim Józef Cyrankiewicz, później Piotr Jaroszewicz, a w latach 1981-1985 gen. Wojciech Jaruzelski). Członkami Komitetu byli dwaj wicepremierzy, którym podlegały resorty gospodarcze, przewodniczący Komisji Planowania przy Radzie Ministrów oraz ministrowie obrony narodowej i spraw wewnętrznych. W 1961 r. w skład KOK wszedł też Sekretarz KC odpowiadający w kierownictwie partii za sprawy wojskowe. Zapleczem organizacyjnym był Sztab Generalny (SG). Wydzielono w nim zespół oficerów pracujących na rzecz KOK, a zarządzał nimi Sekretarz Komitetu, którym z urzędu był szef SG. Struktura KOK została stosunkowo szybko rozbudowana i objęła – w oparciu o istniejące w ministerstwach departamenty wojskowe – niemal wszystkie resorty centralnej administracji państwowej, ze szkolnictwem włącznie. W 1962 r. istniało aż 10 działów Komitetu: wojskowy (jego kierownikiem był minister obrony narodowej), polityczny (na czele stał właściwy Sekretarz KC), wewnętrzny (z ministrem spraw wewnętrznych), planowania i gospodarki, ochrony ludności, komunikacji, przemysłu, zaopatrzenia (na ich czele stali odpowiedni wicepremierzy), szkolnictwa i nauki (zarządzał nim właściwy Sekretarz KC) oraz zagraniczny (kierownikiem był minister spraw zagranicznych). Część kierowników działów była członkami Biura Politycznego lub Sekretarzami KC. Najważniejsza osoba w państwie, I Sekretarz KC (do 1970 r. był nim Gomułka, później Edward Gierek), nie wchodziła wprawdzie w skład Komitetu, ale decyzje w najważniejszych sprawach i tak były podejmowane przez Biuro Polityczne. Utworzono terenowe odpowiedniki KOK – Wojewódzkie Komitety Obrony (WKO), na czele których stali przewodniczący wojewódzkich rad narodowych. Jak wynika z tej struktury głównym zadaniem KOK była nie tylko zwierzchność na wojskiem, ale przede wszystkim przygotowywanie państwa i społeczeństwa na wypadek wojny, z czym związane było także utworzenie stanowiska wiceministra obrony narodowej do spraw

Obrony Terytorialnej Kraju (OTK, później Obrony Cywilnej).

W dniu 21 XI 1967 r. Sejm uchwalił ustawę o Powszechnym Obowiązku Obrony Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, która stała się prawną podstawą do reorganizacji KOK, a przede wszystkim do rozbudowy różnych agend terytorialnej obrony kraju. Na jej mocy zostały zorganizowane m.in. lokalne komitety obrony – powiatowe, miejskie i gminne, aż do szczebla większych przedsiębiorstw i instytucji państwowych, w których tworzone zakładowe komitety obrony. Po uchwaleniu ustawy zmieniono nieco strukturę samego Komitetu, który od tego momentu składał się z przewodniczącego (był nim z urzędu premier) i trzech zastępców: do spraw sił zbrojnych i planowania strategiczno-obronnego (minister obrony narodowej), do spraw polityczno-obronnych (Sekretarz KC kontrolujący wojsko) i do spraw gospodarczo-obronnych (Sekretarz KC nadzorujący sprawy gospodarcze). Członkami byli ministrowie spraw wewnętrznych i spraw zagranicznych oraz sekretarz KOK, którym był wiceminister obrony narodowej odpowiedzialny za OTK. Z czasem skład ten uzupełnili m.in. wicepremierzy nadzorujący resorty gospodarcze. Niemal wszyscy członkowie KOK byli równocześnie członkami Biura Politycznego lub Sekretariatu KC partii komunistycznej. Zredukowano liczbę działów i pozostały tylko: Dział Polityczno-Obronny, Dział Gospodarczo-Obronny, Dział Ochrony i Zaopatrzenia Ludności, Dział Wewnętrzny, Dział Komunikacji oraz Dział Zagraniczny (było nim po prostu Ministerstwo Spraw Zagranicznych). Utrzymano więc zasadę, że Komitet zajmuje się wszystkim, co łączy się bezpośrednio z wysiłkiem obronnym, a raczej po prostu militarnym, gdyż doktryna wojenna Układu Warszawskiego, która obowiązywała Polskę, miała charakter raczej ofensywny niż defensywny. Mimo tego najważniejszymi osobami w KOK pozostawali wojskowi – minister obrony narodowej (równocześnie członek Biura Politycznego) oraz sekretarz Komitetu, który kierował Sekretariatem KOK. Kluczowe decyzje – w tym, zgodnie z zasadami nomenklatury, także personalne – zapadały niezmiennie na posiedzeniach Biura Politycznego.

KOK sprawował funkcje koordynacyjne w zakresie wojska i spraw obronności, m.in. za pośrednictwem departamentów wojskowych w ministerstwach cywilnych i takich organów Rady

Ministrów jak Komitet Przemysłu Obronnego, czy potężny Komitet Planowania, w którym istniała osobna komórka (Zespół Wojskowy) zajmująca się sprawami planowania gospodarczego w zakresie produkcji dla wojska i obronności. Projekty decyzji podejmowanych na szczeblu ministerstwa czy rządu musiały być opiniowane przez KOK lub Sekretariat KOK. W obszarze spraw gospodarczych związanych z armią i obronnością Polska była związana uczestnictwem w Radzie Wzajemnej Pomocy Gospodarczej (RWPG) i Układzie Warszawskim. Już na pierwszym posiedzeniu KOK (14 V 1959 r.) zaakceptowano sowieckie propozycje dotyczące koordynowania planów mobilizacyjnych gospodarek państw członkowskich. Forum ich uzgadniania była Stała Komisja Współpracy Przemysłu Obronnego RWPG.

Ważną częścią działalności Komitetu były sprawy obrony cywilnej (w tym przeciwlotniczej), szkolenia obronnego – które istniało od szkół średnich poczynając na zakładach pracy kończąc – oraz dowodzenia i zarządzania na wszystkich szczeblach administracji państwowej, gospodarczej i życia społecznego na wypadek wojny. Określano to ogólnie jako „pozamilitarna część systemu obronnego państwa”. W tym zakresie KOK wypełniał nie tylko funkcje normotwórcze i sprawowanie ogólnej kontroli, ale też m.in. organizował ćwiczenia. Największe z nich odbyły się w kwietniu 1973 r. (pod kryptonimem „Kraj”), a ich tematem było „Działanie centralnych i terenowych organów kierowania i zarządzania oraz sił zbrojnych w okresie zagrożenia bezpieczeństwa państwa i w czasie wojny”. W formalnym kierownictwie ćwiczeń znalazła się cała ścisła ekipa rządząca z I Sekretarzem KC na czele, zaś sztabem ćwiczeń kierował Sekretarz KOK (gen. Tadeusz Tuczapski). Ćwiczeń lokalnych i treningów szkoleniowych przeprowadzano setki (np. tylko w latach 1976-77 brało w nich udział ponad 700 tys. uczestników).

Prawdziwym „mózgiem” KOK był – nic nie ujmując jego formalnym członkom – Sekretariat Komitetu, który od 1969 r. wyszedł ze struktur Sztabu Generalnego. W końcu lat 60. Sekretariat posiadał 60 etatów wojskowych (oficerskich) i 22 cywilne. Początkowo w strukturze znajdowały się m.in.: Biuro Prawne, Biuro Planowania Obronnego, Biuro Organizacyjno-Mobilizacyjne, Biuro Szkolenia Obronnego. W latach 70. ulegała ona parokrotnie zmianom, które polegały głównie na dzieleniu ist-

niejących biur na mniejsze jednostki. Ważnym elementem działalności Sekretariatu było publikowanie „Biuletynu KOK”, w którym zamieszczane były akty normatywne z zakresu obronności wydawane przez wszystkie centralne i naczelne instytucje administracji państwowej, z Radą Ministrów włącznie. W istocie niemal wszystkie akty normatywne w tym zakresie – a w każdym razie te, które miały poważniejsze znaczenie – podlegały opiniowaniu i kontroli Sekretariatu KOK.

Aż do końca lat 70. KOK mniej zajmował się sprawami bezpieczeństwa wewnętrznego kraju, a głównym obszarem prac były w tym zakresie przygotowania na wypadek wojny. Niemniej problemy funkcjonowania resortu spraw wewnętrznych znajdowały się w zainteresowaniu Komitetu, który podjął w tym zakresie wiele różnych decyzji. W znowelizowanej 19 X 1978 r. doktrynie wojennej znalazło się już jednak takie określenie jak „przestępczość natury politycznej”, co oddawało niepokój władz wynikający z powstania zorganizowanej opozycji politycznej. W połowie lipca 1980 r., w czasie, gdy rozwijała się wielka fala strajkowa, Sekretariat KOK dokonał przeglądu istniejących aktów prawnych dotyczących ochrony porządku publicznego, a dwa miesiące później otrzymał rozkaz rozpoczęcia prac nad wprowadzeniem stanu wojennego. Na forum Komitetu sprawa ta po raz pierwszy została poruszona 12 XI 1980 r. KOK – a ściślej rzecz biorąc Sekretariat KOK – stał się kluczowym miejscem dla działań zmierzających do wprowadzenia stanu wojennego zarówno jeśli chodzi o koordynację prac resortów i organów centralnych państwa oraz wojska, jak i przede wszystkim prac nad stroną normatywną (prawną). Podczas kolejnych posiedzeń KOK (m.in. 23 I, 19 VI i 13 IX 1981 r.) omawiano zaawansowanie przygotowań. Na posiedzeniu 13 września, w którym jako gość uczestniczył I Sekretarz KC Stanisław Kania (pięć tygodni później usunięty z tego stanowiska na rzecz premiera i ministra obrony narodowej gen. Wojciecha Jaruzelskiego), uznano, iż zasadnicze przygotowania zostały zakończone. Przez pewien czas rozpatrywano też projekt, aby po wprowadzeniu stanu wojennego zarządzanie nim przejął KOK, stając się tym samym najwyższą *de facto* władzą. Z niejasnych powodów zrezygnowano z tego planu i 13 XII 1981 r. została powołana – samowznająca z punktu widzenia ówczesnie obowiązującego prawa – Wojskowa Rada

Ocalenia Narodowego, na czele której stanął gen. Jaruzelski, będący od ośmiu miesięcy premierem, a więc z urzędu przewodniczącym KOK. W ostatnich dniach przed 13 grudnia KOK podjął szereg decyzji istotnych dla funkcjonowania stanu wojennego, a m.in. o militaryzacji części gospodarki narodowej oraz wyznaczając komisarzy KOK we wszystkich instytucjach centralnych i na szczeblu wojewódzkim oraz w większych zakładach przemysłowych i w instytucjach, takich jak uniwersytety. Rola KOK w czasie trwania stanu wojennego (tj. do 22 VII 1983 r.) była ograniczona, gdyż w sferze wykonawczej zarządzał krajem zrazu tzw. Dyrektoriat, grono osób wybranych przez Jaruzelskiego (w tym trzech generałów), a później odzyskało swoje znaczenie Biuro Polityczne KC.

Istotna zmiana instytucjonalna została wprowadzona po podpisaniu porozumień wynegocjowanych w czasie obrad Okrągłego Stołu, gdyż uzgodniono m.in. utworzenie urzędu Prezydenta PRL, a zgodnie ze zmienioną (7 IV 1989 r.) konstytucją Prezydent stawał się Zwierzchnikiem Sił Zbrojnych i zarazem przewodniczącym KOK. W połowie lipca Zgromadzenie Narodowe wybrało prezydentem gen. Jaruzelskiego, który 4 października wydał zarządzenie poszerzające członkostwo w KOK m.in. o szefa Kancelarii Prezydenta, zastępców ministrów obrony narodowej i spraw wewnętrznych oraz ministra transportu, żeglugi i łączności. Spowodowało to, iż proporcja między przedstawicielami – dogorywającej już – PZPR a „Solidarności” była w KOK zupełnie inna niż w rządzie, na czele którego stał Tadeusz Mazowiecki, internowany w stanie wojennym. Być może gen. Jaruzelski chciał z KOK zrobić swego rodzaju „przyczółek” dla lojalnych wobec siebie polityków, podobnie jak to zrobił rozbudowując Kancelarię Prezydenta. Niemniej zmian ustrojowych nie można już było zahamować, a ich oznaką było nie tylko uczestnictwo w obradach KOK niedawnych „wrogów państwa”, ale także zatwierdzenie (21 II 1990 r.) Doktryny Obronnej Rzeczypospolitej Polskiej, która zastąpiła pochodzące z 1985 r. Węzłowe Założenia Obronne PRL. Jednak dopiero po zwycięstwie w wyborach prezydenckich Lecha Wałęsy nastąpiło definitywne zreformowanie KOK – zarządzeniem z 31 I 1991 r. rozformowano Sekretariat KOK, a na jego miejsce powołano cywilne Biuro Bezpieczeństwa Narodowego ulokowane w Kancelarii Prezydenta.

Można chyba powiedzieć, że lata swojej świetności – tzn. realnego znaczenia w życiu państwa – KOK przeżył w okresie 1967-1981, choć oczywiście jako organ koordynujący sprawy obronności był aktywny jeszcze w 1989 r. Niekiedy komunikaty prasowe o posiedzeniach Komitetu miały na celu zastraszenie społeczeństwa i opozycji. Tak można odczytać informacje o posiedzeniach KOK w dniu 20 VIII 1988 r., gdy narastała fala strajkowa, czy 20 V 1989 r. na dwa tygodnie przed kluczowymi dla Polski wyborami parlamentarnymi. W istocie KOK był instytucją wojskowo-rządowo-partijną, ale jeśli wziąć pod uwagę, że większość zasiadających w nim przedstawicieli wojska i rządu należała jednocześnie do najwyższych gremiów PZPR, można uznać, iż był on raczej instrumentem w rękach partii komunistycznej, niż profesjonalną instytucją państwową.

Źródła. Bardzo obszerne archiwum KOK od początku jego istnienia (*de facto* od 1959 r.) przechowywane jest w całości w Centralnym Archiwum Wojskowym w Rembertowie koło Warszawy. Duża część zespołu ma klauzulę tajności.

Literatura. Literatura na temat KOK jest mniej niż skromna. Podstawowym – a zarazem jedynym – opracowaniem jest obszerna monografia dr. Lecha Kowalskiego *Komitet Obrony Kraju w systemie obronnym PRL w latach 1959-1989. Studium historyczno-wojskowe*, Warszawa: Wojskowy Instytut Historyczny, 1995, 639 s. Praca istnieje tylko w wersji powielanej i nie była nigdy opublikowana. Dla okresu wcześniejszego wiele elementów dotyczących roli partii komunistycznej w wojsku i polityce obronnej znajduje się w pracy Jerzego Poksińskiego *Kierownictwo PPR i PZPR wobec wojska, 1944-1956*, Warszawa: Instytut Studiów Politycznych 2003, 379 s. Jednak większość tej publikacji, którą po śmierci autora do druku przygotowali Aleksander Kochański i Krzysztof Persak, stanowią dokumenty.

Andrzej PACZKOWSKI

Patryk PLESKOT

MOLIER W DEFENSYWIE. REGRES ZNAJOMOŚCI JĘZYKA FRANCUSKIEGO W POLSCE LUDOWEJ*

Historia Polski Ludowej, mimo wszystkich różnic kulturowo-cywilizacyjnych w porównaniu ze światem cywilizacji zachodnioeuropejskiej, była świadkiem pewnej liczby ogólnokulturowych procesów, które w różnym natężeniu występowały po obu stronach żelaznej kurtyny. Jednym z tych zjawisk był stopniowy zanik znajomości języka francuskiego w społeczeństwie polskim, zarówno w jego ogóle, jak i – w mniejszym stopniu – wewnątrz elit intelektualnych¹. Poniżej skupię się na tej ostat-

* Artykuł powstał w ramach przygotowywania doktoratu poświęconego kontaktom polskiej i francuskiej humanistyki (ze szczególnym uwzględnieniem nauk historycznych) w latach 1956-1989.

1. Polsko-francuskie kontakty kulturalne i naukowe w okresie Polski Ludowej są przedmiotem pewnej liczby wartościowych monografii i artykułów. Kwestie językowe są w nich jednak traktowane raczej marginalnie. Do najważniejszych pozycji należą prace Dariusza Jarosza i Marii Pasztor: D. Jarosz, M. Pasztor, *Robineau, Bassaler i inni. Z dziejów stosunków polsko-francuskich w latach 1948-1953*, Toruń 2001; M. Pasztor, *Miedzy Paryżem, Warszawą i Moskwą. Stosunki polsko-francuskie w latach 1954-1969*, Toruń 2003; D. Jarosz, M. Pasztor, *Polska-Francja 1970-1980. Relacje wyjątkowe?*, Warszawa 2006. Wśród licznych artykułów dwójki badaczy warto zwrócić uwagę na: D. Jarosz, M. Pasztor, *Kolonie letnie dla dzieci Polonii francuskiej w latach 1949-1955 (organizacja, przebieg, skut-*

niej, węższej grupie, ograniczając ją dodatkowo do grona naukowców. Analiza została przeprowadzona w oparciu o archiwalia różnorodnych instytucji: przede wszystkim polskiego i francuskiego MSZ, ministerstw szkolnictwa i edukacji obu krajów, Polskiej Akademii Nauk, Wydziału Nauki i Oświaty KC PZPR, paryskiej École des Hautes Études en Sciences Sociales.

Wydaje się, że przyczyn analizowanego fenomenu należy szukać nie tylko w uwarunkowaniach geopolitycznych i ideologicznych, ale również w powszechnej ewolucji europejskiego kręgu kulturowego. Oczywiście tych pierwszych nie powinna jednak budzić wątpliwości, i to na nich chciałbym się skoncentrować w niewielkich ramach artykułu. Kataklizm II wojny światowej uderzył w polską inteligencję, wychowaną w większości na kulturze francuskiej. Równie ważnym i oczywistym czynnikiem była strategia powojennych władz komunistycznych, które widziały w wykorzenianiu wpływów zachodnich drogę do całkowitego przejęcia władzy.

Pierwsze powojenne lata nie zapowiadały jeszcze w pełni tej strategii. Po wizycie delegacji francuskich uczonych na przełomie września i października 1945 r. rząd polski pozytywnie odniósł się do propozycji przystania do Polski profesorów i nauczycieli języka francuskiego do szkół wyższych, gimnazjów oraz niektórych szkół podstawowych. Według zapewnień wiceministra spraw zagranicznych Zygmunta Modzelewskiego język francuski miał, podobnie jak przed wojną, pozostać językiem obowiązkowym w szkolnictwie. Władze obiecały też nie tamować przepły-

ki), w: *Polska w Europie i świecie w XX stuleciu*, Białystok 2001, s. 419-435; idem, *Polsko-francuska «zimna wojna»: sprawa Robineau (1949-1950)*, „Dzieje Najnowsze” 2001, nr 3; *Stosunki polsko-francuskie w apogeum zimnej wojny (1948-1953)*, w: M. Wojciechowski (red.), *Polska w podzielonym świecie po II wojnie światowej do 1989 r.*, Toruń 2002; *Wizyta Edwarda Gierka we Francji w październiku 1972 roku*, „Zeszyty Historyczne” 2005, z. 153, s. 79-130. Z innych publikacji można wybiórczo wymienić następujące pozycje (pomijając liczne artykuły): M. Kula, *Niespodziewani przyjaciele czyli rzecz o zurykłej, ludzkiej solidarności*, przedm. J. Le Goff, Warszawa 1995; J. Le Goff, *Un témoin français des relations franco-polonaises entre 1960 et 1990*, w: B. Michel, J. Łaptos (dir.), *Les relations entre la France et la Pologne au XX siècle*, Kraków 2002; *Francja-Polska XVIII-XIX w.: Studia z dziejów kultury i polityki poświęcone profesorowi Andrzejowi Zahorskiemu w sześćdziesiątą rocznicę urodzin*, Warszawa 1983.

wu nauczycieli języka francuskiego działających poza szkołami i uczelniami². W rzeczywistości żadna z tych obietnic nie została spełniona. Wręcz przeciwnie – w latach 1948-1953 uwidoczniła się wyraźnie tendencja do ograniczania nauki zachodnich języków obcych w szkolnictwie polskim na rzecz języka rosyjskiego. W roku szkolnym 1948-1949 nauka języków prowadzona była tylko w 65% szkół podstawowych, które objęto tym typem nauczania (11 548 szkół). Rosyjskiego faktycznie uczono w 40% szkół, angielskiego – w 15%, francuskiego w 35%, a niemieckiego – w 10%. Francuski znalazł się więc na drugim miejscu. Jednakże już rok później rosyjski objął 60% szkół podstawowych, z kolei w 1953 r. obowiązywała zasada powszechności języka rosyjskiego od klasy V. Języków zachodnich uczono tylko w wyznaczonych szkołach. W przypadku szkół średnich obowiązkowy był rosyjski i jeden zachodni (nadobowiązkowo – drugi)³. Stalinizm zniszczył więc w dużym stopniu nauczanie szkolne języków obcych w Polsce. Już w 1948 r. konsul francuski w Szczecinie Jacques Leguèbe nie miał wątpliwości co do znacznego ograniczenia obecności mowy Moliera w podległym mu regionie. Zauważał dystansowanie języka francuskiego przez rosyjski i angielski – powstające z inicjatywy studentów koła angielskie wypierały francuskie, których tworzenie leżało w gestii konsulatu⁴.

Podobne spustoszenie stalinizm uczynił na poziomie uniwersyteckim. Na konferencji neofilologów z 1950 r. narzekano na fatalny stan neofilologii polskiej w dziedzinie języków zachodnioeuropejskich. Jan Jakubiec stwierdził wprost: „filologia zachodnio-europejska leży na obie łopatki [...]. Brak katedr, brak profesorów [...] Niema [*sic!*] mowy o pokierowaniu pracą dydak-

2. D. Jarosz, M. Pasztor, *Robineau, Bassaler...*, s. 54, 55.

3. *Ibidem*, s. 224.

4. Lettre de Jacques Leguèbe, Consul de France à Szczecin, à Son Excellence Monsieur le Ministre des Affaires Etrangères (Direction Générale des Relations Culturelles) à l'attention de Monsieur Joxe, du 12 avril 1948; Ministère des Affaires Etrangères [MAE], Direction Générale des relations culturelles, scientifiques et techniques [DGRGST], 1948-1953, syg. 131. Ważnym kierunkiem działania Direction była Europa Wschodnia, w tym Polska. Obszarem tym zajmowała się bezpośrednio Podydykcja ds. Europy Wschodniej (Sous-Direction d'Europe Orientale) – jeden z wydziałów DGRGST.

tyczną i badawczą”. Prof. Ciesielska-Borkowska próbowała argumentować, że „dla języka francuskiego zaczęto wydawanie podręczników od klas najniższych”, niemniej pozostali rozmówcy narzekali na ich brak⁵. Istniejące książki nie nadawały się do użytku: w lecie 1951 r. na biurko cenzora Marii Węgrzyn trafił skrypt do nauki języka francuskiego autorstwa N. Mrozika, przeznaczony dla studentów prawa. Większość zgromadzonego w nim materiału stanowiły... tłumaczenia prac Stalina, głównie z *Zagadnień leninizmu*. Poza tym autor umieścił kilka dokumentów prawnych francuskich i własne teksty, do których nieco zastrzeżeń miał cenzor, żądając „większej krytyki” w omawianiu „zagadnień społeczno-prawnych”⁶.

Sytuacja języka francuskiego wydawała się szczególnie zła: Jacques Leguèbe obliczał, że na cztery osoby uczące się angielskiego przypadał jeden adept francuskiego⁷. Zmniejszenie wpływu Francji w Polsce stwierdził również P. Laroque, pracownik francuskiego Ministerstwa Pracy, podczas swego pobytu w Polsce w październiku 1948 r. Laroque, laik w tej dziedzinie, dostrzegł jednak, że językiem francuskim posługiwało się głównie starsze pokolenie. Stwierdził również brak obecności francuskiej książki naukowej oraz wzrost znaczenia wpływów anglosaskich⁸.

Strategię stalinowskich władz dostrzegali uczeni i politycy francuscy. Ambasador Etienne Dennery w styczniu 1951 r. stwierdzał, że nauka języka francuskiego w Polsce znajdowała się

5. Konferencja okręgowa neofilologów w Krakowie w dniu 12 XII 1950 (protokół zebrania); Polska Akademia Nauk [PAN], I Kongres Nauki Polskiej [I KNP], 1950-1951, sygn. 142, k. 46-48. Wewnątrz Akademii sprawami kontaktów z zagranicą zajmowało się Biuro Współpracy (Kulturalnej) z Zagranicą, a także kierownictwa poszczególnych Wydziałów i Instytutów PAN. Dość szeroką autonomię mieli także sami uczeni, często na własną rękę podejmujący kontakty.

6. M. Węgrzyn, Recenzja skryptu do jęz. francuskiego N. Mrozika z 7 VIII 1951 r.; Archiwum Akt Nowych [AAN], Główny Urząd Kontroli (Prasy) Publikacji i Widowisk [GUK(P)PiW], 1951, sygn. 1102/381 (31/89), k. 115. GUK(P)PiW miał prawo wstrzymywać napływ francuskich publikacji do Polski.

7. Lettre de Jacques Leguèbe, Consul de France à Szczecin, à Son Excellence Monsieur le Ministre des Affaires Etrangères, *op.cit.*

8. Rapport de M. P. Laroque, Directeur Général de la Sécurité Sociale au Ministère du Travail, au retour de son voyage en Pologne, du 28 octobre 1948; MAE, DGRCSST, 1948-1953, sygn. 133.

w „poważnym odwróceniu”, co wynikało głównie z narzucanych programów szkolnych, ograniczających naukę języków zachodnich. Dodawał, że podobny kryzys dotknął też naukę angielskiego i niemieckiego⁹, choć w innym miejscu podkreślał, że w przeciwieństwie do Instytutu Francuskiego British Council, jako jedyna tego typu placówka w Europie Wschodniej, wciąż funkcjonowała¹⁰. Konsul w Krakowie Victor Revelli uzupełniał ten obraz, informując Generalną Dyрекcję ds. Stosunków Kulturalnych MAE, że nauczyciele francuskiego w Polsce nie mogli sprowadzać potrzebnych podręczników, których na uczelniach, przynajmniej krakowskich, zupełnie brakowało. Studenci uczyli się z notatek i, zdaniem konsula, nie robili postępów¹¹.

Obok czynników ideologicznych swoją rolę odegrała też, na najbardziej ogólnej płaszczyźnie, trudna do zdefiniowania ewolucja cywilizacyjna Europy i jej kręgu kulturowego. Francja traciła na znaczeniu i prestiżu na rzecz obszaru anglosaskiego. To język angielski wygrywał teraz walkę o miano współczesnej łaciny. To zjawisko również było dostrzegalne przez stronę francuską. Konsul Francji w Szczecinie Jacques Leguèbe w 1948 r., podobnie jak jego kolega z Krakowa, stwierdzał, że nauka języka francuskiego na terenach podległych konsulatowi przeżywała regres, zaś jego miejsce zajmował angielski¹². Tendencja ta wywoływała pewną frustrację niektórych środowisk francuskich. Tak chyba należy interpretować notatkę Instytutu Francuskiego dla MAE z maja 1947 r., w której zaznaczono, że „pomimo deklaracji czynionych przez rządowe władze polskie, angielski jest oficjalnie faworyzowany w nauczaniu i administracyjnej działalności państwa”. Jako kontrakcję sugerowano nawet uzależnienie

9. Lettre d'Etienne Dennery, Ambassadeur de France en Pologne, à Monsieur le Ministre des Affaires Etrangères (Direction Générale des Relations Culturelles. Enseignement et Oeuvres), du 23 janvier 1951; MAE, Sous-Direction d'Europe Orientale, 1949-1955, syg. 200, k. 179-205.

10. Etienne Dennery, Télégramme en clair par courrier, Varsovie, le 4 décembre 1951; MAE, Sous-Direction d'Europe Orientale, 1949-1955, syg. 200, k. 280-282.

11. Lettre de Victor Revelli, Consul de France en Cracovie à la Direction des Relations Culturelles du 27 septembre 1951; MAE, Sous-Direction d'Europe Orientale, 1949-1955, syg. 200, k. 268.

12. D. Jarosz, M. Pasztor, *Robineau, Bassaler...*, s. 104-105.

ratyfikacji konwencji kulturalnej z lutego 1947 r. od wyjaśnienia tych zarzutów. Podkreślono, że Francja ma sporo atutów w ręku do umocnienia swoich wpływów intelektualnych w Polsce (ratyfikacja konwencji kulturalnej, szkolnictwo polskie we Francji, Biblioteka Polska w Paryżu itp.)¹³.

W miarę upływu kolejnych dekad postępował proces regresu znajomości języka francuskiego w Polsce. Świątynią źródła do analizy tego zjawiska są materiały nadsyłane do Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego przez polskie uczelnie w związku z zorganizowaną w grudniu 1961 r. przez resort akcją badania znajomości języków obcych na uczelniach. Miernikiem tej znajomości były specjalne „klasówki”, organizowane przez poszczególne szkoły wyższe. Wyniki tego sprawdzianu w zdecydowanej większości przypadków były fatalne. I tak 55% studentów UAM, którzy zadeklarowali znajomość języka, otrzymało ocenę niedostateczną (czyli zdobyło poniżej 30% punktów). Zwracano uwagę na brak znajomości gramatyki, bardzo ubogie słownictwo, nieumiejętność wypowiedzenia nawet prostych zdań. Winą za ten stan obarczano fatalny poziom nauki języków w szkołach średnich¹⁴.

Nieco lepsze rezultaty odnotowano na UMCS, ale sprawdzian przeprowadzono tylko w ramach Studium Języków Obcych. Biorąc pod uwagę, że pisali go przyszli lingwiści, uzyskane wyniki należy ocenić jako bardzo złe. Język rosyjski zdawało 131 osób, ustnie 124. 13% otrzymało ocenę niedostateczną, 50% dostateczną, 30% dobrą i 7% bardzo dobrą. Język niemiecki zdawało 30 osób, z czego nie zaliczyło aż 57%. Do angielskiego podeszło 8 osób, 6 otrzymało ocenę niedostateczną. Jeśli chodzi o francuski, do egzaminu pisemnego podeszło 25

13. Note sur la réorganisation de l'Institut Français de Pologne. Varsovie, le 12 mai 1947; MAE, Sous-Direction d'Europe Orientale, 1944-1949, syg. 60, k. 197-208.

14. Wyniki kolokwium z języka obcego na UAM w Poznaniu [20 XII 1961 r.]; AAN, MSzW [Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego], Departament Studiów Uniwersyteckich i Ekonomicznych, 1961, syg. 317/1967, k. 1-2. Tak jak w przypadku PAN, w Ministerstwie również istniało Biuro Współpracy z Zagranicą [BWzZ]. Podobnie jak w Akademii, możliwości nawiązywania i utrzymywania kontaktów z zagranicą miały poszczególne Departamenty, a także bezpośrednio uczelnie i podległe im wydziały – często zresztą nieformalnie.

osób, a do ustnego – 22. U 50% osób stwierdzono brak znajomości gramatyki francuskiej oraz bardzo ubogie słownictwo – nie dały one sobie rady z prostym tekstem z zakresu klasy X liceum. Około 20% zdających nie uchwyciło nawet podstawowego sensu tłumaczonego na język polski tekstu. Inna część kolokwium przewidywała krótkie ujęcie w języku francuskim przetłumaczonego tekstu i ewentualnie informacje o autorze. Tylko 20% zabrało się do tej części, i to przeważnie z marnym efektem. Z kolei egzamin ustny pokazał, że ok. 1/5 zdających nie znała fonetyki francuskiej, co uwidoczniło się w nieumiejętności poprawnego czytania. Jeden ze studentów miał powiedzieć: „proszę postawić mi ocenę niedostateczną, bo ja nic nie umiem”. 6 osób z 22 radziło sobie lepiej lub gorzej z czytaniem tekstem, ale nie potrafiło samodzielnie wypowiedzieć choćby prostych zdań i nie znało gramatyki. W sumie tylko 6 osób pozytywnie przeszło egzamin¹⁵.

Test z grudnia 1961 r. na UŁ objął szerszą grupę studentów – ponad 1000. 697 zdawało rosyjski, 172 niemiecki, 93 angielski, a tylko 63 francuski. W całości pozytywnie sprawdzian zaliczyło zaledwie 20% studentów. Tłumaczenie obcego tekstu zaliczyło 31% zdających francuski, (37% niemiecki i 18% angielski). Część ustną pomyślnie przeszło kilka procent osób, które wybrały języki zachodnie. W przypadku rosyjskiego była to połowa. U większości studentów stwierdzono „kompletny powrotny analfabetyzm”¹⁶. We Wrocławiu język francuski zdawało 120 osób (powinno 133). Ocenę niedostateczną otrzymało 89 osób, dostateczną – 25, dobrą – 5, bardzo dobrą – 1. Rezultaty komentowano jednoznacznie: „wynik kolokwium wypadł bardzo źle [...]. Większość prac roi się od podstawowych błędów gramatycznych i ortograficznych [...]. Jest wprost zadziwiające, że olbrzymi procent zdających wykazał brak elementarnych wiadomości [...]. W odpowiedziach studentów bardzo jaskrawo występowało zjawisko chaotyczności i bezradności.

15. Wyniki kolokwium z języka obcego na UMCS w Lublinie [20 XII 1961 r.] AAN, MSzW, Departament Studiów Uniwersyteckich i Ekonomicznych, 1961, sygn. 317/1967, k. 3-15.

16. Wyniki kolokwium z języka obcego na Uniwersytecie Łódzkim [10 XII 1961 r.]; AAN, MSzW, Departament Studiów Uniwersyteckich i Ekonomicznych, 1961, sygn. 317/1967, k. 16-18.

Najwięcej trudności sprawiało kandydatom formułowanie nawet najprostszych zdań”. Stwierdzono „wielką dysproporcję” pomiędzy oceną z języka na maturze a wynikiem sprawdzianu. Ponownie więcej osób przystąpiło do testu w języku niemieckim i angielskim, nie mówiąc już o rosyjskim, w przypadku którego znów osiągnięto najlepsze rezultaty¹⁷. Podobnie było na UMK, gdzie zauważono, że „najgorzej przedstawia się znajomość języka francuskiego”¹⁸.

Tylko nieco lepsze wyniki, ale nie odbiegające od ogólnopolskiej normy, osiągnęli studenci dwóch najbardziej renomowanych uniwersytetów: UJ i UW. Na tej pierwszej uczelni, tak jak w całym kraju, najczęściej osób zdawało rosyjski, a po nim angielski i niemiecki. Wśród 177 osób, które wybrało francuski, 38 nie zaliczyło sprawdzianu¹⁹. W Warszawie na ogólną liczbę 1605 zdających nie powiodło się ponad połowie²⁰. Podsumowując rezultaty akcji z grudnia 1961 r. należy nie tylko stwierdzić, że poziom znajomości języków obcych wśród studentów w latach 60. był żenująco niski, ale też i to, że język francuski wcale się nie wyróżniał *in plus*, a wręcz przeciwnie. Ustępował w każdym razie popularnością językowi rosyjskiemu oraz często niemieckiemu i angielskiemu. Przyszłe pokolenia polskiej inteligencji, kształcone w szkołach i na uniwersytetach, na których w wyniku praktyk stalinizmu doszło do fatalnych zaniedbań w nauczaniu języków, wyrastały w dużej mierze bez znajomości mowy Woltera. Implikowało to chociażby osłabienie kontaktów z nauką francuską – np. nie bez przypadku poczynszy od lat 70., kiedy to w cień powoli zaczęły odchodzić pokolenia uformowane przed wojną, kontakty polskich humanistów z francuskim

17. Wyniki kolokwium z języka obcego na Uniwersytecie Wrocławskim im. Bolesława Bieruta [20 XII 1961 r.]; AAN, MSzW, Departament Studiów Uniwersyteckich i Ekonomicznych, 1961, sygn. 317/1967, k. 21-32.

18. Wyniki kolokwium z języka obcego na UMK w Toruniu [14 XII 1961 r.]; AAN, MSzW, Departament Studiów Uniwersyteckich i Ekonomicznych, 1961, sygn. 317/1967, k. 56-64.

19. Wyniki kolokwium z języka obcego na Uniwersytecie Jagiellońskim [22 XII 1961 r.]; AAN, MSzW, Departament Studiów Uniwersyteckich i Ekonomicznych, 1961, sygn. 317/1967, k. 51-52.

20. Wyniki kolokwium z języka obcego na Uniwersytecie Warszawskim [15 XII 1961 r.]; AAN, MSzW, Departament Studiów Uniwersyteckich i Ekonomicznych, 1961, sygn. 317/1967, k. 53-55.

środowiskiem historycznym zgromadzonym wokół periodyku „Annales” poczęły wyraźnie słabnąć.

W kolejnych latach sytuacja nie ulegała poprawie. Co prawda Generalna Dyrekcja ds. Stosunków Kulturalnych MAE zauważała, w latach 1968-1970 nastąpiła pewna poprawa nauczania języka francuskiego w Polsce, to jednak nadal tylko 20% studentów wybierało ten język na studiach. Popularniejszy był rosyjski, angielski i niemiecki. Tendencji tej próbowały przeciwdziałać nowe instytucje: w 1966 r. uzgodniono otwarcie, w ramach polsko-francuskiej umowy kulturalnej, czytelni francuskich w Warszawie i Krakowie. Należy pamiętać również o istnieniu Centrum Cywilizacji Francuskiej przy UW. Dla nauk ścisłych ważny był jeszcze polsko-francuski Ośrodek Dokumentacji Naukowej i Technicznej, otwarty w 1961 r.²¹ Mimo to, jak oceniano w Wydziale Nauki i Oświaty KC, głównym językiem zachodnim, którego uczono w polskich liceach w 1970 r., był angielski. Na drugim miejscu znalazł się niemiecki, a dopiero na trzecim – francuski. W klasach humanistycznych uczono języka obcego w wymiarze 4 godzin tygodniowo przez 4 lata (w matematyczno-fizycznych: 4 godziny w pierwszych dwóch klasach, 3 godziny w ostatnich). W praktyce w dodatku nie zawsze w pełni realizowano te wytyczne²².

W przeciągu całej dekady Gierka proporcje te zostały zachowane. W 1974 r. w Polsce ok. 23% uczniów liceów ogólnokształcących uczyło się języka francuskiego. Istniało 27 liceów z rozszerzonym nauczaniem tego języka. Około 30% studentów uczęszczało na 14 lektoratów języka francuskiego, zaś na sześciu uczelniach prowadzono pełne studia romanistyczne. Poza struk-

21. Direction Générale des Relations Culturelles, Scientifiques et Techniques, Note a/s: Accord culturel et programmes d'échanges culturels et scientifiques franco-polonais du 24 avril 1970; MAE, Sous-Direction d'Europe Orientale, 1966-1970, syg. 27, carton 2486.

22. Notatka w sprawie trudności, które mogą wystąpić w 1970 r. w realizacji planu i budżetu w zakresie oświaty i szkolnictwa wyższego [13 I 1970 r.]; AAN, Wydział Nauki i Oświaty KC PZPR, Dział Nauki, 1969-1970, syg. 237/XVI-605, k. 134-150. System nomenklatury wymagał, by również w strukturach partii istniała komórka zajmująca się współpracą naukową i kulturalną z zagranicą. Był nią właśnie Wydział Nauki i Oświaty. Jego głos był decydujący, choć Wydział nie wypowiadał się – przynajmniej po 1956 r. – na temat każdego pojedynczego kontaktu czy wyjazdu zagranicznego.

turą uniwersytecką funkcjonowało ok. 300 kursów języka francuskiego²³. Jak w 1977 r. przekonywano w ocenie realizacji polsko-francuskich umów kulturalno-naukowych, język francuski znacznie ustępował angielskiemu i niemieckiemu: 41% liceów polskich uczyło tego ostatniego, 36,7% angielskiego, a francuskiego – 21% (w Warszawie zaledwie 14%). Niemniej jednak liczba szkół z wiodącym językiem francuskim wzrosła w okresie 1973-1977 z 27 do 41.

Lata 80. pogłębiły tylko istniejący kryzys. Na podstawie korespondencji między Polakami a Francuzami w okresie stanu wojennego Marcin Kula wyciągnął wniosek o słabej znajomości języków obcych nad Wisłą – „odnosi się wrażenie, jak gdyby szkolne nauczanie języków obcych w PRL, przez które znaliśmy większość polskich korespondentów przecież przeszła, nie służyło po prostu niczemu. Często nawet inteligenci nie potrafili sobie dać rady z językiem [...]. Z angielskim było trochę lepiej”. W celu porozumienia z francuskimi adresatami często było trzeba szukać tłumacza, jednak „konieczność korzystania z pomocy osób trzecich wywoływała sporo trudności”. W sumie „polskim korespondentom często było przykro, że nie znali obcego języka. Zwłaszcza bywali zażenowani tym, iż pisanie po polsku sprawiali kłopot swoim korespondentom”²⁴.

Złą kondycję nauczania języka francuskiego w powojennej Polsce widać również w ewolucji lektoratów tego języka na polskich uczelniach. Pomimo ciągłego wzrostu ich liczby po 1956 r. było ich wciąż za mało, by móc zapewnić studentom odpowiednie podstawy. Początki działalności lektoratów były obiecujące. W roku akademickim 1947-1948 w Polsce działało 13 lektoratów francuskiego na uniwersytetach w Warszawie, Krakowie, Poznaniu, Łodzi, Toruniu, Wrocławiu, Lublinie oraz w Wyższych

23. Departament IV, Notatka w sprawie współpracy kulturalnej i naukowej z Francją z 5 I 1974 r.; Archiwum Ministerstwa Spraw Zagranicznych [MSZ], Departament IV, Wydział Francusko-Iberyjski, 1974, sygn. Zespół 19/49, w. 5, F-54. Wydział Francusko-Iberyjski Departamentu IV MSZ zajmował m.in. polsko-francuskimi kontaktami naukowymi i kulturalnymi. Kwestie te były również przedmiotem zainteresowania Wydziału Romańskiego Departamentu II MSZ. Rządziej problematykę naukową podejmował Wydział Zachodniej i Północnej Europy Departamentu Politycznego resortu.

24. M. Kula, *Niespodziewani przyjaciele...*, s. 83-85.

Szkołach Handlowych w Warszawie, Łodzi, Poznaniu i Sopocie. Średnio prowadzono 4 godziny wykładów w tygodniu (od 2 do 6 godzin). Za każdą godzinę lektorzy otrzymywali 840 zł miesięcznie²⁵. Jednak już w następnym roku funkcjonowało jedynie 7 katedr. Ich pracownicy nie posiadali żadnej formalnej podstawy działania, w związku z czym ich sytuacja była bardzo niepewna²⁶. Na posiedzeniu polsko-francuskiej Komisji Mieszanej strona francuska narzekała na „przykre incydenty” związane z lektorami: np. André Rougon czekał przez 7 miesięcy na swą nominację na lektora w Warszawie, a François Schnell stracił miejsce w Gdańsku, gdzie w wyniku zmiany rektora rozwiązano katedrę²⁷.

W latach stalinowskich liczba lektoratów spadła niemalże do zera. Dopiero w wyniku odwilży poczęto odbudowywać zaniedbaną strukturę, m.in. poprzez zapraszanie wykładowców różnych języków na krótkie wizyty: w 1957 r. na zaproszenie MSzW przyjechało 7 lektorów, w tym 2 języka niemieckiego i francuskiego oraz 4 wykładowców francuskiego na letni kurs lektorów języków obcych²⁸. Kwestie katedr włączono do podjętych na nowo polsko-francuskich rozmów na szczeblu rządowym. W umowie kulturalnej na rok 1960 r. powtórzono stałe formułki obietnic ułatwień w działalności lektoratów, popieranie wymiany językowej itp. Były też ustalenia bardziej konkretne: strona francuska miała przyjąć 30 osób na staże w Międzynarodowym Ośrodku Studiów Pedagogicznych w Sèvres oraz w Ośrodku Audiowizualnym w Saint-Cloud. Obiecała ponadto zaprosić nie-

25. Józef Barbag, Notatka dla Ob. Dyrektora Jackowskiego – Departament Prasy i Informacji, Ministerstwo Spraw Zagranicznych z 29 X 1947 r.; AAN, Ministerstwo Oświaty, Gabinet Ministra, 1947-1950, syg. 283/484, k. 35. Ministerstwo Oświaty często łączono w jedną instytucję z MSzW.

26. Protokół posiedzeń Mieszanej Komisji Kulturalnej Polsko-Francuskiej, powołanej dla realizacji Konwencji o Współpracy Intelktualnej, odbytych w Warszawie w dniach 9, 10 i 11 XII 1948 r.; AAN, Ministerstwo Oświaty, Gabinet Ministra, 1946-1949, syg. 283/847, k. 20-43.

27. Pierre Moisy, Sprawozdanie przedstawione Mieszanej Komisji Polsko-Francuskiej (9-11 XII 1948 r.); AAN, Ministerstwo Oświaty, Gabinet Ministra, 1946-1949, syg. 283/847, k. 50-51.

28. Informacja w sprawie współpracy z zagranicą w dziedzinie szkolnictwa wyższego w 1957 roku [1958 r.]; AAN, MSzW, Gabinet Ministra, 1958, syg. 317/479, k. 1-67 (załączniki).

określoną liczbę nauczycieli języka francuskiego na kursy. Do Polski z kolei miało przybyć czterech romanistów na kurs wakacyjny oraz pięciu wychowawców na obozy wakacyjne w ramach wymiany organizowanej pod egidą krajowych Komitetów UNESCO obu stron. Postanowiono poza tym powrócić do założeń pierwszej powojennej umowy kulturalnej polsko-francuskiej z 1947 r. i rozwinąć pomysł nauki języka przez radio²⁹.

W umowie kulturalnej na rok 1961 r. wyrażono zadowolenie z otwarcia Katedry Języka i Literatury Polskiej przy Sorbonie. Jednakże w Polsce działało zaledwie pięć katedr języka francuskiego: przy uniwersytetach w Warszawie, Krakowie, Łodzi, Poznaniu (lektorzy) i Wrocławiu (profesor)³⁰. Rok później pojawił się lektorat przy Politechnice Warszawskiej. W sumie jednak nowe placówki nie powstawały – chociaż Francuzi wyrażali chęć tworzenia kolejnych ośrodków, strona polska niezbyt chętnie na to reagowała. Tłumacząc się w pewien sposób z takiego nastawienia, MSzW zwróciło uwagę na niski poziom delegacji francuskiej przybyłej w lipcu 1962 r. na kurs wakacyjny dla slawistów: „w porównaniu z ekipami innych nacji [...] ekipa francuska była naj słabsza i to zarówno od strony kwalifikacji wykładowców jak i pomocy naukowych i materiałów propagandowych [...]. Ekipa francuska nie otrzymała od swoich władz żadnych wytycznych i instrukcji dot. prowadzenia zajęć praktycznych i wykładów, nie miała opracowanego całościowego programu”. MSzW podkreśliło przy tym brak informacji o możliwościach przyjazdu do Polski studentów francuskich: osoby przybyłe na kurs wakacyjny dowiedziały się o nim przypadkowo i były jedynymi, które się zgłosi-

29. Program współpracy kulturalnej i naukowej między Polską Rzeczpospolitą Ludową a Republiką Francuską na rok 1960; AAN, MSzW, BWzZ, 1960, syg. 317/2718, k. 164-173.

30. Programme d'échanges et de coopération culturels et scientifiques et techniques entre la République Française et la République Populaire de Pologne pour l'année 1961 [1960?]; École des Hautes Études en Sciences Sociales [EHESS], Fonds Louis Velay (1958-1972), Généralités 1955--1968, syg. CPLV 86; zob. też wersję polską: Program wymiany i współpracy kulturalnej, naukowej i technicznej między Polską Rzeczpospolitą Ludową i Republiką Francuską na rok 1961; AAN, MSzW, BWzZ, 1960-1963, syg. 317/2721, k. 122-132. EHESS była jedną z najbliższych Polsce francuskich szkół wyższych. Utrzymywała szczególnie bliskie kontakty z polskimi historykami. Louis Velay był sekretarzem Szkoły w szczytowym okresie jej działalności – w latach 60.

ty³¹. Słabość francuskiej delegacji mogła rzeczywiście wynikać z braku informacji, ale też być może z braku zainteresowania strony francuskiej i nikłą popularnością slawistyki.

Mimo wszystko liczba katedr rosła, zwłaszcza pod koniec lat 60. W 1966 r. wciąż było ich tylko 6³², lecz w 1970 r. – już 10³³. Rok później źródła mówią o 13 lektoratach: m.in. przy uniwersytetach w Warszawie, Krakowie, Poznaniu, Wrocławiu, Łodzi oraz przy politechnikach w Warszawie, Gdańsku, Wrocławiu i Gliwicach. Lektoraty przy politechnikach gdańskiej i wrocławskiej traktowano jako „eksperymentalne”³⁴. Tak więc dopiero wtedy osiągnięto poziom z 1947 r. W roku akademickim 1974-1975 doliczono się 14 katedr³⁵, zaś zgodnie z rządowym programem wymiany na lata 1976-1977 ich liczba miała wzrosnąć do 17 (uniwersytety w Warszawie, Krakowie, Poznaniu, Wrocławiu, Łodzi, UMCS, Uniwersytet Śląski w Katowicach; politechniki w Warszawie, Gdańsku, Wrocławiu, Gliwicach, Szczecinie oraz Akademia Górniczo-Hutnicza w Krakowie)³⁶.

31. Sprawozdanie MSZW z wykonania programu współpracy kulturalnej i naukowej polsko-francuskiej na rok 1962; AAN, MSZW, BWzZ, 1963-1964, syg. 317/2724, k. 198-209.

32. Program wymiany kulturalnej i naukowej między Polską Rzeczpospolitą Ludową i Republiką Francuską na lata 1966-1967 [1966 r.]; Stacja PAN, Materiały luźne, Umowy kulturalne między PRL a Republiką Francuską, 1961-1971. Paryska Stacja PAN była jedną z polskich placówek naukowych w Paryżu. Więcej informacji można znaleźć w: D. Rederowa, B. Jaczewski, W. Rolbiecki, *Polska Stacja Naukowa w Paryżu w latach 1893-1978*, Ossolineum 1982; P. Pleskot, *Naukowa szkoła przetrwania. Paryska Stacja PAN w latach 1978-2004*, Warszawa 2008.

33. Direction Générale des Relations Culturelles, Scientifiques et Techniques, Note a/s : Accord culturel et programmes d'échanges culturels et scientifiques franco-polonais du 24 avril 1970, *op.cit.*

34. Program wymiany kulturalnej i naukowej między Polską Rzeczpospolitą Ludową i Republiką Francuską na lata 1972-1973. Warszawa, 29 XI 1971 r.; Stacja PAN, Materiały luźne, Umowy kulturalne między PRL a Republiką Francuską, 1961-1971.

35. Korespondencja w sprawie zatrudnienia lektorów języka francuskiego w Polsce na rok ak. 1974/75 [1974-1975 r.]; Archiwum MSZ, Departament IV, Wydział Francusko-Iberyjski, 1974, syg. Zespół 19/49, w. 5, F-546.

36. Program wymiany i współpracy kulturalnej, naukowej i technicznej między Polską Rzeczpospolitą Ludową i Republiką Francuską na lata 1976 i 1977. Warszawa, styczeń 1976 r.; Stacja PAN, Współpraca naukowa. Umowy, porozumienia,teczka „Współpraca naukowo-kulturalna polsko-francuska. Współpraca PAN-CNRS”, 1976-1977, 1983-1984.

Na tym tendencja wzrostowa zatrzymała się. Do połowy lat 80. liczba katedr utrzymywała się, z niewielkimi wahaniami, koło 17³⁷. W nową epokę III RP wchodzono bez spektakularnych zmian: na podstawie programu wymiany między Polską a Francją w dziedzinie kultury i nauki na lata 1990-1992, podpisanego w listopadzie 1989 r., na uczelniach polskich miało wykładać 15 lektorów francuskich. 7 uczyło języka w uniwersyteckich instytutach romanistyki (Warszawa, Poznań, Lublin, Łódź, Kraków, Wrocław, Katowice), 4 w Studiach Języków Obcych uniwersytetów i politechnik (Gdańsk, Gliwice, Toruń, Wrocław) oraz po jednym w Wyższej Szkole Pedagogicznej (Kraków), Instytucie Lingwistyki Stosowanej (UW), SGGW oraz Instytucie Filologii Romańskiej KUL³⁸.

Jest niezwykle charakterystyczne, że w 1990 r. w Polsce funkcjonowały zaledwie dwie katedry więcej niż w 1947 r., pomimo znacznego przyrostu ludności. Placówki te z pewnością nie mogły powstrzymać regresu znajomości języka francuskiego.

Warto zastanowić się nad swoistymi „enklawami”, dzięki którym mowa Moliera nie zniknęła całkowicie z PRL-owskiej codzienności. Taką enklawą, w której kultywowano francuskie tradycje, było środowisko przedwojennej inteligencji – w tym uczonych, literatów, artystów. W tym gronie poziom znajomości francuskiego był znakomity i wręcz zaskakiwał kolegów znad Sekwany. Georges Duby podczas swej wizyty w Polsce w 1960 r. spotykał się z polskimi intelektualistami i, jak podkreślał, „prawie wszyscy mówili po francusku”³⁹. Opinię tą zdaje się potwierdzać sprawozdanie z udziału polskiej delegacji na XII Międzynarodowym Kongresie Nauk Historycznych w Wiedniu z 1965 r., w którym stwierdzono: „na podkreślenie zasługuje

37. Zob. np. Program wymiany między Polską Rzeczpospolitą Ludową i Republiką Francuską w dziedzinach kultury, oświaty, nauki i techniki na lata 1984-1985-1986. Paryż, 24-28 X 1983 r.; Stacja PAN, Współpraca naukowa. Umowy, porozumienia, teczka: „Współpraca naukowa polsko-francuska 1984-1986”, 1982-1984.

38. Program wymiany między Polską Rzeczpospolitą Ludową a Republiką Francuską w dziedzinie kultury, edukacji, nauki i techniki na lata 1990-1991-1992 [8-10 XI 1989 r.]; Stacja PAN, Współpraca naukowa. Umowy, porozumienia, teczka: „Materiały do podpisania umowy rządowej o współpracy naukowo-kulturalnej”, 1988-1989.

39. G. Duby, B. Geremek, *Wspólne pasje*, Warszawa 1995, s. 47.

fakt, że polscy uczestnicy Kongresu wypowiadali się (z małymi wyjątkami) swobodnie w językach obcych, co bynajmniej nie było regułą w delegacjach niektórych krajów socjalistycznych⁴⁰. Jakkolwiek nie należy do końca ufać źródłom tego typu, to jednak na ogólniejszej płaszczyźnie pozostaje znamienne, że w oficjalnej korespondencji naukowej lat 40. 50 i 60. dominował język francuski. Począwszy od lat 70. coraz ważniejszą rolę odgrywał już angielski⁴¹.

Mniej optymistycznie, ale nadal dość pozytywnie o znajomości języków przez polskich humanistów wypowiedział się Wydział Nauki i Oświaty KC w uwagach do X Kongresu Historyków Polskich (Lublin 1968): „dla uprawiających historię powszechną szczególne znaczenie posiada znajomość języków obcych. Nie posiadamy w tej sprawie dokładnej orientacji. Wypowiadane opinie są raczej pesymistyczne, choć sytuacja u nas jest często lepsza niż w wielu innych krajach. Problemem jest nie tylko znajomość języków obcych w ogóle, ile stopień tej znajomości [...]. Stosunkowo najlepiej przedstawia się rosyjski, francuski, angielski, niemiecki⁴². Można dopowiedzieć, że stopień tej znajomości uzależniony był przynajmniej częściowo od wieku danego badacza.

Również od wieku i formacji intelektualnej personelu danej instytucji naukowej czy kulturalnej zależały możliwości prowadzenia przez nią kontaktów ze środowiskiem francuskim, opartych na znajomości języka. Jean Charpentier z Wydziału Prawa Uniwersytetu w Grenoble zauważał podczas swego pobytu w Polsce na wiosnę 1967 r., że w środowisku prawniczym istniał spory odsetek doświadczonych profesorów wychowanych w kulturze francuskiej. Zauważał też, że dzięki prof. Kłafkowskiemu, rektorowi UAM po 1956 r., przywrócono wysoki poziom nauczania francuskiego na uczelni. Z kolei podobne zjawisko na

40. Sprawozdanie z udziału delegacji polskiej na XII Międzynarodowy Kongres Nauk Historycznych; AAN, Wydział Nauki i Oświaty KC PZPR, Dział Nauki, 1964-1967, sygn. 237/XVI-387, k. 95-108.

41. By się o tym przekonać, wystarczy przejrzeć np. zbiory MSzW i Wydziału Nauki KC w AAN czy też archiwalia PAN. Nie potrafię jednak ująć tej tendencji w liczbach.

42. Problemy do dyskusji nad stanem i potrzebami historii powszechniej w Polsce [1967]; AAN, Wydział Nauki i Oświaty KC PZPR, Dział Nauki, 1965-1967, sygn. 237/XVI-387, k. 231-239.

SGPiS było skutkiem działalności prof. Zdzisława Libery⁴³. Wyniki sprawdzianu z grudnia 1961 r. podają w wątpliwość skalę osiągnięć rektora Kłafkowskiego.

Nie należy zapominać, że możliwość szybkiej i skutecznej nauki mowy Moliera zapewniał po prostu wyjazd do Francji: czy to o charakterze prywatnym, czy w ramach naukowego lub artystycznego stypendium. Np. dr Maria Strzałkowska z UJ uznała swój wyjazd stypendialny do Francji na przełomie 1959 i 1960 r. za „niezmiernie cenny, zwłaszcza w zakresie postępów językowych: pobyt w Paryżu i obracanie się w środowisku francuskim niewątpliwie wreszcie odbiły się korzystnie na stanie mojej praktycznej znajomości języka”⁴⁴. Przypadek ten uogólniał dziesięć lat później Wydział Nauki KC: „dzięki wydatnej pomocy ZSRR, NRD jak również dzięki korzystnej współpracy z Francją, Anglią i USA staje się możliwe stopniowe wypełnianie lub [luk?] kadrowych w uniwersytetach w zakresie filologii rosyjskiej, niemieckiej, francuskiej i angielskiej”⁴⁵. Nie trzeba dodawać, że była to zbyt optymistyczna ocena.

W przeciągu całego interesującego nas okresu istniała jeszcze jedna droga umożliwiająca ominięcie bariery językowej w polsko-francuskich kontaktach literacko-naukowych – tłumaczenia. Jest jednak oczywiste, że nie dało się tłumaczyć wszystkiego. Ogólnie w rzeczywistości PRL nie udawało się prowadzić działalności przekładowej na zadowalającym poziomie. O ile w przypadku literatury klasycznej sytuacja nie wyglądała najgorzej, tak w bardziej specjalistycznej sferze naukowej było bardzo dużo do zrobienia. Chociaż w niektórych przypadkach osiągnano na

43. Jean Charpientier, Rapport sur la mission en Pologne du 29 mars au 8 avril 1967; Centre des Archives Contemporaines [CAC]-Archives Nationales (Fontainebleau), Ministère de l'Éducation Nationale, Rapports: missions en Pologne, 1967, syg. 1977 1364, art. 13. Francuskie ministerstwo edukacji pełniło nieco inną funkcję od swego polskiego odpowiednika – było w dużej mierze odpowiedzialne za finansowanie kontaktów kulturalno-naukowych z zagranicą.

44. Maria Strzałkowska, Sprawozdanie z wyjazdu naukowego do Francji z 28 II 1961 r.; AAN, MSZW, Departament Studiów Uniwersyteckich, 1957-1962, syg. 317/1803, k. 120-121.

45. Współpraca naukowa Polski z zagranicą. Tezy 5.05.1970; AAN, Wydział Nauki i Oświaty KC PZPR, Dział Nauki, 1968-1970, syg. 237/XVI-545, k. 27-38.

tym polu sukcesy – np. poziom tłumaczeń wydawnictw przygotowanych z okazji jubileuszu 600-lecia UJ oceniano wysoko⁴⁶ – to jednak Polska nie posiadała np. nowoczesnej aparatury tłumaczeniowej, jaka mogłaby obsługiwać konferencje naukowe. Wyjątkiem było historyczne seminarium na temat II wojny światowej z 1967 r., podczas którego, dzięki pomocy finansowej Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych, działał sprzęt do tłumaczenia⁴⁷.

Zdecydowanie gorzej przedstawiała się obecność tłumaczeń polskich książek na rynku francuskim – zarówno literackich, jak i naukowych. Georges Duby skarżył się np., że część dzieł wybitnego badacza Witolda Kuli nie została przetłumaczona na francuski⁴⁸. Z kolei Michał Szczaniecki w swym sprawozdaniu z podróży naukowej do Paryża i Brukseli z marca 1956 r. zwrócił uwagę na barierę językową w wymianie wydawniczej polsko-francuskiej – „wiele podstawowych dzieł polskich, jak się zdaje, w ogóle do Paryża nie dociera. Świadczy o tym dokonany przeze mnie próbny przegląd katalogu Bibliothèque Nationale. Francuzi bardzo często skarżyli mi się na zupełną nieprzydatność prac polskich niezawierających streszczeń w którymś z języków zachodnich. Redaktor jednego z czasopism naukowych pokazywał mi serię książek otrzymanych z Polski, które chętnie przekazałby do recenzji, ale nie wie nawet do kogo je skierować, skoro sam tytuł jest dlań niezrozumiały”⁴⁹.



Władze komunistyczne szybko zdały sobie sprawę z negatywnych skutków regresu znajomości języków obcych przez

46. Sprawozdanie Przewodniczącego Komitetu Jubileuszowego z realizacji Jubileuszu 600-lecia Uniwersytetu Jagiellońskiego; AAN, MSzW, BWzZ, 1964, syg. 317/2753, k. 1-42; zob. Materiały promocyjne Jubileuszu 600-lecia Uniwersytetu Jagiellońskiego [1963 r.]; AAN, MSzW, Gabinet Ministra, 1963-1964, syg. 317/443, k. 1-210.

47. Czesław Madajczyk, Notatka o kolokwium na temat genezy II wojny światowej w Instytucie Historii PAN z 9 VIII 1967 r. AAN, Wydział Nauki i Oświaty KC PZPR, Dział Nauki, 1967, syg. 237/XVI-518, k. 18-19.

48. G. Duby, B. Geremek, *op.cit.*, s. 64.

49. Michał Szczaniecki, Sprawozdanie z podróży naukowej do Paryża i Brukseli w dniach 15-29 III 1956 r.; AAN, MSzW, Gabinet Ministra, 1956, syg. 317/477.

Polaków. W zmienionym klimacie politycznym odwilży poczęto podejmować daremne przeważnie próby odwrócenia negatywnego trendu. W notatce z marca 1957 r. MSzW, obok obietnic pomocy dla polonistów z zagranicy, obiecało również „podnoszenie poziomu naukowego naszych katedr języków obcych i udzielanie poparcia dla wyjazdów wykładowców języków obcych do krajów macierzystych dla danego języka”⁵⁰. Czy obietnice przełożyły się na konkretne działania? Faktem pozostaje, że sprawa kontaktów językowych stanowiła treść większości wytycznych MSzW w sprawie wymiany z Francją w 1957 r.⁵¹ – odgrywała więc ważną rolę. Jedną z inicjatywy resortu i UW było rozwijanie wakacyjnych kursów dla slawistów z zagranicy, których rozkwit nastąpił w latach 60.⁵²

Kursom dla polonistów towarzyszyła akcja organizowania obozów językowych dla polskich studentów i absolwentów. W ich ramach zdecydowanie faworyzowano jednak język rosyjski. Teoretycznie każdy student filologii rosyjskiej miał możliwość wyjechania na praktykę. Według słów Wydziału Nauki KC, „nieco mniejsze możliwości mają studenci filologii germańskiej [...]. Trudniejsza była sytuacja z praktykami z języka francuskiego; najbardziej jednak odczuwa się brak praktyk z języka angielskiego”⁵³. Czynniki ideologiczne skutecznie blokowały wysiłki ku poprawie sytuacji językowej w kraju. Nieco rozsądniejszą politykę stosowano w przypadku kursów językowych dla polskich nauczycieli francuskiego. Ich wyjazdy finansowała jednak strona przyjmująca – stąd zapewne brały się inne proporcje. W 1958 r. na kursy wyjechało w sumie 61 osób, z czego 23 uczyło francuskiego, 23 rosyjskiego, 8 niemieckiego, 6 angielskiego, a 1 –

50. Notatka w sprawie głównych kierunków współpracy z zagranicą w zakresie nauki i szkolnictwa wyższego w 1957 r. [21 III 1957 r.]; AAN, MSzW, Gabinet Ministra, 1956-1957, sygn. 317/526, k. 247-252.

51. Notatka ze spotkania Kierownictwa [MSzW] w dniu 27 IX 57 r.; AAN, MSzW, Gabinet Ministra, 1956-1957, sygn. 317/526, k. 287-289.

52. Zob. Informacja w sprawie współpracy z zagranicą w dziedzinie szkolnictwa wyższego w 1957 roku, op.cit., k. 1-67; Pismo Podsekretarza Stanu Wł. Michajłowa do Szefa Urzędu Rady Ministrów J. Wiczorka z marca 1968 r.; AAN, Wydział Nauki i Oświaty KC PZPR, Dział Nauki, 1968-1970, sygn. 237/XVI-624, k. 20-21.

53. Sprawozdanie z wymiany zagranicznych praktyk studenckich za rok 1967 [luty 1968 r.]; 1 AAN, Wydział Nauki i Oświaty KC PZPR, Dział Nauki, 1968, sygn. 237/XVI-604, k. 144-152.

rumuńskiego⁵⁴. Pięć lat później planowano wysłać do Francji na kursy wakacyjne 25 nauczycieli, do Wielkiej Brytanii – 30, a ZSRR – 35⁵⁵.

Fatalne wyniki testu z języków obcych, przeprowadzonego na wyższych uczelniach polskich w grudniu 1961 r., sprawiły być może, że w marcu 1963 r. pojawił się w MSzW projekt reformy akademickiego nauczania języków. Zaproponowało zwiększenie wymiaru godzin indywidualnego kursu z 90 do 180 godzin, podzielonego na trzy etapy. Stwierdzono, że zajęcia powinny odbywać się częściej niż raz w tygodniu. Planowano ponadto unowocześnić sposób nauczania: grupy miały liczyć 10-12 osób, stawiano na praktyczną, a nie teoretyczną wiedzę (w początkowej fazie nauki można się było obyć bez podręcznika), kładziono nacisk na ćwiczenia ustne, tzw. *oral drill*, a nie na reguły gramatyczne. Zalecano ekonomicznie gospodarować czasem zajęć, wprowadzić częste krótkie testy ustne oraz dążyć do jak najradszego używania języka polskiego. Podkreślano wagę pomocy naukowej, np. magnetofonów⁵⁶. Program był nowoczesny, ale nie został wprowadzony w życie.

W tym samym duchu na początku lat 60. planowano utworzyć Ośrodek Nauczania Języków Obcych. Pomoc obiecało UNESCO, przeznaczając 20 000 dolarów dla Ośrodka oraz przysyłając swojego eksperta i materiały pomocnicze (magnetofony, mikrofony itp.). Organizacja obiecała ufundować wyjazd 9 wykładowców Ośrodka do Francji, Anglii i Szwajcarii⁵⁷. Te i podobne inicjatywy tonęły jednak w morzu biurokracji i ideologicznych oporów. Strona francuska dostrzegała brak woli pol-

54. Gabinet Ministra SzW, Notatka ze spotkania Kierownictwa, odbytego w dn. 26 II 59 r.; AAN, MSzW, BWzZ, 1958-1959, sygn. 317/2716, k. 138-159.

55. Halina Zalewska, Notatka dla Obywatela Ministra w sprawie podziału limitów dewizowych dla Dep. Studiów na rok 1963 oraz proponowanych oszczędności złotych na rok 1963 [30 I 1963 r.]; AAN, MSzW, BWzZ, 1962-1963, sygn. 317/2712, k. 64-67.

56. Projekt programów języków zachodnioeuropejskich (angielskiego, francuskiego, niemieckiego) na lektoratach uczelni wyższych od początku [marzec 1965 r.]; AAN, MSzW, Departament Studiów Uniwersyteckich i Ekonomicznych, 1963-1965, sygn. 317/1966, k. 33-46.

57. BWzZ MSzW, Notatka informacyjna na temat współpracy Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego z UNESCO; AAN, MSzW, BWzZ, 1963-1964, sygn. 317/2724, k. 31-37.

skich partnerów do rozszerzania nauczania francuskiego. Przyczyn tego nastawienia szukała w stagnacji wymiany gospodarczej pomiędzy dwoma państwami.

Sama jednoznacznie dążyła do powiększania swoich wpływów kulturalno-językowych w Polsce – była to jedna z głównych wytycznych francuskiej polityki kulturalno-naukowej. Departament do Spraw Stosunków Kulturalnych przy MAE, powstały w 1945 r., od początku swego istnienia postawił sobie za cel rozwijanie znajomości francuskiego w Polsce, który to język miał stać się według słów ambasadora Garreau z listopada 1946 r. „instrumentem pracy i kultury, szczególnie kultury naukowej”. Podkreślał, że „instrument” ten nie miał mieć charakteru antyrosyjskiego⁵⁸. Odnowiony w tym czasie Instytut Francuski miał być głównym wykonawcą tej polityki⁵⁹.

W okresie odwilży Francuzi ze zdwojoną energią dążyli do zwiększenia liczby francuskich lektoratów w Polsce. Np. w 1958 r. rząd francuski rozważał wysłanie lektorów do Poznania i Łodzi⁶⁰. Z kolei w latach 70. i 80. pozaszkolna nauka języka francuskiego w znacznej mierze zogniskowała się w działalności Alliance Française. Jej aktywność wzmożła się jeszcze wcześniej, w epoce Gomułki, głównie dzięki staraniom premiera Chaban-Delmasa (który odwiedził Polskę w 1970 r.) i członka zarządu Alliance gen. de Benouville’a. Ambasada Francuska i MAE wykazywały mniej zainteresowania w rozwijaniu polskiej komórki Alliance – jedynej w państwie komunistycznym. Polskie MSZ motywowało to zatargami Quai d’Orsay z Alliance na tle nauczania języka francuskiego na świecie. Mimo to w umowie kulturalnej na lata 1970-1972 po raz pierwszy włączono organizację do udziału we współpracy językowej obu krajów⁶¹.

W okresie rządów Gierka polskie MSZ i francuska ambasada zachowały dystans w stosunku do Alliance, nie oceniając w

58. D. Jarosz, M. Pasztor, *Robineau, Bassaler...*, s. 52.

59. *Ibidem*, s. 56.

60. Program wymiany i współpracy kulturalnej i naukowej polsko-francuskiej między Polską a Francją [1958 r.]; Archiwum MSZ, Departament II, Wydział Romański, 1949-1958, syg. Zespół 8, w. 68 t. 946, k. 72-78.

61. M. Żóławski, Notatka dla Tow. Ministra J. Czyrka z rozmowy z ambasadorem francuskim P. Jordan. Warszawa, 19 I 1973 r.; Archiwum MSZ, Departament IV, Wydział Francusko-Iberyjski, 1976 [*sic!*], syg. Zespół 32/82, w. 51 F-54.

pierwszej połowie lat 70. jej działalności jednoznacznie pozytywnie. Ambasador Jordan skarżył się na brak statutu Polskiego Komitetu Alliance Française (pod przewodnictwem rektora UW Zygmunta Rybickiego). MSZ z kolei zaznaczał, że organizacja przesłała w ciągu ostatnich kilku lat 5000 egz. podręczników do nauki języka francuskiego, ale zaledwie 192 z nich można było określić jako nowoczesne. Ufundowała również 10 sześciotygodniowych stypendiów na kursy językowe, których poziom był jednak niski. Do Francji wyjechało 2 polskich wykładowców, przyjechało zaś 4 Francuzów. Ponadto corocznie grupa laureatów konkursu języka francuskiego wyjeżdżała na 10 dni do Francji. W sumie postulowano reformę Polskiego Komitetu AF oraz maksymalne wykorzystywanie pomocy organizacji bez zwiększania jej wpływów w Polsce⁶². Była to zatem dość cyniczna postawa.

Mimo wysiłków francuskich władz i instytucji, a także chaotycznej w sumie postawy władz polskich, regres znajomości mowy Moliera postępował regularnie i nieustannie. I chociaż pokolenie inteligencji wychowane w tradycji języka francuskiego pozostało aktywne aż do 1989 r. (i dłużej), to jednak – powtórzmy – nie znalazło ono równie licznych następców.



Jakie konsekwencje przyniósł stopniowy regres znajomości języka francuskiego w Polsce? Odpowiedź na to pytanie mogłaby być przedmiotem obszernej pracy naukowej. Tutaj skupimy się tylko na jednym zagadnieniu z płaszczyzny nauki, powołując się na wywody Pierre'a Bourdieu. Zdaniem tego badacza „system szkolnictwa jest jednym z miejsc, gdzie w zróżnicowanych społeczeństwach tworzą się i odtwarzają systemy myślenia”⁶³. Słowa te zyskają na znaczeniu, jeśli przypomnimy sobie gwałtowny odwrót nauki języka francuskiego w PRL-owskich szkołach w porównaniu z okresem przedwojennym. Być może głębokie zmiany w polskim szkolnictwie, którego jednym z najwa-

62. *Ibidem*.

63. P. Bourdieu, *Les conditions sociales de la circulation internationale des idées*, „Actes de la Recherche en Sciences Sociales”, décembre 2002, s. 8.

źniejszych elementów była ewolucja nauczania języków obcych, wpływały w pewien sposób na zmiany w sposobie myślenia społeczeństwa, a przynajmniej jego młodych, kształtowanych dopiero elit. Wątek ten z pewnością zasługuje na dalsze badania.

Patryk PLESKOT

P. Pleskot (ur. w 1980 r. w Otwocku) – absolwent Instytutu Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego i École des Hautes Études en Sciences Sociales w Paryżu, doktor nauk humanistycznych, pracuje na stanowisku specjalisty w Biurze Edukacji Publicznej Instytutu Pamięci Narodowej w Warszawie.

Waldemar GRABOWSKI

BIURO WOJSKOWE SPRAWIEDLIWOŚCI («RADA», «PAŁAC», «HIPOTEKA»)

Pomimo upływu ponad sześćdziesięciu lat od zakończenia II wojny światowej i liczącej już tysiące księzek literatury dotyczącej Polskiego Państwa Podziemnego pewne zagadnienia pozostają nadal nieznane. Jednym z takich mniej znanych obszarów działalności Polski Podziemnej pozostaje Szefostwo Biur Wojskowych Komendy Głównej Związku Walki Zbrojnej – Armii Krajowej (krypt. „Teczka”, „Zeszyt”). Podawane w dotychczasowej literaturze informacje na temat organizacji i obsady personalnej są nader skąpe i nie odzwierciedlają całości prowadzonych przez Administrację Zmilitaryzowaną prac¹. Zgodnie wszyscy autorzy piszą, powtarzając za dokumentami archiwalnymi, iż na szczeblu centralnym, w Warszawie, ustanowione zostały Biura Wojskowe „przy tworzących się departamentach”: Spraw Wewnętrznych, Sprawiedliwości, Pracy i Zdrowia, Skarbu, Przemysłu i Handlu, Rolnictwa, Komunikacji, Telekomunikacji².

1. Dla przykładu wymieńmy: M. Ney-Krwawicz, *Komenda Główna Armii Krajowej*, Warszawa 1990; G. Górski, *Administracja Polski Podziemnej w latach 1939-1945. Studium historyczno-prawne*, Toruń 1995; W. Grabowski, *Delegatura Rządu Rzeczypospolitej Polskiej na Kraj 1940--1945*, Warszawa 1995.

2. Studium Polski Podziemnej w Londynie, t. 3.2.2, Załącznik 3 do meldunku 46.

Prowadzone od kilku lat badania pozwoliły na znaczne poszerzenie naszej wiedzy o organizacji „Teczki”.

Obecnie pora, w oparciu o odnalezione dokumenty³, przedstawić jedno z najmniej znanych biur wojskowych – Biuro Wojskowe Sprawiedliwości. Częściowo uratowane z pożogi wojennej archiwum tego biura zawiera dokumenty od sierpnia 1941 r. Stąd niestety nie możemy precyzyjnie określić daty powstania biura.

Na jego czele stał przedwojenny wiceprokurator Sądu Apelacyjnego w Warszawie ppor. art. rez. Stefan Grzebalski („Bolesław”, „Gniewosz”, „Poręba”). Niestety, pozostałych pracowników na razie znamy tylko z pseudonimów. Jedynie w powojennym śledztwie Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego zdołało ustalić, iż współpracownikiem szefa był wiceprokurator Sądu Okręgowego w Warszawie kpr. pchor. Stefan Dotkiewicz („Szreniawa”)⁴. Obaj wiceprokuratorzy zginęli 29 września 1944 r., w czasie Powstania Warszawskiego na Żoliborzu, co niewątpliwie utrudniło znacznie odtworzenie pełnej działalności biura. Wiemy, iż przynajmniej część zebrań odbywała się w mieszkaniu szefa biura przy pl. Henkla 4 m. 1.

Struktura organizacyjna biura ulegała kilkukrotnym zmianom. W sierpniu 1941 r. istniały, jak wynika z dokumentów, dwie komisje: cywilna i karna. Natomiast w listopadzie 1942 r. praca biura, liczącego 7 osób, była zorganizowana w trzech sekcjach: organizacyjno-administracyjnej, ustawodawczej oraz więziennej. Kierownikiem sekcji organizacyjno-administracyjnej był oficer rezerwy „Szary”, a kierownikiem sekcji ustawodawczej był również oficer rezerwy „Juda”. Niestety, już w grudniu tego roku z powodu, jak pisano w sprawozdaniu: „zmniejszenia do minimum możliwości kontaktu z więźniami politycznymi z powodu przejścia tych więzień przez okupanta”, sekcja więzienna została rozwiązana. Jej pracownicy „Wojciech” i „Antoni” przeszli do pracy w sekcji administracyjnej, gdzie utworzono referat więzienny kierowany przez „Wojciecha”. Natomiast „Antoni” objął

3. Uprzejmie dziękuję Pani Krystynie Grzebalskiej-Domańskiej za udostępnienie dokumentów przechowywanych w archiwum rodzinnym.

4. Instytut Pamięci Narodowej [IPN] IPN 0397/13, t. 1, k. 79, Wykaz członków Delegatury ustalonych przez Wydział VII Departamentu V MBP; IPN BU 0259/504, t. 1, cz. II, k. 33.

kierownictwo referatu statystycznego.

W styczniu 1943 r. personel biura został powiększony o oficera rezerwy „Rychtera”, który został zastępcą szefa. Kolejne zmiany nastąpiły w kwietniu tego roku, kiedy to personel biura wzrósł do 10 osób. Jednym z przybyłych był oficer rezerwy „Stefan”⁵, dotychczasowy kierownik Oddziału Sądowo-Prokuratorskiego w Wydziale Wojskowym w Lublinie. Zagrożony aresztowaniem musiał uciekać z Lublina do Warszawy i został zatrudniony w sekcji organizacyjno-administracyjnej jako referent do spraw Małopolski. Najprawdopodobniej w takim kształcie biuro dotrwało do jesieni 1943 r., kiedy to nastąpiło scalenie większości biur wojskowych „Teczki” z Delegaturą Rządu. Co warto podkreślić, na 10 pracowników biura aż dziewięciu miało wyższe wykształcenie, a ośmiu było oficerami rezerwy. Tylko łączniczka „Ewa” posiadała średnie wykształcenie.

Nie znamy dokładnej daty scalenia BW Sprawiedliwości z Departamentem Sprawiedliwości (krypt. „Waga”, „Zwierciadło”, „520/S”) Delegatury Rządu. Z dokumentacji finansowej wynika, iż znaczny wzrost wydatków personalnych departamentu nastąpił w okresie budżetowym listopad-grudzień 1943 r. Personel „Wagi” na 1 stycznia 1943 r. wynosił 10 osób płatnych, zaś na 1 stycznia 1944 r. – 32 osoby. Główny ciężar prac departamentu spoczywał na Wydziale Ustawodawczym, który zatrudniał 11 pracowników. Ponadto czynne były: Wydział Administracyjny, Wydział Więziennictwa i Wydział Prowincjonalny. Honorowo stale współpracowało na dzień 31 grudnia 1943 15 osób⁶.

5. Być może Stanisław Tomaszunas, przedwojenny sędzia Sądu Okręgowego w Lublinie, w okresie okupacji pracował razem z Stefanem Grzebalskim w sądownictwie jawnym. W Powstaniu Warszawskim wchodził w skład Cywilnego Sądu Specjalnego na Żoliborzu. Stanisław Tomaszunas (ur. 28 III 1893) był por. rez. artylerii z 1919 r. – *Kalendarz informator sądowy na 1939 rok*, Warszawa b.r.w., s. 146; *Rocznik Oficerski Rezerw 1934 (reprint)*, Warszawa-Londyn 2003, s. 136, 864; W. Grabowski, *Państwo polskie wychodzi z podziemi. Cywilne struktury Polskiego Państwa podziemnego w Powstaniu Warszawskim*, Warszawa 2007, s. 128.

6. IPN 00231/157, t. 1, k. 201-216, Sprawozdanie roczne Sekcji Kontroli („Nik”) za 1943 rok, opracowane na podstawie okresowych sprawozdań, dotyczących kontroli Komórek Centralnych Delegatury Rządu. Na temat organizacji i obsady personalnej Departamentu Sprawiedliwości patrz: W. Grabowski, *Polska Tajna Administracja Cywilna 1940-1945*, Warszawa 2003, s. 275-279.

Przynajmniej część pracowników BW Sprawiedliwości została przeniesiona do Delegatury Rządu.

Jednym z zadań biura było śledzenie polityki okupanta w zakresie sądownictwa. Sporządzano miesięczne sprawozdania odnośnie działalności sądów działających na terenie Generalnego Gubernatorstwa. Informowano również o wprowadzanych przez władze okupacyjne nowych przepisach oraz o sytuacji panującej we władzach sądowych. Zgodnie z tymi sprawozdaniami sądy działające w GG wydały tylko w pięciu miesiącach 1941 r. ponad 8500 wyroków.

	Sądy specjalne	Sądy niemieckie	Sądy wojskowe	Sądy policyjne ⁷	razem
Sierpień 1941	424	443	44	9	920
Wrzesień 1941	641	605	35	7	1288
Październik 1941	443	345	36	1	825
Listopad 1941	1970	1455	95	7	3527
Grudzień 1941	998	934	48	3	1983
Razem	4476	3782	258	27	8543

Kolejnym działem pracy biura, dodajmy zupełnie dotychczas nieznanym, było opracowywanie aktów ustawodawczych na okres powstania powszechnego oraz na lata powojenne. Już w listopadzie 1942 r. dokonano opracowywania:

- 1) dekretu o aplikacji sądowej;
- 2) dekretu w przedmiocie zmian przepisów prawa o ustroju sądów powszechnych;
- 3) dekretu w przedmiocie przejęcia władzy nad ziemiami odzyskanymi;
- 4) dekretu w przedmiocie uproszczenia postępowania cywilnego;
- 5) dekretu w przedmiocie przenoszenia sędziów do innych sądów.

Natomiast jak pisano w sprawozdaniu za grudzień 1942 r.: „Z prac organizacyjnych główny nacisk położony został na zorientowaniu się w organizacji sądownictwa niemieckiego na terenie Prus Wschodnich, Ziem Nadodrzańskich i Śląska (teren

7. Dane niepełne, jak zaznaczano praktycznie w każdym z miesięcznych sprawozdań BW Sprawiedliwości.

obejmujący linie Odry od Szczecina do Kostrzyna⁸, a następnie wzdłuż Nissy Łużyckiej do Sudetów). Typowane są sądy, które należy uruchomić w miarę obejmowania tych terenów, oraz przygotowano odpowiedni personel sędziowski i prokuratorski. W rachubę brane są komplety dla wydziałów karnych sądów okręgowych oraz obsada sądów apelacyjnych. W terenie wg otrzymanych wiadomości zorganizowane zostały komplety sądów doraźnych". Ponadto opracowywano projekt dekretu o powołaniu do życia sądów pokoju. W kolejnym miesiącu pracowano nad dezyderatami do układu o zawieszeniu broni oraz nad projektem dekretu o sędziach okręgowych honorowych.

W ramach przygotowań do uruchomienia sądownictwa już 13 grudnia 1942 r. zgłoszono zapotrzebowanie na 2 samochody osobowe dla „Pałacu” oraz 54 samochody osobowe i 47 samochodów ciężarowych dla sądów.

W lutym 1943 roku kontynuowano prace zmierzające do uruchomienia po wojnie polskiego sądownictwa na terenie Prus Wschodnich. Przeprowadzono analizę organizacji sądownictwa niemieckiego na tym terenie oraz rozpoczęto przygotowywanie obsady personalnej polskich sądów i prokuratur. Już w następnym miesiącu opracowano w porozumieniu z Wojskową Administracją Ziem Nowych (krypt. „Wydmy”⁹) „sprawę uruchomienia sądownictwa na terenie Prus Wschodnich. Zdecydowano uruchomienie tylko 4 sądów okręgowych z wydziałami karnymi (Królewiec, Wystruć¹⁰, Olsztynek i Elbląg) oraz utrzymanie na razie organizacji sądów I instancji (amtsgerichte) tak co do ich ilości, jak i właściwości rzeczowej¹¹. Motywy, dla którego należałoby utrzymać

8. Kostrzyn przy ujściu Warty do Odry.

9. Z zachowanego okólnika nr 10/42 z 23 IX 1942 r. wiemy, iż komórka używająca dotąd kryptonimu „Piaski” otrzymała nowy kryptonim – „Wydmy”. Dokument ten wyjaśnia przynajmniej częściowo dotychczasowe rozważania historyków na temat przynależności kryptonimów: „Piaski”, „Wydmy”, „Jeziora”, czy „Bursztyn” do poszczególnych wydziałów wojskowych mających działać na Ziemiach Postulowanych. Zob. W. Grabowski, *Polska Tajna...*, s. 120-122.

10. Niemiecki Instenburg, miasto powiatowe w rejencji Gumbinnen (Gąbin) w Prusach Wschodnich. Po wojnie Czerniachowsk w obwodzie Kaliningradzkim.

11. Na temat sądownictwa niemieckiego patrz: A. Wrzyszczyński, *Okupacyjne sądownictwo niemieckie w Generalnym Gubernatorstwie 1939-1945. Organizacja i funkcjonowanie*, Lublin 2008.

dość liczną sieć sądów I inst[ancji] na terenie Prus Wschodnich, jest skłonność do bójek i dość rozpowszechnione piniactwo wśród miejscowego elementu. W zasadzie sprawa ta jest mniej pilna wobec przewidzianego wprowadzenia na tym terenie postępowania wojennego”¹².

Jednocześnie przygotowano projekt dekretu Prezydenta RP o rozciągnięciu mocy obowiązującej ustawy z dnia 20 stycznia 1920 r. o obywatelstwie Państwa Polskiego na odzyskane ziemie północne i zachodnie Rzeczypospolitej.

Także w lutym 1943 roku w ramach przygotowań do powstania powszechnego prowadzono uzgodnienia z Departamentem Sprawiedliwości Delegatury Rządu w celu zastąpienia „na okres walki” sądownictwa powszechnego sądownictwem polowym¹³.

Ponadto na obszarze państwa polskiego przygotowywano komplety sądów doraźnych.

W marcu 1943 roku przeprowadzono rozmowy z Szefem Wojskowego Korpusu Sądowego¹⁴, podczas których ustalono: „a) Wojsk. Korpus Sądowy nie zgłasza zapotrzebowania personalnego na odtworzenie swoich kadr licząc, że da sobie radę w tym względzie sam; b) odtworzenie sądownictwa wojskowego jest przewidziane w trzecim rzucie mniej więcej po zakończeniu działań wojennych; c) sądownictwo wojenne (polowe) zostanie uruchomione przy formacjach wojskowych, co nastąpić może dopiero po przeprowadzeniu mobilizacji poprzedzonej oczyszczeniem i uspokojeniem terenu; d) do tego czasu wojsko zamierza korzystać z aparatu WSS¹⁵, poddając jego orzecznictwu na mocy projektowanego zarządzenia Naczelnego Wodza również wszystkie przestępstwa, przewidziane w Rozporządzeniu Rady Ministrów z dnia 1 IX 39 r. poz. 554 o wprowadzeniu postępowania doraźnego przed sądami

12. Sprawozdanie „Pałacu” z działalności za m-c marzec 1943 r.

13. Zob. *Armia Krajowa w dokumentach 1939-1945*, t. II: *czerwiec 1941 – kwiecień 1943*, Londyn 1973, s. 440.

14. Na czele Szefostwa Służby Sprawiedliwości KG ZWZ-AK stał płk Konrad Józef Zieliński („Karola”), a jego zastępcami byli kpt./mjr Lucjan Milewski („Baczyński”) i płk Witold Stefan Szulborski („Mora”).

15. Zob. L. Gondek, *Polska karząca 1939-1945. Polski podziemny wymiar sprawiedliwości w okresie okupacji niemieckiej*, Warszawa 1988, s. 49.

powszechnymi w sprawach o niektóre przestępstwa”.

W dziedzinie ustroju sądownictwa opracowano:

1) dekret w przedmiocie zmian niektórych przepisów o ustroju sądów powszechnych w okresie trwania stanu wojennego;

2) dekret w przedmiocie powołania do tych instytucji sądów pokoju;

3) dekret w przedmiocie mianowania na czas przejściowy sędziów honorowych w sądownictwie powszechnym.

Celem tych dekretów – jak pisano wówczas – było zwiększenie liczbowe kadr ludzkich w sądownictwie oraz umożliwienie władzy dysponowanie personelem sędziowskim (uchylenie przepisu o nieusuwalności sędziowskiej).

W dziedzinie prawa karnego opracowano:

1) dekret o niektórych przestępstwach przeciwko Narodowi i Państwu Polskiemu w okresie okupacji;

2) dekret w przedmiocie zmiany rozporządzenia Prezydenta RP o postępowaniu doraźnym.

Natomiast w zakresie prawa cywilnego opracowano 6 projektów dekretów, w tym:

1) o eksmisji rodzin osób powołanych do służby wojskowej;

2) o zawieszeniu postępowania sądowego egzekucyjnego przeciwko członkom osób powołanych do służby wojskowej;

3) o wpisach w księgach publicznych, dokonywanych w czasie wojny;

4) o aktach sporządzanych przez niemieckich urzędników służby sprawiedliwości;

5) o czynnościach notariuszów niemieckich w Polsce.

Wymienione powyżej projekty aktów prawnych stanowią tylko część faktycznego dorobku Biura Wojskowego Sprawiedliwości. W miarę dalszych badań niewątpliwie zostaną odnalezione kolejne dokumenty. Pracownicy biura współpracowali przy tworzeniu aktów prawnych przez inne biura „Teczki”, bądź też je opiniowali. W omawianym zbiorze dokumentów znajduje się między innymi projekt dekretu o Urzędzie Likwidacyjnym Szkód Wojennych. Urząd ten miał podlegać Ministerstwu Skarbu, a do jego zadań miało należeć:

„1) ustalenie strat wojennych, poniesionych przez Państwo i jego mieszkańców,

- 2) przygotowanie rozrachunku tych strat,
- 3) uzyskanie odszkodowania i przeprowadzenie jego rozrachowania,
- 4) zarząd skonfiskowanego mienia niemieckiego i nadzór nad likwidacją tego mienia, które w myśl osobnych przepisów ma służyć na pokrycie strat wojennych oraz celom osiedleńczym,
- 5) inne czynności przekazane Urzędowi osobnymi przepisami”¹⁶.

Biuro opracowało także przepisy dotyczące karania obywateli polskich za przestępstwa popełnione w czasie wojny. W paragrafie 11 stwierdzano:

„Obywatel polski, który: a) urzeczywistniał cele państwa okupacyjnego lub urzeczywistnieniu pomagał, b) oddawał usługi polityczne władzom państw okupacyjnych – podlega karze więzienia, dożywotniego więzienia lub karze śmierci.

Art. 12. Obywatel polski, który publicznie pochwalał działalność władz okupacyjnych lub okazywał im życzliwość albo występował wrogo przeciw Państwu lub Narodowi Polskiemu – podlega karze więzienia do lat 5.

Art. 13. Jeżeli przestępstwo przewidziane w art. 12 popełniono przez redagowanie lub współdziałanie w redagowaniu czasopisma uprawiającego propagandę na rzecz państwa okupacyjnego – sprawa podlega karze więzienia od lat 5 do 10”¹⁷.

Na zakończenie krótkiego przeglądu dorobku BW Sprawiedliwości warto przytoczyć wstęp do projektu dekretu dotyczącego uporządkowania stanu prawnego: „na obszarze Państwa Polskiego w Jego granicach z 1 września 1939 r. uchyla się wszelkie przepisy dotyczące ustroju sądów karnych oraz prawa i postępowania karnego, nie wyłączając karnych administracyjnych i karnych skarbowych, wydane przez okupantów po 1 września 1939 r. i przywraca się moc prawną takich przepisów przez okupantów uchylonych”¹⁸.

Podobnie jak w przypadku obsady personalnej Biura Wojskowego Sprawiedliwości mamy poważne problemy z ustaleniem obsady poszczególnych Oddziałów Sądowo-Prokurator-

16. Dekret o Urzędzie Likwidacji Szkód Wojennych.

17. Dekret o karach za przestępstwa popełnione w czasie wojny.

18. Dekret o uporządkowaniu stanu prawnego w zakresie prawa karnego po najeździe wroga.

skich funkcjonujących na terenie poszczególnych okręgów Armii Krajowej. Na czele tych oddziałów stali: NN („Lange”) – Warszawa, NN („Drabczyński”) ¹⁹ – Kraków, Kazimierz Kozłowski („Rafał”) – Łódź, kpt. rez. audytor dr NN („Sylwester”) – Lwów. Jego zastępcą był również kpt. rez. dr praw „Stefan”, ponadto w oddziale pracowało 2 prawników.

W ekspozyturze Wydziału Wojskowego dla województwa tarnopolskiego kierownikiem działu sądowego był sędzia podoficer/ppor. rez. „Paweł” (lat 48). W powiecie 3 (Tarnopol) referentem sądowym był mgr „Paweł”. W powiecie 8 (Czortków) w referacie sądowym pracowali prawnicy: „Protazy”, „Gerwazy”, „Teodor” i podoficer „Lesław”. W obwodzie III (Złoczów) by trybunał złożony z 4 sędziów i prokuratora – byli to prawnicy: oficer „Piotr” oraz „Józef”, „Adolf”, „Sylwester”. W obwodzie IV (Brzeżany) w Trybunale Sądowym było zaprzysiężonych 3 sędziów i prokurator – wszyscy prawnicy: „Stanisław”, „Stefan”, podoficer „Józef” oraz „Wojciech”.

W ekspozyturze WW dla województwa stanisławowskiego kierownikiem działu sądowego był sierż. rez. mgr praw NN („Korczak II”, „Nałęcz”).

W powiecie „Rawskim” (Okręg Lwów) referentem sądowym był mgr „Tadeusz”.

Waldemar GRABOWSKI

19. Po scaleniu Okręgowej Delegatury Rządu z „Teczka” 30 XI 1943 r. razem z kierownikiem „Drabczyńskim” do Delegatury przeszło 13 sędziów i prokuratorów – G. Ostasz, *Krakowska Okręgowa Delegatura Rządu na Kraj 1941-1945*, Rzeszów 1996, s. 148-149.

DOKUMENTY

Krzysztof JASIEWICZ

RELACJA MARII KORYTOWSKIEJ O KS. FRANCISZKU PAULIŃSKIM, PRZEWODNICZĄCYM KOMISJI DUCHOWIEŃSTWA PRZY DELEGATURZE RZĄDU RP NA KRAJ

Dzieje Polskiego Państwa Podziemnego (PPP), mimo wieloletnich badań licznych historyków, do dziś kryją sporo niewyjaśnionych zdarzeń, tysiące niezidentyfikowanych postaci, pseudonimów, kryptonimów. Z jednej strony, niezależnie od strat osobowych podziemia, jest to wynik naturalnego procesu erozji pamięci uczestników tamtych wydarzeń oraz specyfiki każdej konspiracji, w której wytwarzanie dokumentów ogranicza się do niezbędnego minimum, z drugiej – mamy do czynienia z osobami, unikającymi – nawet na tle ówczesnego życia konspiracyjnego – „konspiracyjnego” rozgłosu. Dodatkowo naszą wiedzę zubożają czynniki losowe, jak choćby – w tym przypadku – spalenie się archiwum Kurii Polowej AK podczas Powstania Warszawskiego, którego zawartość z pewnością mogłaby rozjaśnić wiele nieznanych aspektów konspiracyjnego duszpasterstwa i wojskowego, i cywilnego (świeckiego)¹.

1. Zob. choćby Studium Polski Podziemnej, Londyn [SPP], Komisja Weryfikacyjna I (KW-I) – 6507 – Pączek Walerian, ps. „Giermen”, L.2670/46: – pismo z 28 VII 1949 – także personalia, stopień majora-starszego kapelana z 17 IX 1944, odznaczony Krzyżem Walecznych

Jedną z najciekawszych postaci PPP, o której praktycznie wiemy bardzo niewiele, jest ks. Franciszek Pauliński, pallotyn, przewodniczący Komisji Duchowieństwa przy Delegaturze Rządu RP na Kraj². W literaturze przedmiotu spotykamy o nim wzmianki, w kilku opracowaniach znajdują się jego krótsze bądź dłuższe biogramy, lecz co do losów wojennych są one niekiedy lakoniczne i nie pokazują skali rzeczywistego zaangażowania³.

8 VIII 1944; w konspiracji od stycznia 1940, od 1 VIII 1944 szef duszpasterstwa Grupy Północ; z dokumentacji dowiadujemy się, że ks. Pączek był zaprzysiężony przez ks. Paulińskiego i ks. Jagodzińskiego; zob. też Zaświadczenie, Wentorf, dn. 27 VIII 1946, dotyczy ono przynależności ks. Pączka do konspiracji od 1940 do Powstania; tu warto wreszcie zaapelować, aby różni autorzy nie przekraczali pseudonimu ks. Pączka, który brzmi jak wyżej (a nie „German”), i jest to napisane własnoręcznie.

2. Zob. o zakonie B. Łoziński, *Leksykon zakonów w Polsce*, Warszawa 2002; zob. też M. Daniluk SCJ, *Encyklopedia Instytutów Życia Konsekrowanego i Stowarzyszeń Życia Apostolskiego*, Lublin 2000.

3. Zob. T. Bielski SAC, *Polska Prowincja Stowarzyszenia Apostolskiego tam była*, „Roczniki Pallotyńskie” 1966, t. 7, s. 183-185, 191; J. Dyl SAC, *Ks. Franciszek Pauliński*, w: *Pallotyni w Polsce w latach 1907-1947*, Lublin 2001, s. 443; T. Gliński SAC, *Pauliński Franciszek*, w: „Polski Słownik Biograficzny”, t. 25, Wrocław 1980, s. 349-350; T. Gliński SAC, *Polscy wojskowi kapelani pallotyńscy w okresie drugiej wojny światowej*, w: *Kościół katolicki na ziemiach polskich w czasie II wojny światowej. Materiały i studia*, pod red. F. Stopniaka, Warszawa 1978, z. 2, s. 273; T. Gliński SAC, *Pallotyni*, w: *Życie religijne w Polsce pod okupacją hitlerowską*, pod red. J. Zielińskiego, Warszawa 1982, s. 664; J. Kot SAC, *Pallotyni polscy w walce z okupantem hitlerowskim w okresie II wojny światowej. Kapłani, klerycy i bracia pallotyńscy, którzy zginęli w okresie II wojny światowej*, w: *Kościół katolicki na ziemiach polskich w czasie II wojny światowej. Materiały i studia*, pod red. F. Stopniaka, Warszawa 1985, z. 7, s. 160, 210-211; L. Kubik, *Jeszcze o Kościele w latach okupacji*, „Tygodnik Powszechny” 1970, nr 19; K. Nowak SAC, *Bibliografia prac członków Polskiej Prowincji Stowarzyszenia Apostolstwa Katolickiego (1907-1985)*, Warszawa 1989, t. 1, s. 210; K. Nowak SAC, *Bibliografia prac Pallotynów (1986-1993)*, Ząbki 1997, t. 2, s. 343; Z. Olszanowska-Śkowrońska, *Męczeńskie dzieje archidiecezji warszawskiej 1939-1945. Duchowieństwo świeckie, zakony i zgromadzenia zakonne*, Warszawa 1948; E. Rieg SAC, *Pauliński Franciszek, Defuncti*, Roma 1992, s. 80-81, 144; *Societas Apostolatus Catholici*, Roma 2002, s. 44, 268-269; M. Wolniewicz, *Z wojennych notatek alumna. Wśród pallotynów (wrzesień 1941 – styczeń 1942)*, „Przewodnik Katolicki” 1966, nr 29; J. Wróbel SAC, *Sodales defuncti: Paulinski Franciscus*, „Analecta PSM” 1943, s. 280-281.

Czasami też sytuują one, niekoniecznie precyzyjnie, postać ks. Paulińskiego w nie do końca rozpoznanych strukturach Krajowego Kościoła Konspiracyjnego (KKK)⁴.

Na przeszkodzie lepszemu poznaniu jego działalności okupacyjnej stał też i stoi do dziś brak, do prawie wszystkich wątków funkcjonowania KKK, jakichkolwiek źródeł, w tym również pamiątek, wspomnień itp. W samym zakonie temu zjawisku sprzyjała, powszechna wśród pallotynów w czasach wczesnego Peerelu, niechęć do spisywania czegokolwiek związanego z własną działalnością konspiracyjną podczas II wojny światowej, gdyż mogłoby to – gdyby dostało się w ręce UB – stać się dowodem przeciwko i zakonnikowi, i zakonowi⁵. Stąd też, niezależnie od ubytków spowodowanych działaniami wojennymi, w archiwum zakonu pozostały jedynie strzępy po działalności biografu o. Paulińskiego, ks. Tadeusza Glińskiego SAC, o których można domniemywać, że były konsultowane ustnie z żyjącymi jeszcze świadkami minionych czasów⁶.

Postać Paulińskiego przywołują też bardzo nieliczne wspomnienia byłych działaczy PPP. „Wprowadził mnie do niego były premier Ponikowski – wspomina ważny uczestnik wydarzeń, Stefan Korboński. – Wygląd ascety i typowego gruzlika. Zapadnięte policzki i oczy, z których wyglądała gorączka. Często zastawałem go w łóżku. Tylko praca konspiracyjna trzymała go przy życiu. Żył walką, mając koło siebie do pomocy kilku młodszych księ-

4. Zob. szerzej K. Jasiewicz, *Krajowy Kościół Konspiracyjny (KKK)? Próba zdefiniowania nowego spojrzenia na genezę i kwestię współpracy konspiracyjnych struktur kościelnych z Polskim Państwem Podziemnym w latach 1939-1945*, „Dzieje Najnowsze”, R. XL: 2008, nr 3, s. 29-45. Niezależnie od jawnie działających struktur, instytucji i urzędów kościelnych itp. w latach 1939-1945 pojawiają się, właśnie jako naturalna konsekwencja istnienia PPP, kościelne struktury konspiracyjne, mimo bliskiej, codziennej współpracy ze światem świeckim – autonomiczne, które *de facto* można śmiało nazwać – *per analogia* do PPP – KKK. KKK ma, podobnie jak PPP, swój pion wojskowy (duszpasterstwo wojskowe i jego struktury funkcjonalne) oraz cywilny (świecki), na który składają się Organizacja Kleru (zwana przez nas Legalistami), Komisja Duchowieństwa (Komisja Duchownych), Rada Kapłańska i Konspiracyjne Przedstawicielstwa Episkopatu przy Delegaturze Rządu RP na Kraj i w Radzie Jedności Narodowej – *ibidem*.

5. Rozmowa z ks. Kazimierzem Nowakiem SAC, Warszawa, siedziba Zakonu Pallotynów, październik 2007.

6. Tamże.

ży. Udało mu się zorganizować sieć konspiracyjną wśród duchowieństwa, przez którą przekazywał instrukcje KWC [Kierownictwa Walki Cywilnej]. Sieć ta miała poważne znaczenie, chociaż bowiem księża nie mogli nawoływać wprost z amboiny do oporu przeciw okupantowi, to jednak alegorie i półsłówka, ten czy inny ton lub cytata ze Starego czy Nowego Testamentu, mogły odpowiednio nastawić parafian. A poza tym prywatne kontakty, w których zaufanym można powiedzieć to czy owo. Ogół księży, wpatrzonego już dziś historyczną postać kardynała Sapięhy, zachował się z punktu widzenia Walki Cywilnej bez zarzutu⁷.

W tej sytuacji tym bardziej trudno oczekiwać, że o Paulińskim można dowiedzieć się więcej ze skąpej literatury przedmiotu ocierającej się bądź traktującej o KKK, w której daje się zauważyć tendencja do powtarzania po sobie, przez kolejnych autorów, tych samych, często nie zweryfikowanych informacji; niewiele też wynika z zachowanych dokumentów PPP opisujących postawy duchowieństwa i jego konspiracyjne struktury⁸.

Franciszek Pauliński, urodzony 24 III 1901 w Sulmierzyczach w pow. odolanowskim, jako syn Jacentego i Antoniny z d. Heubsch, ukończył 30 VIII 1920 Collegium Marianum w Wa-

7. S. Korboński, *W imieniu Rzeczypospolitej*, wyd. 2 uzupeł., Londyn 1964, s. 161.

8. Zob. np. J. Humeński, *Duszpasterstwo w walce o niepodległość Polski*, „Wojskowy Przegląd Historyczny”, R. XXVIII, 1983, nr 2-3; S. Podlewski, *Wierni Bogu i Ojczyźnie. Duchowieństwo katolickie w walce o niepodległość Polski w II wojnie światowej*, Warszawa 1982; M. Ney-Krwawicz, *Komenda Główna Armii Krajowej 1939-1945*, Warszawa 1990; Z. Fijałkowski, *Kościół katolicki na ziemiach polskich w latach okupacji hitlerowskiej*, Warszawa 1983; G. Górski, *Ustrój polskiego państwa podziemnego 1939-1944. Studium historyczno-prawne*, Lublin 1995; J. Odziemkowski, *Służba duszpasterska Wojska Polskiego 1914-1945*, Warszawa 1998; *Księga Sapiężyńska*, pod red. ks. J. Wolnego przy współpr. R. Zawadzkiego, t. 2, Kraków 1986; T. Bielski SAC, *Polska Prowincja Stowarzyszenia Apostolskiego tam była*, „Roczniki Pallotyńskie” 1966, t. 7, s. 184; W. Grabowski, *Polska tajna administracja cywilna 1940-1945*, Warszawa 2003.

Zob. też na ten temat wybrane dokumenty np.: Nastroje i stanowisko polityczne duchowieństwa katolickiego w Polsce, grudzień 1942, Archiwum Akt Nowych, Delegatura Rządu, sygn. 202/I-32 lub Radiogram nr 29 z 6 I 1943 r. od Kaliny do Centrali w Londynie, SPP, sygn. 2.8; zob. nieliczne dokumenty dotyczące tematyki wyznaniowo-kościelnej w: *Armia Krajowa w dokumentach*, t. 1-6, Londyn 1970-1989.

dowicach na Kopcu. 21 IX 1920 wstąpił do nowicjatu Księżych Pallotynów w Wadowicach i tamże odbył studia filozoficzne i teologiczne. 8 VIII 1926 otrzymał święcenia kapłańskie w Krakowie. Dalsze studia odbył na Uniwersytecie Warszawskim, po czym był nauczycielem w Collegium Marianum w Wadowicach na Kopcu. Od 1936 pełnił urząd rektora domu i drukarni w Warszawie na Krakowskim Przedmieściu 71. W tym czasie był także radcą prowincjonalnym. W 1938 zastępczo sprawował funkcję naczelnego redaktora „Przeglądu Katolickiego” i „Rodziny Polskiej”, czasopism wydawanych przez pallotynów. Po zniszczeniu domu i drukarni na Krakowskim Przedmieściu wskutek działań wojennych w 1939 obowiązki rektora wykonywał w domu przejętym od Kurii Polowej przy kościele garnizonowym w Warszawie⁹.

Pauliński – jak pisze o nim ks. Gliński – prowadził działalność konspiracyjną i był jednym z księży stojących na czele organizacji podziemnej – Frontu Odrodzenia Polski. Do śmierci pełnił funkcję Przewodniczącego Komisji Duchowieństwa, działającej w pionie organizacyjnym Kierownictwa Walki Cywilnej Delegatury Rządu RP na Kraj, do której, oprócz niego, w tym czasie należeli o. Edmund Elter TJ i ks. Jerzy Sienkiewicz. Zadaniem tej komórki było związanie ogółu duchowieństwa polskiego z antyniemiecką akcją niepodległościową. Prowadził też Pauliński akcję charytatywną dla Polaków i akcji pomocy dla Żydów (ukrywanie, dostarczanie dokumentów, żywności, dewocjonalii). Z kościoła garnizonowego, a potem z kaplicy na Miodowej donoszono komunię więźniom Pawiaka. Pauliński zmarł 23 V 1943 w Płudach k. Warszawy i został pochowany na cmentarzu na warszawskim Bródnie¹⁰.

Nie wchodząc bliżej w informacje pochodzące od ks. Glińskiego, a dotyczące usytuowania Paulińskiego w strukturach PPP – zainteresowanych bliższemu przyjrzeniu się funkcjonowaniu Komisji Duchowieństwa i innych struktur KKK oraz ich związków z PPP, odsyłam do swego artykułu¹¹, warto zwrócić

9. Archiwum Prowincjalne Stowarzyszenia Apostolstwa Katolickiego (OO Pallotyni) w Warszawie, Spuścizna po ks. Tadeuszu Glińskim SAC, sygn. 668.

10. Tamże, Spuścizna po ks. Tadeuszu Glińskim SAC, sygn. 667 i 668.

11. K. Jasiewicz, *ibidem*.

uwagę na – zachowany w (świeckich) archiwach londyńskich – szczególnie dokument, który rzuca sporo światła na relacje między Przewodniczącym Komisji Duchowieństwa a kierownictwem Delegatury Rządu RP na Kraj i Komendą Główną ZWZ-AK.

Ks. Franciszek Pauliński przekazał bowiem, około 8 V 1941, za pośrednictwem bardzo zaufanej osoby, ks. prof. Franciszka Wadowskiego, Polaka urodzonego w Stanach Zjednoczonych, przed wojną i do chwili swego wyjazdu z Polski, tj. do maja 1941 profesora w szkole Ojców Pallotynów w Wadowicach pewne istotne wiadomości skierowane do czynników rządowych w Londynie. Ks. Wadowski dzięki staraniom swego wuja stale mieszkającego w Nowym Jorku, ks. Stanisława Kotarskiego, który wystarał się dla niego wizy amerykańskie i pieniądze, opuścił okupowaną Polskę 8 maja, wyjeżdżając do Berlina, skąd 5 VI 1941 wyleciał samolotem *via* Marsylia-Barcelona do Madrytu, potem pociągami do Vigo, skąd miał odpłynąć statkiem do Ameryki. Z misji jednak się wywiązał, bo dotarł do polskiego wywiadu i złożył relację z rozmowy, którą odbył w Warszawie podczas odwiedzin swego b. przełożonego z Wadowic, ks. Paulińskiego. Przekazał też pilny postulat tego ostatniego, aby ustanowić między nim a czynnikami rządowymi w Londynie inny, niż za pośrednictwem struktur PPP, kanał łączności¹².

Powodem owych animozji i braku zaufania między Komisją Duchowieństwa a Komendą Główną ZWZ-AK i Delegaturą Rządu RP na Kraj, był jak najgorszy o nich pogląd osobisty ks. Paulińskiego, który uważał, iż ZWZ-AK została opanowana przez sanacyjnych oficerów, że dochodzi tam do zamachu stanu, zaś Delegat Rządu i jego zastępca (będący w konflikcie z pozostałymi dyrektorami departamentów Delegatury) nie zasługują na zaufanie. „Między Prezydentem [...] rządu w Warszawie [Delegat Rządu RP na Kraj Cyryl Ratajski] i jego zastępcą [...] [zapewne chodzi o Jana Piekalkiewicza], a pozostałymi członkami [Delegatury] panuje duża rozbieżność zdań i wskutek tego tarcia co do przyszłych granic Państwa Polskiego – czytamy w cytowanym już dokumencie Oddziału II Sztabu Naczelnego Wodza – a mianowicie pierwsi dwaj dążą do pozostawienia Rosji

12. Pismo L.dz. 4744/II Wyw/41 Oddziału II Sztabu Naczelnego Wodza do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych z 1 VII 1941 r., Instytut Polski

ziem okupowanych, a rozszerzenia granic Polski na zachód. Członkowie „rządu” nie idą po tej myśli, a chcą w ogóle zatrzymać granice sprzed wojny, rozszerzając je na zachód. Pod względem współpracy i porozumienia z Czechosłowacją panuje jednolitość zdań. Te same wiadomości potwierdziła ks. Wadowskiemu jedna pani (również nie zna jej nazwiska), również członek rządu w Warszawie [być może Karolina Krassowska, ps. Karol Brona, Józefa, Józefa Wysocka, od grudnia 1940 sekretarka Ratajskiego], której mąż doktor jest obecnie w Lizbonie. Ks. Pauliński i wspomniana wyżej pani prosili o powiadomienie, że grupa wojskowych z dawniejszej sanacji popierana przez w/w «prezydenta» i jego zastępcę dąży do dojścia do władzy w Polsce – czemu sprzeciwiają się inni członkowie «rządu»¹³.

Przedstawiana poniżej nieznana relacja, a ściślej list Marii Korytowskiej z lat 60., wówczas zamieszkałej w Warszawie, o wojennej działalności ks. Franciszka Paulińskiego, została odnaleziona przez ks. dyrektora Kazimierza Nowaka SAC w zbiorach nieuporządkowanych Archiwum Prowincjalnego Stowarzyszenia Apostolstwa Katolickiego w Warszawie, od którego też uzyskałem jego kserokopię i zgodę na publikację. Serdecznie Mu za to dziękuję. Niestety, nie udało się nam ustalić, kim była nadawczyni listu, choć z jego treści bez trudu można wywnioskować, iż obracała się na co dzień w towarzystwie Paulińskiego i zapewne też była w konspiracji. W relacji są wyraźne nieścisłości, typowe zresztą dla wszystkich relacji pisanych z dalszej perspektywy czasowej. Chodzi tu przede wszystkim o usytuowaną o rok-dwa później datę śmierci marszałka Rydza-Śmigłego, „bohaterskiego zwycięzcy 100 bitew I Brygady Legionów”¹⁴, któremu jakoby Pauliński udzielał ostatniego namaszczenia w Warszawie, po jego skrywanym w najgłębszej tajemnicy powrocie do Kraju. Wiemy, że Rydz-Śmigły 30 X 1941 był już w Warszawie, gdzie jakoby nawiązał kontakt ze Stefanem Grottem-Roweckim¹⁵. Korytowska

13. *Ibidem*.

14. A. Ciesielski, *Życie i czyny Naczelnego Wodza i Marszałka Polski Edwarda Śmigłego-Rydza*, Łódź 1939, s. 3.

15. W. J. Wysocki, *Edward Śmigły-Rydz, malarz i poeta*, Warszawa 1997, s. 137. Według T. Szaroty Śmigły spotkał gen. Rowckiego w jednym z jego mieszkań konspiracyjnych, przy ul. Marszałkowskiej 4 m. 2 u p. Marii Bauer, rozmowa trwała pół godziny – zob. T. Szarota,

dorzuca garść szczegółów związanych z ostatnimi latami życia ks. Paulińskiego, w tym raczej nieprawdziwą informację o jakimś spotkaniu (zetknięciu się) tego ostatniego z Rydzem-Śmigłym w nieznanym nam bliżej okolicznościach¹⁶, jak również potwierdza kilka ważnych, a znanych wcześniej faktów.

Zachowano wiernie układ i pisownię dokumentu; w nawiasach kwadratowych wprowadzono dopiski pochodzące od piszącego te słowa.

Krzysztof JASIEWICZ

K. Jasiewicz (ur. w 1952 r. w Gdańsku) – absolwent studiów menadżerskich w Akademii Ekonomicznej w Krakowie, doktorat z nauk ekonomicznych, habilitacja z politologii, tytuł profesorski „belwederski” z nauk humanistycznych. Profesor w Instytucie Studiów Politycznych PAN. Redaktor „Serii Wschodniej”, redaktor *Europy nie-prowincjonalnej*, *Tygla narodów i Świata niepożegnane*. Autor *Listy strat ziemiaństwa polskiego 1939-1956*, *Zagłady Polskich Kresów*, *Pierwsi po diable*. *Elity sowieckie w okupowanej Polsce 1939-1941*. Członek Polskiego PEN-Clubu.

Stefan Rowecki „Grot”, Warszawa 1983, s. 122-123. Zdecydowanie zaprzecza tej informacji nota umieszczona przy wspomnieniach o Śmigłym Jadwigi Maxymowicz-Raczyńskiej (1900-1982) – jednoznaczne negatywne stwierdzenie w tej sprawie złożył szef sztabu Roweckiego, gen. Tadeusz Pełczyński, jednakże do takiego spotkania, według Maxymowicz-Raczyńskiej w jej mieszkaniu miało dojść w grudniu 1941 (gen. Rowecki był kolegą jej nieżyjącego męża i bywał u niej od czasu do czasu prywatnie), ale nie doszło z powodu śmierci marszałka – zob. J. Maxymowicz-Raczyńska, *Śmierć marszałka Rydza-Śmigłego*, „Niepodległość”, Nowy Jork-Londyn, T. XVII, 1984, s. 196, 209 i in. Zob. też A. K. Kunert, *Ostatnie dni Marszałka Śmigłego. Wybór dokumentów*, Warszawa 1992; Z. Wenda, *Z marszałkiem Śmigłym. Wspomnienia*, „Zeszyty Historyczne” 1992, (cz. I) z. 98, s. 167-192 (cz. I); z. 99, s. 159-187 (cz. II); z. 101, s. 143-168 (dok.); B. Rogowski, *Wspomnienia o marszałku*, „Zeszyty Historyczne” 1962, z. 2, s. 7-124; C. Leżeński, *Kwatera 139. Opowieść o marszałku Rydzu-Śmigłym*, Lublin 1989, A. Korczak-Dąbkowski, *Operacja Powrót*, Warszawa 1992.

16. Zob. J. Maxymowicz-Raczyńska, *op.cit.*, s. 196 i in. – Śmigły – według jej relacji – w obawie, że zostanie zdekonspirowany w ogóle nie opuszczał mieszkania, zaś odwiedzało go bardzo nieliczne grono, w którym nie wymienia się Paulińskiego.

Maria KORYTOWSKA

RELACJA

1939 r.

Ostatnie dni września i pierwsze października (przed faktycznym wkroczeniem Niemców do W-wy) ks. Rektor F. Pauliński z małą grupą XX Pal[lotynów] (2 czy 3ch)¹⁷, zorganizował dyskretnie przeniesienia mnóstwa druków z lokalu b. Komisariatu Rządu – przede wszystkim formularze dowodów osobistych itp. – o ile wiem druki te ukryte były w Kościele Garnizonowym (w organach lub ich pobliżu?). Przez cały czas okupacji ratowano przy ich pomocy ludzi zagrożonych (bez różnicy wyznania). Już z końcem października [19]39 r. otrzymałam dla kogoś z przyjaciół taki Dowód Osobisty. Dowód ten¹⁸ chronił właściciela doskonale – aż do momentu wymiany na autentyczną Kenkartę. Dowody te przy czynnym udziale Ks. Rektora „fabrykowano” w pierwszych miesiącach głównie dla Oficerów, którzy nie zdecydowali się na Oflag.

1940 r.

W przeddzień zgłoszenia się do Gestapo (skąd już nie wrócił) ks. B. Marciniak, snując domysły co do przyczyn zainteresowania się Niemców Jego osobą, wymienił fakt, że niedawno w kaplicy na Miodowej odbierał przysięgę od Oficerów, członków zbrojnej organizacji podziemnej. Z tego oświadczenia, w moim pojęciu oczywiście, wynika zaangażowanie X. Rektora w tę sprawę. – Potwierdzałyby to wzmianka ks. Rektora w rozmowie ze mną w parę tygodni później, gdy powiedział, że X. Marciniak w grypsie dał znać, że chodzi o¹⁹ rozpowszechnianie biuletynów radiowych raczej, a że „o zetach” (ZWZ?) Niemcy nie wiedzą.

1941-[19]42 r.

Dużo słyszałam o kontaktach z Komitetem Pomocy Żydom – wiem, że u X. Rektora P[aulińskiego] odbywały się ważne

17. „przy pomocy osób cywilnych” – słowa wykreślone z pierwotnego tekstu.

18. „wraz z właścicielem” – słowa skreślone.

19. „kolportaż” – słowo skreślone w tekście.

zebrania tego Komitetu – brała w nich udział Zofia Kossak. W tym czasie zgłosiłam za pośrednictwem ks. Rektora wnioszek o pomoc materialną dla dwu młodych dziewcząt Żydówek (siostrzenice znanego mi dobrze psychologa mgr. Felhorskiej), które w ogóle nie mogły opuszczać swego pokoiku – sprawa była załatwiona do 2 tygodni i już aż do powstania [warszawskiego], niejaka „p. Ala” dostarczała co miesiąc po 2000 zł (moja pensja wtedy wynosiła 450 zł).

W 1942 r. kiedy na skutek denuncjacji aresztowana została jako Żydówka moja lokatorka „p. Bielska” (żona dr. Emila Breitera) i w związku z tym zachodziła obawa, że Policja Kryminalna przekaze mnie Gestapo, ks. Rektor P[auliński] zatuszował sprawę przy pomocy 10 000 zł (pieniądze te wróciły do ks. Rektora, bo p. Breiterowa uratowała się ostatecznie i zwróciła mi je) – swoje ostatnie fikcyjne papiery na nazwisko Zych, p. Breiter zawdzięczała również ks. Rektorowi (nic o tym oczywiście nie wiedząc).

1943 [r.]

Już z końcem 1942 r. X. Rektor czuł się b. źle ze zdrowiem [,] ale zupełnie się nie szanował, nie wyjeżdżał na odpoczynek tłumacząc to związaniem ze sprawami, których nie mógł nikomu przekazać. Często wyjeżdżał w okolice W-wy. Raz widziałam, że wrócił b. przemoczony, bo zaskoczył Go deszcz w drodze (był to r. 1942 czy początek [19]43?) – powiedział mi wtedy, że Rydz Śmigły nie żyje – że widział Go – odniosłam wrażenie, że dysponował Go na śmierć²⁰.

20. W. J. Wysocki, *op.cit.*, s. 47 – od 3 XI 1941 marszałek przebywał przy ul. Sandomierskiej 18 m. 4 na warszawskim Mokotowie u generałowej Jadwigi Maxymowicz-Raczyńskiej. Przyjmował tam niewielkie grono najbliższych współpracowników, malował, 27 XI poczuł się źle, nastąpił nagły atak choroby, zmarł 2 XII 1941, pochowany jako Adam Zawisza 6 XII 1941. Szczegółowy opis ostatnich dni Śmigłego znajdujemy we wspomnieniach Maxymowicz-Raczyńskiej, z którego jednoznacznie wynika, iż żaden duchowny nie był obecny przy śmierci. Dopiero później dojechał z Krakowa ks. Antoni Żapała, który towarzyszył ciału marszałka w auto-karawanie na Powązki w towarzystwie autorki oraz inż. Stefana Witkowskiego (który stał na czele jakiejś organizacji wywiadowczej) i jakiegoś pana, przedstawionego jako dr Latawiec. Ten ostatni nie mógł być raczej Paulińskim, bowiem Maxymowicz-Raczyńska doskonale zapamiętała księdza, którzy prowadził uroczystą liturgię i ceremonię pogrzebową i właśnie ten ksiądz wyjadł

Raz gdy była mowa o pseudonimach, X. Rektor Pauliński podał mi jako swój (czy jako jeden ze swoich) pseudonim „Piórko”²¹. Na wiosnę (marzec, kwiecień chyba) [19]43 r. odwiedzałam jeszcze ks. Rektora na Długiej – był coraz słabszy, już przestał wierzyć, że wyzdrowieje. W maju [19]43 r. nie mogłam już dojechać do H. Rodziny księdza²², gdzie ks. Rektor umierał²³.

Maria KORYTOWSKA

[Archiwum Prowincjalne Stowarzyszenia Apostolstwa Katolickiego (Pallotyni) w Warszawie, materiały nieuporządkowane, rękopis, bez paginacji]

się być Paulińskim: „Było chmurno, ponuro, padał śnieg z deszczem. Nie wiem, czy ksiądz prowadzący kondukt wiedział kogo chowa, czy też domyślał się jakiejś tragedii. W każdym razie był bardzo przejęty” – J. Maxymowicz-Raczyńska, *op.cit.*, s. 216. Mógł więc wtedy, jeszcze przed ceremonią, na którą licznie przybyli b. podwładni marszałka, widzieć jego zwłoki w otwartej trumnie; zob. też B. Rogowski, *op.cit.*, s. 122: „Przy pomocy wezwanego ks. dziekana Zapały udało się bez przeszkód pochorować Marszałka [...]” – pisze Rogowski podając datę śmierci 7 XII 1941; po wojnie ks. dr dziekan Zapała był proboszczem w Limanowej lub okolicy, (s. 124); z tego zapisu również nie wynika, że ks. Zapała udzielił ostatniego namaszczenia Śmigłemu.

21. Pseudonim ten udało się potwierdzić źródłowo – zob. SPP, B.I.1/19, relacja anonimowa: Niezapomniane chwile mego życia 1939-1944, bm br, mps, k. 7 – mowa tam o komórce legalizacyjnej KG AK o kryptonimach „Park”, „Leta”, „Izba”, składającej się z 8 referatów, w tym referatu „Metryki”. Pracownicy: ksiądz „Piórko” [to prawie na pewno ks. F. Pauliński], ks. „Hebra”, „Robert”, „Liza”.

22. Nie udało się ustalić, co autorka listu ma na myśli, czy H. oznacza inicjał nazwiska (imienia), czy miejscowość, ta ostatnia hipoteza jest raczej mało prawdopodobna, skoro wiemy, że Pauliński dokończył życia w Płudach; po H. zapewne autorka nie postawiła przecinka.

23. Zob. też wzmianki, bez jakichkolwiek szczegółów, o śmierci ks. Paulińskiego w materiałach archidiecezji warszawskiej – Archiwum Archidiecezjalne Warszawskie, sygn. A. II 3.23/1 – pisma o startach osobowych w archidiecezji warszawskiej; sygn. A. II 3.23/2 – pisma i ankiety dotyczące strat w zakonach – pismo Sekretarza Prowincji OO Pallotyńów w Warszawie ks. Arendta do Kurii Metropolitalnej w Warszawie z 14 I 1948 r. – dotyczy zakonników, którzy ucierpieli w czasie wojny – 14 pozycji, w tym X. Pauliński – zm. 23 V 1943 r.; zob. też sygn. A. II 3.23/3 – Martyrologium duchowieństwa Archidiecezji Warszawskiej, mps, bez daty oraz tamże pod tą samą sygnaturą zob. Z. Olszawska-Skowrońska, *Męczeńskie dzieje Archidiecezji Warszawskiej 1939-1945*, Warszawa 1948.

MEMORIAŁ KS. HUETA
WS. WALKI Z REWIZJONIZMEM
NA ZIEMIACH ODZYSKANYCH (1954 R.)

Ostrze represyjnej polityki wyznaniowej w Polsce powojennej zostało skierowane najpierw przeciwko duchowieństwu diecezjalnemu, co z czasem przyniosło oczekiwane efekty – przede wszystkim w postaci ograniczenia jego opozycyjnej działalności wobec aparatu władzy. Trudniejszym przeciwnikiem okazały się liczne zgromadzenia zakonne, które dzięki specyficznym regułom funkcjonowania (zwarta organizacja, tryb życia wspólnotowego, obowiązki posłuszeństwa) tworzyły hermetyczne struktury, odporniejsze na destrukcyjne działania władz. Ponadto wspólnoty te, podlegające bezpośrednio władzy papieża i własnym przełożonym, były w dużym stopniu niezależne od episkopatu, którego działania opozycyjne wobec państwa zostały po aresztowaniu prymasa Stefana Wyszyńskiego (25/26 września 1953 r.) skutecznie ograniczone. Zakony podjęły więc wiele własnych inicjatyw, które nie były inspirowane przez biskupów, a stawiały je w opozycji do systemu polityczno-społecznego PRL, a także wystąpiły z krytyką części hierarchii i duchowieństwa diecezjalnego – przede wszystkim za ich zbyt ugodowy stosunek do ekipy Bieruta, a nawet kapitulantwo¹.

W tej sytuacji logika działania aparatu władzy dyktowała silne uderzenie w zakony. Decyzja ta wynikała także z w pewnym stopniu ujednoliconej polityki realizowanej wobec Kościoła w podporządkowanej Moskwie części Europy. Jednym z jej podstawowych celów było rozbicie struktur zakonnych, dokonane ze względu na ich siłę głównie przy użyciu środków pozaprawnych

1. B. Noszczak, *Duchowieństwo wobec komunizmu. W świetle dokumentów Służby Bezpieczeństwa z lat 1954-1956*, cz. 1, s. 99 i nn., cz. 2, s. 62 i nn.; *idem, Próba likwidacji zakonów w Polsce (1955-1956)*, „Przegląd Powszechny” 2005, nr 10, s. 44 i nn.

i represji (więzienia, internowania i przesiedlania). Pierwsze tego typu akcje przeprowadzono na Litwie, gdzie sytuacja Kościoła była o tyle specyficzna, że ponad 80% jej mieszkańców stanowili katolicy, a Kościół posiadał dobrze zorganizowane struktury i cieszył się znacznym poparciem społecznym². Z polecenia władz moskiewskich na początku 1947 r. opracowano w Litewskiej SRR plan likwidacji zakonów i w lipcu 1948 r. przystąpiono do jego wykonania³. W styczniu 1949 r. rozpoczęto kolejny etap prześladowań tych zgromadzeń, który polegał m.in. na usunięciu zakonników z parafii i przeniesieniu ich do wydzielonych klasztorów. Do października tego roku doprowadzono w Litewskiej SRR do „samolikwidacji” zakonów, zamknięto kościoły żeńskich zakonów i zgromadzeń, usunięto z zakonów męskich 234 osoby, a z żeńskich 472⁴. Jesienią 1949 r. rozpoczęto przygotowania do likwidacji klasztorów w Czechosłowacji. W ramach przeprowadzonej w 1950 r. w dwóch turach akcji „K” (14-15 kwietnia i 3-4 maja) tamtejsza służba bezpieczeństwa zajęła wszystkie domy męskie, a przebywających w nich zakonników umieściła w kilku ośrodkach. W ramach akcji „R” (29-31 sierpnia) podobnymi działaniami objęto wszystkie zakony żeńskie, co w decydującym stopniu przyczyniło się do zniszczenia podstaw życia zakonnego w tym kraju⁵. Na Węgrzech 17 kwietnia 1950 r. internowano blisko 2 tys. zakonników i doprowadzono do rozwiązania przez tamtejszy Kościół 23 zakonów męskich i 40 żeńskich skupiających ponad 12,5 tys. duchowieństwa⁶.

2. I. Mikłaszewicz, *Polityka sowiecka wobec Kościoła katolickiego na Litwie 1944-1965*, Warszawa 2001, s. 13.

3. *Ibidem*, s. 73.

4. *Ibidem*, s. 75-76.

5. P. Boryszewski, *Kościół, którego nie było. Tajna działalność religijna w Czechosłowacji w latach 1949-1989*, Warszawa 2002, s. 24; J. Cuhra, *Represje wobec duchownych i wiernych na ziemiach czeskich w latach 1948-1962*, w: *Represje wobec duchowieństwa kościołów chrześcijańskich w okresie stalinowskim w krajach byłego bloku wschodniego*, red. J. Myszor, A. Dziurok, Katowice 2004, 56-58; B. Cywiński, *Ogniem próbowane. Z dziejów najnowszych Kościoła katolickiego w Europie Środkowo-Wschodniej „...i was prześladować będą”*, Warszawa 1994, t. II, s. 254 i nn.; M. Katuniec, *Represje wobec duchowieństwa katolickiego na Słowacji w latach 1945-1956*, w: *Represje wobec duchowieństwa kościołów chrześcijańskich...*, s. 42-43.

6. B. Cywiński, *Ogniem próbowane...*, s. 309 i nn.; J. Puciłowski, „Zdo-

Działania te były wzorcem dla władz PRL (szczególnie inspirujący był dla nich przykład Czechosłowacji), które po izolacji prymasa Wyszyńskiego zdecydowały się na represjonowanie wspólnot zakonnych przez likwidację ich placówek i przesiedlenia (sierpień 1954 r.)⁷. Te ostatnie objęły też wcześniej niewielką grupę księży diecezjalnych (lipiec 1954 r.)⁸. Pierwsze ślady przygotowań do tej operacji znaleźć można w końcu lat czterdziestych (a więc niejako jednocześnie z tym, co odbywało się w Czechosłowacji), jednak do 1954 r. ich nie zrealizowano⁹. Według hipotezy s. Ewy Kaczmarek wpłynęły na to przygotowania do likwidacji niższych seminariów zakonnych – akcję tę przeprowadzono w lipcu 1952 r.¹⁰ Zaniechanie przesiedleń może także tłumaczyć zdecydowana postawa części hierarchii na czele

bywanie» klasztorów», „Tygodnik Powszechny” 1994, nr 17, s. 12; M. Szymanowski, *Represje wobec duchowieństwa katolickiego na Węgrzech w okresie stalinowskim*, w: *Represje wobec duchowieństwa kościołów chrześcijańskich...*, s. 66- 67.

7. E. Kaczmarek, *Dlaczego przeszkadzały? Polityka władz partyjnych i rządowych wobec żeńskich zgromadzeń zakonnych w Polsce w latach 1945-1956*, Warszawa 2007, s. 225 i nn.; Z. Kapuścik, *Kościół katolicki w czasach Bieruta. Akcja X-2*, „Tygodnik Kulturalny” 1989, nr 18; B. Noszczak, *Polityka państwa wobec Kościoła rzymskokatolickiego w Polsce w okresie internowania prymasa Stefana Wyszyńskiego (1953-1956)*, Warszawa 2008, s. 178 i nn.; idem, *Przesiedlenie żeńskich zgromadzeń zakonnych z województw katowickiego, opolskiego i wrocławskiego (sierpień 1954)*, „Pamięć i Sprawiedliwość” 2006, nr 1, s. 309 i nn.; M. Pabijanek, *Wysiedlenie sióstr służebniczek NMP prowincji opolskiej do obozów pracy (w roku 1954)*, „Zaranie Śląskie” 2001, nr 3-4, s. 122 i nn.; P. Raina, *Łosy sióstr zakonnych w PRL. Wysiedlenie – obozy – uwolnienie 1954-1956*, Warszawa 2004, *Represje wobec sióstr zakonnych. Obozy pracy dla zakonnic (1954-1956). Materiały do historii najnowszej żeńskich zgromadzeń zakonnych w Polsce*, red. A. Mirek, Lublin 2005; M. H. Zając, *Kryptonim «X-2». Siostry elżbietanki ofiarami przemocy w PRL (1954-1956)*, Wrocław-Poznań 2004. Nowa pozycja: *Łeksykon duchowieństwa represjonowanego w PRL w latach 1945-1989. Pomordowani-więzieni-wygnani*, red. J. Myszor, t. 3, Warszawa 2006, s. 273 i nn.

8. J. Kopiec, *Wysiedlenie duchowieństwa katolickiego z Opolszczyzny w 1954 roku*, w: *Represje wobec Kościoła katolickiego na dolnym Śląsku i Opolszczyźnie 1945-1989*, red. S. A. Bogaczewicz, S. Krzyżanowska, Wrocław 2004, s. 90-96.

9. E. Kaczmarek, *Dlaczego przeszkadzały?...*, s. 227; Z. Romanow, *Przebieg paszportyzacji ludności rodzimej ziem zachodnich i północnych w latach 1951-1953*, w: *Ziemie Zachodnie i Północne Polski w okresie stalinowskim*, red. C. Osekowski, Zielona Góra 1999, s. 237-239.

10. E. Kaczmarek, *Dlaczego przeszkadzały?...*, s. 227.

z kardynałem Wyszyńskim. Dopiero jego aresztowanie i sterrowanie episkopatu stworzyły możliwość względnie bezkolizyjnego przeprowadzenia tej akcji.

Kolejnym czynnikiem, który wpłynął na decyzję o przesiedleniu niektórych zakonów w Polsce w 1954 r., był wielopłaszczyznowy konflikt pomiędzy PRL a RFN, wynikający nie tylko ze złożonych, historycznych, politycznych i społecznych uwarunkowań, potęgowanych przez tragiczne doświadczenia ostatniej wojny, lecz także z ówczesnej zimnowojennej sytuacji międzynarodowej, zdominowanej przez konflikt między Wschodem a Zachodem¹¹. Szczególną rolę w trudnych relacjach na linii Bonn-Warszawa odgrywał w latach pięćdziesiątych rewizjonizm niemiecki, zwłaszcza dotyczący przebiegu polskiej granicy zachodniej¹². Jego uprawianie zarzucono też mniejszości niemieckiej w Polsce. Działania komunistycznego aparatu władzy zmierzające do likwidacji tego zjawiska znajdowały oddźwięk i poparcie wśród antyniemiecko nastawionej części polskiego społeczeństwa, co wiązało się przede wszystkim z wszechobecnymi podówczas obawami przed wybuchem wojny i rozmaicie definiowanym zagrożeniem ze strony RFN, potęgowanym w drugiej połowie 1954 r. przez rozpętaną w Polsce swoistą histerię propagandową towarzyszącą remilitaryzacji tego państwa¹³. Inna sprawa, że mniejszość niemiecka nie wykazywała większego przywiązania do swojej nowej ojczyzny, a jej emocjonalne reakcje, jak choćby te z 1953 r. po wybuchu powstania w stolicy NRD i

11. T. Garton Ash, *W imieniu Europy. Niemcy i podzielony kontynent*, Londyn 1996; J. L. Gaddis, *Teraz już wiemy... Nowa historia zimnej wojny*, Warszawa 1999; *idem*, *Zimna wojna. Historia podzielonego świata*, Kraków 2007.

12. A. Czubiński, *Przesunięcie granic państwa polskiego pod wpływem II wojny światowej (1939-1945)*, w: *Problem granic i obszaru odrodzonego państwa polskiego (1918-1990)*, red. A. Czubiński, Poznań 1992, s. 187 i nn.; L. F. Helbig, *Der Ungeheure Verlust. Flucht und Vertreibung in der deutschsprachigen Belletristik der Nachkriegszeit*, Wiesbaden 1988; J. Sułek, *Stanowisko rządu RFN wobec granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej (1949-1966)*, Poznań 1969.

13. J. Kiwerska, *Niemcy w polityce PPR/PZPR*, w: *Polacy wobec Niemców. Z dziejów kultury politycznej Polski 1945-1989*, red. A. Wolff-Powęska, Poznań 1993, s. 65-70; P. Madajczyk, *Niemcy polscy 1944-1989*, Warszawa 2001, s. 67 i nn.; A. Sakson, *Niemcy w świadomości społecznej Polaków*, w: *Polacy wobec Niemców. Z dziejów kultury politycznej Polski 1945-1989*, red. A. Wolff-Powęska, Poznań 1993, s. 408 i nn.

wyborach do Bundestagu w RFN, uświadamiały władzom, że Niemcy w Polsce czuli się związani przede wszystkim z tym, co działo się w dwóch państwach niemieckich¹⁴. W tej atmosferze wzajemnej nieufności znajdowała podatny grunt obawa przed rewizjonizmem. Problem ten zajmował zresztą w alfabecie politycznym PRL miejsce szczególne – może nie tyle ze względu na skalę zjawiska czy rzeczywiste nim zagrożenie, ile jego utylitarną rolę dla władz. Wynikała ona z pojemności pojęcia rewizjonizmu, do którego można było zakwalifikować właściwie każdą – niekoniecznie polityczną – działalność mniejszości niemieckiej, która nie mieściła się w logice ustrojowej Polski Ludowej i wykazywała jakiegokolwiek znamiona opozycji wobec oficjalnego kursu politycznego. Pozwalało to przede wszystkim na prowadzenie – pod przykrywką administracyjnej i propagandowej walki z rewizjonizmem – zakrojonej na szeroką skalę i realizowanej na wielu polach (np. w sferze kultury) walki z wszelkimi przejawami niemczyzny¹⁵.

Na przełomie lat 1953 i 1954 problem rewizjonizmu zyskał nowy wymiar: został przez władze wprzęgnięty do realizacji restrykcyjnego kursu polityki wyznaniowej. Oskarżenie autochtonicznego duchowieństwa diecezjalnego i zakonnego na Ziemiach Odzyskanych o jego uprawianie posłużyło jako pretekst do prześladowań. Zarzuty dotyczyły najczęściej negowania polskości tych terenów, szerzenia niemczyzny, utrzymywania kontaktów z RFN, demonstracyjnego posługiwania się językiem niemieckim i utrudniania polonizacji terenów przyznanych Polsce w Poczdamie¹⁶. Pozwoliły one państwu maskować rzeczywisty represyjny i bezprawny charakter działań wymierzonych w duchowieństwo, służyły zarazem neutralizacji nie tylko poszczególnych osób duchownych – autochtonów Niemców, lecz właściwie całego polskiego Kościoła, który bezpodstawnie oskarżano o tolerowanie tendencji rewizjonistycznych.

14. P. Madajczyk, *Niemcy polscy...*, s. 94; B. Ociepa, *Niemcy na Dolnym Śląsku w latach 1945-1970*, Wrocław 1994, s. 95.

15. Por. S. Senft, *Problem tzw. rewizjonizmu wśród ludności rodzimej Śląska Opolskiego w latach 1956-1960 w opinii władz wojewódzkich*, „Studia Śląskie” 1991, t. 1, s. 99-100.

16. B. Noszczak, *Geneza wysiedleń duchowieństwa rzymskokatolickiego z Opolszczyzny w 1954 r.*, „Przegląd Powszechny” 2005, nr 1, s. 43 i nn.

Obecny stan badań nie pozwala jednak kategorycznie wykluczyć, że zarzuty o rewizjonizm stawiane duchowieństwu rodzimemu na ziemiach poniemieckich były we wszystkich przypadkach bezpodstawne. Za uproszczone należy uznać, mimo wszystko, zawężanie postawy jego części wyłącznie do oporu wobec administracyjnego zwalczania na tym terenie wpływów niemieckich w kulturze, czy sprowadzaniu polityki aparatu władzy do zwykłej aberracji (zarówno w intencjach, jak i działaniach) wyrastającej ze swego rodzaju obsesji na punkcie zagrożenia niemieckiego, czy walki z Kościołem i religią. W tym kontekście jednym z argumentów jest to, że wzrost tendencji proniemieckich wśród autochtonicznego duchowieństwa na Ziemiach Odzyskanych był dostrzegany także przez duchowieństwo polskie¹⁷. Problem ten wymaga dalszych badań.

Perfidia aparatu władzy polegała na tym, że przesiedlenia, które *nota bene* były w ówczesnych warunkach uznawane za jeden ze skuteczniejszych środków rozwiązywania złożonych problemów etnicznych¹⁸, objęto w 1954 r. przeważnie żeńskie zgromadzenia zakonne z województw katowickiego, opolskiego i wrocławskiego zdominowane – wbrew propagandzie – przez zakonnice pochodzenia polskiego. Dane dotyczące ich statusu narodowościowego są niedokładne. Dla przykładu, według dwóch różnych źródeł kościelnych liczba przesiedlonych sióstr zakonnych wynosiła odpowiednio: Niemek – do 5% i 2,5%, autochtonek – do 28% i 70%, Polek – 70% i 27%¹⁹. Na marginesie – co najmniej dwie przesiedlone zakonnice były narodowości austriackiej i miały obywatelstwo austriackie, a jedna była narodowości czeskiej²⁰. Działania władz były więc w istocie skie-

17. Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej [AIPN], 0445/115, Informacja Departamentu XI MBP Nr 17/154 dotycząca duchowieństwa, ściśle tajne, Warszawa, 4 XI 1953 r., k. 416.

18. J. Czerniakiewicz, M. Czerniakiewicz, *Przesiedlenia ludności w Europie 1915-1959*, Warszawa 2005; *Utracona ojczyzna. Przymusowe wysiedlenia, deportacje i przesiedlenia jako wspólne doświadczenie*, red. H. Orłowski, A. Sakson, Poznań 1997.

19. P. Raina, *Losy sióstr zakonnych...*, s. 73, 75.

20. Archiwum Akt Nowych [AAN], Urząd do spraw Wyznań [UdsW], 20/178, Charakterystyka klasztoru w Dębowej Łące sporządzona przez kierownika Samodzielnego RdsW w Bydgoszczy Edmunda Kruszczyńskiego, poufne, [Bydgoszcz, IX 1954 r.], k. 25.

rowane nie tyle przeciwko poszczególnym osobom duchownym – niemieckim autochtonom, lecz przeciwko polskiemu Kościołowi, który, niejako przy okazji, bezpodstawnie oskarżano o szerzenie niemczyzny i rewizjonizmu w województwach zachodnich i północnych.

Kolejnym czynnikiem decydującym o przesiedleniach była polonizacja województw zachodnich i północnych, którą zamierzano przeprowadzić m.in. przy pomocy podporządkowanego władzom duchowieństwa należącego do ruchu tzw. postępowych katolików²¹.

U podstaw przesiedleń leżały ponadto względy społeczno-ekonomiczne. Dzięki nim państwo mogło przejąć liczne, często dobrze utrzymane nieruchomości znajdujące się w posiadaniu zakonów żeńskich i przeznaczyć ich przeważającą część na obiekty użyteczności publicznej. Istotne było tutaj to, że wypełniano w ten sposób braki infrastruktury na Ziemiach Odzyskanych (która ucierpiała przecież znacznie na skutek wojny) bez konieczności wydawania na ten cel znacznych sum z budżetu państwa i z zaoszczędzeniem sił i czasu koniecznych do budowy nowych ośrodków. Upaństwowienie zabieranych placówek zakonnych wykorzystywano później propagandowo do zdobycia akceptacji społecznej nie tylko dla przesiedleń, lecz także dla polityki władz, rzekomo troszczących się w ten sposób o obywateli.

Impulsami przyspieszającymi decyzję władz o przeprowadzeniu przesiedleń były alarmistyczne raporty poświęcone zagrożeniu rewizjonizmem ze strony autochtonicznego duchowieństwa Ziemi Odzyskanych²². Na szczególną uwagę zasługują dokumenty z początku 1954 r. Zawarte w nich analizy sytuacji na Ziemiach Odzyskanych, a zwłaszcza konkretne propozycje przeciwdziałania rewizjonizmowi, były nie tylko wnikliwie analizowane przez czynniki partyjno-państwowe, lecz także posłużyły

21. B. Noszczak, *Geneza wysiedleń duchowieństwa...*, s. 51.

22. AIPN, 01332/4, Opracowanie MBP dotyczące rewizjonistycznej działalności duchowieństwa w Polsce, Warszawa, 1953 r., k. 12-14; AIPN, MBP 1498, Notatka Departamentu V MBP w sprawie zwalczania rewizjonizmu niemieckiego, ściśle tajne, Warszawa, 7 XII 1953 r., k. 3; AIPN, 01332/4, Informacja MBP dotycząca duchowieństwa autochtonicznego w Polsce, ściśle tajne, Warszawa, 2 II 1954 r., k. 21-28.

jako swego rodzaju materiały instruktażowe przy planowanych prześladowaniach duchowieństwa na ziemiach zachodnich²³.

Do wspomnianej kategorii zalicza się także publikowany niżej memoriał. Jeden z czołowych przedstawicieli tzw. społecznie postępowego katolicyzmu²⁴, związany ze Stowarzyszeniem PAX ks. Stanisław Huet nie tylko analizuje w nim zagrożenie polskości na Ziemiach Odzyskanych, lecz także przedstawia konkretne sposoby przeciwdziałania temu zjawisku.

Stanisław Huet (1904-1961) był moralistą, pastoralistą, działaczem ruchu „społecznie postępowego” katolików, członkiem redakcji „Kuźnicy Kapłańskiej”. Studiował teologię na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie i w rzymskim Grego-

23. Analizy tych dokumentów zob. B. Noszczak, *Geneza wysiedleń duchowieństwa...*, s. 44 i nn.

24. Szerzej na temat tzw. ruchu społecznie postępowego katolików w Polsce (tak „księży patriotów”, jak i tzw. intelektualistów) w latach 1945-1956 r. zob. B. Bankowicz, *W imię Boga i ludowej ojczyzny. Z dziejów Komisji Księży przy ZBoWiD 1949-1955*, „Zeszyty Naukowe «Zderzenia»” 1990, nr 5; *idem*, *Ruch księży patriotów 1949-1955, czyli «koń trojański» w polskim Kościele katolickim*, w: B. Bankowicz, A. Dudek, *Ze studiów nad dziejami Kościoła i katolicyzmu w PRL*, Kraków 1996; Z. Błazyński, *Mówi Józef Światło. Za kulisami bezpieki i partii 1940--1955*, Warszawa 2003, s. 183-184; A. Dudek, G. Pytel, *Bolesław Piasecki. Próba biografii politycznej*, Londyn 1990, s. 151 i nn.; A. Dudek, *Sutanny w służbie Peerelu*, „Karta” 1998, nr 25; A. Garlicki, *Z tajnych archiwów*, Warszawa 1993, s. 15-21; *idem*, *Zeznania Bolesława Piaseckiego*, „Zeszyty Historyczne” 1998, z. 126; A. Jaszcuk, *Ewolucja ideowa Bolesława Piaseckiego 1932-1956*, Warszawa 2005, s. 113 i nn.; T. Markiewicz, *«Księża patrioci» w latach 1949-1955*, w: A. Kozłowska, T. Markiewicz, J. Piasecka, *Stosunki między państwem a Kościołem rzymskokatolickim w czasach PRL*. Studia, red. A. Chojnowski, M. Kula, Warszawa 1998, s. 69 i nn.; A. Micewski, *Współrzędzić czy nie kłamać? PAX i ZNAK w Polsce w latach 1945-1976*, Paris 1978, s. 11 i nn.; R. Niedzielko, B. Noszczak, *Bolesława Piaseckiego przepustka do wolności*, „Przegląd Powszechny” 2006, nr 5; B. Noszczak, *Polityka państwa...*, s. 391 i nn.; R. Reiff, *Archiwum Stowarzyszenia PAX*, t. 1: *Refleksje z pogranicza historii, ideologii i polityki Stowarzyszenia PAX*, Warszawa 2006; t. 2: *Polska i PAX na zakręcie dziejowym: Polska obroniła się, Stowarzyszenie PAX – nie*, Warszawa 2007; J. Ślusarczyk, *Ruch obrońców Pokoju w latach 1948--1989. Kompendium*, Warszawa 1996; J. Żaryn, *Dzieje Kościoła katolickiego w Polsce*, Warszawa 2003, s. 105 i nn.; *idem*, *«Księża patrioci» – geneza powstawania formacji duchownych katolickich*, w: *Polska 1944/45--1989. Studia i materiały*, t. 1, Warszawa 1995; J. Żurek, *«Księża-patrioci» – szkic do portretu*, cz. 1, „Przegląd Powszechny” 2003, nr 9; cz. 2, „Przegląd Powszechny” 2003, nr 10.

rianum, gdzie uzyskał doktoraty z filozofii i teologii. Przyjął święcenia kapłańskie w 1927 r. Od 1949 r. wykładał na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie cztery lata później został profesorem nadzwyczajnym, a następnie zwyczajnym. W 1953 r. wyniesiony przez komunistyczne władze na stanowisko wikariusza generalnego w Krakowie, gdzie razem z ks. Bonifacym Woźnym zajęli miejsca po duchownych skazanych w procesie księży z Kurii Metropolitalnej w Krakowie. Od 1954 r. był profesorem, a następnie kierownikiem Katedry Teologii Moralnej Szczegółowej w warszawskiej Akademii Teologii Katolickiej.

Prezentowany dokument jest o tyle istotny, że stanowi świadectwo zaangażowania tzw. intelektualistów (bliskiego PAX-owi środowiska osób duchownych i świeckich skupionych od października 1953 r. w Komisji Duchownych i Świeckich Działaczy Katolickich przy OKFN) w politykę wyznaniową władz. Jest przy tym zastanawiające, że Huet – przecież osoba duchowna – najprawdopodobniej sam zaprojektował tak rozbudowany program działań represyjnych, który – co istotne – został później w niektórych punktach zrealizowany.

Bartłomiej NOSZCZAK

B. Noszczak (ur. w 1976 r.) – historyk, laureat nagrody naukowej imienia A. Gieyszтора za pracę *Sacrum czy profanum? – spór o istotę obchodów Milenium polskiego (1949-1966)*, Warszawa 2002. Ostatnio opublikował książkę o polityce wyznaniowej PRL w okresie internowania prymasa Wyszyńskiego; jest pracownikiem naukowym warszawskiego Biura Edukacji Publicznej Instytutu Pamięci Narodowej.



Ksiądz Stanisław HUET

SPRAWA ZIEM ODZYSKANYCH

1. Ziemie Odzyskane, zwłaszcza Opolszczyzna i Warmia są narodowo zagrożone. Szerzy się tam niemczyzna w sposób zastraszający. Jakie są na to rady? Przede wszystkim należy napra-

wieć błędy popełnione w latach 1945-[19]46²⁵. Niewysiedlenie wielu duchownych czujących po niemiecku z Opolszczyzny czy Warmii starannie dobranych na te ziemie przez zmarłego kardynała Bertrama²⁶ – można nazwać przysłowiowym zamknięciem wilka w owczarni. Skutki pozostawienia tych germanizatorów wydały już dziś owoce. W takim Opolu słyszy się obecnie prawie wyłącznie mowę niemiecką na ulicy u autochtonów. Pięcioletnie dzieci nie umieją w ogóle mówić po polsku. Rodzice uczyli je mowy wyłącznie po niemiecku, licząc według zapewnień wsączanej im na spowiedziach w języku niemieckim propagandy, na rychłą zmianę i przyjsie dawnego niemieckiego rządu.

Nasze duchowieństwo przesiedlone na te ziemie jest do dziś prawie bezradne. Nie ma bowiem poparcia ani ze strony władz świeckich, ani do niedawna ze strony władzy kościelnej²⁷. A i dzisiejsza władza kościelna jest wobec zwartego frontu duchowieństwa proniemieckiego zupełnie bezsilna. Na Opolszczyźnie obecny ordynariusz²⁸ nie jest w możności zaradzić własnymi siła-

25. Na mocy postanowień konferencji poczdamskiej od VI 1945 r. prowadzono w Polsce przymusowe wysiedlenia ludności niemieckiej – głównie z terenów, które do końca wojny wchodziły w skład Trzeciej Rzeszy. Działaniami tymi objęto łącznie ponad 3 mln Niemców. Większość wysiedleń zakończono w zasadzie do połowy 1947 r.

26. Adolf Bertram (1859-1945) – biskup Hildesheim (1906-1914), biskup Wrocławia (1914-1929), arcybiskup metropolita (1929-1945), od 1920 r. przewodniczący Episkopatu Niemiec.

27. Huet odniósł się tu do sytuacji sprzed internowania prymasa Stefana Wyszyńskiego. Po jego aresztowaniu (25/26 IX 1953 r.) reżim Bieruta, chcąc wykorzystać polityczną koniunkturę, dążył do całkowitego podporządkowania sobie polskiego Kościoła hierarchicznego. Drogą do tego było m.in. sterroryzowanie Episkopatu. Formalnym wyrazem tego było zmuszenie jego członków do wydania lojalistycznych w tonie dokumentów: deklaracji z 28 IX 1953 r. i ślubowania na wierność PRL z 17 XII tego roku. Na stanowisko przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski narzucono bp. Michała Klepacza, który okresowo wykonywał niektóre dyrektywy państwowe odnoszące się m.in. do rozsad kadrowych duchowieństwa. Co najmniej do końca 1954 r. władzom udało się skutecznie ograniczyć antypaństwowe wystąpienia wyższego duchowieństwa.

28. W I 1951 r. władze państwowe usunęły wszystkich dotychczasowych administratorów apostolskich dla Ziem Odzyskanych, a w ich miejsce narzuciły wskazanych przez siebie duchownych. Prymas Wyszyński zatwierdził ich kandydatury, aby uniknąć schizmy. W latach 1951-1956 wikariuszem kapitulnym w administraturze apostolskiej opolskiej był ks. Michał Kobierzycki.

mi zalewowi niemczyzny. Nie lepiej jest pod tym względem na Warmii i Mazurach. Jest tajemnicą publiczną, że duchowieństwo niemieckie zakonne męskie i żeńskie oraz duchowieństwo diecezjalne pozostaje w kontaktach z Zachodem, tj. z władzami duchownymi niemiecko-zachodnimi. Pomagają im w tym dzielnie zaufani autochtoni pozostawieni w Polsce mimo ich przekonań proniemieckich, a nawet zarejestrowaną niemiecką narodowość. Pomagają organiści, kościelni, służba parafialna i kościelna, komitety parafialne dobrane starannie przez autochtonicznych proboszczów.

Błędy popełnione przed 8 laty trzeba dziś naprawić radykalnie.

1-o. Należy więc przesiedlić księży autochtonów do diecezji Polski centralnej lub wschodniej, dając im według ich zasług kościelnych odpowiednie stanowiska. Zresztą pod tym ostatnim względem księża administratorzy dawniejsi²⁹ nie mieli zbyt wielkich skrupułów wobec nawet bardzo zasłużonych księży repatriantów. Na miejsce tych księży autochtonicznych powinni przyjąć na Opolszczyznę czy Warmię księża wyłącznie z Polski centralnej i to księża rozumiejący dobrze dobro obecnej polskiej racji stanu, pozytywnie odnoszący się do postulatów społeczno-politycznych Polski Ludowej. Powinni oni stanowić tam zwarty Front Narodowy³⁰.

29. W VIII 1945 r. prymas Polski August Hlond na mocy specjalnych pełnomocnictw (*facultates specialissimae*) udzielonych mu przez papieża Piusa XII nominował administratorów apostolskich dla Ziem Odzyskanych, którzy zostali wyposażeni we władzę biskupów rezydencjalnych. Byli to księża: Teodor Bensch (na obszarze obejmującym część diecezji warmińskiej, która po wojnie znalazła się w granicach Polski), Bolesław Kominek (na części archidiecezji wrocławskiej, którą w 1945 r. przyłączono do województwa śląsko-dąbrowskiego), Karol Milik (na obszarze archidiecezji wrocławskiej stanowiącym podówczas województwo wrocławskie), Edmund Nowicki (w północnej części archidiecezji wrocławskiej, która mieściła się w obrębie województwa poznańskiego, byłej prałatury pilskiej i części diecezji berlińskiej znajdującej się po wojnie w granicach Polski) i Andrzej Wronka (dla przedwojennych diecezji chełmińskiej i gdańskiej; zasięg terytorialny tej ostatniej ograniczały granice Wolnego Miasta Gdańska). Rada Ministrów w uchwale z IX 1945 r. nie przyjęła do wiadomości tych nominacji.

30. Front Narodowy – ruch polityczno-społeczny funkcjonujący w latach 1952-1956. Powstał z inicjatywy PZPR i firmował jedyną listę wyborczą podczas wyborów do Sejmu i rad narodowych. Po 1956 r. przemianowany na Front Jedności Narodu.

2-o. Należy przesiedlić:

a. zakony męskie mające swe główne domy w Niemczech,
b. zakonników autochtonów innych zakonów wymienić na zakonników pochodzenia spoza Ziem Odzyskanych.

c. przesiedlić śląskie zgromadzenia zakonne żeńskie, jak: Służebniczki Najśw[iętszej] Marii Panny³¹, siostry boromeuszki³², elżbietanki³³ i in. wraz z ich głównymi domami generalnymi czy prowincjalnymi, a na ich miejsce przesiedlić zgromadzenia rdzennie polskie jak: SS Felicjanki³⁴, SS Józefitki³⁵, Siostry Rodziny Marii³⁶, Służebniczki Starowiejskie³⁷, Służebniczki Dębickie³⁸, Serafitki³⁹, Skrytki⁴⁰, itd. Siostry te powinny być

31. Zgromadzenie Sióstr Służebniczek Najświętszej Maryi Panny Niepokalanie Poczętej (służebniczki śląskie) – założone w 1850 r., zatwierdzone przez Stolicę Apostolską w 1947 r. Wbrew temu, co pisał Huet, faktycznie było to pierwsze zgromadzenie powstałe w Polsce, które przybyło na Śląsk (1866 r.). Jest to wspólnota o charakterze apostołsko-charytatywnym.

32. Boromeuszki – zgromadzenie zakonne o charakterze kontemplacyjno-apostołskim, założone w Nancy w 1652 r., definitywnie zatwierdzone przez Stolicę Apostolską w 1892 r. W Polsce od 1848 r.

33. Elżbietanki – zgromadzenie zakonne o charakterze opiekuńczym i wychowawczym, założone w Nysie w 1842 r., zatwierdzone przez Stolicę Apostolską w 1887 r.

34. Felicjanki – zgromadzenie zakonne założone w 1855 r. w Warszawie. Jego główne cele to praca wychowawcza z dziećmi i młodzieżą, a także opieka nad chorymi i ubogimi.

35. Józefitki – zgromadzenie zakonne założone w 1884 r. we Lwowie. Jego misją jest pomoc ubogim i chorym.

36. Siostry Rodziny Maryi – zgromadzenie zakonne założone w 1857 r. w Petersburgu. Zakonnice prowadzą działalność wychowawczą wśród dzieci, pracują przy chorych w szpitalach, prowadzą domy pomocy społecznej. Podejmują ponadto pracę jako katechetki, organistki i zakrystianki.

37. Służebniczki starowiejskie – założone w 1850 r. zgromadzenie zakonne, którego celem jest służba bliźnim najbardziej potrzebującym pomocy duchowej czy materialnej, zwłaszcza dzieciom, ubogim i chorym.

38. Służebniczki dębickie – zgromadzenie powstało w 1850 r. Jego podstawowym celem jest służba na wzór Chrystusa, szczególnie dzieciom, chorym i ubogim, zwłaszcza w wieku przedszkolnym. Siostry zajmują się także wychowaniem młodzieży.

39. Serafitki – założone w 1881 r. zgromadzenie zakonne, w którym nacisk kładzie się na pracę wśród ubogich i chorych. Zakonnice pomagają osobom starszym, chorym i ułomnym, którym służą w szpitalach, zakładach, domach opieki i domach prywatnych.

40. Skrytki – zgromadzenia zakonne bezhabitowe (tzw. ukryte). Zaczęły powstawać po upadku powstania styczniowego. Mają cele religijne

odpowiednio przeszkolone, aby się stały krzewicielkami polskości na Ziemiach Odzyskanych.

3-o. Śląskie Seminarium Duchowne w Nysie liczy około 60% kleryków autochtonów. Alumni ci powinni być przeniesieni do seminariów centralnej czy południowej Polski, a posady powinni otrzymywać wyłącznie poza Ziemią Odzyskaną. Samodzielne zaś placówki dopiero po uzyskaniu moralnej pewności o polskości ich ducha.

4-o. Należy usunąć kościelnych, organistów, służbę parafialną i kościelną ze stanowisk kościelnych. Stanowią oni bowiem niemierniejszy rozsądek niemieckich i często odgrywają skutecznie rolę wywiadowców.

5-o. Zmienić gruntownie komitety parafialne i powołać je w składzie gwarantującym nie tylko lojalność wobec Polski Ludowej, ale i pozytywną pracę dla Niej.

6-o. Przewentylować [!] w tym samym duchu Aparat Państwowy.

7-o. Na Śląsk rzucić masy polskiej pięknej literatury, śpiewników kościelnych, modlitewników do potrzeb tamtejszej ludności dostosowanych, katechizmów, podręczników religii itd. Trzeba się liczyć z głęboką religijnością tego ludu polskiego na Śląsku, z jego szczególnym umiłowaniem śpiewu. Przez śpiew uratowano tam język polski. Popierać więc chóry świeckie i kościelne pod odpowiednim polskim kierownictwem.

PS

Nie powinno się wymieniać księży autochtonów diecezjalnych czy zakonnych na księży czy zakonników z diecezji stalinogrodzkiej⁴¹ ani z innych diecezji sąsiednich ze względu na możliwości dalszego niepożądanego kontaktu.

Przeprowadzić wymianę książek niemieckich na polskie, aby w ten sposób usunąć duże jeszcze biblioteki niemieckie znajdujące się w domach autochtonów.

Pomijam tu wreszcie istotną dla Ziemi Odzyskanych sprawę

dostosowane do aktualnych potrzeb. Zakonnice m.in. pielęgnują chorych w szpitalach i w domach prywatnych, prowadzą pracę oświatową, opiekują się „upadłymi moralnie” dziewczętami.

41. Stalinogród – Katowice w latach 1953-1956, na cześć po zmarłym w III 1953 r. Stalinie.

powstania tam diecezji stałych⁴². Jest moim najgłębszym przekonaniem, że ordynariusze na Ziemiach Odzyskanych powinni być ze szczególną troskliwością dobrani i otrzymać sakrę biskupa dla siebie i swych wikariuszów [!] generalnych jako sufraganów. Wobec ludności autochtonicznej sakra biskupia czyni zupełnie inne wrażenie i budzi nieporównanie większy autorytet.

Rząd Polski Ludowej powinien szczególnie uwzględnić konieczność wprowadzenia katechetów czy katechetki do szkół na Ziemiach Odzyskanych jako ważki czynnik unarodowienia i repolonizacji zaniedbanej pod tym względem ludności autochtonicznej. Nauczycielstwo we wszystkich szkołach powinno być z Polski centralnej i również starannie dobrane pod względem uświadczenia narodowego, politycznego, a umiejętne w oddziaływaniu na powierzona sobie młodzież. Ważne jest także przywrócenie Wydziału Teologicznego we Wrocławiu.

Warszawa, dnia 11 stycznia 1954 r.

[Kopia, maszynopis, AIPN, sygn. AIPN 01332/4, k. 469-471]

42. W 1945 r. na przyłączonych do Polski terenach wchodzących dotąd w skład państwa niemieckiego utworzono administratury apostolskie w Gdańsku, Gorzowie, Olsztynie, Opolu i Wrocławiu. Problem ustanowienia tam stałych diecezji był przez długie lata pretekstem do inspirowanego przez komunistyczny aparat władzy konfliktu politycznego ze Stolicą Apostolską i polskim Kościołem. Ostateczne dostosowanie granic diecezji do państwa polskiego i nominacja pełnoprawnych ordynariuszy nastąpiła dopiero po układzie między-państwowym Warszawa-Bonn z XII 1970 r. Dwa lata później na mocy bulli Pawła VI ustanowiono na Ziemiach Odzyskanych pełnoprawne diecezje.

OKRUCHY HISTORII

Paweł LIBERA

INTERWENCJA KONSTANTEGO A. JELEŃSKIEGO W SPRAWIE ŻOŁNIERZY II KORPUSU

Kiedy wybuchła druga wojna światowa, Konstanty A. Jeleński miał zaledwie 17 lat¹. Dzięki interwencji włoskich przyjaciół ojca w Berlinie, w grudniu 1939 roku udało mu się opuścić okupowaną Polskę i przyjechać z matką do Rzymu. Pomimo młodego wieku najpierw został prywatnym sekretarzem Bolesława Wieniawy Długoszowskiego, ówczesnego ambasadora RP przy Kwirynale, w kwietniu 1940 roku wstąpił do Wojska Polskiego we Francji, a po klęsce ewakuowany do Londynu pełnił rolę tłumacza w kwaterze polowej gen. Władysława Sikorskiego. W następnych latach studiował w Anglii, ale przed lądowaniem w Normandii w ramach 1 Dywizji Pancernej brał udział w walkach na kontynencie. Koniec drugiej wojny światowej zastał go w roli redaktora „Dziennika Żołnierza 1 Dywizji Pancernej”².

Kres niepewnej sytuacji Polskich Sił Zbrojnych położyły ostatecznie Orędzie Prezydenta RP i Oświadczenie Rządu RP z

1. Por. List K. A. Jeleńskiego do J. Brenta z 7 VIII 1985, w: K. A. Jeleński, *Chwile oderwane*, wybór i oprac. P. Kłoczowski, Gdańsk 2007, s. 500.

2. J. Czachowska, *Jeleński Konstanty Aleksander 1922-1987*, w: J. Czachowska, A. Szałagan (red.), *Współcześni polscy pisarze badacze literatury. Słownik biobibliograficzny*, t. 3: G-J, Warszawa 1994, s. 424-425.

24 maja 1946 o ostatecznej likwidacji Polskich Sił Zbrojnych. We wrześniu generał Kopański wydał rozkaz o wstępowaniu żołnierzy polskich do Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia (PKPR)³, który następnie ewakuowano do Wielkiej Brytanii. Operacja ta trwała od czerwca do października 1946 r.⁴, a w 1947 roku, jak wspominała Zofia Hertz, „większość żołnierzy polskich rozjechała się po świecie i rozpoczynała życie od nowa”⁵. Nie wszyscy jednak opuścili Italię, ponieważ nadal przebywały tam grupy polskich uchodźców, głównie polskich Żydów, i część żołnierzy, którzy z różnych powodów mieli problemy z ewakuacją na Wyspy Brytyjskie. Osobną grupą, która jeszcze w tym okresie pozostawała we Włoszech, byli nieliczni polscy studenci, ale również i oni opuszczali Półwysep Apeniński. W świetle polskich danych, w roku akademickim 1947-1948, 130 studentów pobierało stypendia Ambasady RP w Rzymie, ale pod koniec następnego roku było ich już tylko 90⁶.

W przypadku Jeleńskiego raz jeszcze istotną rolę odegrały jego umiejętności językowe: w 1946 roku został przydzielony do polskiej placówki wojskowej przy Ambasadzie Brytyjskiej w Rzymie. Miał tam zajmować się rozmieszczaniem żołnierzy II Korpusu, którzy po demobilizacji postanowili pozostać we Włoszech. W międzyczasie pracował w Polskim Biurze Emigracyjnym, a później dzięki wstawiennictwu Ambasady Brytyjskiej w 1947 został pracownikiem nowo powstałej International Refugees Organization (IRO) w Neapolu⁷. Tam „wyrobił sobie mocną pozycję”, co umożliwiło mu zatrudnienie w tej samej organizacji własnej matki⁸. Jeleński zajmował się „sprawami pol-

3. B. Łokaj, *Likwidacja Polskich Sił Zbrojnych 1945-1946*, „Zeszyty Historyczne” 1976, z. 35, s. 50-51, 62.

4. H. Sarnier, *Generał Anders i żołnierze II Korpusu Polskiego*, Poznań 1997, s. 238-239.

5. I. Chruślińska, *Była raz «Kultura»... Rozmowy z Zofią Hertz*, Warszawa 1994, s. 49.

6. Dane za: K. Jaworska, *Ośrodki akademickie Drugiego Korpusu na terenie Włoch*, „Zeszyty Historyczne” 1990, z. 92, s. 88.

7. List K. A. Jeleńskiego do L. Zeno z 19 I 1979, w: *Konstanty Jeleński – Livio Zeno. Listowna opowieść*, oprac. P. Kłoczowski, „Zeszyty Literackie” 2004, nr 2 (86), s. 84.

8. List K. A. Jeleńskiego do J. Czapskiego z 25 IX 1950, w: K. A. Jeleński, *Listy z Korsyki do Józefa Czapskiego*, oprac. W. Karpiński, Warszawa 2003, s. 6.

skimi” i choć czuł się odpowiedzialny za ludzi, którymi się zajmował i za ich przyszłość, a nie najgorsza pensja wystarczała na utrzymanie i wsparcie rodziców, to praca ta go nie interesowała i „musiał się [do niej] zmuszać”⁹. To w ramach wykonywanej wówczas pracy Jeleński zetknął się z grupą żołnierzy polskich, „niemal wyłącznie [...] wyznania mojżeszowego”, którzy nie mieli możliwości wyjazdu do Wielkiej Brytanii.

Żołnierze ci zostali „zdemobilizowani przymusowo we Włoszech”, ponieważ zawarli związki małżeńskie w Włoszkami. Podobna sytuacja miała miejsce w przypadku żołnierzy innych wyznań. Jak twierdzi H. Sarner, 1400 żołnierzy, którzy poślubili Włoszki, zdemobilizowano we Włoszech i poinformowano, że „podlegają włoskiej jurysdykcji i Brytyjczycy w przyszłości nie udzielą im pomocy”. Zakaz ten był egzekwowany bez taryfy ulgowej, a kilka kobiet, które przybyły do Wielkiej Brytanii, zmuszono do powrotu¹⁰. Tym, których spotkał Jeleński, pozostawało więc do wyboru albo żyć we Włoszech, albo wyemigrować do innych państw. Domyślać się można, że żołnierzy wyznań chrześcijańskich przyjmowano w różnych krajach Ameryki Południowej, Żydzi nie mieli takiej możliwości. Niewiele łatwiejsza sytuacja była w Stanach Zjednoczonych. Według danych IRO z 25 tysięcy Żydów przebywających w grudniu 1946 roku we Włoszech w połowie 1949 roku pozostało 5578, wśród których ponad połowa wolała emigrować do Stanów Zjednoczonych niż do Palestyny. Wśród tych ostatnich byli zapewne i ci cywile, którzy spędzili wiele lat w obozach dla uchodźców, a w opisywanym okresie korzystając z polskich paszportów starali się wyjechać do Palestyny (Izraela). Sprawujący wówczas urząd konsula Polski Ludowej w Rzymie Piotr Dunin Borkowski miał być w tym okresie zajęty „cały dzień” ich sprawami¹¹.

Sytuacja uchodźców nie była najlepsza, wraz ze spadkiem

9. List K. A. Jeleńskiego do J. Giedroycia z 28 X 1950, w: J. Giedroyc, K. A. Jeleński, *Listy 1950-1987*, oprac. W. Karpiński, Warszawa 1995, s. 26-27.

10. H. Sarner, *op.cit.*, s. 238-239.

11. M. Dąbrowska, *Dzienniki powojenne 1945-1965*, oprac. T. Drewnowski, Warszawa 1997, t. 1: 1945-1949, s. 309, zapis z 22 X 1948.

oczekujących na wyjazd zmniejszały się także możliwości pomocy finansowej. Na przykład, American Jewish Congress w 1949 roku zmniejszył pomoc dla Żydów przebywających we Włoszech, ograniczając ją do sierocińców, inwalidów i szkół rabinackich (Collegio Rabbinico)¹². Z tego powodu Jeleński za pośrednictwem ambasadora RP w Waszyngtonie, Jana Ciechanowskiego¹³, starał się pomóc im wyjechać do Stanów Zjednoczonych.

To również nie było wcale łatwe z powodu bardzo restrykcyjnej polityki imigracyjnej Stanów Zjednoczonych. Sytuację tę zmieniła dopiero ustawa The Displaced Persons Act z 25 czerwca 1948 roku¹⁴ oraz zmiany personalne, które wprowadził prezydent Truman. 13 sierpnia 1948 roku powołał na stanowisko przewodniczącego Komisji ds. Displaced Persons Ugo Carusi¹⁵, syna włoskich emigrantów, republikanina, który od stycznia 1945 r. sprawował funkcję Komisarza Stanów Zjednoczonych ds. Imigracji i Naturalizacji¹⁶. To do niego zwrócił się ambasador Ciechanowski i choć Ugo Carusi zarzuczano storpedowanie możliwości zakazu emigracji byłych żołnierzy Waffen SS do Stanów Zjednoczonych¹⁷, to jednak inne dane wskazują na to, że uczynił wiele dobrego, aby pomóc uchodźcom.

12. The American Jewish Committee, „American Jewish Yearbook” 1950, vol. 51, s. 309.

13. J. Ciechanowski (1887-1973), ambasadorem RP w Waszyngtonie, od 1940/1941 (nominowany 16 XII 1940, przybył 21 II 1941, listy akredytacyjne złożył 21 III 1941) do 6 VII 1945 r.

14. O polityce amerykańskiej patrz: L. Dinnerstein, *The United States and the Displaced Persons*, w: Y. Gutman, A. Saf, *She'arit Hapleta 1944-1948, Rehabilitation and Political Struggle, Proceedings of the Sixth Yad Vashem International Historical Conference*, Jerusalem 1990, s. 357-363; M. Menéndez, *Les lois américaines d'immigration et les réfugiés politiques dans la période de l'après-guerre: 1948-1958*, „Matériaux pour l'Histoire de Notre Temps” 2000, vol. 60, nr. 1, s. 58; H. Sarner, *op.cit.*, s. 249.

15. Harry S. Truman Library (Independence, Missouri), J. R. Fuch, Oral History Interview with Harry N. Rosenfield, 23 VII 1980, Washington, DC, s. 102, wersja elektroniczna: <http://www.trumanlibrary.org/oralhist/rosenfld.htm>

16. O działaniach na rzecz uchodźców w drugiej połowie lat 40. i później patrz: W. Saxon, *Ugo Carusi, 92, Immigrants' Son Who helped Wartime Refugees*, „New York Times”, 30 VII 1994.

17. J. R. Fuch, *op.cit.*, s. 89.

Publikowane poniżej listy znajdują się w materiałach Ambasady RP w Waszyngtonie przechowywanych w Instytucie Hoovera w Stanford (Ambasada RP w Waszyngtonie, box 1, folder 11), mikrofilmy tych akt są dostępne w Archiwum Akt Nowych w Warszawie (HI/III/1, kl. 211-213). Spisu żołnierzy, o których wspomina Jeleński, nie odnaleziono.

Paweł LIBERA

●

PREPARATORY COMMISSION FOR THE
INTERNATIONAL REFUGEE ORGANIZATION
(ITALY)

(Emigration Branch II)

HEADQUARTERS:

78 VIA SAN NICOLO DA TOLENTINO, ROME

TELEPHONE: 471871 – 470754

CABLE ADDRESS: POIRO ROME

COMMISSIONE PREPARATORIA PER LA

ORGANIZZAZIONE INTERNAZIONALE PROFUGHI
(ITALIA)

Rzym, 26 XI 1948

Wielce Szanowny i Kochany Panie Ambasadorko,

Pozwalam sobie zwrócić się do Pana Ambasadora w sprawie garstki żołnierzy z Korpusu, którzy zostali zdemobilizowani przymusowo we Włoszech (żonaci z Włoszkami) i znajdują się tutaj w rozpaczliwej sytuacji, z której jedynie emigracja do Stanów Zjednoczonych mogłaby ich wybawić. Niemal wszyscy b. żołnierze 2. Korpusu tutaj zdemobilizowani już opuścili Włochy, emigrując na koszt Rządu Brytyjskiego do Argentyny i innych krajów Ameryki Południowej. Pozostali niemal wyłącznie żołnierze wyznania mojżeszowego, którzy nie zostali nigdzie wpuszczeni ze względu na „rasową” politykę imigracyjną krajów Ameryki Łacińskiej. Obecnie stoimy w przededniu likwidacji ostatniego obozu utrzymywanego na koszt Brytyjczyków – któ-

rzy chcą resztę naszych żołnierzy przekazać pod opiekę IRO¹⁸. Pracując sam w tej organizacji wiem, że Żydzi nie mają właściwie żadnych możliwości osiedleniowych prócz nielegalnej emigracji do Palestyny, która bynajmniej naszych żołnierzy nie nęci, skoro nie zdezerterowali i nie przystąpili do Sterna¹⁹ w czasie pobytu Korpusu w Palestynie, jak to zrobiło tylu innych.

Oczywistą deską ratunku wydawałaby się ustawa o wpuszczeniu 200 000 uchodźców do Stanów z Niemiec, Austrii i Włoch. Żołnierze, o których mowa, odpowiadają wszystkim warunkom stawianym przez ustawę, brali udział w kampanii włoskiej i pochodzą częściowo spoza „linii Curzona”. Niestety, jedynie uchodźcy, którzy będą wezwani przez jednostki czy organizacje w Stanach Zjednoczonych, mają szanse skorzystania z dobrodziejstw ustawy. Dotychczas jedynie katolicka organizacja WRC²⁰ przesłała do Polskiego Komitetu Opieki w Rzymie odpowiednie formularze zaznaczając, że interesuje się katolikami. Poradziłem naszym byłym żołnierzom Żydom, żeby zwrócili się do American Joint Distribution Committee z prośbą o pomoc. Tam odpowiedziano im jednak, że żołnierzami „reakcyjnej Armii Andersa” Joint się nie interesuje i że fakt ożenku z Włoszkami katoliczkami wykreśla ich z żydowskiego społeczeństwa.

Jest to sprawa drobna, gdyż chodzi o kilkunastu ludzi, i mam prawdziwe skrupuły, że trudzę nią Pana Ambasadora, wiem jednak, że jedynie Pan może nakłonić jakąś polską organizację w Stanach do zajęcia się ich losem. Polonia amerykańska tak żywo zajmowała się w swoim czasie „bohaterami spod Monte Cassino”, że sprowadzenie tych żołnierzy, których nawiasem

18. Jeleńskiemu chodzi o obozy żołnierzy 2 Korpusu, nie zaś obozy tzw. Displaced Persons, których jeszcze w tym okresie było we Włoszech 7 (por. „American Jewish Yearbook” 1950, vol. 51, s. 317).

19. Abraham Stern (1907-1942), urodzony w Polsce działacz Irgunu (syjoniści-rewizjoniści), po wybuchu II wojny światowej, kiedy Irgun i Hagana ogłosiły zawieszenie broni, założył organizację terrorystyczną „Lehi”, która nadal walczyła z Brytyjczykami. Twierdzenie Jeleńskiego, że byli żołnierze 2 Korpusu przyłączyli się wyłącznie do ugrupowania Sterna należy traktować jako duże uproszczenie, por. m.in.: E. Kossoy, *Żydowskie podziemie zbrojne w Palestynie i jego polskie powiązania*, „Zeszyty Historyczne” 2006, z. 157, s. 62-100.

20. Prawdopodobnie Welsh Refugee Council, Walijska Rada ds. Uchodźców, organizacja, która tuż po II wojnie światowej pomagała m.in. Polakom osiedlającym się w Walii.

mówiąc znam wszystkich osobiście i cenię jako jednostki, powinno kogoś zainteresować tym bardziej, że są to jedyni żołnierze 2. Korpusu, którzy mają szansę wyjazdu do Ameryki w ramach wspomnianej ustawy, gdyż całość Korpusu przejeżdżając do Anglii utraciła prawo do skorzystania z niej. Przesyłam w załączeniu spis byłych żołnierzy 2. Korpusu, znajdujących się we Włoszech i odpowiadających wymaganiom ustawy. Najpilniejsza jest sprawa żołnierzy Żydów, którzy przebywali dotychczas w obozie i zostaną przekazani IRO. Może Pan Ambasador uzna za możliwe przekazanie tej listy jakiejś organizacji Polonii amerykańskiej?

W Rzymie jestem od roku, po kilku miesiącach pracy w Polskim Biurze Emigracyjnym przeszedłem do IRO, gdzie w dalszym ciągu zajmuję się polskimi sprawami. Moja matka²¹ mieszka teraz w Wenecji i stara się odzyskać dom, który kupiłem od Stasia Balińskiego²², zajęty teraz przez lokatorów. Mój ojciec²³ nadal mieszka w Londynie u ks. Atholla²⁴, mamy nadzieję sprowadzić go do Włoch, kiedy uda się odzyskać dom.

Bardzo jestem ciekaw, co się dzieje z Johnem²⁵, którego nie widziałem od czasów 1. Dywizji Pancерnej.

Proszę Pana Ambasadora o przyjęcie wyrazów wysokiego szacunku

Konstanty Jeleński

21. Teresa (Rena) Jeleńska (1892-1969), tłumaczka, przełożyła m.in. na polski *Folwark zwierzęcy* G. Orwella (1947) i *Wspomnienia rodzinne* E. Croce (1966).

22. Stanisław Baliński (1898-1984), poeta, krytyk literacki i teatralny. Najobszerniejsze informacje na temat domu podaje W. Karpiński (K. A. Jeleński, *Listy z Korsyki...*, s. 63, przypis 7). XVIII wieczny dom kupił Jeleński na przełomie 1944 i 1945 roku za 1000 funtów. Zamożni lokatorzy płacili bardzo niewielki czynsz, nowy właściciel musiał im wytoczyć proces sądowy, który wygrał po kilku latach. Po pewnym czasie dom sprzedał i kupił mieszkanie w Rzymie, gdzie zamieszkała jego matka.

23. Konstanty Jeleński (1888-1955), dyplomata, m.in. konsul generalny RP w Królewcu (1933-1935) i Monachium (1937-1939).

24. Katharine Marjory Stewart-Murray (1874-1960).

25. John Ciechanowski (1921-2008), syn ambasadora, absolwent Ampleforth College, żołnierz 1. Dywizji Pancерnej gen. S Maczka, jeździec-amator oraz uznany trener koni wyścigowych.

Ciechanowski
[...]205 – 29th St. NW.
Washington 15, DC.
8-go stycznia 1949

Kochany Kociku,

Choć nie odpisywałem na Twój łaskawy list z dnia 26-go listopada w sprawie uchodźców poszczególnych przez Ciebie wymienionych, kwestii tej nie zaniedbałem. Opóźniałem jedynie danie Ci odpowiedzi, chcąc mieć konkretniejsze wiadomości do zakomunikowania.

Sprawą zainteresowałem Naczelnika Wydziału Imigracyjnego, p. Ugo CARUSI²⁶, który jest przychylnie usposobiony i pragnie możliwie dopomóc w umożliwieniu uzyskania wiz dla Twoich Displaced Persons. Pomimo wprowadzenia w życie i wykonywania nowego prawa²⁷, dotyczącego imigracji Displaced Persons, sprawa tychże z Włoch jeszcze nie została rozpoczęta, gdyż dotychczas nie ma odpowiedniego urzędu amerykańskiego we Włoszech. W najbliższej przyszłości takie urzędy powstaną w Neapolu i w Rzymie. Pan Carusi ma listę przez Ciebie polecanych kandydatów i obiecał, iż skoro urzędy te powstaną, zajmie się nimi. Wobec tego byłoby najlepiej, gdybyś – jak tylko się dowiesz o otwarciu tych urzędów – bądź w Neapolu, bądź w Rzymie, zwrócił się doń, powołując się na wiadomości zawarte w tym liście i byś wskazał, że Naczelnik Carusi zna sprawę i pragnie w tym wypadku być pomocny – w granicach oczywiście przewidzianych przez prawa amerykańskie.

Bardzo ucieszyłem się mając Twój list, który mnie poinformował o tym gdzie jesteś i co robisz.

Przesyłam Tobie i na Twoje ręce Twojej drogiej Matce, nasze najlepsze życzenia noworoczne i bardzo serdeczne wyrazy.

Twój,

[Jan Ciechanowski]

26. Od stycznia 1945 Komisarz Stanów Zjednoczonych ds. Imigracji i Naturalizacji, w sierpniu 1948 (nie w styczniu jak podaje W. Saxon, *op.cit.*) przewodniczący Komisji ds. Displaced Persons.

27. The Displaced Persons Act z 25 VI 1948.

GŁOS JÓZEFA CZAPSKIEGO W DYSKUSJI NA TEMAT ŁYSENKIZMU WE FRANCJI W 1948 R.

Siła Francuskiej Partii Komunistycznej i związanych z nią mediów, opóźnienie wobec analogicznej dyskusji toczzonej w krajach anglosaskich, zręczna propaganda, przedstawiająca koncepcję Łysenki jako swoistego rodzaju odmianę, tradycyjnie popularnego wśród francuskich biologów neolamarkizmu, sprawiały, że właśnie we Francji spór o „proletariacką biologię” i „nową sowiecką genetykę” trwał najdłużej i dalece przekroczył rozmiary normalnej polemiki naukowej, prowadzonej w kręgu specjalistów. Stawiane w prasie pytania na temat genetyki w Związku Sowieckim były zarazem pytaniami o charakter systemu sowieckiego, o wolność słowa i wolność badań naukowych, o los ofiar masowych aresztowań i deportacji, a także o rolę jaką odgrywa ją komunizm w życiu politycznym Francji.

26 VII 1948 r. „Les Lettres Françaises”¹ wydrukowało artykuł Jeana Champenois pt. *Un grand événement scientifique: l'hérédité n'est pas commandée par de mystérieux facteurs. Le savant soviétique Lyssenko porte un coup droit aux théories antidarwiniennes*, w którym wzywano francuskich naukowców do wsparcia „nowej proletariackiej nauki”. W prasie komunistycznej ruszyła fala – szokujących środowiska naukowe – entuzjastycznych i pełnych pochwał artykułów².

W środę 8 IX 1948 r. paryski dziennik „Combat”³ rozpo-

1. „Les Lettres Françaises” było tygodnikiem kierowanym przez Louisa Aragona. Pismo, wywodzące się z Résistance, utworzone w 1942 r. było – do przejścia go w 1947 r. przez komunistów – organem Comité National des Écrivains.

2. Zob. częściową listę w: J. Verdès-Leroux, *Au service du parti. Le parti communiste, les intellectuels et la culture (1944-1956)*, Paris 1983, s. 225.

3. „Combat” był pismem wywodzącym się z Résistance (Mouvement Combat). Został utworzony w listopadzie 1941 r., od 1943 był kierowany roku przez Alberta Camusa. Skupiał wokół siebie wielu wybitnych intelektualistów, wśród autorów byli m.in. André Malraux, André Gide,

czął dyskusję «Mendel... czy Łysenko». Czy nauka o dziedziczności opiera się na błędzie. Redakcja informowała, że światem nauki wstrząsnęła informacja o represjach jakie dotknęły część rosyjskich biologów „winnych zdrady rewolucji marksistowskiej”. Zarzutu opartego jedynie, jak podkreślała redakcja na przyjmowaniu koncepcji biologicznych, które od prac Mendla, stanowią podstawę genetyki. W odpowiedzi na komunikat Sowieckiej Akademii Nauk, który „przyjęty został przez część naukowców z niesmakiem, a przez część z sarkazmem”, „Combat” zdecydował się na zamieszczenie wypowiedzi naukowców. Prowadzący ankietę Maurice Laval podkreślał, że zabieranie głosu w tej sprawie nie jest łatwe albowiem prace Łysenki są we Francji mało znane, a propagujące je w Paryżu sowieckie biuro informacyjne rozdało wyłącznie rosyjskojęzyczne materiały na ten temat. Zastrzegając się, że jedynym źródłem informacji jest publikacja w „Les Lettres Françaises”, informująca, że Łysenko wykazał „dziedziczenie cech nabytych”.

W numerze z 9 IX 1948 r., zawierającym m.in. informację o pogrzebie Benesza, głos w sprawie genetyki w ZSSR zabrał jeden z najwybitniejszych francuskich zoologów i popularyzatorów nauki dwudziestego wieku Jean Rostand (1894-1977). Z charakterystyczną dla swojego stylu grzeczną elegancją, Rostand zauważył, że do cytowanych wyników doświadczeń Łysenki, „naukowca godnego szacunku”, zakradły się błędy⁴, a także iż nie obala się teorii naukowej tak jak obala się ministerstwo. Na zakończenie swojego artykułu wezwał do tego aby dyskusja pozostała dyskusją argumentów naukowych.

„Combat” z 10 IX, z informacją m.in. o rosyjskich policjantach strzelających do manifestujących w Berlinie socjaldemokratów, zamieścił wypowiedź Maurice’a Daumasa (1910-1984),

Raymond Aron a nawet, do czasu, Jean-Paul Sartre. W roku 1946 „Combat” wspierał generała de Gaulle’a, prowadził ożywione dyskusje na temat neutralizmu i polityki atlantyckiej. Latem 1947 r. Camus rezygnował z funkcji redaktora naczelnego, pismo zaczęło mieć kłopoty finansowe – nakład spadł poniżej 130 tys. egzemplarzy.

4. W późniejszych publikacjach, po uzyskaniu pełniejszych informacji, Rostand nie wahał się przed nazywaniem rezultatów Łysenki oszustwem i stawianiem znaku równości pomiędzy „proletariacką biologią” a fałszerstwem. Zob. J. Rostand, *Les grands courants de la biologie*, Paris 1951, *idem*, *Science fausse et fausses sciences*, Paris 1958.

znanego historyka nauki i techniki, konserwatora muzeum Arts et Métiers, biografa straconego w okresie terroru rewolucyjnego fizyka i chemika Antoine'a Lavoisiera. Daumas podkreślał, że w ZSSR naukowcy zostali poddani represjom z powodu niezgodności ich przekonań z panującą ideologią polityczną, a „moskiewska debata” cofa nas do czasów procesu Galileusza.

Po wypowiedziach Rostanda i Daumasa z jednej strony wyrażających oburzenie z powodu represji politycznych wobec naukowców w ZSSR, a z drugiej ukazujących absurdalność „odrzućcia podstaw genetyki”, w numerze z 14 września, głos zabrali Marcel Prenant (1893-1983), wysokiej rangi działacz FPK, a zarazem znany i ceniony biolog.

Prenant zdawał sobie sprawę z szalbierstwa jaką była „proletariacka nauka” i „odkrycia Łysenki”⁵ jednakże kariera jaką robił w aparacie partii komunistycznej nakazywała posłuszeństwo wobec moskiewskich dyrektyw co w tym konkretnym przypadku oznaczało obronę oszustwa i polemikę z Rostandem i Daumasem.

Prenant zdecydował się opublikować podwójne kłamstwo. Najpierw zaznaczył jak trudno jest we Francji uzyskać publikację Łysenki co zważywszy na jego związki z Moskwą i pozycję w aparacie komunistycznym należy potraktować jedynie jako wybieg pozwalający na udawanie nieznajomości wypowiedzi Łysenki i ich przedstawienie w „strawniejszej” wersji. Argument ten miało wzmocnić stwierdzenie, że także przeciwnicy Łysenki znają jego prace głównie z cytowań z anglosaskiej, „deformującej prawdę” prasy. Od Prenanta francuski czytelnik mógł się zatem dowiedzieć, że Łysenko uznaje podstawy klasycznej genetyki lecz „jedynie” twierdzi, że udało mu się uzyskać dowód dziedziczenia cech nabytych. Drugim wyjątkowo podłym kłamstwem Prenanta było zanegowanie faktu prześladowań naukowców w ZSSR. Napisał on, że nie jest prawdą, że Mikołaj

5. Pierre Daix, ówczesny sekretarz redakcji „Les Lettres Françaises”, opisał po latach, wspominając pobyt we Wrocławiu na Kongresie Obrońców Pokoju (sierpień 1948) rozmowę z M. Prenantem (również uczestnikiem Kongresu) na temat łysenkizmu: „Jako biolog i jako komunista Prenant był przerażony i ze złością rzucił: «Od kiedy ro odkrycia naukowców stanowią własność danego kraju! Thomas Hunt Morgan jest Amerykaninem, Mendel Austriakiem, ale genetyka należy do całej ludzkości...»”, P. Daix, *J'ai cru au matin*, Paris 1976, s. 223.

Wawiłow został zamordowany, a jego rodzina prześladowana. Uczony ten miał umrzeć w 1943 roku „śmiercią naturalną”. Argumentem na rzecz owego „braku represji” miał być fakt, że brat Mikołaja Wawiłowa – Siergiej został Prezesem sowieckiej Akademii Nauk⁶. Prenant utrzymywał ponadto, że dyskusja na temat genetyki odbywała się w ZSSR w normalnych dla warunkach, a rosyjscy genetycy mogli polemizować z koncepcjami Łysenki w Akademii Nauk oraz „pewnym jest, że Łysenko zatriumfował” zgodnie z zasadami naukowymi. (Dwa lata później Prenant został usunięty z Komitetu Centralnego FPK za karę za swoje wypowiedzi na temat Łysenki i odmowę wzięcia udziału w kolejnej akcji propagandowej przeciwko „genetyce burżuazyjnej”)⁷.

Nazajutrz „Combat” zamieścił długą wypowiedź Jacquesa Monoda (1910-1976), późniejszego noblisty (1965), wówczas kierującego jednym z laboratoriów Instytutu Pasteura, zatytułowaną *Zwycięstwo Łysenki nie ma charakteru naukowego*, w której przypomniał, o nagonce urządzonej na genetyków w ZSSR, politycznych metodach, a także wskazał na absurdalność twierdzeń Łysenki.

W numerze z 19/20 IX redakcja „Combat” – w dziale korespondencji – zamieściła list Józefa Czapskiego. Czapski nie był osobą nieznaną publiczności francuskiej. Z czasów przedwojennych zachował liczne kontakty w środowiskach artystycznych i intelektualnych. Jesienią 1944 r., po upadku Powstania Warszawskiego, opublikował list otwarty do Jacques’a Maritaina i François’a Mauriac⁸. Od wiosny 1945 r. prowadził paryską placówkę informacyjną II Korpusu, w 1948 r. pracował nad książką *Na nieludzkiej ziemi*, opublikowaną wiosną 1949 r. – po polsku i po francusku – opisującą doświadczenie sowieckich łagrów.

Informacja o represjach wobec sowieckich uczonych w ujęciu Czapskiego mogła być wiarygodna dla francuskiego czytelnika.

6. Fizyk Siergiej Wawiłow (1891-1951), zajmujący to stanowisko od 1945 r. do śmierci.

7. P. Daszkiewicz, *Sprawa Marcela Prenanta*, „Zeszyty Historyczne” 2004, z. 150, s. 189-199.

8. Zob. np. J. Czapski, *List otwarty do Jacques’a Maritaina i François’a Mauriac*, „Zeszyty Historyczne” 2004, z. 149, s. 104-147.

nika, jako pochodząca od bezpośredniego świadka, a także dlatego, że nie chodziło o jedną z milionów anonimowych ofiar, ale o postać dobrze znaną w świecie nauki jak i we Francji.

Mikołaj Wawiłow (1887-1943) był jednym z najwybitniejszych genetyków dwudziestego wieku. Jego prace z dziedziny biogeografii, historii roślin użytkowych, parazytologii, ewolucji roślin, wyprawy botaniczne, pierwsze na świecie genetyczne banki roślin stanowiły często model dla naukowców z zachodniej Europy i Stanów Zjednoczonych. Wielu z zabierających głos w sprawach łysenkizmu i sowieckiej debaty zachodnich biologów znało Wawiłowa osobiście. W 1933 roku Wawiłow przyjechał do Paryża i wygłosił wykład na temat rolnictwa i nauk rolnych w ZSSR⁹. Zarówno treść tego wystąpienia jak i powszechnie znane oddanie uczonemu dla swojego kraju, rola jaką odegrał w organizacji sowieckich nauk rolnych i genetyki, wybór życia w ZSSR, choć zważywszy na jego pozycję naukową i dziedzinę pracy oraz kilkakrotne wyjazdy na Zachód z łatwością mógł pozostać na emigracji, powodowały, że nawet francuskim komunistom trudno byłoby przedstawić Wawiłowa jako „wroga ludu” czy „reakcjonistę”.

Pytanie o jego aresztowanie i dalsze losy stało się w 1948 roku jednym z najważniejszych tematów poruszanych w dyskusji o łysenkiźmie i wolności nauki w ZSSR. List Czapskiego obalał twierdzenia komunistów i ich sympatyków o nieprawdziwości informacji na temat sowieckich represji wobec genetyków i ich zapewnienie o naturalnej śmierci Mikołaja Wawiłowa.



Począwszy od lat osiemdziesiątych zainteresowanie pracami i losem Wawiłowa przeżywa prawdziwy renesans nie tylko w Rosji, gdzie uczonemu temu poświęcono już dziesiątki publikacji i artykułów, ale także i na Zachodzie. W anglojęzycznej literaturze naukowej i popularnonaukowej niewątpliwie szczególną

9. N. I. Vavilov, *L'agriculture et la science agronomique en URSS. Conférence faite au Muséum d'histoire naturelle le 11 février 1933*, „Revue Botanique Appliquée et Agronomie Tropicale” 1933, nr 13 (140), s. 253-261.

rolę w przypomnieniu tragedii rosyjskich genetyków i losów Wawilowa odegrała książka Stephena Jay Goulda (1941-2002)¹⁰. We Francji szczegółowego omówienia doczekały się prace i idee naukowe Wawilowa i ich wpływ na dwudziestowieczną genetykę i biologię ewolucyjną¹¹. Historia represji rosyjskiego uczonego doczekała się także amerykańskiego opracowania monograficznego¹².

Piotr DASZKIEWICZ



Józef CZAPSKI

LIST DO REDAKCJI «COMBAT»

Właśnie przeczytałem w „Combat” z 14 września artykuł Marcela Prenanta na temat sporu *Mendel lub Łysenko*. Pan Prenant cytuje m.in. Mikołaja Wawilowa, wielkiego uczonego, profesora genetyki, przed aresztowaniem przełożonego Łysenki. Wawilow był tym człowiekiem przeciwko któremu, Łysenko, jego najbliższy współpracownik, rozpętał kampanię naukową. Pan Prenant pisze „Nie jest prawdą na przykład, że Wawilow został zamordowany, zmarł on w 1943 roku śmiercią naturalną”. Sprawa nie jest tak prosta. Tak, Wawilow zmarł śmiercią naturalną ale w jakich warunkach? Wawilow został aresztowany w 1940 roku, uwięziony i skazany na karę śmierci pod pretekstem szpiegostwa na rzecz Anglii. Mój przyjaciel i współpracownik A. Z.¹³, obecnie przebywający w Anglii, został w 1940 roku we

10. S. J. Gould, *Hen's teeth and horse's toes*, New York, London 1983.

11. M. Debrenne, F. Debrenne, *Le dossier Vavilov*, „Comptes Rendus Palevol”, vol. 2, nr 6, oct. 2003, s. 383-395.

12. P. Pringle, *The murder of Nikolai Vavilov. The story of Stalin's persecution of one of the great scientist of the twentieth century*, New York 2008.

13. Anroni Józef Zielicki (1910-1973), działacz społeczny, matematyk, nauczyciel.

Lwowie aresztowany i skazany na karę śmierci za udział w podziemnej walce. Ułaskawiono go w rezultacie amnestii przewidzianej układem Stalin-Sikorski. Wiosną 1941 roku spędził on z Wawiłowem pięć tygodni w tej samej „celi śmierci” w Moskwie w więzieniu na Butyrkach. Skazany na śmierć Wawiłow nie tracił nadziei, że kara zostanie zamieniona na dożywotnie zesłanie.

Liczył, że nawet na zesłaniu będzie mógł służyć nauce i swojemu krajowi. W 1947 roku ukazała się w Ameryce książka napisana przez dwóch rosyjskich socjalistów Dallina i Nikolaiewskiego *Nothing but their chains (Forced labor in Russia)*¹⁴. Według tej książki Wawiłow zmarł na Kołymie¹⁵ (najzimniejsza część Syberii i najcięższe miejsce zesłania w ZSRR, znajdująca się na wschód od Kamczatki i zamieszkała wyłącznie przez więźniów). Zesłanemu Wawiłowowi nakazano prace nad aklimatyzacją w tym arktycznym kraju owsa i kapusty. Zmarł w Magdanie (Kołyma) nie wytrzymując tamtejszych warunków klimatycznych.

Jeśli spór naukowy na temat genetyki Mendel-Wawiłow-Łyszenko był, jak twierdzi pan Prenant, wolny, otwarty i publiczny, to wydaje mi się jednakże słusznym przypomnienie, iż Wawiłow, jeden z głównych uczestników tej debaty zmarł na wygnaniu w arktycznym kraju. Nie widziałem przecież w Europie Zachodniej lub w Ameryce, wielkiego uczonego o nieskazitelnej uczciwości, wrzuconego do więzienia, skazanego na śmierć i zesłanego z powodu dyskusji naukowej.

Łączę wyrazy *etc...*

Józef CZAPSKI

14. David J. Dallin; Boris I. Nicolaevsky, *Forced Labor in Soviet Russia*, New Haven, Yale University Press, 1947.

15. Jak dowiodły późniejsze badania informacja ta nie była ścisła. Wawiłow zmarł z głodu w więzieniu w Saratowie 26 I 1943 r.

Edward KOSSOY

GROTESKA? NA MARGINESIE KSIĄŻKI M. J. CHODAKIEWICZA «PO ZAGŁADZIE»

Przedmowa do książki Marka Jana Chodakiewicza¹ stwierdza, że nie jest ona „polemiką, ale solidnym i drobiazgowym opracowaniem opartym na niezmiernie bogatej dokumentacji”. I rzeczywiście: cytowana przez autora dokumentacja i bibliografia mogą, co najmniej objętościowo, imponować. Pod warunkiem, że autor posługuje się tymi źródłami we właściwy sposób. Ale to w dwóch parametrach wydaje się być wątpliwym.

Przede wszystkim uderza apologetyka autora w stosunku do Narodowych Sił Zbrojnych. Rola NSZ w walce z okupantami jest wyraźnie wyolbrzymiona, współdziałanie z Niemcami w końcowej fazie okupacji (Brygada Świętokrzyska) zbagatelizowane lub po prostu pominięte². Wypowiedziom członków formacji NSZ autor wszędzie i zawsze daje wiarę i to nawet wtedy, kiedy są najwyraźniej sprzeczne z powszechnie głoszoną podstawową ideologią. Za to oskarżenia NSZ o popełnienie przestępstw jest podawane negującej te oskarżenia analizie. Żydowskie źródła informacyjne są z zasady oceniane negatywnie. To nastawienie zmienia się w sposób radykalny i zaskakujący, ilekroć Żyd wyraża się negatywnie o swoich współwyznawcach lub

1. M. J. Chodakiewicz, *Po Zagładzie. Stosunki polsko-żydowskie 1944-1947*, przekład A. Madej, Warszawa 2008.

2. *Ibidem*, s. 16.

machinacjach bezpieki, stając się dla autora źródłem wiarygodnym i z lubością cytowanym³.

Z odnośników wynika, że najczęściej przez niego cytowanym historykiem jest Leszek Żebrowski, którego Chodakiewicz cytuje 21 razy. Częściej od Żebrowskiego czytelnik jest odsyłany do własnych wypowiedzi autora (22 razy). Z obydwojma nie może konkurować żaden (choćby najbardziej znany i uznany) historyk polski lub żydowski. Żebrowski jest ogólnie znany jako apologeta Narodowych Sił Zbrojnych⁴. A Chodakiewicz w wielkiej mierze dzieli jego poglądy⁵.

Wynika to jasno z opracowania przedstawionej przez Chodakiewicza na sześćdziesiątym drugim rocznym zebraniu Polish Institute of Arts and Sciences of America of Northeastern University, Boston 4-5 czerwca 2004 i zatytułowanego *The Warsaw Rising, 1944: Perception and Reality*⁶. Autor stwierdza, że prawica, którą początkowo określa mianem „narodowców” (*nationalists*) stanowiła zdecydowaną większość zaangażowanych w powstańczej „Burzy” sił (s. 9). Z tego ogółu wyodrębnia NSZ, liczące według niego w Warszawie w przeddzień Powstania 6800 żołnierzy, z których „mała radykalna mniejszość 2 000” nie podporządkowała się dowództwu AK (s. 10)⁷. Chodakiewicz ubolewa nad tym, że według niego nawet najbardziej solidnie udokumentowane chwalebne czyny „narodowców” zostają przemilczane ze względu na odrzucenie ich ideologii, w szczególności antysemityzmu. Przyznając, że w czasie Powstania „około czterdziestki żydowskich cywilów zginęło z rąk kilku czerwonych (!) powstańców” (*rouge insurgents*) uważa, że „były to rozmaite i nie powiązane ze sobą epizody o charakterze raczej kryminalnym niż

3. Np. Icchak Cukierman, Joseph Rothschild (*ibidem*, s. 172), Samuel Gringauz (*ibidem*, s. 18).

4. L. Żebrowski: *NSZ – Dokumenty – Struktury – Personalalia*, Warszawa 1994. Ciekawe, że Chodakiewicz, cytując artykuły i monografie Żebrowskiego, nie wspomina nigdzie tej zasadniczej pracy.

5. W roku 1994, ukazała się w Warszawie w tym samym duchu jego monografia *Narodowe Siły Zbrojne. «Ząb» przeciwko dwu wrogom* (wydanie rozszerzone 1999).

6. Por. także M. J. Chodakiewicz, *The Varsovian Rising, 1944*, „Glaukopis” 2005, nr 2/3, s. 61-75.

7. J. Kirchmayer, *Powstanie Warszawskie*, Warszawa 1959, podaje jako liczebność tej grupy NSZ – 740 osób (s. 138).

politycznym lub rasistowskim” (s. 12)⁸. Nagłe pojawienie się dotychczas nikomu nieznanych „czerwonych powstańców” jest dowodem niecodziennego żonglowania terminologią – w ten sposób „narodowcy” zmieniają się z czasem w „niepodległościowców”, aby skończyć po prostu jako „powstańcy”. Wszystko to po to, aby zarzucane NSZ i ich następcom przestępstwa „rozpuszczały” się w rzekomo wielo- organizacyjnych grupach bez względu na ich często sprzeczne ideologie i metody działania. Za to za każdym razem, kiedy wspomniane jest udowodnione lub urojone⁹ zachowanie godne pochwały, autorstwo lub współudział NSZ jest podkreślany. Rehabilitując NSZ Chodakiewicz wska-

8. Jak stwierdza Chodakiewicz przy innej okazji (*The Warsaw Rising...*, s. 13), żołnierze zgrupowania „Chrobry II”, których oskarża się o obrabowanie i morderstwo ukrywającej się grupy żydowskich cywilów, składali się głównie z ochotników ONR i „Miecza i Pługa”, dwóch podstawowych elementów oddziałów NSZ. Nakazane przez dowódcę Powstania „Montera” śledztwo z rozkazem postawienia winnych przed sąd polowy miało dość dziwny przebieg. Prawie natychmiast żandarmeria ustaliła nazwiska winnych trzech żołnierzy i dwóch cywilów. Dowódca zgrupowania mjr „Hal” (Władysław Stykowski) zameldował, że wysłany przez niego patrol, znalazłszy u podejrzanego kaprała Unruga pieniądze i kosztowności odebrał je, a Unruga, zamiast go aresztować i zgodnie z rozkazem postawić przed Sądem Polowym, na miejscu zastrzelił bez podania, gdzie pochowano zwłoki rzekomo rozstrzelanego. Wygląda to więc bardziej na zaaranżowany przez „Hala” kamuflaż, w wyniku którego odebrano łup, a bandytom dano możliwość ucieczki. Jakub Petelewicz z Centrum Badań nad Zagładą Żydów IFiS PAN w odpowiedzi na moje zapytanie pisze (27 I 2007) po zbadaniu dostępnych źródeł: „na skutek meldunku o zastrzeleniu dwóch sprawców, żandarmeria zaniechała dalszych dochodzeń i trzech pozostałych nie było już nigdy ściganych. Wydaje mi się więc uzasadnionym zameldować wątpliwości co do rzekomego rozstrzelania dwóch sprawców. Równie dobrze może to być początek kamuflażu – zacierania śladów”.

9. Do takich należy np. akcja w Białobrzegach 12 IX 1945, gdzie wymuszono od Żydów 24 000 zł i zmuszono ich do opuszczenia miasta i mienia w ciągu 3 dni (*Po Zagładzie...*, s. 148). Wcześniej, 24 III 1945 w Czyżewie „powstańcy dokonali egzekucji trzynastu kolaborantów sowieckich, w tym dziewięciu Żydów”. I Chodakiewicz podkreśla: „jednakże większości ludności żydowskiej nie skrzywdzono, a później pozwolono (!) Żydom spokojnie (!) wyruszyć do Wysokiego Mazowieckiego” (*ibidem*, s. 146). Zresztą w tym okresie rozklejano w całym szeregu miast i miasteczek afisze wzywające pod rozmaitymi zagrożeniami Żydów do opuszczenia w ciągu kilku tylko dni tych miejscowości *ibidem*, s. 173-174.

zuje na rzekomo nieznanym, ale dość liczny udział Żydów w ich szeregach w czasie Powstania. Jako przykład wspomina kilkakrotnie doktora Romana Born-Bornsteina¹⁰. Z osobistej relacji Borna dowiadujemy się, że w konspiracji należał do PAL i był szefem służby zdrowia tego lewicowego ugrupowania. W dniu wybuchu Powstania znalazł się w Śródmieściu bez możliwości przedostania się na Pragę do rodzimej PAL. W tej sytuacji zgłosił się do najbliższego zgrupowania. Okazało się nim „Chrobry II”, wówczas dowodzone przez mjr. „Ligę” – oficera służby czynnej nazwiskiem Nowakowski, który w konspiracji przypadkowo został formalnie członkiem NSZ. „Ligę” mianował Borna swoim zastępcą, powierzając mu organizację służby zdrowia. Po 8 dniach Born został mianowany szefem sanitarnym IV Rejonu AK i opuścił zgrupowanie „Chrobry”. Podkreśla, że poza tym przypadkowym dwutygodniowym epizodem, nigdy nie był w jakikolwiek sposób zbliżony do NSZ¹¹.

Ze wspomnień kilku innych żydowskich uczestników Powstania wynika, że rzeczywiście pełnili służbę w oddziałach NSZ. Ale zawsze pod kamuflażem i z ukryciem prawdziwej tożsamości. Jednym z wyjątków jest ocalony uczestnik powstania w obozie zagłady Treblinka Samuel Willenberg, który po udanej ucieczce dołączył do zgrupowania „Chrobry II” pod własnym nazwiskiem. W swoich wspomnieniach pisze, jak żołnierze NSZ, ustalwszy, że jest Żydem, postanowili go zgładzić i próbowali zamiar ten wprowadzić w czyn w czasie walk na placu Zbawiciela¹². Z wiarygodnych relacji innych uczestników powstania wynika, że ofiarami NSZ padło nie tylko, jak chce Chodakiewicz, „około czterdziestu cywilów” żydowskich, ale także walczący w powstaniu ochotnicy żydowscy, w szczególności oswobodzeni „pasiacy” z „Gęsiówki”¹³. Wygląda na to, że winnych morderstw „czerwonych powstańców” musiałoby być więcej niż kilku. Wreszcie, wspomniany przez Chodakiewicza oddział

10. *Ibidem*, s. 46, 47, 123, 182.

11. R. Born-Bornstein, *Powstanie Warszawskie. Wspomnienia*, „Zeszyty Historyczne” 1987, z. 80, s. 152-234.

12. S. Willenberg, *Bunt w Treblince*, oprac. A. Żbikowski, Warszawa 2004, s. 185.

13. E. Kossoy, *Żydzi w Powstaniu Warszawskim*, „Zeszyty Historyczne” 2004, z. 147, s. 48-49.

żydowski z więźniów „Gęsiówki” afiliowany rzekomo z NSZ jest chyba identyczny ze stacjonowanym przy ul. Hipotecznej 5 przeszło 20-osobowym oddziałem ratowniczym stworzonym i dowodzonym przez Ferdynanda Jana Pilcha z AK, aktywnie zaangażowanego w akcji pomocy Żydom¹⁴.

Prof. Jerzy Tomaszewski w obszernej recenzji w nowojorskim „Nowym Dzienniku” z 6 IV 1995 pisze: „Publicystyka i po części historiografia polska ukształtowały dwa obrazy Narodowych Sił Zbrojnych. Jeden, to diaboliczne widmo organizacji o marginalnych co prawda wpływach, której przypisać jednak można rozmaite zbrodnie, włącznie ze współpracą z hitlerowskim okupantem oraz mordowaniem Żydów ocalałych z zagłady. Drugi, to anielski, (choć w stylu pana Podbięty) wizerunek formacji, która wpływami mogła rywalizować z Armią Krajową oraz szlachetnie i niezłomnie walczyła o niepodległość przeciwko wszystkim okupantom. Dla autorów deklaracji i publicystyki NSZ obywatele polscy skazani na zagładę przez hitlerowców «to były rzesze żydowskich pasożytów»...”.

I dalej: „Poważni badacze usiłują ustalić fakty i wyjaśnić sprzeczności [...] Jeżeli chodzi o Żydów, to dla autorów ideologia NSZ nie jest identyczna z hitleryzmem. Autorzy dokumentów dystansują się od hitlerowskich zbrodni, lecz zarazem dostrzec można cichą satysfakcję z wymordowania narodu żydowskiego («kara dziejowa») [...] Opublikowane dokumenty są dostatecznie wymowne, by oskarżenie tej organizacji [NSZ] o udział tej organizacji (zapewnie skromny, tak jak prawdopodobnie skromne były jej realne wpływy) w zagładzie Żydów było prawdopodobne [...] Jeśli nawet okaże się, że jednoznacznych dowodów brak, pozostaje faktem, iż deklaracje ideowe oraz publicystyka polityczna tej organizacji przyczyniały się do stworzenia atmosfery, w której pomoc w ludobójstwie przedstawiała być zbrodnią, a zadowolenie z niego nie było moralnie haniebne”. W parę lat później prof. Tomaszewski tak zakończył recenzję wydanej w roku 2000 książki Chodakiewicza *Żydzi i Polacy 1918-1955. Współistnienie-Zagłada-Komunizm*: „Przed czytaniem tej książki sądziłem, że autor jest historykiem, z którym można

14. W. Bartoszewski, Z. Lewinówna, *«...ten jest z ojczyzny mojej». Polacy z pomocą Żydom, 1939-1945*, Warszawa 1969, s. 573-575.

nie zgadzać się, ale którego argumenty i analiza źródeł zasługują na uwagę. Niestety, doszedłem do wniosku, że on nade wszystko dąży do szerzenia swoich ściśle nacjonalistycznych poglądów¹⁵.

Drugim wzbudzającym zastrzeżenia parametrem jest zawężenie poniżej niezbędnego minimum w elaboracie Chodakiewicza roli Kościoła w stosunkach polsko-żydowskich. Ten temat, i to z wielką wstrzemięźliwością, jest poruszony tylko w związku z pogromem kieleckim z 4 lipca 1946. Poza tym czytelnik zostaje po prostu skierowany do polecanej przez autora literatury¹⁶. Martyrologia biskupa kieleckiego Czesława Kaczmarka w rękach rzekomo żydowskich funkcjonariuszy bezpieki jest opisana¹⁷, ale nie 18-stronicowe memorandum, które biskup złożył ambasadorowi USA i w którym przypisał zorganizowanie pogromu kieleckiego Żydom¹⁸. Nie wspomina też o raporcie ambasadora Wielkiej Brytanii w Warszawie, zdumionego tym, że hierarcha Kościoła rzymskokatolickiego (biskup sufragan katowicki) usiłuje go przekonać o podstawności oskarżania Żydów o mord rytualny. Wreszcie, nie dowiadujemy się od niego, że biskup częstochowski Teodor Kubina jako jedyny z katolickiej hierarchii ostro potępił z ambony pogrom i zaprzeczył wszelkim oskarżeniom o mord rytualny i w następstwie został oficjalnie potępiony przez episkopat za „współuczestniczenie w wydaniu odezw, których treść i intencje inni ordynariusze diecezji uznali za niemożliwe do przyjęcia z zasadniczych założeń myślowych i kano-

15. Angielskie tłumaczenie w: „Polin” 2007, vol. 19, s. 485.

16. *Po Zagładzie...*, odnośnik 36 na s. 66. Wybór bezsprzecznie selektywny: nie ma w nim ani „Tygodnika Powszechnego”, ani wydawnictw „Znaku” lub „Więzi”, ani np. ks. Rolanda Modrasa: *Kościół katolicki i antysemityzm w Polsce w latach 1933-1939*, Kraków 2004, gdzie autor stwierdza, że „duchowieństwo katolickie przez lata piętnowało Żydów jako wrogów kościoła i jego misji”. Natomiast jest esej Johna Micggia *Kościół katolicki i pogrom kielecki* („Niepodległość”, t. XLV, Nowy Jork-Londyn 1992, s. 134-172) z przytoczeniem źródeł, według których w Polsce międzywojennej nie było antysemityzmu, a inicjatorami pogromu kieleckiego byli Żydzi.

17. *Ibidem*, s. 196, odnośnik 58.

18. W sześćdziesiątą rocznicę pogromu kieleckiego 4 VII 2006 prasowy organ Radia Maryja, „Nowy Dziennik” opublikował memoriał bp. Czesława Kaczmarka jako jedyne wiarygodne sprawozdanie tych wypadków.

nicznych Kościoła katolickiego”¹⁹. Oficjalne stanowisko Kościoła sformułowane zostało w oświadczeniu prymasa Augusta Hlonda w spotkaniu z dziennikarzami zagranicznymi 11 lipca 1946: „Kościół katolicki zawsze i wszędzie potępia wszelkie mordy. Potępia je też w Polsce bez względu na to, przez kogo są popełniane i bez względu na to, czy popełniane są na Polakach, czy na Żydach, w Kielcach, czy innych zakątkach Rzeczypospolitej”. W tym samym czasie, jak wyżej wspomniano, biskup sufragan katowicki Juliusz Bieniek usiłował przekonać zdumionego tym ambasadora Wielkiej Brytanii Victora Cavendish-Bentincka, że Żydzi rzeczywiście porwali chłopca w Kielcach i utoczyli z niego krew na macę²⁰.

Dla lepszego zrozumienia elaboratu Chodakiewicza trzeba przypomnieć, że jest to sponsorowany przez IPN prawie dosłowny przekład opublikowanego w roku 2003 w USA angielskiego oryginału pod tytułem: *After the Holocaust. Polish-Jewish Conflict in the Wake of World War II*²¹. Zarzucenie terminu „konflikt” w polskim przekładzie wydaje się mało uzasadnione. Stosunki społeczeństwa żydowskiego w USA do Polski w okresie od początku drugiej wojny światowej do umocnienia się sowieckiej okupacji Polski ulegały daleko idącym zmianom. Jako ofiara niemiecko-sowieckiej agresji Polska cieszyła się ogólną sympatią, jak również londyński rząd emigracyjny i armie polskie na Zachodzie. To pozytywne nastawienie zaczęło ulegać zmianom na gorsze w miarę otrzymywania z okupowanej przez Niemców Polski wiadomości o stosunku radykalnych kół prawicowych do prześladowanych i zagrożonych zagładą Żydów. W szczególności oddziałów NSZ przed, w czasie i po Powstaniu Warszawskim. To w niemałym stopniu tłumaczy, dlaczego Chodakiewicz w

19. J. T. Gross: *Strach*, Kraków 2008, s. 136-137 i 191-192. Stefan Wyszyński, wówczas świeżo ingresowany biskup lubelski, późniejszy „Prymas Tysiąclecia”, proszony o publiczne napiętnowanie antysemityzmu i rozpowszechniania pogłosek o mordzie rytualnym, odmówił, tłumacząc, że kwestia mordu rytualnego nie została dostatecznie wyjaśniona (*ibidem*, s. 137).

20. *Ibidem*, s. 193-194 oraz 133-134.

21. Ostro skrytykowana przez prof. Davida Engla jako w pełni rozumijająca się z zadeklarowanym celem wzajemnego porozumienia się, natomiast usiłująca pod płaszczykiem historycznych badań zrehabilitować małe prawicowe ugrupowanie („Polin” 2005, vol. 18, s. 424-434).

pierwszym rządzie spróbował zająć się rehabilitacją NSZ.

Punktem zwrotnym w stosunkach polsko-żydowskich był niewątpliwie – i to nie tylko w Ameryce – pogrom kielecki 5 lipca 1946 i wspomniane wyżej związane z nim reakcje hierarchii rzymskokatolickiej w Polsce. Jasnym jest, że sformułowane na tym tle wywody Chodakiewicza mogły przemówić do kół zbliżonych do Edwarda Moskala, ale z pewnością nie do tych zainteresowanych w dialogu polsko-żydowskim. Publikacja polskiego przekładu pod egidą Instytutu Pamięci Narodowej zadziwia tym bardziej, że w ciągu 5 lat dzielących te dwa wydania wiele archiwów włącznie z IPN i liczne inne źródła stały się dostępne historykom. Szkoda, że Chodakiewicz nie uważał za potrzebne z tego skorzystać. A przydałoby się! Mały przykład: o żydowskim bojowniku Kedywu AK Stanisławie Aronsonie Chodakiewicz pisze, że „w 1945 roku przedostał się na Zachód, skąd wspomagał walczące w Polsce antykomunistyczne podziemie, poczym wyjechał do Izraela, gdzie niedawno zmarł”²². W rzeczywistości Aronson występował wielokrotnie w latach dwudziestych na łamach prasy w obronie poprawnego zachowania się żołnierzy AK względem Żydów. Rozwinął energiczną i skuteczną działalność na rzecz umieszczenia tablicy upamiętniającej zdobycie Umschlagplatzu i oswobodzenie tam 350 więźniów „Gęsiówki” przez oddział „Kedywu” 1 sierpnia 1944. W 2007 roku bardzo żywy Stanisław Aronson otrzymał w Warszawie z rąk Prezydenta RP Krzysz Komandorski Orderu Odrodzenia Polski²³.

Zdaniem przedmówcy prof. Roszkowskiego, Chodakiewicz badając wydarzenia ocenia je „z naukową rzetelnością, rozważą, bezstronnością i zrozumieniem”. Rafał Wnuk w swojej niedawnej recenzji bardzo przekonująco sformułował wręcz przeciwne zdanie, wskazując także na to, jak Chodakiewicz manipuluje i przeinacza cytowane przez niego rzekome fakty. Porównując broszurę Chodakiewicza z książką Grossa, Wnuk stwierdza, że mimo zasadniczych różnic obu autorów łączy podejście, według

22. *Po Zagładzie...*, s. 47.

23. Por. *Uciekłem z transportu, trafiłem do Kedywu. Ze Stanisławem Aronsonem, pseudonim «Rysiek» rozmawia M. Urynowicz*, „Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej” 2008, nr 8-9 (91-92), s. 128-136.

którego interesują ich wyłącznie źródła przemawiające na rzecz wcześniej przyjętej tezy. „Chodakiewicz z szatańską poprawnością polityczną walczy z żydowskim «antypolonizmem» i broni czci «powstańców», głównie tych z NSZ [...] Niestety, traktowanie *Po Zagładzie* w kategoriach «lekarstwa» na *Strach*, lub *Strachu* jako *antidotum* na *Po Zagładzie* jest leczeniem dżumy cholerą”²⁴.

Jednakże ta ocena wydaje się i zbyt radykalna, i zbyt surowa. Nikt nie może odmówić autorom prawa do własnych poglądów bez względu na ich większą lub mniejszą popularność. Zresztą, jeżeli chodzi o popularność, to Chodakiewicz i jego mistrzowskie manipulowanie faktów i terminologii pozbawia go wprowadzie uznania u historyków, ale zwraca się z nadwyżką wśród tak zwanych „szerokich mas”: w przepełnionych salach zebrań poważnie konkuruje z ideologicznie spokrewnionym toruńskim profesorem Robertem Nowakiem.

Tezy i poglądy Jana Tomasa Grossa spotykają się co prawda z większym uznaniem historyków, ale przede wszystkim z szeroko rozpowszechnionym popularnym sprzeciwem. Ale historycy nie kwestionują przytaczanych przez niego faktów. Pomimo potępienia przez hierarchię kościelną i denuncjacji w prokuraturze, wielu historyków uważa wydanie *Strachu* przez katolicki „Znak” za działanie w duchu nauk Jana Pawła II, jego wielokrotnym potępieniu antysemityzmu jako grzechu i wskazywaniu na odwieczną i zawsze aktualną judeochrześcijańską wspólnotę źródeł religijnych i kulturalnych, i dziś prawie zapomnianego listu pasterskiego episkopatu polskiego sprzed przeszło siedemnastu lat²⁵, a w każdym razie za bardziej godne uznania niż wydanie książki Chodakiewicza przez IPN. Nie przekonuje również argument, zarzucający Grossowi „budzenie demonów”. Z tej prostej przyczyny, że one bynajmniej nie śpią i stąd nie ma potrzeby ich budzić. Wystarczy lektura „Naszego Dziennika”,

24. R. Wnuk, „*Po Zagładzie*” M. J. Chodakiewicza. „Zeszyty Historyczne” 2008, z. 163, s. 175-188.

25. Odczytany z ambon w styczniu 1991, w którym biskupi pisali: „Choćby tylko jeden chrześcijanin mógł pomóc, a nie podał pomocnej ręki Żydowi w czasie zagrożenia lub przyczynił się do jego śmierci, każe to nam prosić nasze Siostry i naszych Braci Żydów o przebaczenie... Wyrażamy także szczerze ubolewanie z powodu wszystkich wypadków antysemityzmu, które kiedykolwiek i przez kogokolwiek na polskiej ziemi zostało dokonane...”

„Naszej Polski”, słuchanie Radia Maryja etc. etc.²⁶. W tej samej kategorii jest, między innymi, uparta odmowa biskupów sandomierskich usunięcia z tamtejszej katedry i kościoła św. Pawła bohomazów ilustrujących rzekome mordy rytualne²⁷.

W tych warunkach głoszona przez przedmówcę rzekoma „naukowa rzetelność, rozważa, bezstronność i zrozumienie” M. J. Chodakiewicza i jego próba zbadania prawdziwego charakteru stosunków pomiędzy Polakami a Żydami wydają się raczej zakrawać na groteskę.

Edward KOSSOY

26. J. Jedlicki, *Tylko tyle i aż tyle*, „Tygodnik Powszechny”, 27 I 2008.

27. Szczegóły: ks. M. Czajkowski, *Obraz Żyda jako wroga: mordy rytualne*, w: „Zagłada Żydów. Studia i materiały. Pismo Centrum Badań nad Zagładą Żydów PAN” 2006, t. 2, s. 426-437. Podobne obrazy zdobyły kościół rzymskokatolicki w bawarskim Deggendorfie. Pielgrzymom w ciągu paruset lat zagwarantowany był odpust. Tradycja była uszanowana za rządów Hitlera. Ale episkopat niemiecki już w 1945 roku kazał usunąć obraźliwe obrazy do muzeum i zniósł pielgrzymki i odpust. Natomiast w Polsce, tym razem ze strony kościoła prawosławnego, są próby wznowienia kultu rzekomych ofiar mordów rytualnych (J. Żyndul, *„Żyd ze Zwierek porwał mnie dziecinę”*. Kult św. Gabriela Zabłudowskiego, „Więź” 2008, nr 4-5/594-595, s. 99-109). Także M. Zaremba, *Oni mordują nasze dzieci! Mit mordu rytualnego w powojennej Polsce*, „Więź” 2007, nr 10/588, s. 90-109, nr 11-12/589-590, s. 96-112.

Tadeusz WYRWA

STOSUNKI POLSKO-BRYTYJSKIE OD WERSALU DO JAŁTY

Powszechna wydaje się być reguła, że autorzy publikacji historycznych – a wielu ich w ogóle nie było i nie ma – piszący na temat stosunków polsko-brytyjskich, przyjmują z góry ustalone tezy, co często jest skutkiem niewystarczającej doku-

mentacji, zwłaszcza w odniesieniu do historii najnowszej.

Profesor Jan M. Ciechanowski stwierdza w swojej najnowszej książce¹, że w London School of Economics and Political Science, uczelni do których uczęszczał, „Uczono nas od samego początku, że w nauce nie ma żadnych autorytetów, że wszystko podlega dyskusji, że do prawdy należy dochodzić samemu; że we wszystkim należy stosować umiar...”. Autorowi nie we wszystkim jednak udało się zachować umiar, co nie umniejsza wartości jego piśmiennictwa, a często pobudza do myślenia. Proszony o recenzję ograniczam się w niej do faktów, unikając polemiki z tym, z czym się nie zgadzam i co wymagałoby obszerniejszego omówienia, stąd też recenzja ma charakter informacyjny, a nie analityczny.

We wprowadzeniu czy też wstępie datowanym: Londyn, marzec 2007 r., Jan Ciechanowski nawiązuje do niektórych problemów, o jakich jest następnie mowa w różnych rozdziałach tego zbioru. Niektóre problemy powtarzają się, co też i trudne jest do uniknięcia, jak w większości opracowań już wcześniej opublikowanych w różnych czasopismach. Autor wyjaśnia, że publikacja jest zbiorem artykułów, recenzji i dokumentów, dotyczących stosunków polsko-brytyjskich, szczególnie z dziedziny wywiadowczej. Artykuły ukazały się głównie w „Zeszytach Historycznych” w latach 1982-2005. Znajduje się tam i materiał nowy, chociażby częściowo, czego przykładem rozszerzone i uzupełnione przyczynki do raportu Polsko-Brytyjskiej Komisji Historycznej na temat wspólnej działalności wywiadowczej. Wynikiem pracy tej Komisji był dwutomowy raport, wydany po polsku i angielsku, „z którego niezbiecie wynika, że wywiad polski walnie przyczynił się do zwycięstwa aliantów nad III Rzeszą Niemiecką”.

Przechodząc do okresu z lat pierwszej wojny światowej prof. Ciechanowski przypomina, że w 1919 roku w Wersalu, minister Lloyd George dążył do utworzenia „małej” Polski w granicach, jakie byłyby do przyjęcia zarówno w Berlinie, jak i w Moskwie. Ważnym kryterium brytyjskiej polityki zagranicznej były starania, żeby nie dopuścić, aby na kontynencie jedno państwo czy

1. J. M. Ciechanowski, *Wielka Brytania i Polska: od Wersalu do Jajty. Wybór artykułów, dokumentów i recenzji*, przedm. A. Koseski, Pułtusk: Akademia Humanistyczna im. A. Gieysztor, 2008.

też grupa państw odgrywała zasadniczą rolę. Krzywym przeto okiem patrzono na Francję, mogącą stać się czołową potęgą w Europie. Nie chcąc zwalczać bezpośrednio sprzymierzonej z Wielką Brytanią Francji, zwalczano Polskę – i jej roszczenia terytorialne. Lloyd George wychodził z założenia, że „wielka” Polska może stać się zarzewiem nowych konfliktów, gdyż ani Berlin, ani Moskwa nie akceptują granic, o które zabiegali Polacy. Stąd też uważał linię Curzona za najlepszą dla nas i dla Europy. Udzielenie 31 marca i 6 kwietnia 1939 roku przez Neville’a Chamberlaina gwarancji naszej niepodległości miało na celu odstraszenie Hitlera od wszczynania walki na dwa fronty – czego Führer pragnął uniknąć.

W maju 1940 roku nastąpił upadek rządu Chamberlaina. Do władzy doszedł Winston Churchill, który – w przeciwieństwie do lorda Halifaxa, ówczesnego ministra spraw zagranicznych – postanowił walczyć nadal z Niemcami. Był przekonany, że wcześniej czy później Stany Zjednoczone i Związek Sowiecki przystąpią do wojny z III Rzeszą, co z kolei doprowadzi do powstania koalicji antyhitlerowskiej, do czego też doszło i co spowodowało zwycięstwo aliantów. Dużą w tym rolę odegrał polski wywiad i zdobyta przez Polaków Enigma, niemiecka maszyna do szyfrowania, o czym jest obszernie mowa w zbiorze Ciechanowskiego.

Churchill, czytamy tam dalej, zabiegał o możliwie jak najlepsze nasze stosunki z Moskwą, w czym istotne było to, jak sądził, żeby nasze wschodnie granice były dla niej do przyjęcia. W rzeczywistości, na żądanie Stalina, zgadzał się na oddanie Rosji całych naszych Kresów, z Wilnem i Lwowem włącznie. Jako rekompensatę za utracone przez Polskę ziemie na wschodzie, premier brytyjski proponował w Teheranie przesunięcie, kosztem terenów niemieckich, naszych granic o 150 mil na zachód. Łudził się, że rozwiązanie to zadowoli Stalina, bo przecież, jak sądził „sowiecki przywódca nie był taki zły, jak to się nam wydawało”. Z kolei Roosevelt nie był skory do pomocy Churchillowi uważając, że rozwiązanie „sprawy polskiej” stanowi problem Wielkiej Brytanii. Znamienne było, iż „zarówno Churchill, jak i Roosevelt uważali nazizm za większe zło niż komunizm, który był dla nich zjawiskiem przejściowym i musiał wcześniej czy później upaść”.

W rozdziale *Przystąpienie Anglii do wojny*, przedstawiona jest

dość szczegółowo procedura wzajemnych układów polsko-brytyjskich przed wybuchem wojny i jej przebieg w pierwszym okresie. Ciechanowski zarzuca ministrowi Beckowi, że nie rozumiał iż gwarancje brytyjskie z 31 marca i 6 kwietnia 1939 r. były dla Polski jedynie gestami dyplomatycznymi, bez żadnego pokrycia, czego Beck, ponoszony oficerską butą, nie chciał zrozumieć. Dalej mowa jest o pakcie o nieagresji, zawartym przez Hitlera ze Stalinem w nocy z 23 na 24 sierpnia 1939 roku, do którego dołączono tajny protokół. W tym samym czasie rząd polski nie tracił wiary w „solidarność sprzymierzeńców”, licząc – gdyby doszło do wybuchu wojny – na skuteczną pomoc Francji i Anglii, co wkrótce okazało się złudzeniem. W sumie zawarcie sojuszu polsko-brytyjskiego przyspieszyło uderzenie Hitlera na nasz kraj, a sojusznikom dało kilka miesięcy czasu na uzbrojenie i zorganizowanie swojej armii, czasu, którego właściwie nie potrafiono czy też nie chciano wykorzystać.

Następny rozdział, zatytułowany *Pod kuratelą Wielkiej Brytanii*, obejmuje okres od września 1939 – do czerwca 1941 r., czyli od ataku Hitlera na Polskę do zawarcia polskiego układu ze Stalinem. Polska opuszczona przez sprzymierzeńców nie była w stanie bronić się dłużej niż kilka tygodni. Mimo wszystko żołnierz polski zapisał w kampanii wrześniowej bohaterskie epizody na kartach naszych dziejów. W kraju szerzył się niemiecki terror, a jednocześnie wzmacniano ruch oporu i budowę Polskiego Państwa Podziemnego. Prześladowania miały miejsce na Kresach Wschodnich, z tą tylko różnicą, że były to prześladowania sowieckie.

Ciechanowski pisze, że gen. Sikorski starał się współpracować z władzami francuskimi na zasadach partnerskich, co okazało się trudne m.in. i dlatego, że materialnie (uzbrojenie armii) uzależniony był od rządu francuskiego. To uzależnienie, dodajmy od siebie, było symptomatyczne, nie tylko zresztą pod względem finansowym, w całych naszych krajowo-emigracyjnych dziejach.

W innym miejscu autor przytacza wypowiedzi Churchilla pod adresem Polaków, których uważał za „najwaleczniejszych z walecznych”. Jednocześnie miał wiele zastrzeżeń odnośnie naszych sfer rządzących. Był zdania, że jego Polacy – „londyńscy” – byli „porządni”, ale „słabi”, a „lubelscy” byli po prostu

„nikczemnymi quislingami”. Churchill twierdził, że: „Jest to tajemnicą i tragedią europejskiej historii, że naród zdolny do wszystkich cnót heroicznych, utalentowany, waleczny, czarujący, jeśli chodzi o poszczególne jednostki i z osobna, tak uporczywie powtarza kolejne błędy w niemal w każdym aspekcie ich rządowego życia. Wspaniali w buncie i upadku, nędzni i niegodziwi w triumfie. Najdzielniejsi z dzielnych, często prowadzeni przez najpodlejszych z podłych”.

Ciechanowski pisze, że niestety w tej obraźliwej krytyce Churchilla „kryło się sporo gorzkiej prawdy, gdyż rzeczywiście popełnialiśmy w naszych tragicznych dziejach wiele zbytecznych błędów”, dodając, że „niestety, w czasie ostatniej wojny na naszych politycznych i wojskowych szczytach panowało bezhołowie i brak zrozumienia warunków, w jakich musieliśmy walczyć z Niemcami”.

Mimo różnych trudności, wzlotów i upadków, współpraca brytyjsko-polska, jak przypomina Ciechanowski, trwała przez cały okres wojny, mimo że formalnie zakończyła się właściwie po Jałcie. Polska i Wielka Brytania, co również warto przypomnieć, były jedynymi krajami, które solidarnie walczyły od początku do zakończenia drugiej wojny światowej, nie dla wszystkich ze szczególnym końcem. Jak powszechnie wiadomo, przełomową datę stanowiło uderzenie 22 czerwca 1941 r. Hitlera na ZSSR. Polacy i Sowieci znaleźli się w zupełnie nowej sytuacji: walki ze wspólnym wówczas wrogiem. W wyniku tego doszło do nieszczęsnego (jak to określa Ciechanowski) przymierza, które trwało od lipca 1941 do kwietnia 1943.

30 lipca 1941 został podpisany w Londynie pakt polsko-sowiecki, nazywany od ich sygnatariuszy paktem Sikorski-Majski. Układ przywracał stosunki dyplomatyczne oraz regulował współpracę wojskową. Zaczęto od ogłoszenia „amnestii” dla obywateli polskich znajdujących się na terytorium ZSSR, co pozwoliło na utworzenie armii Andersa oraz później ewakuację wojska wraz z rodzinami na Środkowy Wschód. Nie wszystkim udało się wydostać z tego sowieckiego piekła, zwłaszcza gdy chodziło o obywateli polskich z anektowanych ziem wschodnich.

Wkrótce pojawiła się sprawa zaginięcia kilkunastu tysięcy oficerów polskich wziętych do niewoli przez Armię Czerwoną. W kwietniu 1943 r. Niemcy ogłosili, że w lesie katyńskim koło

Smoleńska, odkryto masowe groby tysięcy oficerów polskich wymordowanych przez Sowietów. Rząd Sikorskiego zwrócił się do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Genewie o zbada-
nie całej sprawy. Podobne starania wszczęli również Niemcy. Ciechanowski sądzi, że ze strony polskiej był to „taktycznie nie-
fortunny krok”. Następnie pisze, że Brytyjczycy czuli, iż „katyń-
ska masakra była dziełem Rosjan, ale nalegali na Polaków, aby
mówili o niej jak najmniej”.

Moskwa skorzystała z okazji i zerwała stosunki dyploma-
tyczne z rządem polskim. Po tym politycznym „zabiegu” Stalin
mógł swobodniej realizować swoje plany. Był to punkt zwrotny
w stosunkach polsko-sowieckich. Powstaje wówczas w Moskwie
Związek Patriotów Polskich, który wkrótce, w oparciu o
Sowietów, stał się załącznikiem przyszłego „rządu polskiego”. Tak
więc doszło do rozdwojenia wysiłku żołnierza polskiego w walce
z hitlerowską III Rzeszą. Podczas gdy szlak naszego żołnierza na
Zachodzie, pod rozkazami legalnego rządu polskiego, znaczone
był bitwami pod Narwikiem, Tobrukiem, Monte Cassino,
Falaise, Arnheim, to formacje polskie, które powstały w ZSSR
po wydostaniu przez gen. Andersa żołnierzy, walczyły m.in. pod
Lenino. Dowodzone były, mimo formalnego dowództwa gen.
Berlinga, przez wyższych rangą dowódców sowieckich. Zarówno
jedni, jak i drudzy – mimo dużej dysproporcji, oczywiście na
korzyść formacji utworzonych na Zachodzie – walczyli z myślą
zwycięstwa nad wrogiem.

Ważnym wkładem Polaków, bez względu na to, gdzie wal-
czyli, było przekazanie aliantom maszyny Enigma, której
Niemcy używali do szyfrowywania i przesyłania najtajniejszej
korespondencji radiowej. Bardzo to istotny i do niedawna zanie-
dbany problem, któremu sporo miejsca poświęca Ciechanowski
nie tylko w tym zbiorze, ale i w innych publikacjach. W książ-
ce znajduje się również na ten temat rozdział zatytułowany:
*Brytyjsko-polska współpraca wywiadowcza podczas drugiej wojny
światowej*. Rozdział dzieli się na pięć części: 1. *Narodziny polsko-
angielskiej współpracy wywiadowczej i znaczenie Enigmy/Ultr*
(mianem Ultra Brytyjczycy nazywali wiadomości uzyskiwane
dzięki Enigmie). 2. *SIS i brytyjska polityka wobec Polski* (SIS –
Secret Intelligence Service, zwany również MI 6). 3. *Anglo-pol-
ska współpraca wywiadowcza po upadku Francji*. 4. *Owocna współ-*

praca. 5. Koniec współpracy.

Dla podkreślenia roli, jaką odegrali Polacy zdobyciem i rozszyfrowaniem Enigmy, Ciechanowski przytacza wypowiedzi różnych historyków angielskich. I tak M. R. D. Foot, jeden z czołowych znawców brytyjskiej historii wojny, potwierdzał, że przekazanie przez Polaków kopii zmodyfikowanej Enigmy było „prawdopodobnie największą przysługą, jaką Polacy kiedykolwiek oddali antynazistowskiej sprawie”. Z kolei David Hunt, wojenny szef wywiadu marszałka Alexandra podaje, że czasami „brytyjscy dowódcy znali lepiej położenie na froncie z doniesień uzyskanych z Ultra, niż z raportów ich własnych podkomendnych”. Według F. H. Hinsleya, autora autoryzowanej historii wywiadu brytyjskiego, który w latach 1940-1945 pracował w Brytyjskiej Szkole Kodów i Szyfrów – słynnym Bletchley Park pod Londynem – gdzie odszyfrowywano przechwycone materiały niemieckie, „Enigma skróciła wojnę o trzy lata”.

W podsumowaniu roli, jaką odegrała Enigma, Ciechanowski potwierdza, że wniosła ona niezmiernie wartościowy do wojny element. W działalności Brytyjczyków, a później Amerykanów, stała się niezastąpionym narzędziem ich strategicznych i operacyjnych zwycięstw nad Niemcami. Po wojnie, generał Dwight D. Eisenhower – głównodowodzący wojsk alianckich w Europie – potwierdził decydujący wpływ Enigmy/Ultra na zwycięstwo nad III Rzeszą. Z kolei, zdaniem Zbigniewa Brzezińskiego, jak pisze dalej Ciechanowski – Polacy „zainspirowali” powstanie projektu Ultra w Wielkiej Brytanii.

Na podstawie lektury książki Ciechanowskiego trzeba przyznać, że współpraca brytyjsko-polska w dziedzinie wywiadowczej układała się pomyślnie i to nie tylko odnośnie Enigmy. Cennych wiadomości dostarczał również wywiad Armii Krajowej. Za pośrednictwem Oddziału VI przechodziła cała korespondencja pomiędzy polskimi władzami w Londynie i w Warszawie. Praca wywiadowcza w kraju była domeną Oddziału II (zwanego „krajowym”) Komendy Głównej Armii Krajowej. W najmniejszym nawet zakątku Polski nie mogło się wydarzyć nic ważniejszego, o czym nie wiedziałby wywiad AK. Służyli w nim żołnierze AK, żadnych płatnych agentów nie angażowano. Stan centrali (Oddziału II) wynosił około 1500 osób, w tym około 170 oficerów i 60-80 różnych ekspertów. W wywiadzie pracowała też

znaczna liczba kobiet, bardzo wydajnych i odważnych w pracy. Straty, jakie poniósł podczas pięciu lat wojny Oddział II KG AK, wynosiły ponad 800 ludzi. Pieczę nad pracą wywiadu w latach 1941-1944 sprawował gen. Tadeusz Pełczyński pseudonim „Grzegorz”.

Bardzo istotne jest również to, zaznacza Ciechanowski, że wywiad polski współpracował z wywiadami innych krajów, „był więc wywiadem o niemalże światowym zasięgu”. Oddział II dysponował ośmioma zakonspirowanymi ekspozyturami i trzydziestoma pięcioma placówkami wywiadowczymi, mając w terenie 100 oficerów i 1666 agentów. Autor podaje, że w latach 1940-1944 Oddział II przekazał Brytyjczykom ponad 76 000 meldunków wywiadowczych różnego rodzaju, a pomiędzy 1 stycznia i 8 maja 1945 r. było tych raportów kilka tysięcy, więc w sumie ponad 80 000. Tylko w 1944 r. przekazano sztabowi amerykańskiemu 12 608 raportów wywiadowczych, francuskiemu zaś – 793. „Meldunki te były niezmiernie wysoko cenione przez sztaby i naczelne dowództwo brytyjskie oraz amerykańskie”.

Pomimo dużych osiągnięć wywiadu, płk Stanisław Gano, szef Oddziału II, skarżył się swoim przełożonym, „że wywiad polski nie znajdował należytego zrozumienia wśród społeczeństwa emigracyjnego, a nawet wojska”. Charakter działalności wywiadu powodował, że „99% ludzi nie wiedziało prawie nic o Drugim Oddziale”. Że wówczas nie wiedziano, to można jeszcze zrozumieć, ale trudniej jest zrozumieć, a zwłaszcza usprawiedliwić, że dopiero od nie tak dawna informacje na ten temat zaczynają docierać do szerszego grona ludzi, a i to w bardzo małym stopniu, zwłaszcza gdy chodzi o cudzoziemców.

Ciechanowski ubolewa – i słusznie – nad raptownym i dramatycznym zakończeniem oficjalnej polsko-brytyjskiej współpracy wywiadowczej. 30 czerwca 1945 roku Wilfred Dunderdale, główny brytyjski oficer łącznikowy przy polskim wywiadzie, zgłosił się do płk. Gano z pismem, nakazującym zwrot „wszystkich dokumentów oficjalnych, radiostacji, ksiąg finansowych i korespondencji dotyczącej naszej wspólnej działalności”. Część dokumentów została złożona Brytyjczykom jako „depozyt Polskiego Sztabu Głównego”. Chodziło tu o materiały posiadające znaczenie historyczne. Brytyjskie koła rządowe utrzymują, że dokumenty te zostały niestety zniszczone. Ogromnie to utrud-

nia opracowanie pełnej, źródłowej historii nie tylko samego wywiadu, ale też i różnych powiązań politycznych.

W zbiorze Ciechanowskiego znajduje się artykuł *Losy archiwum polskiego wywiadu po zakończeniu drugiej wojny światowej*, gdzie autor odwołuje się również do artykułu Andrzeja Suchcitzą pt. *Archiwa wywiadu polskiego po 1945 roku* jaki ukazał się na łamach „Zeszytów Historycznych”². Celem obydwu artykułów było „uzyskanie odpowiedzi na pytania, co się stało z tą częścią akt Oddziału Drugiego, które zostały przekazane władzom brytyjskim najpierw w czasie wojny, a potem w latach 1945-1946?” Dotychczas właściwie brak jest jasnej odpowiedzi na tak postawione pytania, które jednak stanowią wartościowe źródła na szlaku poszukiwań „zagubionej” dokumentacji.

Dwa kolejne artykuły pióra Ciechanowskiego, mają datę późniejszą, bo 2001 rok. Ukazały się w prasie krajowej, a więc pisane były przede wszystkim dla czytelnika krajowego. Obydwa dotyczą gen. Sikorskiego. W pierwszym z nich: *Mowy i wieńce nie wystarczą*, autor przypomina, iż chociaż od śmierci Sikorskiego (zginął 4 lipca 1943 r.) upłynęło już przeszło pół wieku, ciągle nie wiemy czy śmierć jego była skutkiem wypadku, czy też sabotażu? Autor pisze, że Generał zginął na kilka miesięcy przed Teheranem, decydującą datą w stosunkach amerykańsko-sowieckich a w konsekwencji również dla spraw polskich. Wraz ze śmiercią Sikorskiego, łączącego funkcję premiera i naczelnego wodza, skończyło się jednolite kierownictwo polityczne i wojskowe. Jego śmierć „oznaczała początek procesu dekompozycji polskich władz naczelnych, uniemożliwiając utrzymanie wspólnoty celów i zgody na środki, jakimi zamierzano je osiągnąć”. Autor zwraca jednocześnie uwagę, że polska komisja badawcza pracowała wyłącznie na brytyjskich materiałach, co siłą rzeczy ograniczało możliwości dotarcia do prawdy.

Drugi artykuł pt. *Są teorie, nie ma faktów* porusza kwestie różnych zagadkowych sprzeczności krążących wokół śmierci Sikorskiego. Autor podkreśla, że rozwiązanie tych sprzeczności leży zarówno w interesie Polski, jak Wielkiej Brytanii. W przeciwnym wypadku pomnik gen. Sikorskiego – wybudowany koło Ambasady RP w Londynie – „będzie upamiętniał nie tylko jego

2. „Zeszyty Historyczne”, 1989, z. 89, s. 23-33.

zasługi, ale ustawicznie przypominał nam wszystkim, że przyczyny jego śmierci mogą być nadal okryte tajemnicą”.

Sporo miejsca poświęca Ciechanowski Powstaniu Warszawskiemu (sam był żołnierzem tego Powstania). W artykule pt. *Stosunek rządu brytyjskiego do Powstania* dość szczegółowo przedstawia stanowisko zajmowane przez Brytyjczyków w kontekście wytworzonej wówczas sytuacji. Ciechanowski pisze, że w zasadzie Anglicy nie przestrzegli rządu polskiego przed wybuchem powstania. Odmawiając jednak naszemu rządowi pomocy i zaznaczając, że będzie się ono toczyło w sowieckiej strefie operacyjnej, usiłowali się od niego odciąć, zachęcając do skoordynowania działań z Armią Czerwoną. Nie ulega wątpliwości, iż wówczas rząd brytyjski zdawał już sobie dobrze sprawę, „że przyszła Polska będzie egzystować pod sowiecką kuratelą”.

Związany z wyżej wymienionym rozdziałem jest następny pt. *Aliancka pomoc lotnicza dla Warszawy*, gdzie Ciechanowski zamieścił raport gen. Ludomira Rayskiego złożony gen. Andersowi. Jest to wartościowy wkład do ciągle aktualnego sporu „czy brak skutecznej pomocy dla Powstania Warszawskiego spowodowany był względami politycznymi czy technicznymi lub też funkcją ich obu?” W danym wypadku istotne jest i to, że gen. Rayski był doświadczonym dowódcą i pilotem, który w 1944 roku pięciokrotnie latał nad Polską, w tym dwukrotnie nad Warszawą. W konkluzji raportu gen. Rayski stwierdzał, że nie widział „realnej możliwości pomocy”, a Powstanie w Warszawie „uważał za zbrodnię”. Podobnego zdania był też gen. Anders.

Dwa kolejne opracowania dotyczą kwestii żydowskiej: *Meldunki o sytuacji i zagładzie Żydów* oraz *Kurier z Warszawy o zagładzie Żydów polskich. Przemilczane raporty*. Jak powszechnie wiadomo, stanowi to bardzo zawiły temat. Co gorsza, im bardziej oddalamy się od lat wojny i tragedii Żydów, tym większe spotyka się zniekształcenia czy też pospolite fałsze, których ofiarą padają przeważnie Polacy. W świetle tego, co się stale widzi, można dojść do wniosku, że pewnej kategorii ludzi wojna niczego nie nauczyła, a ci, którzy rozsądnie, bez uprzedzeń patrzą na rzeczywistość, nie mają możliwości lub też po prostu chęci zabierania głosu, co nie było i nie jest pożądane. Jak już wskazują tytuły tych opracowań, chodzi o źródłowo cenne materiały,

jakie władze Polski Podziemnej wysyłały z kraju do Londynu, które z kolei służyły do informowania zachodnich aliantów o tragicznej sytuacji mordowanych przez Niemców Żydów. Raporty te, pisane „na gorąco”, stanowią namacalny dowód tego, że Zachód wiedział, ale przez dłuższy okres udawał, że nic nie wie czy też, że Polacy przesadzają w swoich doniesieniach.

Szkodliwy dla sprawy Polski był *Spór o naczelne dowództwo między gen. W. Andersem i gen. T. Borem-Komorowskim* – taki też tytuł nosi kolejny artykuł. Na wstępie autor pisze, że w czasie ostatniej wojny „mieliśmy wspaniałe, bitne i ofiarne wojsko zarówno w kraju, jak na obczyźnie, ale brakowało nam wodza na miarę ówczesnych wymogów”. Gen. Sikorskiemu zarzucano m.in., że „w rządzie zachowywał się jak Naczelny Wódz, a w wojsku jak premier”. Data śmierci Sikorskiego zbiegła się z chwilą, kiedy jego polityka i strategia leżały już w gruzach, a Churchill i Roosevelt zaczęli traktować nas jak „ubogich i kłopotliwych krewnych”. Jednocześnie rosła opozycja wobec rządu Sikorskiego, którego krytykowano za zbyt dużą uległość wobec Anglii i Rosji.

Po śmierci gen. Sikorskiego premierem został Stanisław Mikołajczyk, a Naczelnym Wodzem gen. Kazimierz Sosnkowski, diametralnie się od siebie różniący i to pod każdym względem. Anglicy, a za nimi Mikołajczyk, dążyli do usunięcia Sosnkowskiego ze stanowiska gdyż „przeszkadzał im w próbach doprowadzenia do polsko-sowieckiego porozumienia”. Pod ich presją prezydent Władysław Raczkiewicz zwolnił gen. Sosnkowskiego 30 września 1944 r. i na jego miejsce mianował gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego, który miał objąć stanowisko Naczelnego Wodza z chwilą znalezienia się w siedzibie rządu w Londynie. W tym samym czasie toczyły się z Niemcami rozmowy o kapitulacji stolicy. Wkrótce Bór-Komorowski musiał pójść do niewoli i Wojsko Polskie zostało bez Naczelnego Wodza.

5 maja 1945 roku Bór-Komorowski zostaje uwolniony przez wojska amerykańskie. Pod koniec tego samego miesiąca dochodzi do sporu między nim a gen. Andersem, który od 26 lutego 1945 pełnił funkcję Naczelnego Wodza. Anders spór ten przegrał i stanowisko Naczelnego Wodza przejął Bór-Komorowski i pełnił je do 8 października 1945 roku. Anders powrócił do Włoch, gdzie ponownie objął dowództwo 2. Korpusu.

Przechodząc z kolei do działu dokumentów trzeba – przynajmniej w kilku słowach – wspomnieć o dwóch opracowaniach. Pierwsze z nich to: *Józef Retinger (1888-1957) w świetle raportów brytyjskiego wywiadu z lat 1913-1941*. W sumie jest to właściwie potwierdzenie barwności postaci Retingera i to tym bardziej ciągle zagadkowej, że raporty znajdujące się w Intelligence Service również niczego specjalnie nowego nie potwierdzają. Stąd też Ciechanowski pisze, że „w świetle tych raportów Retinger wychodzi na osobnika niegodnego wielkiego zaufania, jakim rzekomo darzył go gen. Sikorski. Co ciekawe, wbrew tym raportom, Retinger nadal pozostał doradcą Sikorskiego, a następnie Mikołajczyka. Powstaje dręczące i trudne do rozwiązania pytanie – dlaczego?” W innym paragrafie tego samego opracowania zapytuje autor raz jeszcze: „*cui bono* działał Retinger – do dziś nie ma odpowiedzi. Kto wie – może po prostu był graczem dla samej gry?”

Drugim opracowaniem jest: *Pomoc lotnicza Wielkiej Brytanii dla Powstania Warszawskiego. Raport pułkownika H. M. Threlfalla*. Na wstępie Ciechanowski pisze, że cały ciężar kierowania brytyjską pomocą lotniczą dla walczącej stolicy spoczywał na barkach podpułkownika H. M. Threlfalla, dowódcy specjalnej jednostki bojowej (Force 139) we Włoszech. Zadaniem jej było wspieranie polskiego i czechosłowackiego ruchu oporu w latach 1943-1945. Threlfall brał udział w przerzucie z Polski wykradzionych Niemcom przez Armię Krajową ważnych części niemieckiej rakiety V-2. Podobnie też było z przerzutem do Londynu polskich osobistości politycznych i wojskowych, jak np. Tomasza Arciszewskiego, Zygmunta Berezowskiego lub gen. Stanisława Tatara. Operacje te, pod nazwą „Mostów”, odbywały się w ramach dwustronnych lotów łącznikowych z Zachodu do Polski. Ciechanowski wyjaśnia, że raport Threlfalla nie został nigdzie opublikowany, stąd jeden powód więcej, żeby go ogłosić. Stanowi bowiem ważne źródło do zgłębienia dziejów Armii Krajowej, Powstania Warszawskiego i stosunków polsko-brytyjskich podczas ostatniej wojny.

W ostatnim dziale znajdują się uwagi i komentarze, napisane przez Ciechanowskiego na kanwie kilku książek różnych autorów. Wybieram tylko niektóre z nich, ograniczając się siłą rzeczy do not informacyjnych, nawiązujących przeważnie do

komentarzy Ciechanowskiego, bo egzemplarzy omawianych książek nie posiadam. Pierwsza recenzja pt. *Brytyjskie gwarancje dla Polski* dotyczy książki Anity Prazmowskiej³. Autorka zaciekle atakuje politykę Neville'a Chamberlaina i Józefa Becka z lat 1938-1939. Zarzuca im brak zaufania do Sowietów a w konsekwencji brak chęci do wiązania się z nimi nawet w obliczu wzrastającego zagrożenia niemieckiego. Zarówno Chamberlain, jak i Beck mieli nadzieję, do samego prawie wybuchu wojny, że będą mogli dojść do porozumienia z Berlinem. Sztabowcy brytyjscy i francuscy mieli ustalić już w maju 1939 roku, że Polska nie otrzyma żadnej pomocy z Zachodu. Tak więc brytyjskie gwarancje dla Polski były gwarancjami bez pokrycia. Beck był przekonany, prawie do samego końca, że Hitler nie miał zamiaru zniszczenia Polski. Nie pojmował, mimo całej swej bystrości, że w polityce wielkich mocarstw – i nie tylko ich – rzadko kiedy względy ideologiczne odgrywają większą rolę. Według autorki książki wynik polityki płk. Becka był fatalny. Ale, zapytuje Ciechanowski, czy mógł być inny? Spór o jego politykę trwać będzie jeszcze długo, gdyż dotyczy całego układu międzywojennej polityki i strategii.

Następne uwagi pt. *Perfidny Albion* dotyczą książki Stanisława Żochowskiego⁴, która jest skróconą wersją jego *Brytyjskiej polityki wobec Polski 1916-1948*, wydanej w Londynie w 1979 roku. Jest to, jak pisze Ciechanowski, ostry atak na politykę Zachodu wobec Polski, ale w dużej mierze uzasadniony, chociaż nie do końca przemyślany. Niemniej jednak Żochowski z dużą dokładnością wylicza aliantom popełnione przez nich błędy. W sumie, mimo różnych usterek, praca Żochowskiego stanowi pożyteczną pozycję. Przypomina nasze wojenne losy i nasz wkład do wspólnego zwycięstwa nad hitleryzmem.

Kolejne komentarze i uwagi odnoszą się do książki Davida Irvinga⁵, znanego historyka brytyjskiego o proniemieckim nastawieniu i popularyzatora ultraprawicowych poglądów. Ku

3. A. Prazmowska, *Britain, Poland and the Eastern Front 1939*, Cambridge University Press 1987.

4. S. Żochowski, *British Policy in Relation to Poland in the Second World War*, New York 1988.

5. D. Irving, *Churchill's War*, vol. 1, *The Struggle for Power*, Veritas Publishing 1987.

powszechnemu oburzeniu Irving ostro zaatakował wojenną politykę i strategię Churchilla. Jak pisze Ciechanowski, główna teza Irvinga była prosta, ale fałszywa. Wychodził bowiem z założenia, że wojna pomiędzy Wielką Brytanią a Trzecią Rzeszą „była całkowicie spowodowana przez popędliwego germanofoba Churchilla”, gdyż Hitler jej w gruncie rzeczy nie chciał i robił, co mógł, aby jej uniknąć lub ją zakończyć po upadku Polski, a nawet Francji.

Zmarnowana szansa – to uwagi i refleksje Ciechanowskiego nad polskim wydaniem książki Normana Daviesa *Powstanie '44*⁶. Prof. Ciechanowski jest autorem kilku publikacji na temat Powstania Warszawskiego, w tym książki *Powstanie Warszawskie: zarys podłoża politycznego i dyplomatycznego*. Chodzi przeto o publikacje dwu autorów, przeciwstawnych sobie w podejściu do naszych dziejów: Ciechanowski bardziej naukowo-dokumentacyjny, a Davies raczej gawędziarsko-felietonowy. Dorobek obydwu autorów, wzajemnie się uzupełniający, jest bardzo przydatny do zgłębienia wiedzy o tym co, gdzie i jak się działo.

Jak już wspomniałem na wstępie, moja recenzja ma charakter informacyjny, z unikaniem gwałtowniejszej polemiki nawet tam, gdzie ona się tego domaga. Ciechanowski bardzo krytycznie podchodzi do Powstania. Duży wpływ na jego wybuch miał odegrać gen. Leopold Okulicki, o którym Ciechanowski pisze, że aresztowany w styczniu 1941 przez Sowieców i poddany torturom załamał się w śledztwie i jego zeznania miały stanowić „plamę na jego żołnierskim honorze”, a późniejszy jego pęd do wywołania Powstania mógł być „próbą jakiejś osobistej rehabilitacji”. Bez względu na to, jak z tą „plamą” było, wychodzę z założenia, że nie wolno wykorzystywać chwilowego załamania poddanego torturom. To trzeba było samemu przejść, żeby zdać sobie sprawę ze skutków okrucieństw, jakiegokolwiek byłyby one natury. Ciechanowski zarzuca Daviesowi, że nic o tym nie pisze, „co wskazuje najlepiej, jak niewiele wie o głównym autorze Powstania Warszawskiego”.

Jak pisze Ciechanowski, wbrew opiniom gen. Andersa, gen. Kukiela, ministra obrony narodowej w latach 1942-1945, płk. Janusza Bokszczanina, ostatniego szefa Sztabu Komendy Główn-

6. N. Davies, *Powstanie '44*, tłum. E. Tabakowska, Kraków 2004.

nej AK i wielu innych wyższych stopniem oficerów, Norman Davies twierdzi, że „decyzja wywołania Powstania Warszawskiego była słuszna i uzasadniona. Samo zaś Powstanie było udane, gdyż trwało 63 dni...” Ciechanowski przypomina, że w wyniku Powstania rozbity został główny ośrodek myśli polskiej polityki, zniszczeniu uległo całe miasto z jego bezcennymi zabytkami.

Według Ciechanowskiego, praca Daviesa „niestety nie wnosi wiele nowych nieznanych elementów naszej wiedzy o Powstaniu, jej układ jest niejasny i zawiły”. Jednocześnie zwraca uwagę na fakt, że poglądy Daviesa o Powstaniu Warszawskim, zamieszczone w *Powstaniu 44'* odbiegają całkowicie od wcześniejszych ocen, jakie znajdują się w jego *God's Playground (Bożym igrzysku)* z 1981 roku, co siłą rzeczy wywołuje zdziwienie czytelnika, który zna i porównuje obydwie książki. W angielskim wydaniu *Bożego igrzyska* (Oxford 1981, t. II, s. 474-475) Davies twierdzi, że Powstanie Warszawskie było „najtragiczniejszym błędem, jaki Polacy popełnili w swych najnowszych dziejach”; zasady, na jakich się opierało, były błędne, a „cele polityczne wyzute z wszelkiego realizmu”. Ciechanowski pisze, iż w *God's Playground* Davies utrzymywał, że gdy Bór-Komorowski wydał swój rozkaz do rozpoczęcia Powstania, to zachowywał się „jak tonący trzymający się brzytwy”. W końcowym paragrafie swojej pracy i zwróceniu uwagi na niektóre błędy w książce Daviesa, Ciechanowski stwierdza, że liczba znajdujących się tam błędów „jest zbyt duża, aby uważać jego historię powstania za w pełni wiarygodną”. Szkic swój Ciechanowski kończy słowami: „Praca Daviesa jest w dużej mierze pracą niestety poronioną”.

Z trzech pozostałych jeszcze do omówienia rozdziałów wybieram jeden, a odnośnie dwóch pozostałych ograniczam się jedynie do ich odnotowania, z zaznaczeniem, że w dużym stopniu zawierają problemy, o których była już mowa w innych rozdziałach, wnosząc jednak chociażby tylko nową interpretację faktów czy też odwołania się do własnych wspomnień. Chodzi o następujące opracowania: *Na bunkry ze szczyrym i – Bitwa o tajemnice: wywiad brytyjski w czasie drugiej wojny światowej*. Trzecim opracowaniem jest przedmowa Ciechanowskiego do książki Joanny Hanson, pt. *Nadludzkiej poddani próbie*, jaka ukazała się w Warszawie w 2004 roku. Autorką tej książki jest rodowita Angielka, zajmująca się od lat historią Polski.

Ciechanowski zwraca w przedmowie uwagę na fakt, iż mimo bardzo już bogatej literatury na temat Powstania Warszawskiego, nie można tego powiedzieć o książkach, poświęconych dziejom i losom ludności cywilnej powstańczej Warszawy. Tym większą przeto wartość stanowi publikacja Joanny Hanson, która omawia dzieje i nastroje ludności cywilnej na tle wydarzeń politycznych i militarnych. Autor przedmowy nadmienia, że pisał ją nie tylko jako historyk Powstania, ale również jako jego uczestnik, stąd głębsze jego wczucie się w atmosferę walki żołnierza i tragedii społeczeństwa, przy jednoczesnych przykładach solidarności mieszkańców stolicy z powstańczym wojskiem. Stąd też opinia Ciechanowskiego o pracy Hanson ma siłą rzeczy większy wymiar: „bez książki Joanny Hanson nasza wiedza o Powstaniu Warszawskim i męczeństwie stolicy byłaby niepełna i uboższa”.

Niepełna jest również nasza wiedza nie tylko odnośnie Powstania Warszawskiego, ale w ogóle do najnowszych naszych dziejów. Książka prof. dr. Jana Ciechanowskiego jest wkładem w lepszą znajomość naszych dziejów, ciągle jeszcze poplątanych.

Tadeusz WYRWA

Robert SKOBELSKI

POLSKA WOBEC KONFERENCJI BEZPIECZEŃSTWA I WSPÓŁPRACY W EUROPIE

Usytuowanie Polski w stosunkach międzynarodowych w latach 1945-1989 wynikało z nowego bipolarnego układu geopolitycznego, ukształtowanego w Europie po zakończeniu drugiej wojny światowej. Polska stała się częścią tzw. bloku wschodniego, co oznaczało, podobnie jak w przypadku innych krajów

Europy Środkowowschodniej, władzę partii komunistycznej, nowy ustrój państwowy i system gospodarczy oraz uzależnienie od Związku Sowieckiego zarówno w polityce wewnętrznej, jak i zagranicznej. Stosunek państw bloku wschodniego wobec świata zewnętrznego podporządkowany został ściśle imperialnym celom politycznym i strategii ZSRR. Po przełomie 1956 r. związanym z XX Zjazdem Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego (KPZS) kraje bloku wschodniego uzyskały pewien margines swobody, także w sferze polityki zagranicznej. PRL, rządzona przez nową ekipę Władysława Gomułki uaktywniła się wówczas na arenie międzynarodowej i starała realizować interesy narodowe, jednakże w zakresie akceptowalnym przez Kreml i bez podważania pryncypiów ideologicznych panujących we „wspólnocie socjalistycznej”. Najważniejszym oraz, co należy podkreślić, ponadustrojowym zadaniem władz polskich było doprowadzenie do traktatowego uznania przez państwa zachodnie ustalonej po wojnie granicy na Odrze i Nysie „użyckiej”. Determinowało to wysiłki Warszawy na rzecz aktywnego włączenia się do rozwiązania kwestii niemieckiej z którą łączono ideę ograniczenia zbrojeń oraz stworzenia systemu bezpieczeństwa i współpracy w Europie.

Problematyka Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie (KBWE) oraz kwestie uczestnictwa w tym procesie Polski znajdowały się już wprawdzie w sferze zainteresowania rodzimych historyków i politologów (w tym autorów biorących czynny udział w pracach konferencji), jednak większość publikacji na ten temat ukazało się do 1990 roku. Z tego względu podlegały one znacznym ograniczeniom z których zasadniczym był brak dostępu do szerszej bazy źródłowej i konieczność korzystania wyłącznie z oficjalnych dokumentów konferencyjnych uzupełnianych własnymi obserwacjami w przypadku osób uczestniczących w procesie KBWE. Formułowane na tej podstawie oceny oraz wnioski nie mogły także wykraczać poza obowiązującą w Polsce do 1989 r. wykładnię utrudniającą dodatkowo pełną i obiektywną analizę zagadnienia. Uwaga autorów koncentrowała się przede wszystkim na przebiegu i ustaleniach samej konferencji odbytej w latach 1973-1975, wcześniejszych Wielostronnych Rozmowach Przygotowawczych czy też następstwach porozumień z Helsinek, natomiast w mniejszym stopniu

zajmowano się przebiegiem prac przygotowawczych oraz polskimi koncepcjami i planami, szczególnie na tle ówczesnych uwarunkowań politycznych.

W takim kontekście książka Wandy Jarząbek* stanowi cenny wkład i nowe spojrzenie na mało dotychczas poznany obszar polityki zagranicznej PRL. Autorka, podejmując analizę treści polskich koncepcji i prac przygotowawczych oraz rozlicznych uwarunkowań, którym podlegały, starała się, jak zaznacza we wstępie, ukazać tok myślenia ówczesnych władz PRL, ich rozumienie interesów państwa oraz możliwości manewru, nader zresztą ograniczone, wobec ZSRR i bloku wschodniego. Polska, wiążąc spore nadzieje z przyszłą konferencją, liczyła na osiągnięcie głównego celu, czyli międzynarodowe uznanie granicy na Odrze i Nysie ,użyckiej, a także intensyfikację współpracy gospodarczej oraz zniwelowanie ograniczeń handlowych między obydwoma częściami kontynentu. Jarząbek omawia aktywność Warszawy na polu prac przygotowawczych i ich wieloraki charakter, tworzenie własnych, oryginalnych koncepcji, działania różnych szczebli planowania, elastyczność podejścia do wielu problemów, uwzględnianie w swoich poczynaniach tendencji i zmieniającej się sytuacji międzynarodowej. Z drugiej zaś strony podkreśla konsekwencje ciężące nad polskimi przygotowaniem konferencyjnymi wynikające zarówno z przynależności PRL do obozu socjalistycznego, dominującej pozycji Kremla i nadrzędności jego interesów jak również ideologicznego podłoża niektórych koncepcji Warszawy. Autorka dostrzegła ponadto wewnętrzne przyczyny tak intensywnego zaangażowania w proces KBWE władz peerelowskich, które przekonywały tą drogą społeczeństwo o skuteczności własnej polityki zagranicznej, podmiotowości Polski na arenie międzynarodowej oraz możliwości obrony interesów narodowych.

Podstawę do opracowania podjętego tematu, obok literatury i wydawnictw źródłowych, stanowią liczne materiały archiwalne do tej pory właściwie nie wykorzystywane przez badaczy. Znaczna część przywoływanych przez Jarząbek dokumentów pochodzi z zespołów (także nieuporządkowanych, co dodatkowo

* W. Jarząbek, *Polska wobec Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. Plany i rzeczywistość 1964-1975*, Warszawa 2008, 276 s.

utrudniało kwerendę) przechowywanych w Archiwum Ministerstwa Spraw Zagranicznych (m.in. zespoły: Gabinet Ministra, Departament I, Departament III, Departament IV, Departament Studiów i Programowania). Nie mniej istotna okazała się dokumentacja Komitetu Centralnego PZPR znajdująca się w Archiwum Akt Nowych (Sekretariaty Władysław Gomułki, Edwarda Gierka i Jerzego Waszczuka oraz Wydział Zagraniczny). Z uwagi na charakter pracy wartościowym uzupełnianiem archiwaliów są bez wątpienia relacje bezpośrednich uczestników polskich prac przygotowawczych oraz dyplomatów, w tym zagranicznych, które, jak podkreśla sama autorka, „pomogły w zrozumieniu pewnych mechanizmów wewnętrznych oraz dostarczyły informacji niemożliwych do zdobycia w inny sposób”.

Zakres chronologiczny opracowania obejmuje okres od przedstawienia na forum ONZ w 1964 r. propozycji Adama Rapackiego dotyczącej koncepcji zwołania konferencji europejskiej poświęconej zagadnieniom bezpieczeństwa do podpisania porozumienia helsińskiego w 1975 r. Książka składa się z pięciu rozdziałów (1. *Narodziny i krystalizowanie się koncepcji konferencji*, 2. *O kształt konferencji*, 3. *Prace nad modelem konferencji (1970-1970)*, 4. *Wielostronne Rozmowy Przygotowawcze*, 5. *Prace Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie* (lipiec 1973 – lipiec 1975) oraz obszernego (kilkadziesiąt stron) aneksu źródłowego, w którym Jarząbek przytacza wybór niepublikowanych jeszcze dokumentów obrazujących różne aspekty i zawiłości towarzyszące prowadzonym przez PRL pracom przygotowawczym do konferencji. Całości dopełnia, ważny w tego typu publikacjach, indeks osobowy oraz bibliografia.

W rozdziale pierwszym autorka przedstawia genezę polskich przygotowań do zorganizowania konferencji europejskiej. Wiąże ten proces z kwestią samodzielności polityki zagranicznej PRL i jej podstawowymi celami, wynikającymi z dążenia do usankcjonowania granicy zachodniej, chęci uczestnictwa w rozstrzygnięciu sprawy niemieckiej (w tym kontekście przyszłe rokowania spełniałyby dla Polski rolę nigdy nie odbytej konferencji pokojowej z Niemcami), a także z zagadnieniami bezpieczeństwa i ograniczenia zbrojeń, obecnymi od dłuższego czasu tak w dialogu międzynarodowym jak i w orbicie aktywności Warszawy (Plan Rapackiego z 1957 r.). Równie istotnym dla Polski moty-

wem w jej planach dotyczących przyszłej konferencji była sfera ekonomiczna. Przewidywano, że przełamanie atmosfery zimnowojennej i wprowadzenie nowej jakości w europejskich stosunkach politycznych będzie się przekładać na redukcję barier handlowych, poszerzenie współpracy gospodarczej z Zachodem oraz zniwelowanie ograniczeń wynikających ze specyfiki funkcjonowania Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej (RWPG). Połączenie tych elementów, zdaniem władz PRL, dałoby impuls dla przyspieszenia rozwoju niewydolnych i zacofanych gospodarek krajów socjalistycznych. Po ogłoszeniu propozycji Rapackiego w 1964 r. i uzyskaniu dla niej formalnej akceptacji ze strony reszty członków Układu Warszawskiego Polska podjęła intensywną akcję dyplomatyczną propagującą idee zwołania spotkania europejskiego, kierując ją w znacznej mierze pod adresem państw Europy Zachodniej, w tym do krajów mniejszych i neutralnych. Zgodnie z projektami Warszawy fundamentem przyszłego porozumienia miało być uznanie terytorialnego i politycznego status quo na kontynencie, poprawa stosunków międzypaństwowych, zasada nieingerencji w sprawy wewnętrzne oraz zwiększenie kontaktów ekonomicznych. Nie było to zadanie łatwe, ponieważ strona polska, mając na względzie przede wszystkim własne cele (uznanie granicy), musiała zabiegać o poparcie Kremla i uwzględniać jego sugestie, zmagając się z nieufnym podejściem państw zachodnich, reagować na ewoluującą kwestię niemiecką i zmieniającą się politykę wschodnią samej Republiki Federalnej Niemiec, a także przełamywać trudności związane z zagęszczeniem atmosfery międzynarodowej w drugiej połowie lat 60. na skutek eskalacji konfliktu w Wietnamie oraz interwencji Układu Warszawskiego w Czechosłowacji.

W rozdziale drugim Jarząbek analizuje działania przygotowawcze do konferencji realizowane w ciągu 1969 r., kiedy w bloku wschodnim opracowywano wspólne dokumenty i spierało się na temat zakresu przyszłych rokowań europejskich. Konferencyjne koncepcje władz polskich zmierzały zarówno do realizacji określonych założeń jak i stworzenia możliwości odegrania przez PRL bardziej upodmiotowionej roli na arenie międzynarodowej. Podstawowym celem obrad miało być stworzenie w Europie systemu zbiorowego bezpieczeństwa. Miał się on opierać na długofalowej współpracy i trwałym zbliżeniu między pań-

stwami o różnych systemach politycznych i gospodarczych, ale w bezpiecznym dla ustroju socjalistycznego zakresie. Warszawa oczekiwała, że w trakcie konferencji osłabieniu ulegną podziały między członkami Układu Warszawskiego i Paktu Północno-atlantycznego, zostanie stworzona płaszczyzna rozstrzygnięcia budzących emocje problemów (przede wszystkim uznanie granicznego status quo, kontrola zbrojeń), a także powstaną warunki do nawiązania szerszej współpracy ekonomicznej z krajami zachodnimi. Zamysły te kolidowały jednak zdecydowanie z planami ZSRR, reagującego niechętnie na choćby najmniejsze objawy samodzielności państw podporządkowanych. Kreml miał własną wizję konferencji i traktował ją przede wszystkim jako okazję do poprawienia atmosfery stosunków z Zachodem, zwłaszcza po zdławieniu Praskiej Wiosny w 1968 r. oraz potwierdzenia własnej dominacji w swojej strefie wpływów. Stronie sowieckiej nie zależało, aby obrady zaowocowały podjęciem decyzji w konkretnych kwestiach, tak jak widzieli to Polacy, także w sprawach gospodarczych, ponieważ mogło to oznaczać stopień możliwości ekonomicznych środków nacisku, a tym samym wzrost niezależności krajów satelickich i – w dalszej perspektywie – narastanie tendencji do dezintegracji bloku wschodniego. Nic więc dziwnego, że ZSRR nakłaniał, czy wręcz zmuszał Warszawę do rezygnacji z forsowania projektu szerokiej formuły konferencji na rzecz własnego programu minimum w którym zabrakło miejsca dla postulatów ugruntowania integralności terytorialnej, wprowadzenia nowych zasad kontaktów ekonomicznych, a nawet uznania NRD. Władze polskie przekonywało, że ich pomysły, zwłaszcza w sprawie granic, nie znajdują akceptacji państw zachodnich i w konsekwencji mogą doprowadzić do niepowodzenia przyszłych rokowań. Inne kraje socjalistyczne, mimo, że również wiązały określone nadzieje z konferencją (Czechosłowacja, Węgry), w obawie przed reakcją Moskwy nie zamierzały popierać koncepcji PRL i były skłonne zadowolić się najdrobniejszą poprawą stosunków z Zachodem, którą byłby już sam fakt odbycia spotkania konferencyjnego. W konsekwencji polska wizja konferencji europejskiej, uzależniona przecież od stanowiska Kremla i pozostałych krajów bloku, nie miała szans na urzeczywistnienie. Dochodził do tego dystans i ostrożność państw zachodnich, obawiających się, że konferencja zostanie

wykorzystana wyłącznie do realizowania politycznej strategii ZSRR.

Rozdział trzeci został poświęcony pracom nad modelem konferencji w latach 1970-1972. Ówczesna aktywność dyplomacji PRL wynikała w znacznej mierze ze stanowiska Zachodu, który skłaniał się za przyjęciem szerokiego obszaru negocjacji konferencyjnych oraz konkretyzacją omawianej problematyki bezpieczeństwa europejskiego. Dla Warszawy stwarzało to okazję ponownego podjęcia wysiłków na rzecz przekonania ZSRR i państw bloku wschodniego do koncepcji wypracowania kompleksowego układu o bezpieczeństwie, podjęcia zagadnienia nie naruszalności granic oraz rozszerzenia współpracy gospodarczej. Planom takim sprzyjało podpisanie układu o normalizacji stosunków między PRL a RFN w grudniu 1970 r. (co znacznie zminimalizowało drażliwy problem granic), pozytywne efekty rozmów na temat ograniczenia zbrojeń strategicznych (SALT) oraz porozumienie czterech mocarstw w sprawie Berlina Zachodniego (Polska chciała uniknąć omawiania tego problemu, podobnie jak i kwestii ewentualnego zjednoczenia Niemiec). Władze PRL w dalszym ciągu traktowały priorytetowo sprawy gospodarcze. Dostrzegały, że coraz większą przeszkodą dla rozwoju kontaktów w tej sferze jest zamykanie się Europy w przeciwnastawnych organizmach ekonomicznych – Europejskiej Wspólnocie Gospodarczej (EWG) i RWPG. Postulowały w związku z tym wypracowanie mechanizmów zapobiegających dalszemu zasklepianiu się obu części kontynentu we własnych strukturach organizacyjnych, ułatwiających współpracę między nimi i prowadzących do stworzenia ogólnoeuropejskiej infrastruktury gospodarczej. Ważnym środkiem do tego, według założeń Warszawy, miało być prowadzenie konkretnych przedsięwzięć, wymagających współdziałania wielu partnerów, jak rozbudowa wspólnych dróg wodnych czy budowa autostrad. Opowiadając się za podpisaniem układu o bezpieczeństwie PRL przekonywała Kreml i pozostałe państwa socjalistyczne, że dążenie do jego zawarcia mogłoby posłużyć do „odrzucenia argumentów Zachodu, że proponowany przez państwa Układu Warszawskiego porządek obrad konferencji europejskiej jest zbyt ubogi tematycznie”, oraz sprzyałoby „skutecznemu przeciwdziałaniu forsowania przez Zachód niewygodnych dla krajów

socjalistycznych tematów, np. dotyczących redukcji zbrojeń konwencjonalnych”. Jednak ZSRR, a za nim inne kraje bloku sprzeciwiły się podejmowaniu na tym etapie dyskusji nad polskim projektem układu o bezpieczeństwie, a zwłaszcza włączaniu do obrad konferencyjnych sprawy ograniczenia zbrojeń gdyż, jak twierdzono, utrudniłoby to zwołanie samej konferencji. Władze sowieckie były także nadal niechętne, zagrażającym ich hegemonii, koncepcjom współpracy gospodarczej z Zachodem na zasadach proponowanych przez Warszawę. Poglądy przywódców sowieckich podzielała w tym wypadku NRD, która już od dawna rozwijała pomyślnie wymianę handlową z RFN i zajmowała uprzywilejowaną pozycję w RWPG. Osamotniona w swoich zabiegach i naciskana przez ZSRR Polska, musiała w tej sytuacji dostosować się do stanowiska bloku i zrezygnować z wysiłków na rzecz propozycji poszerzenia zakresu negocjacji. W Warszawie przewidywano jednak, że w trakcie szczegółowych rozmów podczas konferencji, stanowisko państw socjalistycznych zawarte we wspólnych dokumentach, nie będzie przesądzało ostatecznych decyzji, a w wielu kwestiach, w tym ekonomicznych, będą możliwe do zawarcia korzystne kompromisy. Elementem łączącym Warszawę i Moskwę w kontekście przyszłego spotkania europejskiego były obawy przed wysuwanymi coraz wyraźniej przez państwa zachodnie problemami swobodnej wymiany idei, osób i informacji, w których widziano zamiary prowadzenia przez Zachód „dywersji ideologicznej” i eksportowania do bloku wschodniego „wrogich socjalizmowi treści ideologicznych i kulturowych”. Spodziewano się, że wzrost kontaktów międzyludzkich może spowodować próby rozbicia jedności „wspólnoty socjalistycznej”, ale z drugiej strony oceniano z przesadnym optymizmem, że wymiana idei i informacji ułatwi krajom bloku działania propagandowe i ideologiczne w Europie Zachodniej.

W rozdziale czwartym autorka omawia Wielostronne Rozmowy Przygotowawcze (WRP), które rozpoczęły się w listopadzie 1972 r. w Helsinkach i stanowiły ostatnią sekwencję w pracach nad zorganizowaniem konferencji. Ich efektem stało się przyjęcie *Zaleceń końcowych*. W czasie WRP Polska występowała solidarnie z resztą państw socjalistycznych, choć nie była do końca usatysfakcjonowana wszystkimi sformułowaniami w

sowieckich wersjach dokumentów, jakie miano przedkładać w trakcie debaty w imieniu całego bloku wschodniego. Unikając na tym etapie dyskusji z ZSRR na tematy mogące pobudzić rozbieżności, starała się podkreślać własne zainteresowanie oraz rolę w zorganizowaniu konferencji. Warszawa miała w dalszym ciągu nadzieję, że w toku WRP, głównie przy okazji rozmów kuluarowych, wytworzą się sprzyjające warunki wprowadzenia do tematyki obrad przynajmniej niektórych zagadnień znajdujących się w orbicie jej szczególnego zainteresowania (sprawy ekonomiczne). Obawy Polski budziły natomiast plany podjęcia dyskusji nad zbyt szerokim spektrum zagadnień, łącznie z problemem bliskowschodnim, co mogło znacznie utrudnić negocjacje nad sprawami ważnymi dla PRL (kwestie terytorialne). Z niepokojem, zarówno w Warszawie jak i Moskwie, śledzono poczynania RFN, którą posądzano, że dzięki swojej pozycji politycznej i ekonomicznej, będzie chciała wykorzystać konferencję dla realizacji własnych celów i nakłoni do przyjęcia swojego stanowiska także innych partnerów z EWG i NATO. Błędne okazały się rachuby krajów bloku na podważenie jedności państw Europy Zachodniej które, jak się okazało, wypracowały w odniesieniu do wielu spraw zgodne stanowisko. Zwracano także uwagę, że zasady „swobodniejszej wymiany osób, idei i informacji” posłużą państwom zachodnim, dysponującym w końcu lepiej rozwiniętą bazą materialną, do „infiltracji ideologicznej” oraz „rozmiękczenia” krajów socjalistycznych. W okresie WRP delegaci polscy ściśle współpracowali i konsultowali się z przedstawicielami innych krajów bloku, zwłaszcza ZSRR, który zachował decydujący głos we wszystkich omawianych podczas negocjacji kwestiach. Wyniki rozmów helsińskich zostały ocenione przez Warszawę pozytywnie, zwłaszcza w kontekście wyeksponowania zasady nienaruszalności granic w Europie. Władze PRL podkreślały znaczenie solidarnego stanowiska państw socjalistycznych, choć uświadamiały sobie z drugiej strony, że rokowania konferencyjne stały się wyraźnie spotkaniem międzyblokowym, gdzie siłą rzeczy pierwsze skrzypce grali liderzy ugrupowań, a więc mocarstwa przy jednoczesnym ograniczeniu roli mniejszych krajów.

Rozdział piąty odnosi się do prac KBWE rozpoczętych w lipcu 1973 r., a zakończonych 1 sierpnia 1975 r. podpisaniem *Aktu końcowego*. Państwa bloku wschodniego, łącznie z Polską,

prezentowały jednolite, podporządkowane ZSRR stanowisko i występowały podczas obrad konferencyjnych zgodnie z ułożonym przez Krem podziałem ról. Dotyczyło to szczególnie forsowanych przez Zachód koncepcji swobodnego przepływu ludzi i idei (tzw. trzeci koszyk) w których dostrzegano coraz wyraźniejsze zagrożenie dla systemów społeczno-politycznych w krajach socjalistycznych. Ważnym obszarem aktywności delegacji PRL na KBWE były sprawy bezpieczeństwa oraz współpracy gospodarczej. Starano się aby w toku obrad posługiwano się odpowiednimi, z punktu widzenia interesów polskich, sformułowaniami dotyczącymi problemów nienaruszalności granic oraz integralności terytorialnej. Przebieg konferencji uzmysłowił Warszawie po raz kolejny jej ograniczoną podmiotowość i niewielkie możliwości oddziaływania międzynarodowego widoczne zwłaszcza w sytuacji, kiedy państwa zachodnie traktowały priorytetowo relacje z ZSRR, także w zakresie możliwości rozwoju kontaktów gospodarczych. Wyniki obrad oraz zasady podpisanego *Aktu końcowego KBWE* władze PRL uznały za sukces pomimo, że nie miały one charakteru wiążącego z punktu widzenia prawa międzynarodowego. Podkreślano jednak, że przyczyniały się one do utrwalenia istniejącego terytorialno-politycznego status quo i z tego punktu widzenia, jak na wyrost twierdzono, zastępowały w pewnym zakresie niezawarty po wojnie traktat pokojowy, a tym samym zamykały okres powojenny w Europie.

Już ten, siłą rzeczy skrótowy, przegląd treści pracy Jarząbek pozwala na konstatację, że autorce udało się uchwycić i wyjaśnić rozliczne i mało znane przejawy polskiego zaangażowania w proces KBWE. Dokonując analizy znacznego obszaru działań polityki zagranicznej PRL Jarząbek uwypukliła jej cele i mechanizmy, będące konsekwencją powojennego porządku w Europie, osadzonego w realiach dominacji Kremla w bloku wschodnim oraz akceptacji Zachodu dla istnienia stref wpływów. Autorka wykazała, że charakter i specyfika międzynarodowej aktywności Warszawy, wynikała ze splotu wielu czynników obecnych na kolejnych etapach planowania i przygotowań do zwołania konferencji europejskiej. Czynniki te sprowadzały się do uwarunkowań ideologicznych, konsekwencji podporządkowania ZSRR, zależności panujących w bloku wschodnim, a także wysiłków władz peerelowskich na rzecz uznania granicy zachodniej – istot-

nego zarówno w kontekście realizacji interesów narodowych, jak również polepszenia tą drogą własnego wizerunku w oczach społeczeństwa.

Źródłowy charakter pracy zdeterminował do pewnego stopnia styl narracji, miejscami – trzeba przyznać – dość zawiły. Nie ujmuje to jednak opracowaniu wartości. Imponująca liczba wykorzystanych materiałów źródłowych, trafność wysnutych na ich podstawie wniosków i spostrzeżeń powoduje, że książka Wandy Jarząbek jest udaną próbą przybliżenia skomplikowanych kwestii polityki zagranicznej PRL i jej usytuowania na arenie międzynarodowej. Z tego punktu widzenia ustalenia autorki na pewno zwrócą uwagę badaczy zajmujących się tą problematyką.

Robert SKOBELSKI

Piotr WANDYCZ

NOWA KSIĄŻKA JANA KIENIEWICZA

Żyjemy w świecie globalizmu. Imperia kolonialne zniknęły wprawdzie z atlasów po drugiej wojnie światowej, ale zjawiska takie jak: kolonializm, dominacja, agresja i zacofanie istnieją nadal, choć w zmienionych formach. Czym były i są one w istocie?

Tej ważnej i aktualnej tematyce jest poświęcona książka znanego historyka związanego z Uniwersytetem Warszawskim, prof. Jana Kieniewicza, wydana w 2008 r. nakładem wydawnictwa DiG. Nosi ona tytuł *Ekspansja, Kolonializm, Cywilizacja* i zawiera dziewiętnaście wybranych prac autora zgrupowanych w dwóch częściach: *Wokół ekspansji i kolonializmu*, oraz *Doświadczenia polskie, doświadczenia pograniczne*. Do powyższych artykułów został dołączony niepublikowany tekst ojca autora, prof. Stefana Kieniewicza pt. *Prastryj pradziada* (Tadeusz Rejtan), dwa krótkie

teksty pióra inicjatora tomu prof. Jerzego Axera, oraz bibliografia prac Jana Kieniewicza.

We wstępie autor kreśli drogę naukową, jaką przebył studiując i publikując na te tematy. Stwierdza, iż koncepcję kolonializmu wywodzi z teorii systemów społecznych. Wyjaśnia również sens powiązań ekspansji, kolonializmu i cywilizacji z wystąpieniami dotyczącymi spraw polskich. Nie będąc specjalistą od tej złożonej i bogatej problematyki, ograniczę się z konieczności do referowania głównych ustaleń i poglądów Kieniewicza. Mam nadzieję, że nie uproszczę zbyt jego wywodów.

Tytuł pierwszego rozdziału: *Azja i Europa na progu nowoczesności. Początek zacofania i konfrontacja systemów wartości* oddaje dobrze treść poruszanych zagadnień.

Analizując relacje tych dwóch kręgów cywilizacyjnych, autor podkreśla, że dopiero w ostatnich dwóch stuleciach wystąpiły przeobrażenia pod wpływem cywilizacji europejskiej. Przedstawiając ekspansję przedkolonialną Europejczyków, kwestionuje tezy o „wyższości” kultury europejskiej. Stwierdza istnienie w Azji struktur społecznych na wysokim poziomie, które określa jako stacjonarne i mające ekologiczną równowagę. Znaczący wpływ Europejczyków występuje w następstwie dominacji i podbojów, a nie wcześniej, jak twierdzą niektórzy badacze, przenoszący zjawiska z XIX wieku na okres XVI-XVII. Czyli fenomen „zacofania” powstający w połowie XVIII wieku jest wynikiem podbojów, a nie odwrotnie. Autor uważa, że rozprawienie się z istniejącymi poglądami i mitami wymaga stawiania pytań o rzeczywisty charakter spotkania Europejczyków z Azją w okresie przedkolonialnym.

Następne dwa rozdziały są poświęcone przebadaniu zagadnienia „kontaktu i transformacji” w „świecie-systemie Oceanu Indyjskiego XVI-XVIII wieku”. Operując wielu przykładami i odnosząc się do literatury fachowej, Kieniewicz skupia uwagę na działalności handlowej Portugalczyków w Indiach i ewolucji od wymiany do przemocy.

W rozdziale pt.: *Europejski Nowy Świat za morzami: Przestrzeń kontaktu i granice poznania* autor zajmuje się Ameryką Południową. Mianem kontaktu określa ekspansję dokonywaną przemocą, celem opanowania i przekształcenia obcego systemu społecznego. Przedstawia przemianę początkowo zachwyconych

odkrywców na konkwistadorów. Zasadniczymi elementami konkwisty były jego zdaniem „determinacja zdobywców i załamanie oporu” odmiennie niż w przypadku Azji. Znacząca też była szybkość podboju i nacisk położony na zakładanie miast, wykorzystując doświadczenia kastylijskie. Autor podkreśla, że konkwista zniszczyła świat indiański, zamiast go sobie podporządkować, i stworzyła „własną przestrzeń kulturową”. Mamy tu do czynienia z potrójną agresją: fizyczną, ekonomiczną i duchową. Różniła się ona zasadniczo od ekspansji w Azji, tak jak różniła się od kolonializmu XIX-wiecznego z pojęciami zależności i zacofania. Efektem końcowym był „Nowy Świat Amerykański, który odrzucił zwierzchność Metropolii, ale pozostał zależny od Centrum Systemu Światowego”.

Pozostałe rozdziały pierwszej części dotyczą prób interpretacji kolonializmu widzianego z różnych perspektyw. Kolonializm, zdaniem autora, nie jest głównie czy wyłącznie narzuconym tworem europejskim, zaś różne proponowane ujęcia mieszczą się jego zdaniem, w zjawisku ekspansji. Autor stara się oddzielić kolonializm od istniejącego „bagażu emocjonalnego”. Widzi go jako pewną nową transformację w pozaeuropejskich systemach społecznych w XIX wieku, którą charakteryzuje adaptacja do panowania Europejczyków. Kieniewicz analizuje trzy zasadnicze pojęcia i stany dotyczące położenia kolonii: zacofanie (stan systemu niezdolnego do rozwiązania istniejących problemów, czyli rezultat niezrównoważenia ekologicznego i rozwoju zależnego), kolonializm (podporządkowanie, zniewolenie, wykorzystanie i ze strony tubylców „cena przeżycia”) oraz peryferyzacja.

W następnym rozdziale autor zastanawia się nad możliwościami badań porównawczych Europy Wschodniej i Ameryki Łacińskiej w kontekście „sytuacji” (na przykład sowytyzacji), kolonializmu i zacofania. Jest zasadniczo sceptyczny, co szczególnie wyjaśnia, natomiast widzi sens badania mechanizmów trwania, reprodukcji i transformacji.

W rozdziale *O naturze kolonializmu* Kieniewicz pisze, że obecnie widzi się w nim źródło wszelkiego zła, i apeluje o spokojną refleksję nad tym zjawiskiem. Przede wszystkim autor ogranicza kolonializm „do epoki, w której cywilizacja europejska narzucała światu swoją wizję i swój porządek”. Polemizując z innymi badaczami, nazywa go „postawą, która ukształtowała się

w społeczeństwach podporządkowanych”. Jak w poprzednich rozdziałach mówi o stanie stacjonarności i o ekologicznej równowadze, o zacofaniu w wyniku narzucania europejskich wzorców. Przypomina trzy podstawowe relacje: podporządkowania, zniewolenia i wykorzystania. Jedynie Japonia potrafiła wykorzystać wzory europejskie dostosowując je do własnej kultury.

Czy dialog między cywilizacjami jest możliwy – zapytuje Kieniewicz w następnym rozdziale i odpowiada nań przecząco. Cytując z aprobatą definicje Braudela, Konecznego i Huntingtona, uznaje cywilizację za „formę określania przynależności ludzi ponad dzielącymi ich kulturami”. Z kolei „dialog”, jak mówił Jan Paweł II, to coś więcej niż rozmowa – to pewna postawa i zdolność takiego mówienia i słuchania, aby rozmówca słyszał i rozumiał. Łączy się to z wartościami ściśle związanymi w przypadku Europy z chrześcijaństwem. Tak rozumiany dialog wyklucza zarówno dominację, jak i zaparcie się własnej tożsamości, co w dzisiejszym świecie nie jest realne.

Na zakończenie pierwszej części książki autor wraca do jeszcze jednej próby interpretacji kolonializmu stawiając pytanie: „przemoc polityczna czy opresja cywilizacyjna?” W swych refleksjach Kieniewicz obejmuje tu również relacje „w zasięgu imperium sowieckiego w drugiej połowie XX wieku”. Nie odbiegały one, jego zdaniem, zasadniczo od doświadczeń Rosji carskiej ani od brytyjskich. Różnice w tym drugim przypadku polegały na tym, że przemoc brytyjska była skierowana przeciw „obcym”, a rosyjska wobec „swoich”. Przedstawiając różne aspekty sowieckiej przemocy – na ogół znane polskiemu czytelnikowi – Kieniewicz dostrzega tu analogie z kolonializmem. W tym sensie, kolonializm jest „zjawiskiem uniwersalnym polegającym na znajdowaniu uzasadnienia dla uległości wobec hegemonu”.

Na drugą część składa się dziewięć następujących rozdziałów: *Zagrożenia polskości, Kształtowanie się postaw poddańczych; Polacy i Europa końca XX wieku; Przejście i przekształcenie. Perspektywy rozwoju Polski na przełomie XX i XXI wieku; Pogranicze jako przestrzenie spotkania światów; Czy Europa Wschodnia jest możliwa? Polskość po przejściach; Polski los w imperium rosyjskim jako sytuacja kolonialna, a wreszcie Aspekty cywilizacyjne wschodniej granicy Europy*. Myśli i sformułowania autora, a występuje tu wiele nieuniknionych powtórzeń, mogą tu być

przedstawione tylko w skrótovej formie.

Kieniewicz poświęca dwa rozdziały zagadnieniu „polskości”, którą określa jako „tożsamość narodu”. Rozważa kwestie zagrożenia, stwierdzając, iż przemiany rozwojowe nie stanowią zagrożenia dopóki zachowana jest samodzielność. Widzi jednak trzy symptomy zagrożenia związane z kryzysem wartości i osłabieniem więzów. A więc „zanik obsesyjnego poczucia ograniczenia przez polskość”. Autor ma tu na myśli wzrastający obecnie dystans do wartości uniwersalnych na rzecz podbijania narodowego bębna. Paradoksalnie postawa ta nie wzmacnia, ale osłabia pełnowartościową polskość. Drugie zagrożenie Kieniewicz widzi w ewolucji stosunku do Kościoła, który jest „niezbędnym elementem przetrwania polskości”, ale nie ma służyć jako „organizacja zastępcza”. Trzecim zagrożeniem jest wchłonięcie przez polskość „socjalizmu”, czyli używając terminu, którego autor nie lubi, zjawiska *homo sovieticus*.

W *Polskości po przejściach* Kieniewicz jest zdania, iż pomimo wyrażanych obaw o przyszłość narodu w cywilizacji globalnej narody pozostają nadal podstawowymi wspólnotami w Europie. Zastawiając się nad miejscem i rolą Polski w Unii Europejskiej podkreśla konieczność polskiego zaangażowania w przestrzeni między Europą a Rosją. Jaka jednak jest Polska po upadku komunizmu? Autor omawia procesy zachodzące w ostatnich 45 latach, używając terminu „przejściowość”. W tym okresie kwestia „polskości” miała zasadnicze znaczenie. Występowało przekonanie, że polskość przetrwała rozbiory i okupację, ale nie wytrzyma „wegetacji bez perspektyw”. Wśród istniejących zagrożeń, Kieniewicz upatruje „subkulturę pijacką” i niezadawalający „stan polskiego dialogu”. Przyszłość zaś dla Polski widzi w zdolności do kształtowania osłabionej więzi narodowej i gotowości zaistnienia Polaków jako Europejczyków.

Osobny rozdział – jeden z wcześniej napisanych – zawiera refleksje na temat kształtowania się „postaw poddańczych”. Wyływają one z poprzednich uwag o zagrożeniu, z tym że Kieniewicz przeprowadza bardzo interesujące porównania między poddaństwem w dawnej Polsce a sytuacją istniejącą w okresie „socjalizmu”. Kwestię – kim będzie Polak końca XX wieku – Kieniewicz wiąże z pytaniem o miejsce Polski w Europie. Analizując proces zmian wiodących do europejskości, używa

słowa „sytuacja” dla określenia wszystkich aspektów komunistycznej rzeczywistości, czyli układu zniewolenia. Europejskość z kolei w ujęciu Polaków, jak słusznie zauważa, łączy się często z kompleksami, m.in. z obawą, że oznacza „wtopienie się... aż do przekreślenia własnej kultury”. Kieniewicz określa związek Polski z Europą za pomocą trzech pojęć: Byt, Stan i Miejsce. Mówiąc skrótowo, bo nie sposób przedstawić tu czterostronicowych refleksji autora, odnoszą się do współuczestnictwa w systemie wartości, gospodarki (kwestia peryferii) i lokalizacji (Kresy dawniej i dziś jako przestrzeń spotkania). Autor odrzuca postawę Polaka wystawiającego Europie rachunek zasług i krzywd. Widzi rolę Polski w otwieraniu Europy na wschód w imię szerzenia wolności. Wiele podobnych myśli znajdujemy w odpowiedziach autora na ankietę w długim rozdziale pt. *Przejście i przekształcenie. Perspektywy rozwoju Polski na przełomie XX i XXI wieku*.

Kieniewicz poświęca dwa rozdziały kwestii „Pogranicza” i pytaniu „Czy Europa Wschodnia jest możliwa?” W pierwszym z nich porusza kwestię ukształtowania się specyficznych społeczeństw w „przestrzeni pogranicznej” (wynikającej z ekspansji) i ich roli w cywilizacji europejskiej. Omawia przy tym dość szczegółowe zjawisko ekspansji odmiennej w Europie i na terenach pozaeuropejskich. W tym drugim przypadku daje ciekawy przykład „spotkania” kulturalnego Portugalczyków w Malabarze (poruszany zresztą w wcześniejszym rozdziale). W wypadku Rzeczypospolitej i Rosji stawia tezę, że w miarę zbliżania się Rosji do Europy „właściwość określana jako «pograniczność» ulega redukcji”.

Czy Europa Wschodnia jest możliwa i potrzebna? – zapytuje Kieniewicz w następnym rozdziale. Rozważa te pytania przedstawiając historyczną Polskę jako „ideę Europy na wschodzie”, realizującą „model otwarty i dynamiczny”. Do modelu tego włącza Nowogród i genueńskie kolonie nad Morzem Czarnym. Przeciwwstawiał się im model moskiewski. Autor dokonuje tu interesującego porównania między stosunkiem Rzeczypospolitej a konkwistadorów hiszpańskich do ich zdobyczy. Koniec końców polski projekt Europy Wschodniej, który nigdy nie stał się jednolitą koncepcją polityczną, przegrał z różnych powodów. Dla Zachodu właśnie Rosja stała się Europą Wschodnią. Polacy stale się od niej odzęgnywali lansując kon-

cept Europy Środkowo-Wschodniej. Kieniewicz odrzuca go, gdyż jego zdaniem odcina on Polskę od Europy Wschodniej. Nie jest to słuszne zastrzeżenie, jeśli odnosi się do ujęć Oskara Haleckiego i niżej podpisanego, gdyż nie operują oni pojęciem granicy linearnej, a raczej strefy. Natomiast autor ma rację mówiąc o złudzeniach i uprzedzeniach utrudniających poznanie prawdy o przeszłości stosunków polsko-rosyjskich, jak i polsko-ukraińskich.

Autor jest nieco sceptyczny wobec koncepcji polityki globalnej Zbigniewa Brzezińskiego włączającej Ukrainę oraz nowocześnie i demokratycznie Rosję. Widzi natomiast szansę dziejową dla Polski w podjęciu próby budowaniu Europy Wschodniej widzianej jako „brama dla Europy i do Europy”. Tak pojęte nowe pogranicze – przestrzeń dialogu i spotkania – będące przezcieniem podziału na Zachód i Wschód leży w polskim interesie narodowym.

Rozdział zatytułowany *Polski los w imperium rosyjskim jako sytuacja kolonialna* stanowi charakterystyczną dla Kieniewicza próbę przenoszenia pojęć dotyczących kolonializmu do doświadczeń polskich. Po określeniu: co rozumie przez „los”, i po podkreśleniu różnic cywilizacyjnych polsko-rosyjskich, autor uważa, że termin sytuacja kolonialna jest tu właściwy. Oznacza bowiem relację dominacji i podległości, jakkolwiek w odróżnieniu od tradycyjnych badań kolonializmu trudno tu mówić o ekspansji cywilizacyjnej i kapitalizmie. Widząc zasadnicze trudności w szukaniu analogii między imperium brytyjskim a rosyjskim, kilkakrotnie próbuje ukazać porównania i kontrasty.

Poglądy autora na historyczną ekspansję Rzeczypospolitej są w pewnym sensie powtórzeniem i rozwinięciem jego uprzednich rozważań o Pograniczu, Kresach i Europie Wschodniej. Kieniewicz podkreśla różnice pomiędzy interpretacjami zjawisk przez Polaków i Rosjan. W konkluzji widzi możliwość stosowania pojęć, których używał w analizie kolonializmu, jak „kontakt”, „spotkanie”, „katastrofa”. Refleksje na ten temat odbiegają od tradycyjnych ujęć stosunku carskiej Rosji do Polski Polaków.

Jest zrozumiałe, że w ostatnim artykule Kieniewicz wraca do często poruszanego przez siebie pytania o aspektach cywilizacyjnych wschodniej granicy Europy. Przedstawia jej rozszerzanie się na przestrzeni stuleci w wyniku ekspansji i mówi o powstawa-

niu „pogranicza cywilizacyjnego” opartego na rozwijaniu ogólnoeuropejskich wartości, jak wolność i prawo. Gdy z upadkiem Rzeczypospolitej upada „pogranicze”, ziemie polskie stają się europejskimi peryferiami. Zimna Wojna tworzy nową i odmienną granicę wschodnią Europy. Jej zakończenie stwarza szansę odbudowy „pogranicza”. Oby!

Wybór prac Kieniewicza zamieszczony w tym tomie zawiera bogactwo materiału i myśli. Liczne przypisy wskazują na ogromną erudycję autora. Jego tezy i sformułowania są niekiedy kontrowersyjne i skłaniają do dyskusji. Styl autora nie zawsze jest łatwy, a pewne powtórzenia są nieuniknione. Dla niżej podpisanego, który przywiązuje wielką wagę do komparatystyki historycznej, ta cenna książka niewątpliwie pobudza do myślenia.

Piotr WANDYCZ

WSPOMNIENIA

Janusz JEŻEWSKI

GORYCZ WOLNOŚCI

Od wschodu dochodziło nieprzerwane granie karabinów maszynowych i suche odpalenia garłaczy, których pociski rozrywały się za zachodnim drutem obozu. Z Rederitz artyleria niemiecka strzelała w las. Po obozie gwizdały kule i co jakiś czas rozrywały się „przykrótkie” pociski, świszcząc odłamkami po izbie chorych i barakach, gdzie chronili się wystraszeni *gefangeni*, zadekowani przed ewakuacją obozu.

Z baraku ppłk. Mossora, pełniącego obecnie obowiązki komendanta obozu, wybiegło kilku młodych oficerów, krzycząc:

– Z rozkazu pana pułkownika natychmiast opuszczać obóz. Zbiórka w koszarach w Grossborn.

Kto tylko mógł jako tako się poruszać, pospieszył do lasu za druty. W obozie została jedynie grupka najciężiej chorych z dr. Bielawskim na czele, którzy później zostali szczęśliwie wywiezieni jakimś ubłagany samochodem ciężarowym.

Na teren obozu wpadło kilkunastu żołnierzy w rogatych czapkach polowych i polskich mundurach. Były to oddziały I Armii Polskiej gen. Popławskiego. Jeńcy patrzyli się ciekawie, ale z nieufnością na przybyszów. Słyszeli dużo o oddziałach polskich tworzonych po stronie radzieckiej. Nie mieli do nich wielkiego zaufania, chociaż wiedzieli przecież kim są ci żołnierze. Poza tym przepełniała ich może nieświadoma niechęć, że oto definitywnie już zburzony został ich spokojny, wieloletni świat i czeka ich nieznana, groźna przyszłość. Wolność nadchodziła, ale nie taka, jaką

sobie wymarzyli w ciągu tych lat niewoli. Przejazdy w wygodnych pociągach sanitarnych na paromiesięczny pobyt w sanatorium, doskonałe odżywianie, przywitanie z rodzinami i wreszcie po całkowitym przyjeździe do siebie, powrót do normalnego życia. I oto te wszystkie marzenia prysły pod wybuchami pocisków, trzeba było zostawić nawet walizkę pełną *gefangeńskiego* bogactwa i pamiątek, które się chciało przywieźć do domu i zapychać co siłą na piechotę.

Nacierający żołnierze i uciekający z obozu jeńcy spotkali się przy wyłamanym drucie. Jeńcy patrzyli obojętnie. W oczach kilku żołnierzy zakręciły się łzy wzruszenia.

– Prawdziwi oficerowie – wyszeptali. Ręce ich nieśmiało dotykały gładkiego sukna amerykańskich mundurów.

Nadbiegł ich dowódca. Zakrzyczał:

– Czego tu stoicie? Aa?

Kilku niechętnie ruszyło naprzód. Jakiś *gefangen*, widząc u przybyłego oficera na naramiennikach dystynkcje majora, zadał nieinteligentne pytanie:

– A co to za stopień?

Przybysz obruszył się i wskazując palcem na naszego majora, stojącego w grupie jeńców, zapytał z charakterystycznym akcentem, nie pozostawiającym wątpliwości co do narodowości, polskiego oficera:

– A toż co za stopień? Aa?

Jeńcy bez słowa odwrócili się i ruszyli w las.

Po wyjściu z lasu ujrzeliśmy przed sobą budynki koszar w Grossborn. Chociaż był to dopiero początek lutego, wiosenne słońce zalewało potokami światła pokrytą jeszcze gdzieś śniegiem ziemię. Spodziewaliśmy się jakichś rozkazów, choćby tylko zorganizowania kolumny i wskazania kierunku marszu. Na próżno, pułkownik Mossor miał widać inne sprawy na głowie.

Z najwyższym wysiłkiem wlokłem się w kierunku wschodnim. Wraz ze mną szło czterech kolegów z izby chorych. Od rana nie mieliśmy nic w ustach. Ja byłem na czczo, gdyż bombardowanie obozu oderwało mnie od garnka z przygotowywaną na śniadanie smakowitą soczewicą na kawałku świńskiej skóry. Już wiele lat minęło od tego czasu, a na wspomnienie owej soczewicy ślina napływa mi do ust.

Zapadał już mrok, przechodziliśmy przez jakąś wieś. Na

drodze pełno żołnierzy polskich i radzieckich ciągnęło na zachód. Wielkie ciężarowe chevrolety taszczyły działa i wiozły uzbrojonych po zęby artylerzystów. Wsie były jakby wymarłe, mieszkańcy jeszcze przed paru dniami uciekli na zachód. Wielu z nich zostało dopędzonych przez czołgi radzieckie. Sceny odgrywane się w tych kolumnach uciekinierów żywo przypominały gehennę polskiej ludności we wrześniu 1939 roku.

W opłotkach jakiejs chałupy widać dwie dziewczyny niemieckie krygujące się i szczerzące zęby do paru kałmuków w watówkach z pepeszami. Droga biegnie polski kapitan w garnizonowej czapce z granatowym otokiem. Widać od razu, że jest to oficer przedwojenny. Nie zginął w Katyniu, nie trafił do armii Andersa, lecz znalazł się w dywizji kościuszkowskiej. Twarz młoda, energiczna. Oczy pełne smutku i zmęczenia.

– Gębę na kłódkę. Mówić jak najmniej! – rzuca po drodze.

Notuję w pamięci te słowa. Nie chcę tworzyć własnej opinii o niczym, dopóki sam się nie przekonam. Co robią wieloletnie uprzedzenia i propaganda, miałem możliwość się przekonać rozmawiając z oficerami–jeńcami, a później z powstańcami warszawskimi.

Około 22-ej przybyliśmy do jakiejs wsi, zajętej przez oddziały polskie. Wolne kwatery zostały już zajęte przez płk. Mossora i jego sztab. Zatrzymaliśmy się przy jakiejs zagrodzie, aby się naradzić co robić dalej. Z chałupy wyszło kilku żołnierzy.

– Panie poruczniku. Niech panowie zatrzymają się u nas. Miejsca jest dosyć. Niech pan porucznik porozmawia z naszym porucznikiem.

Wszedłem do wnętrza domu. W jednej z izb siedział mały, krępy człowieczek z ospowatą, prostą twarzą. Na naramiennikach polowego munduru miał dwie gwiazdki. Przedstawiłem się, prosząc o pozwolenie zatrzymania się na nocleg dla czterech oficerów. Młody człowiek zgodził się chętnie, wskazał wolną izbę. Mówił po polsku z wyraźnym zaciąganiem. Weszliśmy do przydzielonej nam izby. Był to pokój sypialny dawnych gospodarzy. Na środku stały dwa małżeńskie łóżka. Wszędzie panował straszliwy nieład, wskazujący na paniczną ucieczkę mieszkańców. Pobieżnie doprowadziliśmy izbę do porządku, przyszykowując pościelenie dla nas czterech. Porucznik G. miał dwie puszki mięsnych konserw. Mimo strasznego zmęczenia, trzeba było coś

zjeść, bo głód się dawał potężnie we znaki. Żołnierze ofiarowali nam ziemniaki, kolacja zapowiadała się nieźle. Uradziliśmy, że trzeba zaprosić naszego gospodarza – porucznika. Zaproszenie zostało przyjęte i wkrótce nadszedł nasz gość, a za nim żołnierz dźwigał pięć litrowych butelek spirytusu. Był to hojny prezent jako rewanż za kolację. Jak się później dowiedzieliśmy, każdy żołnierz na froncie dostawał litr czystego spirytusu dziennie.

Usadziliśmy gościa na honorowym miejscu w jedynym zdanym do użytku fotelu. Rozlano spirytus do szklanek i nałożono kopiaсте talerze gulaszu. We drzwiach tłoczyli się jeden przez drugiego żołnierze, chcący przyjrzeć się „prawdziwym oficerom”. Chłopcy wyglądali jak dzieciaki rozgniatające nosy o szybę wystawy cukierniczej. Porucznik zachowując dostojną powagę perorował:

– Dobrze, że panowie w porę będą mogli wzmocnić siły naszego korpusu oficerskiego. U nas duży brak oficerów. Ot.

– Będziemy szczęśliwi, jeśli będziemy jeszcze mogli bić Niemców.

– Panowie słyszeli, że Niemcy wymordowali polskich oficerów w Katyniu? Aa?

– Tak. A kiedy to było? Bo my przecież nic dokładnie nie wiemy.

Rozparty w fotelu nasz gospodarz, skinął łaskawie na jednego z tłoczących się przy drzwiach żołnierzy i powiedział:

– Ty, powiedz no, kiedy Niemcy zamordowali polskich oficerów w Katyniu?

Zapytany stuknął obcasami, zrobił wystraszoną minę i wyrecytował:

– W lecie 1941 roku, obywatelu poruczniku.

Jeden z nas zapytał:

– A iluż oficerów oni zamordowali?

Porucznik skinął na drugiego żołnierza. Tamten poderwał się i natychmiast powiedział:

– Dwanaście tysięcy polskich oficerów, obywatelu poruczniku.

Nasz gospodarz jeszcze szerzej, jeśli to było możliwe, rozsiadł się w fotelu, wyciągnął papierosa, zapalił od podanej mu usługnie przez któregoś z żołnierzy zapałki, szerokim gestem wyprawił wszystkich chłopaków z pokoju i zaciągawszy się głęboko dymem, powiedział:

– Armia Czerwona pomoże Polakom wyrzucić Niemców z Polski, a potem powróci do siebie. Związek Radziecki nie chce się mieszać w wewnętrzne sprawy Polski, Polska będzie niepodległa.

– A gdyby Polska zechciała przystąpić do Związku jako jedna z republik? Czy sądzi pan porucznik, że Związek Radziecki by nas przyjął?

Takie pytanie widocznie nie było przewidziane w programie. Oficer obrzucił rozmówcę podejrzliwym wzrokiem i natychmiast zmienił temat rozmowy. Zaczął mówić o sobie, że jest Polakiem, urodził się w Kijowie.

– Można powiedzieć, że jestem radzieckim Polakiem.

Wówczas po raz pierwszy usłyszałem to określenie.

Chociaż kolejki spirytusu krążyły dość gęsto, gospodarz nic nie stracił na swej uroczystej powadze i dostojeństwie. Wreszcie zaproponowawszy nam napisanie listów do rodzin i wysłanie ich pocztą polową, pożegnał się i wyszedł. Prawie nie rozbierając się, rzuciliśmy się na posłania. Nazajutrz rano przystąpiliśmy do pisania listów. Nie zapomnieliśmy oczywiście napisać w pierwszych słowach o bohaterskiej Armii Radzieckiej, której zawdzięczamy wolność. Żegnając się przed dalszą drogą, listy oddaliśmy porucznikowi, raz jeszcze dziękując za gościnę. Rodziny nasze nigdy tych listów nie otrzymały.

Bezlądne grupy jeńców ciągnęły w stronę Jastrowa, gdzie jak nam mówiono, miały nas oczekiwać kwatery. Było to przeszło dwadzieścia kilometrów. Wlokłem się wciąż ostatkiem sił, dzwigając na plecach zrobiony z *battle-dressu* pakunek, przypominający tornister, w którym miałem podręczne rzeczy, pochwyczone przy wyjściu z obozu. Podpierałem się jakimś kosturem wyłamanym w lesie.

W pewnej chwili poczułem, że dalej już iść stanowczo nie mogę. Trzeba szczęścia, że tuż koło mnie na szosie zatrzymała się ciężarówka, wypchana polskimi jeńcami. Kierowca, polski żołnierz, gościnnie zapraszał mnie, abym wsiadał. Koledzy moi skorzystali natychmiast, ale ja nie mogłem się wgramolić na wóz przez nieotwartą klapę z tyłu samochodu. Wreszcie pociągnięty z góry, jakoś wylądowałem w zbitym tłoku byłych *gefangenów*. Samochód zapychał pełnym gazem. Wkrótce wjechaliśmy w uliczki Jastrowa. Schludne miasteczko zamienione było w ruiny

i zgłiszcza. Pierwszym widokiem, jaki rzucił się nam w oczy, był trup małego siwego staruszka z krwawą dziurą pośrodku czoła. Biedak ciągnął ręczny wózek naładowany skromnym dobytkiem. Z tyłu popychała wózek jego starowinka żona. Litościwa kula dosięgła ją także. Upadła, opierając bielutką głowę o tylny brzeg wózka.

Jenicy wysiedli z wozu. Wciąż czekali, aż ktoś się nimi zajmie i wskaże, dokąd mają iść. Wreszcie kazano im dołączyć do kolumny *gefangenów*, wmaszerowującej właśnie do miasta. Na którymś rogu stał gen. Popławski ze sztabem. Wysoki, tęgi, dobrze prezentujący się oficer, robił pierwsze kroki w swej ojczyściej mowie w rozmowie z ppłk. Mossorem, który meldował mu przybycie do Jastrowa uwolnionych jeńców.

Szybko otrząsnęliśmy się z marazmu niewoli i nie czekając na problematyczny przydział kwater, wyrwaliśmy się z szeregów, aby zacząć poszukiwania na własną rękę. Wkrótce też znaleźliśmy jakąś do połowy rozszabrowaną (słowo to znaleźliśmy już od powstańców warszawskich) drogerię, z dwoma mieszkalnymi pokojami w tyle sklepu. Mieszkanie było względnie porządne, z pościelą, dywanami, zastawą stołową, a nawet słoikami konfitur w spiżarni. Urządziliśmy się jako tako, nie przeszkadzało nam to specjalnie, że na schodach leżał trup cywilnego Niemca. Jeśli któryś z mieszkańców nie zdążył uciec, zostawał natychmiast zastrzelony przez zwycięskie wojska. W całym mieście uratowała się tylko rodzina lekarza, złożona z rodziców i czterech młodych córek. Przypuszczam, że zarówno życie, jak i dalszy nieszczęsny swój los tych sześcioro Niemców zawdzięczało względnej urodzie czterech dziewczyn i ich bezwzględnej gotowości służenia zwycięzcom. Nie wiem tylko, czy w ostatecznym rachunku młode Niemki nie przeliczyły się ze swymi siłami.

Kwaterna nasza, aczkolwiek wygodna, miała jednak tę złą stronę, że leżała przy jednej z głównych ulic miasteczka. Bywało, że po parę razy dziennie mieliśmy wizytę oficerów polskich lub rosyjskich, którzy zabierali pościel, dywany lub inne przedmioty, zwabieni opowiadaniem o bogactwach kwatery za drogerią.

W sąsiednim domu rozkwaterował się jakiś oddział polski. Podporucznik, chorąży i żołnierze dowiedzieli się o naszym pobycie w pobliżu, codziennie kucharz przynosił nam kibel smaczkowitej zupy na mięsie. Żołnierz rozlewał nam zupę na talerze

i z przyjemnością przypatrywał się, jak ze smakiem pochłanialiśmy jego dzieło. Któregoś dnia podporucznik i chorąży przyszli zaprosić nas do siebie na obiad. W porządnym mieszczańskim mieszkaniu ponemieckim zastaliśmy jeszcze jednego podporucznika.

– Mogą się panowie nie krępować, tutaj są wszyscy Polacy. A ten tutaj – powiedział wskazując na młodego oficera – też swój chłop, chociaż polityczno-wychowawczy.

Podano obiad. Pokój był pełny żołnierzy, przyglądających się nam z jakąś entuzjastyczną ciekawością, jakby z naszym przybyciem miała nadejść w ich życiu jakaś z dawna oczekiwana, wielka zmiana. Wdałem się w interesującą rozmowę z młodym żołnierzem Żydem, pracownikiem naukowym z Krakowa. Miłą atmosferę przerwało wejście jakiegoś porucznika z orłem na papasze. Chorąży, pełniący rolę gospodarza, powstał.

– Panowie pozwolą, nasz dowódca kompanii.

Nie zdejmując papachy, oficer podszedł do stołu. Żołnierze wymknęli się chyłkiem z pokoju. Mój rozmówca-krakowianin nie zdążył w porę uciec. Oficer zauważył go. Podniesionym głosem zaczął mu wymyślać po rosyjsku, każąc mu natychmiast zabierać się do roboty. Żołnierz wybiegł z pokoju. Chorąży dokonał prezentacji, zapraszając dowódcę swej kompanii do stołu. Rosjanin usiadł ciężko, nie zdejmując wciąż czapki. Chorąży napełnił kieliszki. Wszyscy wypili. Chorąży nalał znowu. Poczułem, że mam już dosyć wódki. Wypiłem chyba już osiem kieliszków, a przecież podobno w ogóle nie powinienem pić. Wstrzymałem rękę gospodarza. Rosjanin spojrzał na mnie ponuro spode łba. Jeden z mych kolegów podniósł kieliszek i powiedział:

– Wypijmy zdrowie bohaterskiej armii radzieckiej i tych wszystkich jej oficerów, którzy służą swą radą i pomocą odrodzonej przy jej oku armii polskiej. Wierzę, że będziemy jeszcze mieli możliwość odwdzięczenia się wielkiemu Związkowi Radzieckiemu za to wszystko, co dla nas i dla naszego kraju uczynił.

Toast został przez wszystkich wypity z entuzjazmem. Nawet ja umoczyłem usta w stojącym przede mną kieliszku. Dowódca kompanii spojrzał podejrzliwie po wszystkich, mnie obrzucił specjalnie krytycznym wejrzeniem, ale kieliszek wypił ze smakiem.

Po paru kolejkach, w których nie brałem udziału, wstaliśmy od stołu, dziękując gospodarzom i żegnając się.

Na drugi dzień zaprosiliśmy na kolację dwóch poruczników i chorążego do nas na kwaterę. Aczkolwiek panowały między nami jak najserdeczniejsze stosunki, my nie wypowiadaliśmy żadnych opinii. Słuchaliśmy tylko. I dziś opowieść oficera polityczno-wychowawczego o wywiezieniu jego z rodziną ze Lwowa w 1939 roku wzruszyła nas do głębi. Było to pierwsze, słyszone przez nas opowiadanie naocznego świadka – dotychczas wszelkie podobne historie traktowaliśmy jako propagandę.

– I dlatego tak mi się podobało pańskie wczorajsze przemówienie, panie poruczniku. O tak, jakże bym pragnął odwdziżyć się za to wszystko, za te groby mojej rodziny na Syberii, za moją mękę, głód i poniewierkę, i za wszystko, wszystko, co oni dla nas zrobili i robią.

Nazajutrz jakiś żołnierz z taborów rozlokowanych na naszym podwórku, zauważywszy u mnie na płaszczu proporczyki kawalerskie, przybiegł na naszą kwaterę, dźwigając litrową butelkę spirytusu, prosząc mnie na wszystko, abym zechciał się z nim napić, bo on też jest kawalerzystą z 9 pułku ułanów. Aczkolwiek sam widok spirytusu napełniał mnie trwogą, to jednak nie mogłem chłopakowi odmówić. Z jakiejś szafy wyciągnąłem dwa półlitrowe kufle od piwa i napełniając je bezbarwnym płynem mówił:

– A dowódcą naszego pułku był sam naczelny wódz, pan generał Bór-Komorowski.

Zrezygnowany, postanowiłem wypić spirytus jednym haustem. Podniosłem kufel i szybko wlałem sobie w gardło jego zawartość.

Nagle poczułem obrzydliwy smak i zapach przełkniętego napoju. Krzyknąłem przestraszony:

– Na Boga! Przecież to denaturat!

Był to bezbarwny spirytus denaturowany.

– Nic nie szkodzi, panie poruczniku, nam to teraz fasują, my pijamy i nic nam nie jest.

– Człowieku, przecież oślepniecie, jeśli będziecie to pić.

– Iii, panie poruczniku, kto by się tym przejmował.

Żołnierz opowiedział mi smutne losy rtm. Pisuli i innych znajomych oficerów, którzy uniknąwszy Katynia, nie zdołali

dostać się do armii gen. Andersa, lecz zostali wcieleni do dywizji kościuszkowskiej. Dzisiaj w armii polskiej po stronie radzieckiej nie ma prawie ani jednego oficera sprzed 1939 roku.

Wykręciwszy się od drugiego kufla denaturatu, pożegnałem kolegę-ułana jak umiałem najserdeczniej i wyciągnąłem się na łóżku, bo kręciło mi się nieco w głowie.

Nazajutrz postanowiłem nawiewać z Jastrowa, gdyż nie spodziewałem się, aby szybko zapadły jakie decyzje co do uwolnionych jeńców. Takie bezczynne siedzenie nie miało za grosz sensu. Chciałem jak najprędzej wracać do kraju, do swoich. Koledzy namawiali mnie do zostania, tłumaczyli, że nigdzie nie zajdę, a komunikacja samochodami wojskowymi idącymi na wschód nie jest bardzo pewna, ryzykowanie marszu z chorą nogą jest idiotyzmem. W końcu porucznik G. zdecydował się iść ze mną, pozostałych dwóch miało lojalnie pozostać z resztą byłych *gefan-genów*.

Przymocowałem plecak, wziąłem kij do ręki i ruszyliśmy w drogę. Wkrótce znaleźliśmy się na peryferiach miasteczka, gdzie stały przytulne wille miejscowych notabli z miłymi ogródkami. Nagle za sobą usłyszeliśmy krzyki. Kilku żołnierzy radzieckich biegło wprost na nas z pepeszami gotowymi do strzału. Zatrzymaliśmy się, żołnierze nas otoczyli i prowadzili do którejś willi, popychając i szturchając. Za chwilę znaleźliśmy się przed znajomym obliczem dowódcy kompanii z proszonego obiadu.

A cóż ten „polski” oficer tutaj robi? Nie ma przecież tu jego kompanii, są sami żołnierze radzieccy. Zasalutowaliśmy. Odkłonił nam się niedbale. Udawał, że nas nie poznaje, ale nie mógł ukryć złośliwego zadowolenia, że nas przyłapał. Usiłował przybrać poważny, nieodgadniony wyraz.

– Takie twarze są zagadkami (za gatkami) – przebiegło mi przez głowę. Rosjanin przybrał minę surową i powiedział:

– Mam rozkaz rozstrzeliwać wszystkich przyłapanych na ucieczce z miasta. Dlaczegoście uciekali?

Odpowiedziałem bardzo łamanym językiem rosyjskim:

– Nigdzie nie uciekaliśmy. Chcemy wreszcie wracać do kraju. Na cóż mamy tutaj jeszcze czekać? O zakazie opuszczenia miasta nikt nam nic nie mówił. Proszę nas kazać odprowadzić do wojennego komendanta miasta.

Porucznik speszzył się wyraźnie.

– Nu tak – powiedział. – Tym razem was puszczyć wolno, ale pamiętajcie na przyszłość. Już się tak łatwo nie wywiniecie.

Odwrociłem się i nie salutując wyszedłem z domu. Kolega dreptał za mną. Wróciliśmy na kwaterę. Przywitano nas entuzjastycznie. Na 4-tą naznaczona była zbiórka wszystkich *gefangenów*. Mieliśmy iść na wiec urządzany dla byłych jeńców.

Poszliśmy na wyznaczone miejsce, skąd czwórkami udaliśmy się na jakiś placyk przed dom z parterowym balkonem, przeznaczonym na mównicę. Po obu stronach balkonu wisiały portrety, widocznie naprędce narysowane przez domorosłego artystę z wydziału propagandy. Na jednym poznaliśmy Stalina, po jego bokach wisiał portret Mussoliniego, przerobiony w pośpiechu na marszałka Tito, oraz podobizna kogoś, kto, jak nam powiedziano, miał przedstawiać przewodniczącego PKWN, Bolesława Bieruta. Balkon był spowity sztandarami czerwonymi i dwiema flagami o barwach Polski i Jugosławii. Naprzeciwko nas ustawili się oficerowie jugosłowiańscy, którzy przybyli do obozu w Grossborn na dwa dni przed naszym uwolnieniem i razem z nami wyszli na wolność. Pamiętam, że panował wówczas między nimi duży rozłam. Wymyślali sobie wzajemnie od faszystów albo bolszewików. W końcu faszyci usiłowali samodzielnie przedrzeć się na zachód.

Koło mównicy kręciło się kilku żołnierzy i oficerów I armii, oraz jeden z naszych kolegów, który w przeddzień naszego uwolnienia wydał płomienną odezwę i utworzył coś w rodzaju komitetu wyzwolenia jeńców polskich z niewoli niemieckiej przez czerwoną armię. Obecnie oficer ów był bardzo czynny przy organizowaniu wiecu. Nadszedł jakiś pułkownik, jak nam powiedziano płk Jaroszyński, i wygłosił przemówienie w rodzaju tych, jakie przez następne lata słyszeliśmy przy każdej niemal okazji. Było ono jednak bardzo powściągliwe w porównaniu do następnych, których czerwona intensywność wzrastała umiejętnie, stopniowo, z każdym miesiącem.

Wielki Stalin. Wolność na bagnietach bohaterskiej armii radzieckiej. Braterstwo broni. Wieczna wdzięczność. Niepodległość i suwerenność.

Na zakończenie wzniesiliśmy entuzjastyczne okrzyki na cześć tego wszystkiego a kolega-*gefangen*, współorganizator wiecu, odczytał nam rezolucję, w której uchwalamy wysłanie depešy

do generalissimusa Stalina z wyrazami wdzięczności za uwolnienie nas z niewoli niemieckiej przez bohaterską armię radziecką. Po kilkugodzinnym wiecu, podczas którego jeszcze wielokrotnie wznosiliśmy okrzyki wraz z bratnimi oficerami jugosłowiańskimi, rozeszliśmy się po kwaterach z uczuciem, że nogi wrosły nam głęboko w siedzenie. Atmosfera wiecu i jego forma nie były na ogół przez nas komentowane. To wszystko jeszcze wymagało głębokiego przemyślenia. Tylko ci, którzy nie umieli już myśleć nowymi kategoriami, mogli krytykować dawnymi, utartymi słowami. My nie baliśmy się nowego życia, choćby miało być dla nas obce i niewygodne.

Na drugi dzień rano, zauważywszy stojący na ulicy samochód ciężarowy gotowy do odjazdu, pobiegłem na kwaterę po swój plecak. Byłem zdecydowany jechać dokądkolwiek na wschód. Byle bliżej tych, których chciałem jak najprędzej zobaczyć. Okazało się, że auto wyjeżdża zaraz do Bydgoszczy, a kierowca chętnie nas zabierze. Wgramoliłem się na wóz, gdzie z niezadowoleniem stwierdziłem, że siedzi w nim, między innymi kilkoma oficerami, mój kuzyn, do którego miałem specjalnego pecha. Nigdy nie darzyliśmy się wielką sympatią, utrzymywaliśmy z sobą chłodne, ale poprawne stosunki. Na wojnę jednak poszliśmy razem, bo facet był oficerem rezerwy 5 pułku ułanów, wchodzącego w skład mej brygady. W niewoli w Radomiu nawymyślałem mu od ostatnich, gdy na moją prośbę, aby dał swemu ojcu, który go tam odwiedził, list do mojej rodziny, odmówił mi oświadczając, że jego ojciec nie jest listonoszem. Przez pierwsze dwa dni był w innym oflagu. Na nieszczęście przyjechał do Grossborn z obozem z Neubrandenburga. Dla zachowania pozorów przywitałem się z nim, zachowując jednak możliwie daleki dystans. Teraz złośliwy los chciał, abyśmy razem wracali do kraju. Jechaliśmy pełnym gazem na wschód. Rozmyślałem nad przeżyciami ostatnich dni. Przypomniało mi się opowiadanie mego najbliższego sąsiada z izby chorych, owego powstańca poparzonego „krową”. Na pobudkę przy ewakuacji obozu na zachód, oficer ten zerwał się z łóżka i powiedziawszy: – Za dobrze ich znam, żebym miał tu pozostać – pobiegł na zbiórkę. Nie wiem, czy nie padł w drodze. Był to przedwojenny porucznik 13 pułku ułanów z Nowej Wilejki. Około 20 września trafił do niewoli rosyjskiej. Pędzono ich piechotą na wschód. Na drugi dzień w

kolumnie jeńców, maszerujących bez jedzenia i wody, podniosły się szmery i narzekania. Oddział zatrzymano. Między jeńców wkroczył jakiś oficer o wybitnie semickim wyglądem i kazał wystąpić kilkunastu oficerom z kolumny. Wybrani byli przekonani, że dostaną jeść. Odprowadzono ich do pobliskiego wąwozu i przejechano po nich serią karabinu maszynowego. Po chwili oficer o semickim wyglądzie wrócił do przerażonych jeńców.

– *Wy jewrej, aa?* – zapytał naszego podporucznika, który był mały i czarny i wyglądem swym mógł przypominać Żyda.

– Nie – odpowiedział młody człowiek. Jak nam później opowiadał, po twarzy tamtego przemknął cień żalu. Kolumna pomaszerowała dalej. Nikt już nie narzekał na głód czy pragnienie.

Nazajutrz wpakowano ich do wagonów towarowych. Pojechali do Kozielska. Były to stare poklasztorne budynki. Część jeńców rozmieszczono po celach. Reszta zamieszkała w barakach na wielkim placu, otoczonym pojedynczym drutem kolczastym, wokół którego chodziło paru wartowników. Warunki były straszliwe. Kuchnia polowa wyjeżdżała na obóz o 8-ej rano. Nigdy nie było wiadomo, kiedy zajędzie przed nasz barak – mówił nasz porucznik. – Kuchnia jeździła tak po obozie do późnej nocy. W kotle był kleik z rozgotowanych kostek zbożowych. Gdy jeńcy doczekali się wreszcie kuchni przed swym barakiem, był kłopot z naczyniami. Żaden przecież nie miał menażki ani łyżki, ani żadnego naczynia. Kilku szczęśliwcom udało się zdobyć stare puszki po konserwach. Większość nadszawiła wierzchy czapek, skąd chłęptała gorący klej.

Rosjanie zorganizowali kursy ideowo-wychowawcze w obozie. Jeńcy zorientowali się szybko, że wśród nich jest kilku kapusiów skaptowanych przez komendę obozu. Kilkunastu oficerów polskich zniknęło w tajemniczy sposób w budynku za drutami obozu, skąd niekiedy dochodziły pojedyncze strzały. Ogłoszono, że kto chce, może zgłosić się do pracy. Część jeńców, w nadziei lepszego wyżywienia, stawiała się przed barakiem komendy obozu. Większość dostała pracę w obozie, w rodzaju zajęć więziennych przy wyplataniu koszyków lub naprawie worków. Kilkunastu szczęśliwców miało pracować poza obozem. Nasz podporucznik na pytanie, czy umie prowadzić traktor, odpowiedział, że nic innego całe życie nie robił. Dostał więc pracę przy

traktorze tuż poza obozem. Po pewnym czasie udało mu się wejść w dobrą komitwę z chłopem-traktorzystą i ze starą babką, mieszkającą przy bramie obozu w starym domku, pamiętającą jeszcze czasy, jak w klasztorze mieszkali mnisi, a w pobliskich włościach dziedzic, pan Lednicki.

W końcu udało się zdobyć podporucznikowi kozuch, walonki i kawał słoniny. Wraz ze swym kolegą pułkowym postanowił on uciekać do kraju. Był to początek listopada 1939 roku. Pewnego ciemnego wieczoru, gdy na dworze hulała zawieja i mżył śnieg z deszczem, a wartownicy chowali się gdzie tylko mogli, nasi przyjaciele przeleźli przez druty i poszli przed siebie. Szli tak noc i dzień. Następnego dnia natknęli się w lesie na dwoje staruszków. Dostali od nich kawał chleba. Mężczyzna prosił, żeby zaczekali, aż on im przyniesie trochę słoniny. Chłopcy nie byli frajerzy, dali nura, aż się kurzyło. Nasz podporucznik zaczął „puchnąć”, coraz trudniej było mu iść. Kolega podtrzymywał go jak mógł. Któregoś dnia, nad wieczorem, przy wyjściu z lasu chłopcy spostrzegli dwa światła kolejowe, zbliżające się szybko do siebie po torze. Nim zorientowali się, że mają przed sobą jednotorową linię, straszliwy huk targnął powietrzem i dwa pociągi wpadły na siebie. Przez długą chwilę trwał szcęk walących się wagonów, po czym nastała cisza, po której wybuchł nieludzki wrzask wymyślających sobie dwóch załóg kolejowych. Chłopcy poderwali się i szybko ukryli się pod nasypem. Okazało się, że transport szpitalny, wiozący chorych z Wilna, zderzył się z pociągiem wiozącym czołgi i samochody pancerne ze wschodu na zachód. Zanim wydobyto ofiary spod stosów żelastwa i usunięto rozbite wagony, odbył się sąd nad kierownikiem pociągu sanitarnego, który natychmiast potem został rozstrzelany przez żołnierzy z transportu pancernego. Gdy przystępowano do usuwania rumowisk, celem oczyszczenia dalszej drogi dla pociągu z wojskiem, dwaj zbiegowie otrząsnęli się z wrażenia i wzorem trampów amerykańskich ukryli się pod jednym z wagonów gotowych do dalszej drogi. Ten sposób podróżowania nie był widać obcy dla towarzysza naszego podporucznika, gdyż po chwili leżał już wygodnie pod wagonem, pomagając koledze w usadowieniu swej osoby, co nie było łatwe z uwagi na mały wzrost chłopaka. Gdy pociąg wreszcie ruszył, musiał on przez całą drogę do Mińska leżeć wyprostowany, żeby dosięgnąć nogami żelaznej

poprzeczki, stanowiącej oparcie.

Nasz podporucznik barwnie opisywał dalsze losy swej ucieczki. Przejście przez dawną granicę polsko-sowiecką, wciąż strzeżoną przez żołnierzy radzieckich. Choroba i pobyt u starych Żydów pod Oszmianą, którzy go pielęgowali z oddaniem, myśląc że mają do czynienia ze współwyznawcą. Przybycie do Wilna, rozstanie z przyjacielem, przejście przez zieloną granicę. Pobyt u chłopów pod Wysokiem Mazowieckiem, wreszcie przybycie do Warszawy w marcu 1940 roku i przywitanie z rodziną, opłakującą jeszcze bohaterską śmierć syna i męża na wojnie 1939 roku.

„Za dobrze ich znam, żebym miał tutaj pozostać” – czyż te słowa nie dźwigały na sobie brzemienia uprzedzeń, narosłego pokoleniami od wieków? Czyż ten młody człowiek nie był jedynie ofiarą umiejętnej propagandy, prowadzonej od lat w wojsku i w społeczeństwie? A czy ten młody Rosjanin, dowódca kompanii w I armii wojska polskiego, cierpiący na wyraźny kompleks niższości i nienawidzący polskich „panów” nie jest wytworem takiej samej polityki, prowadzonej po obu stronach granicy?

Przysłowiowy bałagan, panujący w głębi Rosji, spowodował śmierć i cierpienia tysięcy Polaków, wywiezionych tam... ale dlaczego wywiezionych?... Do diabła, widocznie racja stanu Rosji tego wymagała. A może racja stanu wymagała też tego potworczego morderstwa jeńców, bezprzykładnego w historii świata? A może to nie Niemcy?... Niewątpliwie te kilkanaście tysięcy polskich oficerów, ten kwiat polskiej inteligencji, było zaprzysięgłymi wrogami Rosji, Związku Radzieckiego, komunizmu. Z taką Polską żadna Rosja by się nie dogadała.

A więc racja stanu... A jakąż jest polska racja stanu?...

Jeszcze kilkaset lat temu między Anglią a Szkocją panowała śmiertelna nienawiść, pielęgnowana ponurymi zbrodniami i zalewana potokami krwi. A dzisiaj? Te dwa narody tylko nie lubią się. Ale mało kto o tym wie. W rządzie, w polityce, w społeczeństwie nie czyni się najmniejszej dyskryminacji. Anglicy nieszkodliwie uważają się za najdoskonalsze stwory na świecie. Szkoci uważają się tylko za lepszych od Anglików...

Czyż zawsze mamy być małym narodem, wykorzystywanym przez swoje zachodnie wzory? Straciliśmy okazję być wielkim narodem. Taka chwila już nigdy się nie wróci. Wyciągnijmy raz

naukę z historii. Może ta prawda idąca ze wschodu to jakieś nowe chrześcijaństwo? Pierwsi chrześcijanie głoszący ubóstwo i odprawiający jakieś ponure obrządkі w rzymskich katakumbach musieli być wstrętni dla patrycjusza wiecznego miasta. Wzbudzali lęk i odrazę, tak jak dzisiaj lęk i odrazę wywołuje komunizm na zachodzie.

A terror? Czy jakiekolwiek nowe idee da się wpoić w ludzi bez terroru? Czyż nawet chrześcijaństwo nie używało w pewnym okresie terroru? Cóż znaczy więc ten pęd wszystkich ludzi do wolności, ta niezmierzona tęsknota za wolnością? I to nie za tą wolnością, co jest tylko uświadomieniem konieczności. Dlaczego autor *Pawich piór* i *Kordiana i Chama**, który przecież pragnął i oczekiwał tej nowej Polski, boi się i waha? Gdy uciekli wachmani niemieccy z wież strażniczych w obozie, przyszedł do mnie i zadał pytanie, czy uciekać na zachód, czy pozostać na miejscu. Odpowiedziałem, że musimy być konsekwentni, jak zdecydowaliśmy się pozostać, to czekajmy na miejscu.

– Wydaje mi się – rzekł – że w nowej rzeczywistości, będę mógł funkcjonować jako pisarz lewicowy zupełnie znośnie. Boję się tylko, aby mi nie kazano pisać według jakiegoś szymła. Tego bym nigdy nie zniósł.

Pocieszyłem go, że chyba tak źle nie będzie, i rozeszliśmy się. Ciekaw jestem, jak będzie funkcjonować w nowej rzeczywistości? Czy nie będzie musiał pisać zgodnie ze zmiennymi z miesiąca na miesiąc wymaganiami linii partyjnej?

Auto wjechało na przedmieścia Bydgoszczy. Miasto nie było bardzo zniszczone. Gdzieś tam tylko jakiś dom nosił ślad pocisku artyleryjskiego. Wkrótce znaleźliśmy się przy ul. 20 Stycznia, w mieszkaniu p. Jackowskiego, który właśnie przyjechał spod Warszawy, aby uratować pięć pokoiów, opuszczonych przez żonę Niemkę i dorosłą córkę. Pan Jackowski przez czas wojny nie chciał przyjąć volkslisty i wyjechał do Generalnej Guberni, pozostawiając w mieszkaniu bydgoskim swą rodzinę. Nic też dziwnego, że w tej delikatnej sytuacji, bardzo był rad gościć nas u siebie i zapraszał nas bardzo serdecznie. W chwili przyjmowania zaproszenia nie wiedzieliśmy nic o jego kłopotach, okazał się jednak miłym staruszkiem.

* Leon Kruczkowski.

Mieszkanie było ładne i nierozszabrowane. Uchwaliliśmy, że kuzyn mój zajmie się aprowizacją, a ja sprawami mieszkaniowymi, gdyż obaj straciliśmy mieszkania w Warszawie, a ojciec mój miał tu przed wojną willę trzymieszkaniową, skąd został w 1939 roku wyrzucony. Miałem więc zamiar uzyskać te mieszkania dla swej rodziny, dla siostry i dla kuzyna. Pozostali trzej oficerowie przybyli z nami do Bydgoszczy mieli zajmować się sprawami wewnętrznymi, jak gotowanie, sprzątanie itp. Od wczesnego rana biegałem po urzędach i komisariatach milicji, aby coś w tej sprawie wydębic. Popularność i sympatia, jaką mój śp. ojciec, Stefan Jeżewski cieszył się wśród mieszkańców Bydgoszczy, będąc przed wojną kolejowym lekarzem, oraz mój mundur, który wówczas jeszcze witany był wszędzie z sympatią bez potrzeby obawiania się czegokolwiek, ułatwiły mi sytuację. Co prawda czułem się śmiertelnie zmęczony i prawą nogę miałem brzydko spuchniętą w pachwinie, ale przydzielono mi willę, robiąc mnie jej administratorem. Mieszkania były prawie nietknięte, w dawnym mieszkaniu ojca stały jego meble, a nawet znalazłem część jego biblioteki. Ściągnąłem parę Niemek, które za trochę cukru i chleba zrobiły w domu wzorowy porządek. Wykąpałem się w wannie, po raz pierwszy od pięciu i pół lat, a na drzwiach nakleiłem pieczęcie, ostemplowane przez komisariat milicji.

Kuzyn był zadowolony, nie na tyle jednak, żeby wydzielić mi coś na drogę z posiadanej żywności, gdy zamierzałem jechać do Częstochowy. Koledzy byli oburzeni, nie chciałem jednak robić awantury i pojechałem na głodno. Droga z Bydgoszczy do Częstochowy była makabryczna. Nieliczne pociągi kursujące wówczas w kraju były tak napchane, że nie można było liczyć, aby człowiek tak chory jak ja* mógł marzyć o dostaniu się do środka. Radziłem więc sobie w ten sposób, że zawierałem znajomość z jakąś dziewczyną, najchętniej w mundurze wojska polskiego, gdyż wiele takich kręciło się wówczas. Na stacji robiłem prawie kompletnego trupa, a moja towarzyszka prowadząca mnie pod rękę krzyczała jak mogła najgłośniej: – Miejsce dla rannego oficera! – w ten sposób udawało nam się zdobyć miejsce siedzące dla dwojga w wagonach osobowych, towarowych czy na lorach.

* Autor cierpiał już wtedy na stwardnienie rozsiane.

We Włocławku zażądałem od zawiadowcy stacji natychmiastowego dostarczenia parowozu dla kontynuowania podróży służbowej. Kolejarz telefonował na próżno po pobliskich stacjach, aż wreszcie zgodziłem się na jazdę drezyną. W ten sposób, po licznych przygodach, udało mi się po kilku dniach dotrzeć do Częstochowy. Ponieważ przyjechałem tam około 2-ej w nocy, musiałem czekać na stacji do rana, ze względu na godzinę policyjną. W nieprawdopodobnie zatłoczonym holu stacyjnym nie było gdzie wetknąć szpilki, poszedłem więc do zawiadowcy stacji, prosząc o wolne krzesło, gdyż nie czułem się zupełnie na siłach stać ani minuty dłużej. W przeciwieństwie do swych kolegów kolejarz okazał się gburem i pozwolił mi usiąść dopiero, gdy powiedziałem mu parę nieprzyjemnych słów prawdy. Na ogół jednak całe społeczeństwo, a w szczególności warstwa robotnicza, okazywała powracającym do kraju jeńcom niemieckim wiele serdeczności i opieki. Było to regułą i wszelkie odstępstwo od niej wywoływało bolesne rozczarowanie.

Janusz JEŻEWSKI

J. Jeżewski (1907-1954), ekonomista, anglista i publicysta, absolwent Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie, oficer WP, podporucznik 2 Plutonu 2 Szwadronu 10 Pułku Ułanów Litewskich, kontuzjowany w bitwie pod Kockiem, więzień oflagu. Po wojnie wykładał język angielski w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Łodzi, pisywał do prasy, tłumaczył literaturę angielską. Ojciec poety i tłumacza Krzysztofa A. Jeżewskiego. Pozostawił w rękopisie m.in. wspomnienia z dzieciństwa (*Pierwsze kroki*), sztukę teatralną (*Rok 1863*), pamiętnik z września 1939 r. (*Najazd*) oraz wspomnienia z okresu powojennego (*Gorycz wolności*). Fragment publikowany stanowi pierwszy rozdział wspomnień.

RUSKIJ DYMOK I ANGLIJSKIJ DYMOK...

Kiedy jesienią roku 1944 r. uwięziono nas, grupę byłych żołnierzy AK aresztowanych w Ludowym Wojsku Polskim – o czym pisałem parokrotnie w „Zeszytach Historycznych” – już w pierwszych dniach pobytu w Obozie Specjalnym Informacji Wojskowej w Skrobowie koło Lubartowa ogólną uwagę, a wkrótce potem popularność i sympatię wzbudził kapitan Zbigniew Neciuk. Był to dwudziestoparoletni młody człowiek, uderzający szczególnym wyglądem, czarnymi, wypukłymi oczyma, starannie utrzymaną bródką, czymś niemal egzotycznym, nie wiadomo – cygańskim czy zgoła żydowskim – w każdym razie odmiennym od większości uwięzionych. Ale najwięcej uwagi wzbudzał swoim szczerym uśmiechem, a po kilku tygodniach, gdy pozwolono nam na zorganizowanie popieranej przez Rosjan „działalności artystycznej”, Neciuk stał się jeszcze bardziej popularny jako organizator i solista zespołu rewelersów, którzy wystąpili w obozowej rewii z własnym, ciekawym programem. Obok niego śpiewali tam trzech inni koledzy: kapitan Marian Namura-Ochalski i por. Edward Majcherczyk, obaj z Powstania Warszawskiego, oraz chorąży Grzegorz Trociuk z dalekich Kresów przybyły na Lubelszczyznę z I Armią Berlinga. I podczas gdy ten ostatni nie wyróżniał się niczym szczególnym, trzech pozostali członkowie zespołu zasługiwali na baczną uwagę. Namura nie cieszył się ani zaufaniem, ani sympatią kolegów, a o jego udziale w Powstaniu różnie opowiadano, od podejrzenia o przynależność do Armii Ludowej zaczynając, aż po całkowite podawanie w wątpliwość wiarygodności jego przebywania w szeregach powstańców. Natomiast Majcherczyk, znany pod powstańczymi pseudonimami „Mokotowiak” i „Marat”, był autentycznym bohaterem, jednym z tych paru, którzy przeprawili się przez Wisłę z zadaniem przekazania Rokossowskiemu prośby o pilną pomoc, za co „nagrodzeni” zostali uwięzieniem w Skrobowie.

O Neciuku wiadomo stosunkowo najmniej, a ukraińskie

brzmienie jego nazwiska również nie wzbudzało zaufania. W miarę upływu czasu Neciuk okazał się człowiekiem serdecznym i uczciwym. Na razie jednak, w pierwszych tygodniach niewoli, stał się ogromnie popularny dzięki swojemu talentowi pieśniarskiemu, w którym reprezentował repertuar bardzo szeroki, od piosenek wojskowych po przedwojenne tanga i romanse. Głos miał niewielki, ale bardzo dźwięczny, miękki, przypominający sławnego przed wojną Mieczysława Fogga, którego piosenki śpiewał chętnie i często, co w spragnionych uczucia żołnierzach wzbudzało najlepsze wspomnienia szczęśliwych dni spędzanych z mniej lub bardziej ukochanymi partnerkami. Zwracano się więc do Neciuka z prośbami o tę czy inną piosenkę, a on nigdy nie odmawiał takich kameralnych występów, na które schodzili się koledzy z sal sąsiednich, przyczyniając śpiewakowi popularności. Wszystko to miało się zmienić w kwietniu 1945 roku, kiedy wywieziono nas do Rosji.

Zaraz po przybyciu transportu osadzeni zostaliśmy w obozie w Stalinogorsku, niezbyt daleko od Moskwy, w warunkach znacznie gorszych niż te, jakie mieliśmy w Skrobowie. Jedną z dokuczliwych różnic było pomieszczenie nas w dwóch wielkich salach, osobnej dla oficerów, drugiej zaś dla podchorążych i podoficerów, nie mówiąc już o pogorszeniu się wyżywienia, rozkradanego przez sowiecką obsługę obozu. A po lecie, spędzonym na budowaniu baraków w nowym obozie w Dubowce, jesienią wróciliśmy do Stalinogorska, żeby przebyć tam drugi rok niewoli. I dopiero w tamtejszym obozie, w warunkach przymusowej wspólnoty, po rozpoznaniu prawdziwego charakteru kolegów, nawiązywać się zaczęły trwałe przyjaźnie.

Wśród więzionych oficerów mniej niż połowę stanowili byli żołnierze AK, aresztowano bowiem według przydzielonych przez Informację Wojskową limitów wyznaczonych każdej jednostce LWP, a dowodzący Rosjanie chętnie pozbywali się przy tej okazji oficerów, którzy z takich czy innych powodów okazywali się dla przełożonych niewygodnymi. W rezultacie w Skrobowie, a potem Stalinogorsku znalazła się grupa bardzo niejednorodna ideowo, często wzajemnie skłócona, najczęściej poróżniona brakiem zaufania. Przez dłuższy czas trudno było powiedzieć, czy sąsiad z obozowej pryczy był człowiekiem uczciwym, czy też nasłany został przez NKWD i pod pozorem koleżeństwa starał się wycią-

gać informacje. Dopiero jesień, a potem długa zima 1945 roku w Stalinogorsku była prawdziwym egzaminem patriotyzmu i uczciwości, niestety nie przez wszystkich pomyślnie przebyłym.

W całej tej kilkusetosobowej gromadzie oficerów znalazło się bardzo niewielu takich, którzy mogli się wykazać jawną służbą w oddziałach partyzanckich AK, podczas gdy większość tych nawet, którzy do służby w AK się przyznawali, wołała przemilczać swój udział w konspiracji, lub pokrywać to dyskretnym milczeniem. Jeszcze bardziej wiążącym czynnikiem była przynależność do określonego Okręgu, co dawało się stosunkowo łatwo sprawdzić dzięki obecności wśród nas kilku starszych oficerów, w okresie okupacji niemieckiej dobrze wprowadzonych w sprawy personalne. W rezultacie byli partyzanci AK utworzyli niewielką, ale zwartą grupkę, wkrótce powiązaną nie tylko wspólną przeszłością, ale coraz trwalszą przyjaźnią w niedoli.

Listopadowe aresztowania 1944 roku objęły przede wszystkim 2. Armię WP, której kadry rekrutowały się głównie z Lubelszczyzny, nic więc dziwnego, że w obozie spotkali się tamtejsi konspiratorzy i partyzanci, a wśród nich niekiedy koledzy z tych samych jednostek i oddziałów leśnych AK. Później, gdy wiosną 1946 roku obóz w Stalinogorsku rozdzielono na kilka osobnych grup, ci właśnie żołnierze AK najczęściej przekazywani byli do centralnego obozu dla AK w Diagilewie koło Riazania, gdzie mieliśmy spotkać naszych dowódców Okręgów, dywizji i oddziałów, osadzonych tam od lata 1944 roku. Na razie jednak, w Stalinogorsku, staraliśmy się dobierać według klucza zaufania i dawnej, chlubnej przynależności organizacyjnej.

Do moich najbliższych przyjaciół z tego okresu zaliczałem kapitana Stanisława Łokuciewskiego „Małego” z Lubelszczyzny, dr. por. Grzegorza Fedorowskiego „Gryfa” z 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK, por. Zdzisława Góreckiego „Płaszczaka” z Oddziału Argila, Obwód Puławy, ppor. Józefa Kasiaka „Luśnię” z Oddziału Lotnego Szarugi Okręgu Lublin, oraz kapitana Zbigniewa Neciuka z Okręgu Kraków. Łączyła nas nie tylko przeszłość, ale wypróbowane w obozie zaufanie, wzajemna sympatia i zgodność charakterów, co w sumie pozwoliło naszej przyjaźni przetrwać długie lata po powrocie do kraju, a nieraz i w późniejszej, emigracyjnej rozłące. Różnice wieku i stopni wojskowych, starannie w obozie przestrzeganych, nie grały tu żad-

nej roli – byliśmy po prostu dobrymi kolegami, mimo że np. dr Fedorowski był ode mnie o przeszło dwadzieścia lat starszy. W długich, intymnych rozmowach zwierzałyśmy się sobie z dawnych przygód i trosk i dzieliliśmy niepokój o niewiadomą przyszłość, widmo bowiem Katynia trwale istniało w naszej świadomości.

Tego rodzaju zbliżenie prowadziło do coraz bardziej otwartej szczerości, przy czym na wierzch wypływały nieraz sprawy dotychczas skrzętnie ukrywane. Podczas jednej z takich właśnie szczerych, nocnych rozmów zwierzył mi się w największej tajemnicy Neciuk, że naprawdę nie ma nic wspólnego z tym nazwiskiem, nazywa się bowiem Szcerbiński, a Neciukiem został przez przypadek otrzymawszy dokumenty na to nazwisko mające pomóc w ukryciu przed wkraczającymi Rosjanami jego partyzanckiej przeszłości. W czasie okupacji niemieckiej działał w Okręgu Kraków, a oddział partyzancki, w którym służył, operował w okolicy Mielca, ze specjalnym zadaniem obserwacji poligonu Blizna, z którego Niemcy wystrzelaliwali rakietowe pociski V. Przed wojną był studentem medycyny na lwowskim uniwersytecie Jana Kazimierza, i wierzył, że po wojnie uda mu się na studia powrócić. Jak miało się niebawem okazać, plany te spełniły się nieco inaczej.

Mimo upływu czasu staraliśmy się nie poddawać się i wytrzymać nerwowe napięcie ostatnich miesięcy 1945 roku, kiedy to z Moskwy zjechała specjalna ekipa śledczych, którzy kolejno brali nas na pozornie niewinne rozmowy mające, jak się miało wkrótce okazać, określić dalsze losy każdego z nas na najbliższą przyszłość. Jednym z pomysłów zrodzonych w naszej partyzanckiej grupce był projekt świątecznej rewii, jaką postanowiliśmy przygotować na zbliżające się Boże Narodzenie. Rewia, jak można się było spodziewać, musiała zawierać m.in. elementy muzyki, i tu Neciuk okazał prawdziwy talent. Nie chciał zawczasu zdradzać swoich planów nawet wobec nas, organizatorów imprezy, powiedział tylko, że szykuje niespodziankę, która zadowoli i nas, i rosyjskie obozowe władze.

I rzeczywiście, kiedy w przerobionej na salę estradową na ten wieczór stołówce zasiedli w pierwszym rzędzie Rosjanie, a za nimi cały obozowy tłumek, po krótkim wstępie zapowiedziałem solo kapitana Zbigniewa Neciuka, nasz piosenkarz zasiadł na

jakiś stołku z gitarą w ręku i swoim lirycznym tenorem zain-tonował rosyjską piosenkę zatytułowaną *Russkij dymok i anglijskij dymok*. Była to ballada pochodząca najwidoczniej z okresu koalicji anglo-rosyjskiej początku lat czterdziestych, opiewająca przyjaźń i współpracę obu wielkich mocarstw, teraz, w końcu roku 1946, kiedy byliśmy deportowani za przynależność do „londyńskiego obozu” brzmiąca co najmniej ironicznie.

I śpiewał Neciuk, słowami rosyjskiej piosenki przypominał bohaterstwo konwojów zachodnich aliantów, a wśród nich Polaków, opowiadał jak to *skwoz' sztorm i tuman idut korabli*, a potem wyraźnie akcentując każde słowo wspominał:

*W szinielach propitanych pienoju morskoju
Na sewernyj biereg komanda sojdioł.
Britaniec zatiagnietsja ruskoj machorkoju,
Russkij moriak sigarietu zażgiot.*

*Pojdut wspomnienia pro dni sztormowyje,
Sierdito pchwaljat krepkoj tabaczok.
Ostanutsja tolko dymki gołubyje,
Russkij dymok i anglijskij dymok...*

Komendant obozu, a za nim jego asysta wstrzymali się od oklasków, a odważny solista po paru tygodniach został aresztowany i wysłany do moskiewskiego więzienia Butyrki, skąd przeniesiono go do jakiegoś obozu. Wytrzymał, skończył zaoczne studia medycyny i z sowieckim dyplomem wrócił do Polski w 1948 roku jako pełnoprawny lekarz. Była to kariera równie tajemnicza jak jego pochodzenie, nazwisko, cała partyzancka przeszłość. Spotkałem go po paru latach jako naczelnego lekarza dużego sanatorium w Kowarach, gdzie praktykował medycynę, podobno bardzo skutecznie.

Jego historię, nigdy do końca niewyjaśnioną, uznać należy za jeden z tych dziwnych przypadków, w jakie tamte czasy obfitowały.

Jerzy R. KRZYŻANOWSKI

HISTORIA LISTKA FIGOWEGO I WIĘCEJ

Już od czasu gdy Ewa skusiła się na to nieszczęsne jabłko w raju, mieszkańcy Ziemi musieli dołożyć starań o znalezienie jakiegoś sposobu na okrycie nagości. Straciwszy też raj, wyruszyli w różne strony świata borykać się z różnym klimatem, a co za tym idzie, listek figowy już nie wystarczał. Tak to się zaczęło.

Szmat czasu upłynął. Jesteśmy w Warszawie, rok 1943. Kończy się wiosna. Koledzy z konspiracji idą do partyzantki. Mają ze sobą mundury niemieckie, które przydają się w niektórych akcjach. Okazało się, że mieli o jeden uniform za dużo. Był to mundur żandarma. Zostawili u nas w domu. Pojechali. Długo nie powojowali. Wszyscy zginęli za Bugiem, we wsi Pawły. I tu się zaczyna zawrotna kariera munduru jednego żandarma.

Kończył się już czwarty rok wojny. Wojna, jak to wojna. Wszystkiego brak. Sklepy zieją pustkami, a mnie właśnie zniszczyło się moje przedwojenne palto zimowe. Wtedy przypomniałam sobie o mundurze, który upchałam do jakiejś szuflady. Wyjęłam. Odprułam naszywki i guziki. Uprałam dobrze. Uprasowałam i włożyłam do torby. Miałam znajomą z konspiracji, dużo ode mnie starszą, która przed wojną ukończyła Akademię Sztuk Pięknych w Warszawie, a potem nauczyła się krawiectwa. Świetna krawcowa, a jednocześnie osoba, której mogłam ufać. Poszłam do niej.

Anna, bo tak ją znałam w konspiracji, miała swoją pracownię na Wilczej. Przyszłam i powiadam, że palta nie mam na zimę, ale mam tu dobry chyba materiał, tylko kolor niemodny. Rozłożyłam kawałki mundurowe na stole i pytam, czy można by z tego – ciepłą, długawą kurtkę dla mnie uszyć. Anna obejrzała co przyniosłam. Dobry, powiada, materiał. Czysta wełna. Wzięła szkicownik do ręki i kazała mi się przejść po pracowni. Rysowała. Projekt bardzo mi się spodobał.

Tylko kolor niemodny, powtórzyłam. Nic się nie martw, odrzekła. Mam taką „babkę” na Starówce, ufarbuje tak, że rodzo-

na matka tego żandarma nie pozna.

Tak też się stało. Kurtka wyszła wspaniale. Mówili znajomi, że wyglądam w niej jak „Krysia Leśniczanka”.

Opisuję tę historię, bo ludzie, którzy wojny w Warszawie nie przeżyli, nie zdają sobie sprawy z tego, jak żołnierze AK mieli do siebie zaufanie i nigdy się nie zawiedli. Ważna też była zaradność. Nie „cwaniactwo”, ale zaradność.

Życie w czasie wojny w Warszawie nie było łatwe. Przewożenie poprutego munduru do krawcowej, następnie przewiezienie go na Stare Miasto groziło zatrzymaniem w jakiejś „łapance”, bo miasto było nasze, ale pełno „zbójców na drodze”.

Krystyna PRZYBOROWSKA-ORŁOWSKA

Robert KACZMAREK

BEZ PROGRAMU

Młodemu gdańszczaninowi, który na potrzeby swej pracy doktorskiej poprosił o parę wspomnień z czasów opozycji demokratycznej w Polsce Ludowej, nie byłem w stanie podać mojego programu politycznego. Co w tym dziwnego? Jak większość ludzi mimochodem wtrąconych w nurty historii do pisania programów się nie paliłem, wystarczyła sama przyjemność sprzeciwiania się gwałtowi. Co najwyżej zatem zaglądałem na stronę milczących i nieobecnych, którzy nie mieli racji, i nie kryłem ciekawości dla tego, co się dzieje poza politycznymi fasadami – a ciekawemu świata niekoniecznie śnią się po nocach programy. Powinien się ich nawet wystrzegać.

Przy takim jednak stosunku do świata sprawy nigdy nie będą proste, a poglądy i życiorysy mogą być bardzo złożone.

Marzyłem, jak wielu, o rozpadzie imperium i odrodzeniu wolnego kraju, ale byłem przekonany, że na planetę nadchodzi

czas wielkich integracji. Moją prawdziwą pasją była historia Polski, ale nie jej kamienie milowe, powstania zbrojne. Wydawałem pierwsze pismo o silnej orientacji liberalnej, ale sam nigdy nie byłem liberałem. Pracowałem bez wytchnienia dla Wolnych Związków Zawodowych działających pod patronatem wielkoprzemysłowego proletariatu, ale organizowanie robotników uważałem za mniej owocne, niż kształcenie kadr. Organizacje społeczne, jakie w latach przesilenia PRL założyłem lub którymi kierowałem, miały za pierwszy cel opracowanie swego programu, ale sam nie miałem tu wiele do powiedzenia, wyjąwszy początkową zachętę. Zgromadziwszy zatem ludzi zwykle pilnowałem trybu i porządku, aż przychodził moment, kiedy mogłem się poczuć zbędnym i odejść. W stanie wojennym kierowałem organizacją podziemną, ale dość szybko zacząłem wskazywać na korzyści rozwijania jawnych stowarzyszeń. Dekadę później, w okresie bezwarunkowej promocji porządku handlowego dużo pisałem o porządku społecznym i o konieczności powrotu państwa na rynek. Czy w tym był jakiś program?

Chyba tylko zasadniczy sprzeciw wobec jedynie słusznych idei, nawet jeśli były rozwijane przez zacnych ludzi w warunkach braku wolności, bardzo sprzyjających rozwojowi takich idei. Ich pierwszymi ofiarami mogą być sami autorzy, bez reszty zajęci przykrawianiem rzeczywistości do modelu. Niektórzy z nich wyrastają potem na popularnych ideologów, ludzi stworzonych do władzy, lecz straconych dla życia odkąd zrozumieli, że zainstalowanie jedynie słusznego ustroju kończy historię.

Każdy nowy system niesie ze sobą zarodki sprzeciwu i zmiany, i w PRL-u nic nie wskazywało na to, żeby w wolnej Polsce miało się dzieć inaczej.

Zwątpienie, środek na delirium

Tymczasem z końcem ósmej dekady XX wieku odzyskanie niepodległości wydawało się bardziej odległe, niż kiedykolwiek. Na świecie sprawy nie szły dobrze. Do coraz bardziej aroganckiej komuny i do krwawych dyktatur dołączył właśnie integryzm religijny, i historia powszechna jakby zastygła w osłupieniu wobec triumfów politycznego barbarzyństwa. Przywódcy wolnego świata nawet nie starali się ukrywać swej bezradności wobec impetu potężnych starców. Na dodatek kwitnąca dotąd gospo-

darka Zachodu traciła skuteczność z powodów głębszych, niż koniunkturalne cykle.

Na czele wątpiących umieścić można było samą Amerykę, z jej kilkunastoprocentową inflacją, spadkiem bezpieczeństwa w miastach i napięciami etnicznymi, z utraconą beztróską muzyki młodzieżowej, gdzie już dekadę wcześniej posępne wykonanie *Eve of Destruction* przez Barry'ego McGuire otworzyło drogę dla pierwszego pokolenia kontestatorów, a przede wszystkim z nowym zaangażowaniem Hollywoodu, który porzucił promienne bajki dla dorosłych, próbując swych sił jako zwierciadło antywojennych lęków. W Europie patos zapóźnionych hippiesów i spokorniałych kombatanów paryskiego maja 68 pokazywał, że nadzieje młodzieżowej rewolucji końca lat sześćdziesiątych prysnęły jak kolorowa bańka. Jeszcze mniej powodów do radości mieliśmy u nas, gdzie chroniczne niepowodzenia społecznych protestów pokazały, że komuna zainstalowała się na czas nieokreślony.

Wszystko to sprzyjało utrwalaniu się naszych polonocentrycznych przekonań, nie tyle z powodu żelaznej kurtyny, bo kto chciał, mógł się dowiedzieć, co z polaryzacji postaw i naszej niezłomnej pewności siebie. Ogromnie utrudniało to przymiarkę z innymi punktami widzenia, czego następstwem bywała zadziwiająca rozbieżność opinii, ujawniana w spotkaniach z gośćmi z Zachodu. Tym sposobem dla moich przyjaciół z uczelni Berlina Zachodniego w wojnie wietnamskiej o wolność walczyli Wietnamczycy, a dla moich przyjaciół z Krakowa – Amerykanie. Parę lat później podobnym zgrzytem zabrzmi dyskusja na temat strajków przeprowadzanych przez „Solidarność”, które budziły naszą dumę jako wyraz sprawności i dyscypliny Związku, lecz dla moich znajomych z Zachodu przyczyniały się przede wszystkim do pogrążania polskiej gospodarki.

O wyłączość swej racji zabiegano po obu stronach, z tym, że to my głosiliśmy potrzebę zbliżenia się „do nich”, a nie na odwrót. Zwątpienie jako metoda poznawcza rzadko gościła w debatach, które łatwo się zaogniały, albo kończyły zawziętą ciszą. Sytuacja była jasna dla ustrojowych masochistów, zdaniem których cierpienie uszlachetnia i wynosi na uprzywilejowany punkt obserwacyjny. Widzieli z niego jak na dłoni, że wolność i dobrobyt ogłupia Zachód i osłabia jego wolę. „Co oni tam na Zachodzie wiedzą o życiu”, mawiali. „Zachód nic nie rozumie”.

Śmiech, sposób na nędzę

To delirium, czasami nadal w użyciu w wolnym kraju, rysuje głębiej logicznej nonszalancji języka, zepsutego przez lata izolacji od kultury Zachodu, ale też przez drewnianą protezę komunistów zwanej nowomową. Tę nonszalancję dało się niekiedy odczuć także w pismach i programach opozycji demokratycznej, nie tylko wśród tych, co wierzyli w rewizję socjalizmu, kiedy się tylko dlań znajdzie jakaś ludzka twarz. Pamiętam zdumienie redaktora Giedroycia nad językową drętwotą tekstów, jakie u mnie zamówił. To język „Trybuny Ludu”, powiedział oddając mnie w ręce Zofi Herz.

W kwestii logiki i retoryki politycznej łatwo było poddać się komunie, która pokryła wszelkie słowo grubą warstwą fałszu, przenicowała jego odcienie na wyroki propagandowe bez żadnych niuansów. Czyhało tu śmiertelne niebezpieczeństwo, bo zasadą nowomowy jest powtarzanie przez ćwierć wieku, że białe jest czarne, a potem zrobienie referendum. Dzisiaj zasada ta oddaje przysługi w dziedzinie historycznych rozliczeń, kulminując w opowieściach generała Jaruzelskiego, który utrzymuje, że doprowadził do zmiany ustroju bez ofiar.

W Polsce Ludowej semantyczne osłupienie zaczynało się na poziomie najbardziej wyczuwalnym, to jest kwestii niedostatku materialnych. W tej też dziedzinie możliwy był pierwszy system obrony przed propagandową zniewagą. W istocie, nędzę i wszelkie zapóźnienia w PRL najczęściej tłumaczono fatalizmem historycznym i nieuniknioną geopolityką. Wyglądało to dość wiarygodnie, bo granice zamożności i demokracji pokrywały się z granicami ideologicznymi, co pozwalało zwalić całą winę na ustrój. Wykluczający wielką wojnę nuklearny horror nadawał tym granicom charakter wiecznotrwały, ułatwiając tym samym pogodzenie się z realnym socjalizmem.

Ustrojem bez wątplenia zjawiskowym, lecz wcale nie ponurym, a przynajmniej nie pod każdym względem. Dla utrzymania pogodnego nastroju zawsze można było się podeprzeć zbawiennym śmiechem, albo stoickim spokojem, i to był cały mój program na życie kiedy miałem, jak Polska Ludowa, kilkanaście lat.

Nędzę w tym kraju dzieliliśmy mniej więcej po równo i życie było do wytrzymania, przynajmniej w okresach pomiędzy kolejnymi podwyżkami cen nękającymi naród co parę lat. Z podwyżek, na przykład o sto procent, komunistyczna nomenklatura wychodziła bez szwanku dzięki swym rozległym przywilejom, co utrzymywało głuche oburzenie robotników. Oburzenie to szybko przybrało rangę motoru historii, ponieważ poczucie zniewagi wyprowadza ludzi na ulicę równie skutecznie, co głód, którego jednak w Polsce nie było. Kiedy zaś uliczne manifestacje wchodziły w koniunkcję z walkami frakcyjnymi w partii, wówczas w szarym obrazie realnego socjalizmu zmieniały się gęby pierwszych sekretarzy, zawsze przedziwne tępe w wyrazie. Na marzenia o innych zmianach nie pozwalała geopolityka.

Kto nie do końca dawał wiarę tej geopolityce, ten mógł podjąć patetyczny wysiłek zmiany wyroków historii – nie w sensie poprawienia przeszłości, bo tu niewiele dało się zdziałać, ale głoszenia dobrej nowiny, że wczorajsze kataklizmy niekoniecznie spadły na nas jak grom z jasnego nieba i że przyszłość pozostaje w naszych rękach.

Delikatność takiej tezy rzucała się w oczy, bo zupełnie nie było jasne, jakim sposobem nasze programy, wyprowadzone z impulsu moralnego albo potrzeb wolnego ducha, miały przynieść wolność krajowi, a światu ulgę. Z omszałymi receptami ustrojowymi, wpiętymi pomiędzy rewizję socjalizmu i nostalgiczny autokratyzm Piłsudskiego, dopisywaliśmy znaki bezradności do wielkiej karty opozycji demokratycznej, jaką była solidarność i świadczenie prawdy. Jeszcze w 1989 roku, roku oczywistej dezercji komuny z politycznej sceny, program wyborczy „Solidarności”, napisany głównie przez Jacka Kuronia, głosił przede wszystkim poprawę systemu dystrybucji, a ze swej strony Adam Michnik zalecał wzorowanie się na ustrojowych przykładach hiszpańskich związków zawodowych.

Dużą innowacją były programy moich liberałów z „Merkurego”, kładące nowe światło na intuicję obywatelskiej wolności. Wszelako w szczegółach ustrojowych wyraźnie dawał się w nich odczuć brak realizmu i nadmiar inteligentnej fanta-

zji. Wskazywało to raz jeszcze, że historycznym dziełem opozycji miało być nie tyle obalenie komuny, co było zadaniem na kosmiczną skalę, lecz odbudowanie więzi społecznych.

Wszyscy poruszaliśmy się w cieniu Historii, ale dla mnie było to raczej wyzwanie moralne, niż polityczne. Inna rzecz, że osobiste podjęcie takiego wyzwania miało widoczne następstwa, każdy bowiem sprzeciw wobec gwałtu, każdy wolny akt jednostki spajał środowisko i roznosił dobrą nowinę, udzielając społeczeństwu nadziei na przetrwanie i sił do obrony tożsamości i duchowego przemienienia. Aż do przełomowej chwili...

Pod warunkiem odejścia od obyczaju źle przygotowanych zrywów bitewnych ku celowej pracy nad społeczną zaradnością obywateli. Najtrafniej ujął sprawę Kuroń, który na parę lat przed sierpniem 1980 roku głosił, że zamiast palić komitety partyjne, lepiej tworzyć własne.

Struktury, sposób na mistykę

Inaczej niż Jacek, który był zwierzęciem politycznym i miał swe polityczne cele, głosiłem formułę pracy organicznej raczej ze smutku, jaki czułem na widok matek i dzieci z obrazów Grottgera, cywilnych ofiar polskich powstań, biednych ludzi, których najłatwiej wysłać na śmierć, albo gorzej – na życie po klęsce. Wszelkie marzenia o przewróceniu komuny siłą uważałem za szkodliwe majaki. Skądinąd od swych prywatnych marzeń nie oczekiwałem spełnienia, przez co moja rzeczywistość dała się zaakceptować, nie wadziła, pomimo, że wyszała z mózgu wszelką nadzieję, nasyciła niewiarą i znużeniem. Ale pesymizm źle współżyje z poczuciem humoru i głębokim wyczuciem osobistej niezależności. I tak koło dwudziestki, deptany po piętach przez ludową ojczyznę stale w tym samym co ja wieku, dopracowałem się drugiej wersji mojego programu na życie: zachowywać się jak człowiek wolny nie przechodząc przy tym do zawodowej opozycji i nie dramatyzując swego zaangażowania.

Nowinę o wolności dostępnej dla każdego dało się rozpowszechnić drogą kropelkową, bo wieść o człowieku wolnym zawsze przyciągała ludzi ciekawych, co z tego będzie. Tymczasem kraj zbliżał się do punktu wrzenia. W magicznym 1980 rozwinęły się już rozległe wspólnoty poszukiwaczy wolności i to był mo-

ment zwrotny, chwila organizowania tłumy w struktury przedstawicielskie. Największą z nich był oczywiście NSZZ „Solidarność”.

Utworzone przez delegatów grupy zawodowej dla przygotowania środowiskowych reform i pracujące według jawnie uzgodnionych zasad struktury mogły być odrodzić i zakorzenić kulturę polityczną w społeczeństwie rozbitym przez trzy dekady realnego socjalizmu. W szczególności zapobiec temu, żeby na ruinach komuny pokusa prostych odpowiedzi na prawdziwe pytania zrodziła mężów opatrznościowych i oddała do ich dyspozycji instynkty stadne.

Wszelako w chwili, gdy powołanie takich struktur stało się możliwe, to jest po sierpniu 1980, a także po grudniu 1981, mężowie opatrznościowi byli już na stanowisku, podniecając instynkty stadne do zenitu. Niektórzy z nich stali na czele wielkich struktur, niektórzy, co wyszło na jaw wiele lat później, byli zarazem agentami tajnej policji. Problem z nimi bywał taki, że na jakiś czas rozkładali wolę organizowania się u ludzi zajętych właśnie wiarą w mężów opatrznościowych. Podkreślmy tutaj ograniczony, chwilowy zakres tego sabotażu. Coraz więcej ludzi gotowych było wziąć swój los we własne ręce, a w tych warunkach ani zawzięte motanie tajnej policji, ani nadużycia cyników i politycznych półgłówków nie mogły powstrzymać marszu wydarzeń.

Tak czy inaczej, w tych warunkach wykluczone już było rozwijanie struktur w charakterze wolnego strzelca. Zbyt duża stawka wchodziła w grę na nagle rozjaśnionej scenie politycznej, gdzie ciałem stawiała się dialektyka więzi społecznych: jeden człowiek robi różnicę, ale w pojedynkę nic się nie da zrobić. W obliczu takiego triumfu myśli humanistycznej pokusa osobistej wolności mniej już mnie nęciła, jej miejsce zajęła rytmiczna, uregulowana praca. I tak w swoich i PRL-u latach trzydziestych znalazłem swój kolejny program na życie, poświęcony rozwijaniu oryginalnych stowarzyszeń zawodowych i społecznych, jakie tworzyliśmy w regionie Małopolska.

Przez całą dziewiątą dekadę ubiegłego wieku struktury powstawały, wzrastały w siłę, potem słabły, czasem traciły tożsamość, a najczęściej członków – zwykły los cegiełek historycznego społeczeństwa. Wszak cały ich urok polegał na tym, że tworzą niepowtarzalną, żywą historię, rzecz nie do pomyślenia w komunie, która zamroziła dzieje właśnie poprzez eliminację

wszelkich, z wyjątkiem agenturalnych, stowarzyszeń obywatelskich. Na politycznym mrozie możliwa była odwaga, humor i patos, ale nie tworzenie historii.

Do tego potrzebne były tektoniczne ruchy globalnego rynku, które najpierw osłabiły represyjną siłę systemu i skierowały uwagę nomenklatury na uroki posiadania, a potem, w stanie wojennym, zatrzęsły naszymi strukturami bardzo już osłabionymi brakiem nadziei, zmęczeniem i patosem celów nierealnych w kraju sparaliżowanym przez noc generałów. Brutalne zdławienie klasycznej edukacji politycznej należało bez wątpienia do największych szkód wyrządzonych społeczeństwu przez stan wojenny. Wszelako generałowie nie mogli zatrzymać edukacji innymi środkami, okres bowiem jawnej działalności Związku obudził zmysł inicjatywy wielkich rzesz ludzi, którzy uciekając później od polityki do bardziej intratnych zajęć utworzyli gęstniejącą sieć handlu i usług. Odbываło się to bez względu na bariery policyjnego państwa, a nawet za jego lekką, i jak na państwo policyjne przystało głęboko skażoną zachętą.

W rezultacie generalskiego gwałtu ruchliwość gospodarcza społeczeństwa wyprzedziła, albo oddaliła na dalszy plan jego dojrzewanie polityczne, za co płacimy do dziś skarleniem polityki i marnotrawstwem dobra publicznego. Tę roszadę gospodarki z polityką uzmysłowiłem sobie z daleka, w Paryżu końca lat osiemdziesiątych, kiedy mówiłem byłemu członkowi tajnej Komisji Regionalnej Jasiowi Ciesielskiemu, że będę miał sporo rzeczy do druku. Jasiu spojrzał przeciągle – Robuś, powiedział, drukarze wszystko ci wydrukują... zawiesił na chwilę druk i po chwili skończył – ale musisz im zapłacić.

Ciesielski zamilkł i ja też nie podjąłem tematu. Zawsze płaciłem drukarzom, płaciłem bardzo dobrze. Pod tym względem nie widziałem różnicy między kwestią dojrzałości gospodarczej i dojrzałości politycznej. Różnica ujawniona przez porządkującą uwagę Ciesielskiego była taka, że „dawni” drukarze, doskonale opłacani drukarze „Solidarności” nie byli gotowi drukować „wszystkiego”, czyli też byle czego, w odróżnieniu od „nowych”, choć stale tych samych, drukarzy Rzeczypospolitej. Dla tych pierwszych pieniędzy, jakkolwiek ważny, nie był wartością wystarczającą, i to ich przed laty chroniło, jak i miliony innych członków Związku, przed samotnością.

U początków III Rzeczypospolitej wychodzące z podziemia struktury „Solidarności”, pomimo słabego zaplecza i nierzadko przypadkowych składów, zachowały moc mianowania politycznych władców i sterników opinii publicznej, podczas gdy o przejęcie władzy gospodarczej zadbali komuniści. W rezultacie można było odnieść wrażenie, że ludzie byli nie na swoim miejscu, struktury polityczne puste, a opinie wpływowych mediów niedorzeczne. Dwie dekady po upadku PRL-u wrażenie to bynajmniej nie mija, uparcie poddając myśl, że robota jeszcze nie skończona, z tym że problemem jest teraz kwestia tożsamości, raczej niż wolności.

Przed laty dla spoglądających spoza żelaznej kurtyny obietnice rynku i demokracji były wyraźne: porządna praca, godziwy zarobek, władza odpowiedzialna przed wyborcami, wolne środki przekazu. Taka była teoria. W praktyce jednak okazuje się, że nie zawsze uczciwa praca jest należycie wynagradzana, że różnice między dorabianiem się i kradzieżą bywają umowne, że nie bardzo wiadomo, kto ma władzę, a komu się tylko wydaje, a przede wszystkim trudno się dowiedzieć prawdy zawartej, jak niegdyś, między wierszami. To oczywiście nie są warunki, w jakich łatwo poczujesz, kim jesteś i zarazem zostaniesz rozpoznany jako ty.

Odtąd obrona tożsamości wydaje mi się przyzwoitym zajęciem, godnym wszystkich moich poprzednich złudzeń. Tożsamość bowiem jest potężnym środkiem obrony przed rozbiciem więzi społecznych na rynku, gdzie ubóstwienie zysku, jak niegdyś geopolityki, rzuci człowieka w otchłań samotności. Potwierdzenia nowych iluzji szukałem pod różnymi szerokościami geograficznymi, nabywając jednej pewności: każdy człowiek ma swą tożsamość, lecz ludzie niewiele się od siebie różnią.

A wszystko bierze swój początek w dzieciństwie. Potem już tylko ścigasz się z losem w cieniu tamtych marzeń i rozterek, odkrywając swą historię jak powracającą fałę.

Robert KACZMAREK

CI, CO ODESZLI

Andrzej DYJA

JERZY KUJAWSKI (1921-1998)

W czasie moich studiów w latach 1952-57 na Wydziale Reżyserii w Państwowej Wyższej Szkole Filmowej w Łodzi (tak wówczas ta szkoła się nazywała) oazą wolnej myśli były wykłady z historii sztuki, prowadzone przez profesor Krystynę Zwolińską. Nigdy nie poddała się ona konieczności, dyktowanej przez dyrekcję szkoły, naświetlania wszystkich historii teoriami marksistowsko-leninowskimi. Profesor Zwolińska zawsze pozostawała niezależna w swej wizji historii sztuki i usiłowała, zresztą z dużym osobistym wdziękiem, nam ją przekazać i nią nas zainteresować. W pamięci mej wciąż żywo pozostał jeden z jej wykładów, w którym z przekonaniem stwierdziła, iż jest pewna, że w historii polskiego malarstwa i europejskiego pozostaną dwaj malarze: Jerzy Nowosielski i... Jerzy Kujawski. O ile o Nowosielskim już nieco w Polsce słyszano, to nazwisko Kujawskiego było dla nas całkowitą niespodzianką. Kiedy profesor Zwolińska dodała jeszcze, że Kujawski żyje i tworzy w Paryżu, to wielu spośród nas zaczęło się poważnie obawiać o dalsze losy profesorskie Zwolińskiej, bo w owych latach nie było wolno publicznie wymieniać nazwisk artystów i intelektualistów polskich żyjących na emigracji.

Kiedy znalazłem się w przenośnym i dosłownym znaczeniu tych słów na „paryskim bruku”, pewno gdzieś w roku 1961-62, w jednej z kawiarni paryskich, gdzie codziennie zbierały się różne pokolenia artystów, mój przedwcześnie zmarły przyjaciel, rzeź-

biarz i architekt Bogdan Poniadowski, przedstawił mi Jerzego Kujawskiego. Przypomniałem sobie opinię profesor Zwolińskiej, więc byłem tym spotkaniem poruszony. Kujawski okazał się człowiekiem bardzo skromnym, serdecznym, wesołym i w sposób naturalny szybko nawiązała się między nami przyjaźń. Zaprosił mnie do swej pracowni i poprosił o kilka fotograficznych przysług. Pracował nad obrazami i fotogramami przenikających się form. Wykonywałem mu fotografie elementów jego plastycznej twórczości, które następnie mieszał, sklejał i na nowo je fotografowaliśmy. Niektóre z tych fotografii integrował w swoje ostateczne obrazy lub też pozostawiał je w formie fotograficznej.

W tych czasach zrobiłem mu też wiele portretów, z których jak dotychczas odnaleziono jedynie dwie fotograficzne odbitki. Negatywy pozostałych portretów poszukuję i wciąż mam nadzieję, że je odnajdę.

W czasie naszych spotkań rozmawialiśmy na wiele tematów. Jerzy jednak najczęściej powracał do wojny. Niekiedy tylko wspominał swoje własne, tragiczne wojenne przeżycia. Najczęściej snuł refleksje ogólniejsze. Wciąż nie mógł zrozumieć, w jaki sposób naród niemiecki, o tak bogatej kulturze, filozofii, sztuce – pozwolił na narodziny faszyzmu. Dlaczego dał się obezwładnić hitlerowskiemu ideom i do nich tak masowo przyłączył. Często zadawał mi pytanie, czemu sztuka, filozofia, stworzona w okresie wielu wieków, nie potrafiły powstrzymać faszystowskiego barbarzyństwa. Wobec tych pytań byłem bezradny. Nie znajdowałem na nie odpowiedzi.

Te częste refleksje i pytania pozwoliły mi jednak lepiej zrozumieć, dlaczego przyjeżdżając do Francji w roku 1946, po walce w Powstaniu Warszawskim, Jerzy zainteresował się rozległym nurtem artystycznym zwanym surrealizmem, który to sprzeciwiał się w sposób energiczny wszelkim formom wojen i był wezwaniem do zmiany zmurszałych systemów, które doprowadziły do tak wielkiego wojennego zwyrodnienia.

Jerzy zawsze pasjonował się matematyką i astronomią. Te zainteresowania odnajdywały odzwierciedlenie w jego malarstwie. Zarówno w pierwszym okresie paryskiej twórczości, jak i w późniejszych latach, przedstawiał w wielu swych obrazach konstelacje według niego prawdopodobnie istniejące i kierujące się odmiennymi relacjami związków przestrzeni i czasu. Szczególnie

w obrazach na pozór abstrakcyjnych, przedstawiał układy planetarne zagubione w kosmosie, stworzone jedynie dla ich piękna, ale może zamieszkałe przez istoty nieporównanie inteligentniejsze od nas? Dzisiaj dopiero prawdopodobieństwo egzystencji tych równoległych do naszego systemów staje się przedmiotem zainteresowań i nawet intensywnych badań wielu wybitnych astronomów i astrofizyków.

Jerzy, dzięki swej artystycznej intuicji, wyprzedził uczonych i artystów ubiegłego stulecia. W swym malarstwie nigdy nie usiłował ilustrować teoretycznych sformułowań kolejnych prądów artystycznych. Czerpał z nich tylko inspiracje i przetwarzał je w tygliku własnej wyobraźni. Jego twórczość sytuuje się poza wszelkimi kierunkami artystycznymi. Poprzez swoją różnorodność i bogactwo form jest jedną z najbardziej oryginalnych kreacji XX wieku. Jerzy dzięki swej szerokiej kulturze, znajomości języków i wielu dziedzin nauki szybko został zasymilowany nie tylko przez surrealistów, ale także przez cały paryski świat artystyczny.

Odwiedzając jego pracownię zastawałem u niego wielu pisarzy, malarzy. Często gościem w pracowni był poeta francuski Yves Bonnefoy. Zazwyczaj siedział milcząco i bacznie obserwował obrazy Jerzego. Rezultatem tych częstych kontemplacji był zwarty tekst, ale jakże trafnie odkrywający walory malarstwa młodego wówczas Kujawskiego. Został on zamieszczony w katalogu jednej z paryskich wystaw Jerzego. Tekst był także zwiastunem walorów przyszłej twórczości literackiej Yvesa Bonnefoy – z czasem coraz bardziej zadziwiającej, kwitnącej mistrzowskim językiem i wykwinutą poetycką wyobraźnią. Teraz jest już ona na zawsze wryta w historię literatury francuskiej i światowej.

Yves Bonnefoy czasami przerywał swoje milczenie i wówczas mówił o wielkości poezji... Cypriana Kamila Norwida. Bonnefoy za namową Jerzego Kujawskiego i Konstantego Jeleńskiego podjął się karkołomnego zadania. Na podstawie dosłownego przekładu na język francuski kilku wierszy Norwida, sporządzonego przez Jeleńskiego, dokonał ich ostatecznego przekładu, które potem ukazały się w *Anthologie de la poésie polonaise* (Édition du Seuil, 1965), z mozołnym wyrafinowaniem opracowanej przez Jeleńskiego.

Yves Bonnefoy przekładów dokonał w sposób wyjątkowy. Nigdy Norwid nie doczekał się tak przejrzystego i bliskiego jego poetyckim intencjom tłumaczenia na język francuski. Jerzy znał

na pamięć wiele wierszy poetów polskich i francuskich. Zamiłowany był szczególnie w poezji Norwida, nie przypuszczając, że jego losy upodobnią się do losów tego wielkiego poety...

Przez kilka lat utraciłem kontakt z Jerzym. Wiedziałem tylko, że opuścił swoją pracownię i zainstalował się w starej dzielnicy Paryża Marais. Tam wynajął duży lokal i zainstalował w nim, wraz ze swoją żoną Suzanne, pracownię malarską dla dzieci. Podczas przelotnego z nim spotkania zadałem pytanie, czemu przestał malować. Odpowiedział nieoczekiwanie desperacko, że najlepiej żeby malarstwo uprawiane było przez dzieci i to w celach terapeutycznych – przynajmniej wówczas na coś się przydaje. Obecnie trudno mi jest uwierzyć, że Jerzy w tym okresie zupełnie przestał tworzyć. Odszedł natomiast zapewne od paryskiego, często brutalnego systemu galeryjnej eksploatacji malarskiej twórczości.

Po wielu latach ponownego, wspólnego się zagubienia, zadzwoniłem do niego. Telefon odebrała jego córka Lytfa i natychmiast mnie z Jerzym połączyła. Znów usłyszałem ten tak charakterystyczny śmiech i jak zawsze przyjazne słowa. Zaproponował, abyśmy się spotkali. Zapytałem: kiedy? Odpowiedział: jutro. Następnego dnia zadzwoniłem do jego mieszkania. Usłyszałem głos: wejdź, wejdź, drzwi są otwarte. Siedział przy stole. Z trudem się podniósł. Rozwarł swe ramiona. Uścisnęliśmy się. Z lekkim uśmiechem powiedział, że zdarzyła mu się głupia historia: zaczyna źle widzieć, ale może czytać i pisać za pomocą specjalnego aparatu powiększającego. Z humorem nawet zademonstrował mi działanie tego aparatu. W czasie tego popołudnia długo wspominaliśmy dawne czasy, wspólnych znajomych, wspólne nasze poczynania. Z werwą opowiadał o jego niedawnych podróżach do Ameryki. Mówił o ludziach żyjących w Kalifornii, interesujących się jego malarstwem i kolekcjonujących. Chciałby bardzo do nich wrócić i wśród nich tworzyć. Zapytał, co robię? Zacząłem mu tłumaczyć, że od wielu lat zajmuję się konserwacją starych filmów, że wiele lat spędziłem na pracach organizacyjnych Francuskiego Archiwum Filmowego w Bois d'Arcy. Moje wyjaśnienia przerwał pytaniem: „Ale czy coś tworzysz?” Zapytałem go, czy pamięta nasze spotkanie w Quiberon? „Tak, było to spotkanie nadzwyczajne i zdarzyło się dawno temu”.

Rzeczywiście, spotkanie z Jerzym w Quiberon było wyjątkowe. Któregoś lata postanowiłem poznać Bretanię, jedną z najpiękniejszych dzielnic Francji. Podróży specjalnie nie zaplanowałem. Na mapach wywieszonych w stacjach benzynowych znalazłem miejsce, do którego chciałem dotrzeć. Był nim półwysep najbardziej zaawansowany w Atlantyk, na końcu którego znajdowała się miejscowość zwana Quiberon. Dobrnąłem do niej. Zatrzymałem się na placu centralnym, przylegającym do morza. Kiedy wyszedłem z samochodu, jedną z pierwszych spotkanych osób był... Jerzy. Uznał prawie za normalne, że spotkaliśmy się w Quiberon, bo według niego jest to jedno z najpiękniejszych miejsc na świecie i uznał też za normalne, że do Quiberon trafiłem.

Powiedziałem mu, że od tego czasu co roku powracam do Quiberon i tam kontynuuję cykl moich fotograficznych kreacji. „Co tam fotografujesz?” – zapytał Jerzy. „Skały, morze i światło” – odpowiedziałem. „W jakim miejscu robisz te fotografie?” – kontynuował Jerzy. „Na samym końcu półwyspu nazywanym Point du Gonguel”. Jerzy zamilkł. W jego oczach pojawiły się łzy. Wreszcie wydobył z siebie słowa: „Właśnie tam moja żona zażądała, aby rozproszyc w morzu jej prochy”. Z kolei ja zamilkłem. Wiedziałem, że bardzo ją kochał. Nie wiedziałem, jakimi słowami mam go pocieszyć. To Jerzy pierwszy przerwał ciszę, mówiąc: „Musisz mi kiedyś te zdjęcia pokazać”. Przyrzekłem, że mu pokażę w przyszłym tygodniu. W przyszłym tygodniu zabrano mnie do szpitala. Po operacji wysłano do klinik rekreacyjnych. Kiedy wreszcie po wielu miesiącach doszedłem do siebie, zadzwoniłem do Jerzego. Znów telefon odebrała Lytfa mówiąc, że ojciec umarł i że niebawem będzie zorganizowana w Muzeum Narodowym w Poznaniu jego wystawa retrospektywna...

Kiedy skończyłem rozmowę z Lytfa, przypomniałem sobie słowa Jerzego, wypowiedziane w moim filmie, realizowanym w ramach Ośrodka Eksperymentalnego Francuskiej Telewizji. Mówił, że często marzy o tym, aby powrócić do Kraju i żyć w cieniu drzewa, pod którym tak dobrze w dzieciństwie się czuł.

Kiedy ekipa Muzeum Narodowego w Poznaniu pakowała obrazy Jerzego w istniejącej wciąż pracowni malarstwa dla dzieci, prowadzonej przez Lytfa, w której kontynuuje także swoją własną malarską twórczość – zjawiliśmy się z moim synem

Aleksandrem, teraz pomagającym w moich pracach filmowych, aby utrwalić dla historii te chwile powrotu Jerzego do Polski. Utrwalić również emocje, jakie ten dzień wywołał u Lytfy Kujawskiej, dzięki której twórczość Jerzego została tak pieczołowicie zachowana.

Nasza tam obecność była zwykłą wobec Jerzego powinnością. A powrotowi Jerzego Kujawskiego do Polski towarzyszą przede wszystkim słowa poety Yvesa Bonnefoya, wypowiedziane w jednym z jego poematów: *Il te faudra franchir la mort pour que tu vives*. (Musiałeś przekroczyć granicę śmierci, aby naprawdę żyć)¹.

Chailly en Bière, październik 2005

Andrzej DYJA

PS Wystawa Jerzego Kujawskiego była prezentowana w Muzeum Narodowym w Poznaniu, grudzień 2005 – luty 2006 oraz w Zachęcie w Warszawie, we współpracy z Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie – czerwiec 2006.

Z okazji tych wystaw ukazał się katalog wydany przez Muzeum Narodowe w Poznaniu, liczący 392 strony. Przedmowa: Wojciech Suchocki. Autorzy: Katarzyna Basta, Andrzej Dyja, Ewa Krakowska, Janina Kraupe-Świderska, Lytfa Kujawska, Jacek Ojrzynski. Mieczysław Porębski, Frederick Tristan, Andrzej Turowski.

Teksty przedrukowane: Michel Butor, Jerzy Kujawski, Yves Bonnefoy, André Breton, Marcel Duchamp, Jean Clarence Lambert, Eduard Jaguer, Pierre Demarne, Jerzy Ludwiński.

„Plaine Marge”, francuskie czasopismo zajmujące się literaturą i sztukami plastycznymi (Éditions Peeters, 52 bld Saint-Michel, 75006 Paris) w numerze 45 (czerwiec 2007) poświęca wiele stron Jerzemu Kujawskiemu zamieszczając m.in. teksty Pierre’a Brullé’a, Frédérica Tristana, Michela Butora oraz portret fotograficzny Kujawskiego autorstwa Andrzeja Dyi z 1961 r.

Trwają prace przygotowawcze do wystawy Kujawskiego w Paryżu oraz w Kanadzie.

1. Y. Bonnefoy, *Du mouvement et de l'immobilité de Douve*, Mercure de France, 1953.

Edward KOSSOY

WACŁAW MICUTA 1915-2008. BOHATER, DON KISZOT I «ŁAMEDWOWNIK»

Publikując nekrolog Wacława Micuty, z wyliczeniem jego odznaczeń i zasług, Prezydent RP Lech Kaczyński podał, że przyjął wiadomość o zgonie wybitnego Polaka z głębokim smutkiem. Nekrolog ministra spraw zagranicznych Radosława Sikorskiego był bardziej precyzyjny:

Kawaler Krzyża Walecznych i dwukrotnie Orderu Virtuti Militari – za udział w wojnie obronnej 1939 i w Powstaniu Warszawskim 1944 oraz Krzyża Komandorskiego z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski – Ekonomista, harcerz, uczestnik kampanii wrześniowej, instruktor Szarych Szeregów, w Powstaniu Warszawskim dowódca plutonu pancernego „Wacek” batalionu „Zośka” – jedynej powstańczej jednostki pancerniej, dowódca czołgu w akcji uwolnienia 350 Żydów z hitlerowskiego więzienia – „Gęsiówki”. Kilkakrotnie ranny i więziony, zawsze wracał do pracy konspiracyjnej, torturowany – nikogo nie wydał i do niczego się nie przyznał. Po wojnie, w Szwajcarii, uczestnik wielu misji pokojowych ONZ, działacz szwajcarskiego Stowarzyszenia Polskiego i środowisk działających na rzecz stosunków polsko-żydowskich. Był wielkim Polakiem, bohaterem i wzorem obywatela.

W roku 1999 Prezes Rady Ministrów RP Jerzy Buzek podpisał „Patent” nr 5495:

W imieniu Rzeczypospolitej Polskiej stwierdza się, że Pan Micuta Wacław w latach walki zbrojnej z najeźdźcami z honorem pełnił żołnierską powinność i uzyskał prawa do szaczytnego tytułu: „Weteran Walk o Wolność i Niepodległość Ojczyzny”.

19 listopada 2008 r. w Centralnej Bibliotece Wojskowej w Warszawie odbyło się poświęcone Wacławowi Micucie spotkanie założonego z inicjatywy Związku Żołnierzy Armii Krajowej Klubu Historycznego im. gen. Stefana Roweckiego „Grota”.

Profesor Tomasz Szarota na tle bardzo osobistych wspomnień uczcił Wacława jako wybitnego Polaka i bohatera walk o niepodległość. Dołączyli: jeden z już tylko nielicznych żyjących żołnierzy „Zośki”, Bolesław Górecki, wybitny hydrolog profesor Janusz Kindler, który zachował w pamięci współpracę z Wacławem przed pół wiekiem w sprawach regulacji Wisły, oraz Katarzyna Mitzner-Madoń z „Karty”. Na zakończenie wyświetlono film *Dzieje pewnej przyjaźni* (naszej: Wacława ze mną) i podpisano petycję wnoszącą o nazwanie w Warszawie jednej z ulic lub skwerów imieniem Wacława Micuty. Ten sam wniosek przesłało genewskie Stowarzyszenie Polskie. Nieco wcześniej zainicjowałem z Agnieszką i Jackiem Micutą akcję nazwania jednej ze szkół średnich w Poznaniu imieniem Wacława Micuty, który całe swoje wykształcenie, z uniwersyteckim włącznie, tam otrzymał.

Z Wacławem łączyło mnie pół wieku serdecznej, braterskiej przyjaźni. W pewnym sensie można by powiedzieć, że połączyła nas „Gęsiówka”. Wkrótce po naszym pierwszym spotkaniu opowiedział mi o zdobyciu tego niemieckiego obozu koncentracyjnego i ocaleniu od pewnej zagłady uwięzionych w nim kilkuset Żydów w pierwszych dniach Powstania Warszawskiego. Operację przeprowadziły trzy plutony harcerskiego batalionu szturmowego „Zośka” z dowodzonym przez Wacława Micutę czółgiem na czele. Większość ocalonych zgłosiła się na miejscu do służby w Powstaniu¹. W wielotysięcznej masie ofiar prześladowań hitlerowskich, które reprezentowałem w sprawach o odszkodowania, wyszukałem kilkudziesiąt z doświadczeniami w KZ Warschau, oficjalnej nazwie popularnej „Gęsiówki”. W rozmowach z nimi znalazłem pełne potwierdzenie opowiadań Wacława wzbogacone wieloma szczegółami, między nimi o niezwykle serdecznych stosunkach Wacława z żołnierzami Żydami.

Muszę przyznać, że właśnie ten szczegół był dla mnie pewnego rodzaju niespodzianką. Wiedziałem, że Wacław spędził dzieciństwo i formatywne lata średniego i uniwersyteckiego wykształcenia w Poznaniu, znanym mi dobrze z licznych odwiedzin w latach międzywojennych. Wiedziałem, że w przeciwień-

1. E. Kossoy, *Gęsiówka (KZ Warschau)*, „Zeszyty Historyczne” 1994, z. 110, s. 62-73.

stwie do mojego rodzinnego Radomia lub Warszawy, gdzie odsetek ludności żydowskiej oscylował między 30 a 35%, w poznańskim wynosił ułamek procenta. A mimo to w *judenrein* Poznaniu antysemityzm był bardziej wirulentny niż gdziekolwiek indziej. W pamięci została mi wywieszka na drzwiach eleganckiej „Esplanady” na placu Wolności z napisem „Żydzi niepożądani”. Najwidoczniej przeciw wagą tego środowiska była atmosfera rodzinna z tradycjami przed-niepodległościowej Polskiej Partii Socjalistycznej, wychowanie harcerskie i przyjaźń z rówieśnikami, takimi jak Zdzisław Jeziorański (późniejszy Jan Nowak-Jeziorański), z którym Wacek dzielił studencki pokój i pozostał blisko zaprzyjaźniony przez całe długie życie.

Po rozmowach z moimi klientami przestałem się dziwić, kiedy Wacław opowiadał z widocznym wzruszeniem, jak we wrześniu 1939 roku ciężko rannego w bitwie pod Laskami złożonego na furmance przy wjeździe do Warszawy brodaty i pejsaty starzec karmił pieczołowicie łyżeczką konfiturami z wiśni, w przekonaniu Wacława, ratując mu życie. Uważał, że podobny dług wdzięczności zaciągnął, prawie co do dnia pięć lat później, w Powstaniu Warszawskim względem sanitariuszki (absolwentki Szkoły Pielęgniarstwa Szpitala Żydowskiego na Czystem) Alicji (Lusi) Gold (w AK Golod-Gołębiowska). Przyczółkała się do ciężko rannego w płuco odłamkiem granatu Wacława, założyła mu opatrunek i wyciągnęła go spod nieustającego ognia. Odznaczona dwukrotnie Krzyżem Walecznych Lusia zginęła na Czerniakowie². Stan liczebny dowodzonego przez Wacława w Powstaniu Plotonu Pancernego wynosił 49 osób. W tym 10 Żydów, ocalonych z Gęsiówki: Józef Filar, Dawid Goldman („Gutek”), Henryk Lederman („Heniek”), Stanisław Siemiański („Koper”), Ryszard Sutka („Rysiek”) i Abram Zylbersztajn („Szaber”) oraz Lusia Gold byli polskimi obywatelami, pozostali węgierskimi. Filar, absolwent Politechniki Warszawskiej, niesłychanie odważny i przytomny w obliczu niebezpieczeństwa, był z Bożej łaski mechanikiem i jemu zawdzięczano utrzymywanie czołgów na chodzie. Heniek funkcjonował jako jeden z najlepszych przewodników po podziemnej sieci kanałów. Obydwaj

2. A. Wyganowska-Erikson, *Pluton Pancerny w Powstaniu Warszawskim*, Warszawa 1994, s. 147, 361.

oraz podchorąży „Rysiek” zostali odznaczeni KW. Niestety nikt z nich nie przeżył Powstania. Wobec pogarszającego się z godziny na godzinę położenia niedobitków zgrupowania w drugiej połowie września na Czerniakowie, ranny „Radosław” rozkazał możliwe jedynie kanałami przejście na Mokotów. Zwiady ustaliły jednak, że Niemcy, najwidoczniej w przewidywaniu takiej akcji, zablokowali i zaminowali możliwe przejścia. W tej sytuacji żołnierze Żydzi Plutonu Pancernego zgłosili ochotę ponownego zbadania możliwości przejścia. Po dłuższym czasie wrócili i oświadczyli, że im udało się takie przejście otworzyć. „Gutek” i „Koper” prowadzili przez kanały, inni nieśli rannych, między nimi „Radosława” i Wacława na Mokotów³. Wacław uważał, że wyprowadzając żołnierzy „Zośki” na Mokotów, ochotnicy żydowscy spłacili im dług za wyzwolenie „Gęsiówki”. Przed upadkiem Mokotowa ranny Wacek rozkazał swoim żydowskim żołnierzom próbować przeprawę na obsadzony przez Sowiety praski brzeg Wisły. Zapytali, czy pójdzie z nimi. Kiedy zaprzeczył, oświadczyli, że wobec tego zostają przy nim⁴. Wiele lat później w nagraniu dla Muzeum z okazji sześćdziesiątej rocznicy Powstania Wacław oświadczył:

Mam w sercu pamięć o tych naszych żołnierzach Żydach, którzy zachowywali się w sposób nadzwyczajny, bohaterski. Stary oficer nie używa słów „bohaterstwo” na darmo. Wykonywali każde zadanie, szli na ochotnika, byli gotowi ginąć w każdej chwili. Trzeba uratować pamięć o ludziach, którzy walczyli razem z nami o święte prawo do życia, wolności i godności ludzkiej każdego człowieka.

Taka była również treść oświadczeń Wacka jako głównego

3. *Ibidem*, s. 409. Dokładniejsze opisy działań ocalańców „Gęsiówki” w artykule A. M. Kobosa: *Kanały w Powstaniu Warszawskim* („Zeszyty Historyczne” 1994, z. 109, s. 58, 60, 73-77); w nocy z 25 na 26 września Henryk Poznański („Bystry”) przeprowadził kanałami gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego ze Starówki do śródmieścia (*ibidem*, s. 63).

4. Oznaczeni wytatuowanymi auschwitzkimi numerami ocalańcy „Gęsiówki” w rękach niemieckich skazani byli na śmierć. Dlatego w dniu kapitulacji polecono im przeprawę na praski brzeg. Niektórym to się rzeczywiście udało, chociaż „Gutek”, który wytyczył tę drogę, zginął 24 X 1944 trafiony przez niemieckiego snajpera. Kilku przeżyło w ruinach getta (*ibid.* s. 446).

narratora w wielokrotnie w tym okresie wyświetlanym filmie polskiej telewizji *Rachunek sumienia. Żydzi w Powstaniu Warszawskim 1944* z udziałem kilku żydowskich weteranów Powstania. Jestem w nim jednym z trzech komentatorów⁵.

I Wacław pozostał aktywnie wierny tym ideałom przez całe swoje długie życie, działając zarówno w Szwajcarii, jak i w Kraju w dialogu polsko-żydowskim w kołach, do których należeli książę Tischner, Musiał i Obirek, siostra Dominika Zaleska, profesor Jan Venulet i wielu innych. Jego kawaleryjskie serce biło niezachwianie po stronie Izraela we wszystkich bardziej i bardzo dramatycznych wydarzeniach dotyczących tego otoczonego przeciwnikami kraju i narodu. Prywatnie pomagał jak mógł młodej pochodzącej z Polski parze ustabilizować się w Izraelu i kiedy po latach był na ślubach ich obydwu córek, był dla nich nie tylko honorowym gościem, ale także członkiem rodziny.

Dołożyłem starań, aby niecodzienny i zasługujący na ogólne uznanie epizod oswobodzenia „Gęsiówki” możliwie szeroko nagłośnić. Podobnie działali Jan Nowak-Jeziorański i prof. Tomasz Szarota. W następstwie jerozolimski Yad Vashem oświadczył gotowość uznania Wacława za jednego ze Sprawiedliwych wśród Narodów Świata. Ale Wacław odmówił, wskazując na to, że zdobycie obozu było czynem i zasługą zbiorową⁶. Wiosną 2003 roku miałem przyjemność uczestniczyć z

5. Polski film był poprzedzony (2004) filmem głównie o Wacławie popularnej amerykańskiej stacji CNN, który reżyserował słynny David Ensor: *Warsaw Uprising. The forgotten soldiers of World War II*.

6. Yad Vashem unikał uznania zasług zbiorowości, chcąc na przykład w ten sposób uniknąć uczczenia Armii Czerwonej za oswobodzenie Auschwitzu, Majdanka i Sobiboru. Jedyny wyjątek zrobiono dla „Żegoty”. Nie udało mi się uznania dla „Zośki” rozszerzyć na całość harcerskich „Szarych Szeregów”. I to mimo tego, że ich ideolog Aleksander Kamiński znany był z tego, że jako jeden z bardzo nielicznych w teorii i praktyce propagował utrzymywanie stosunków z żydowskim ruchem harcerskim w Polsce i jako Sprawiedliwy wśród Narodów Świata zasłużył się w ratowaniu Żydów w okresie okupacji. Ale, jak świadczy Marek Edelman („Gazeta Wyborcza”, 24 X 2008), jeden z najbliższych jeszcze sprzed wojny współpracowników Kamińskiego, żydowski harcerz Jurek Grażberg, redaktor „Biuletynu Informacyjnego” AK został zamordowany w pierwszym dniu Powstania przez nigdy niezidentyfikowanych powstańców. Moje starania o uznanie dla „Szarych Szeregów” rozbiły się o to, że zdaniem Yad Vashem w książce ich naczelnika Stanisława Broniewskiego o dziejach tej organizacji Żydzi nie są wspomniani ani jednym słowem.

Wacławem w Warszawie w obchodach sześćdziesiątej rocznicy powstania w getcie warszawskim. Przy tej okazji ówczesny ambasador Izraela i przewodniczący Rady Zarządu Yad Vashem prof. Szewach Weiss wyraził w imieniu tej instytucji oficjalne pismo „podziękowanie i wdzięczność dowódcom i żołnierzom batalionu „Zośka”, którzy wzięli udział w wyzwoleniu obozu koncentracyjnego „Gęsiówka” podczas Powstania Warszawskiego w dniu 5 sierpnia 1944 r.”

Kiedy poznaliśmy się w Genewie, Wacław urzędował jako członek Europejskiej Komisji Ekonomicznej Organizacji Narodów Zjednoczonych. Na to stanowisko, jedyne doradcy z krajów spoza „żelaznej kurtyny”, sprowadził go do Genewy w roku 1948 sekretarz generalny tej komisji, Szwed, profesor Gunnar Myrdal. Absolwenta kierowanego przez prof. Edwarda Taylora Wydziału Ekonomii Uniwersytetu Poznańskiego przydzielono Myrdalowi jako przewodnika w Warszawie, głównie ze względu na rzadką wówczas znajomość angielskiego. W 1945 roku Wacław nie wyjawiał swego udziału ani w kampanii wrześniowej, ani w konspiracji, ani w Powstaniu i został skreślony jako niezdolny do służby wojskowej z ewidencji, a po kilkuletniej działalności, jako prywatny wydawca⁷ i instruktor silników pociągowych, wyładował jako szef sekcji w Centralnym Urzędzie Planowania. Dzięki temu Bezpieka nie sprzeciwiła się jego wyjazdowi z żoną i dzieckiem. W kilka miesięcy później, kiedy się spostrzegli, zabrali mu polski paszport, ale było za późno: został już stałym członkiem personelu ONZ i legitymował się odpowiednim dokumentem. Wacław okazał się dobrym obserwatorem i jeszcze lepszym analitykiem. Jego periodyczne sprawozdania uważane były za jedyne wiarogodne źródło wiadomości o strukturalnych przemianach i o gospodarce w krajach orbity sowieckiej. Redaktor „Kultury” Jerzy Giedroyc, dookoła której

7. Ojciec Wacława Leonard Micuta był długoletnim współpracownikiem wileńskiego wydawnictwa Kazimierza Rutkiego. W 1913 roku został zaangażowany do USA przez nowojorską Polish Books Importing Co., ale po krótkim czasie wrócił do kraju. Z zakończeniem wojny w 1945 roku Wacław objął przeniesione do Łodzi wydawnictwo Rutkiego. Wydawał nie tylko popularne książki kucharskie, a przede wszystkim klasykę, między innymi *Podstawy moralności buddyjskiej*, *Rozmyślenia Marka Aureliusza*, albo *O naśladowaniu Chrystusa* St. Fr. Michalskiego (Listy z 12 VII 1913 i 25 IV 1934, Archiwum Wacława Micuty [AWM]).

gromadziły się rozsądniejsze koła emigracji, nawiązał za pośrednictwem prof. Adama Rose dyskretny kontakt z Wacławem. Rezultatem tego był w latach 1950-1951 szereg podpisanych pseudonimami: Konstanty Brzóska, J. Kamiński, Jan Kowalski, doskonale dokumentowanych artykułów o zmianach w strukturach gospodarczych w Kraju⁸. Nie tając swojego zdecydowanego sprzeciwu do narzuconego Polsce systemu, Micuta zwraca uwagę na nieodwracalność szeregu skutków wykonywania planów trzyletniego i sześcioletniego z wykluczeniem możliwości powrotu przedwojennych struktur i stosunków. Uważa za wskazane wyrażenie uznania ekipie Hilarego Minca za zdecydowany i skuteczny sprzeciw względem sowieckich planów kolektywizacji rolnictwa. Nie ulega wątpliwości, że Bezpieka dokładała starań, aby ustalić rzeczywiste autorstwo tych obiektywnych, ale krytycznych artykułów. Niejasnym jest, czy usiłowania te doprowadziły do celu, czy też skończyło się na podejrzeniach. W każdym razie doszli do wniosku, że na szykany jest za późno i lepiej jest utrzymywać z nim poprawne stosunki. Ale paszport polski zwrócili Wacławowi dopiero w 1956 roku⁹.

8. K. Brzóska, *Sytuacja gospodarcza Polski*, „Kultura” 1950, nr 12/38, s. 3-21, [cz. 1], „Kultura” 1951, nr 1/39, s. 72-95 [cz. 2]; K. Brzóska, *Jeszcze o polskiej strukturze rolnej*, „Kultura” 1951, nr 2/40-3/41, s. 168-170; J. Kowalski, *Reforma pieniężna w Polsce*, „Kultura” 1950, nr 12/38, s. 115-126; J. Kamiński, *Wzrost ludności w Polsce*, „Kultura” 1951, nr 6/44, s. 11-120. W tym okresie Jerzy Giedroyc z Józefem Czapskim projektowali, w nadziei na amerykańskie poparcie, założenie na emigracji uniwersytetu dla studentów-uchodźców zza „żelaznej kurtyny”. Dla Wacława przewidziano katedrę ekonomii. Projekty, na które Wacław wyraził zasadniczą zgodę, przewidywały m.in. oparcie o National Committee of Free Europe, ale nie wykroczyły poza stadium planowania. Odnośna korespondencja znajduje się w archiwach „Kultury” i W. Micuty. Dzięki uprzejmości i wydajnej pomocy Jacka Krawczyka w Maisons-Lafitte i Jacka Micuty w Genewie mam możliwość korzystania z obydwu zbiorów.

9. Ze zrozumiałych względów Wacławowi zależało na zachowaniu w tajemnicy współpracy z „Kulturą”. Kiedy, najprawdopodobniej w związku z kandydaturą na profesora, została ujawniona, Wacław zakończył ją. Giedroyc za pośrednictwem Jerzego Stempowskiego próbował wielokrotnie, za każdym razem zapewniając „pełną dyskrecję”, skłonić go do odnowy kontaktów (J. Giedroyc, J. Stempowski, *Listy 1946-1969*, Warszawa 1998, cz. I, s. 230, 235, cz. II, s. 86, 93, 95, 441; AWM). Po wielu latach (10 I 1990) Wacław napisał do Jerzego Giedroycia. Oddając mu hołd, jako temu, który „wśród ludzi naszego pokolenia [...] chyba w największym stopniu przysłużył się sprawie Polski wolnej i niepodległej”, ubolewał, że

Niezależnie od poprawnych stosunków oficjalnych z Krajem, Wacław był przez wszystkie lata PRL, a nawet i później adresem dla ludzi szukających pomocy. Listy proszących o przysłanie lekarstw, książek i ubiorów, a czasem po prostu wsparcia pieniężnego lub poparcia w ubieganiu się o pracę wypełniają nie-małą część obszernego archiwum. Wierny harcerskiemu przyrzeczeniu pomagania bliźnim, nigdy nikomu nie odmawiał.

Tak się złożyło, że prawie w tym samym czasie, kiedy doszło do zawieszenia kontaktów z „Kulturą”, Wacław otrzymał propozycję od swego dobrego przyjaciela Nowaka-Jeziorańskiego, który objął kierownictwo polskiego znacznie rozbudowanego działu polskiego Radia Free Europe (Wolna Europa). Twórca i kierownik tego referatu z miejsca proponował Wacławowi przeprowadzkę do Monachium i objęcie na pełnym etacie redakcji ekonomicznej. Wacław tej propozycji nie przyjął, ale, jak wynika z obfitej korespondencji, nie przeszkadzało to mu bynajmniej przez lata kierownictwa Nowaka (1952-1976), z zachowaniem zupełnej tajemnicy, zasilać polski referat Radia ekskluzywnymi informacjami i opracowaniami. Podziękowanie Nowaka za pierwszą przesyłkę:

zamieścił w „Kulturze” defetystyczny i atakujący Wałęsę artykuł Witolda Chałtampa [Tomasza Jastruna] (AWM).

Od początku swojej działalności w ONZ Wacław dbał o oficjalnie poprawny stosunek do polskich PRL władz. Zgodnie z tym odwiedzał poselstwo w Bernie, informował o pracach EKE i możliwościach uzyskania przydziału funduszy i zaopatrywał polskie instytucje w interesujące je publikacje. Zaufanie i poparcie jego bezpośredniego przełożonego Myrdalla walczyły się do złagodzenia oporów Bezpieki. Myrdall wymógł w roku 1953 na władzach zaproszenie Wacława na zjazd ekonomistów w Warszawie, a następnie przyjęcie w poczet członków Polskiego Stowarzyszenia Ekonomistów. Jednak na załatwienie wniesionej wówczas prośby o odnowienie paszportu Wacław musiał czekać jeszcze prawie trzy lata (Sprawozdanie Wacława dla Myrdalla 18 IV 1951, do Poselstwa PRL 21 XI 1952, AWM). Dzięki swemu wyważonemu zachowaniu Wacław był słusznie uważany za wiarogodny i bezpieczny punkt odniesienia. Dla przykładu: Giedroyc szukał przez niego możliwości spotkania z osobistościami zza „żelaznej kurtyny” (m.in. z czeskim profesorem ekonomii Ottonem Sikiem w grudniu 1968 r.). A stamtąd ludzie Pax-u prosili o interwencję u o. I. Bocheńskiego w celu nawiązania kontaktów z Watykanem (list Bocheńskiego z 26 VII 1955, AWM).

Dziękuję Ci serdecznie za nieoceniony materiał... Fakty, które podałeś, oraz załącznik – są niezmiernie interesujące. Natychmiast po wykorzystaniu, prześlę Ci skrypt na nim oparty.

Po pobytku w Kraju w czerwcu 1957 Nowak otrzymał od Wacława notatki z jego wrażeń i 24 stronicowy maszynopis zatytułowany *Nacisk Urzędu Bezpieczeństwa na społeczeństwo*. Zwracając zapiski, Nowak pisał: „Podziękowanie za oddanie wielkich usług nie tylko mnie osobiście, ale całej naszej pracy”¹⁰.

W latach pięćdziesiątych Wacław nawiązał bliski kontakt najpierw z genewskim biurem Kwaków (Geneva Quaker House, GQH), a następnie ze Światową Radą Kościołów (World Council of Churches, WCC). Na ich prośbę pisał, oczywiście anonimowo, dla ograniczonego grona przywódców tych organizacji, sprawozdania o zachodzących w Polsce zmianach. W ten sam sposób został wydelegowany z ich ramienia do Irlandii Północnej na rozmowy z obydwoma walczącymi tam stronami. Była to jedna z pierwszych, a może nawet rzeczywiście pierwsza próba udowodnienia, że taki dialog jest możliwy¹¹.

Wydaje się, że pisanie opinii i periodycznych raportów nie dawało dostatecznego zadowolenia dynamicznemu usposobieniu Wacława i jego kawaleryjskiej duszy. Funkcjonariusze ONZ cenili stanowiska w centralach Nowego Jorku i Genewy. Wysyłanie na „misje polowe” traktowane było ogólnie raczej jako rodzaj kary lub co najmniej jako sposób pozbycia się, uważanych tam za niepożądane, osób. Malarz Mieczysław Lurczyński, któremu Wacław pomagał i patronował, dowiedziawszy się o jego ochotniczym zgłoszeniu się na niebezpieczną misję do zrewoltowanego Konga, zaczął go malować jako Don Kiszota, nie bez aprobaty zainteresowanego.

10. Listy Nowaka datowane 1 III 1952, 3 VI 1953, 22 IX 1954 (AWM). Micuta i Nowak dokładali starań, aby utrzymać współpracę w ścisłej tajemnicy. W pismach Nowaka z okresu Radia Wolna Europa na próżno szukać nazwiska Micuty. Przeznaczona dla Wacława korespondencja przychodziła w Genewie na adres wspólnego przyjaciela, ówczesnego prezesa stowarzyszenia „Polonia”, Zygmunta Kallenbacha. Wacław wysyłał korespondencję na prywatny adres Nowaka, a wzajemne odwiedziny trzymane były zawsze w tajemnicy. Wysyłając artykuł o Bezpiecie Wacław uważał za wskazane zaopatrzyć go notatką, głoszącą, że autorem jest długoletni szwedzki urzędnik konsularny, władający polskim...

11. Listy WCC 21 I 1957, 30 IV 1957, GQH 3 V 1957 (AWM).

W kongijskim zamęcie Wacław poczuł się jak ryba w wodzie, skutecznie działając na wielu frontach: od udzielenia schronienia przyszłemu dyktatorowi Mobutu poprzez ścisłą współpracę z dowództwem dziarskiego kontyngentu etiopskiego, prowadzenie rokowań ze zwalczającymi się frakcjami, aż do opieki nad pokojową ludnością cywilną i pomocy Polakom obecnym na terytorium¹². Do niecodziennych wyczynów Wacława należy uwolnienie uwięzionych w Stanleyville żołnierzy belgijskich w czerwcu 1961 roku oraz skuteczna interwencja, w tym samym okresie i okolicznościach, na rzecz jednego z francuskich kombatantów.

Pismo konsula Francji Jeana Honnorat z 5 VI 1961:

Odwieczna przyjaźń Polski i Francji skonkretyzowała się na nowo w cudacznym incydencie, który skonfrontował komendanta Courchay i mnie z funkcjonariuszami kongijskimi. Uważam za konieczne wyrazić w jego i w moim imieniu całą naszą wdzięczność za Pańską szybką i skuteczną interwencję, jak również za wszystko, co Pan zrobił w ciągu licznych miesięcy na rzecz obywateli krajów, którzy są pod moją opieką w tej prowincji. Pańska odwaga, zimna krew, poczucie honoru i ludzkiej godności stanowią dla wszystkich wielkie oparcie moralne. Serdecznie Panu za to dziękuję i jestem dumny z należenia do kręgu Pańskich przyjaciół.

Sekretarz Generalny ONZ w specjalnej depeszy dziękował Wacławowi „za wspaniałą pracę dokonaną w szczególnie trudnych warunkach miejscowego i osobistego zagrożenia”¹³.

Po Kongo nastąpiła w roku 1962 podobna misja pokojowa ONZ w Rwandzie i Burundi. Między 1963 a 1965 rokiem

12. Między innymi literatowi Ryszardowi Kapuścińskiemu i 13 lekarzom na misji humanitarnej, którzy wspominają to z należnym uznaniem (K. Dziewanowski, *Mój kolega czarownik*, Warszawa 1967, s. 32), natomiast Kapuściński w reportażu z Konga, nadużywając *licentia poetica*, pisze o przedstawicielu ONZ w sposób mający mało wspólnego z rzeczywistością.

13. Trudno wywnioskować, czy i o ile projekty Giedroycia wpłynęły na decyzję Wacława podjęcia wyprawy do Konga. Ocena jego działalności (1 I 1959 – 30 IX 1960) w raporcie bezpośredniego zwierzchnika: „Pan Micuta kontynuował swój wybitny wkład w pracę Departamentu, dając dowody swoich zdolności planowania i wykonywania głównych projektów oraz organizacji pracy młodszych kolegów. Jego zasługą jest stały przegląd rozwoju we wschodniej Europie i ZSSR... Jego awans do kategorii P.4 jest nie więcej niż uznaniem jego zasług”.

Wacławowi w centrali nowojorskiej zlecono analizę efektywności programów pomocy wykonywanych przez rozmaite instytucje ONZ. Na zakończenie został mianowany zastępcą przedstawiciela na Europę programu rozwojowego ONZ. Przez następne trzy lata na tym stanowisku, nie bacząc na niechętny stosunek ZSSR, Wacław wykorzystywał do granic możliwości fundusze ONZ przeznaczone na pomoc krajom środkowej i wschodniej Europy. Polska otrzymała możliwość szkolenia kadr zawodowych oraz fundusze na finansowanie regulacji Wisły.

Wypadki w Czechosłowacji w 1968 roku przyspieszyły przesył Wacława pracą administracyjną. Tak jak przed paroma laty z Kongo, tak znowu poprosił o przeniesienie „w teren”. Na początku 1969 został stałym przedstawicielem ONZ w Republice Czad. W Fort Lamy, jak się jeszcze wówczas nazywała dzisiejsza Ndżamena, zastał typowe postkolonialne stosunki. Codziennie rano samolot z Paryża przywoził świeże *baguettes* dla licznej ekipy francuskich ekspertów. Ci stwierdzili, że do zwalczania powodowanej plagą komarów malarii należałoby osuszyć otaczające jezioro Czad i rzekę Logone bagna. Niestety, teren nie nadaje się do zalesienia. Śmielej rzec można, że Wacław zrewolucjonował Czad: sprowadzeni z Izraela eksperci osuszyli bagna przez zalesienie, sadząc w ciągu dwu lat imponującą ilość miliona dwustu tysięcy drzew; miejscowy gatunek zboża *sorgum* okazał się dobrym składnikiem do wypieku nieznanego dotąd mieszkańcom chleba, z miejscowych surowców produkowano mydło i cegły, w rolnictwie nauczono się orać pługami. Pomimo wstrząsów politycznych i socjalnych osiągnięcia Wacława zachowały się po dzień dzisiejszy, a nawet pamięć o ich propagatorze¹⁴.

Po przeszło dwu latach w Czadzie mianowano Wacława wicedyrektorem Departamentu Narkotyków ONZ. Pozostał na tym stanowisku aż do przejścia na emeryturę na przełomie 1976/77¹⁵. Główną jego kwaterą poza Genewą była w tym okresie miejscowość Cziang-Mai w tak zwanym „Złotym Trójkącie”

14. Z Wacławem i Janiną Micutami zaprzyjaźnił się w Czadzie „zapamiętały” lotnik Stanisław Wujastyk. Jego wspomnienia o ich obojgu zawierają wiele ciekawych szczegółów (S. Wujastyk, *Świat Wacława Micuty*, „Zeszyty Historyczne” 2007, z. 160, s. 223-249).

15. Ciekawy zbięg okoliczności: w tym samym czasie Jan Nowak-Jeziorański opuścił Radio Free Europe.

– między Birmą (Myanmar), Tajlandią i Laosem – największym światowym ośrodkiem hodowli i produkcji pochodzących z maku narkotyków. Do zwalczania tej plagi Wacław zabrał się z donkiszotowskim entuzjazmem. Tyle że Don Kiszot walczył z wiatrakami, a Wacław zmierzył się z najpotężniejszymi mafiami świata. I potrzebna była niewątpliwie kawaleryjska odwaga, aby tym siłom się przeciwstawić. Wacław demonstrował rolnikom, że uprawiając jadalne rośliny, takie jak groch czy fasola, zarobią lepiej niż hodowlą maku. Powodzenie było połowiczne¹⁶.

Zabawny epizod z Cziang-Mai. Kiedyś spodobał się bardzo Wacławowi uzupełniony przeze mnie limeryk Ogdena Nasha. Mój dodatek:

*How strange, how odd
for God
to choose
the Jews...*

*It is not strange
it is not odd
it was the Jews
who choose God!*

*because the Goyim,
annoy Him
and with the Jews
It's always news:*

16. Jako swego rodzaju Sanszo Pansza próbowałem sprowadzić mojego Don Kiszota na realną teraźniejszość, wskazując na to, że powodzenie jego wysiłków spowoduje wzrost cen nielegalnych narkotyków i przeniesienie uprawy na inne tereny, a skuteczne zwalczanie narkotyków powinno być raczej skierowane na zmniejszenie konsumpcji. W pół wieku po akcji Wacława w „Złotym Trójkącie” uprawiane są w nim wprawdzie po trochu tu i tam groch i fasola, ale mak kwitnie nie mniej niż kiedyś. Skuteczną konkurencją jest Afganistan, gdzie intensywną produkcję narkotyków prowadzą zarówno rebelianccy talibowie, jak i rolnicy na obszarach kontrolowanych przez rząd.

*they are not easy
but keep Him busy...*¹⁷

Wacławowi tak się ten „wydłużony” limeryk podobał, że kazał sobie wykaligrafować go jako plakat i plakatem takim ozdobił swoje biuro w Cziang-Mai. Pewnego dnia odwiedził go tam kierownik innej agencji ONZ (Food and Agriculture) prof. Gera Weizman. Spojrzawszy na plakat, oświadczył z miejsca: „Widzę, że także Pan jest przyjacielem Kossoya!”

Asystentką Wacława w zwalczaniu nadużywania narkotyków została Liselotte Waldheim. Kiedy jej ojciec Kurt Waldheim został Sekretarzem Generalnym ONZ, Wacław zaproponował Liselotte zmianę stanowiska. Spotkał się jednak ze zdecydowaną odmową: Liselotte pozostała jego najbliższą współpracownicą do końca, nie bacząc na to, że Wacław nie ukrywał swego zdecydowanie negatywnego stosunku do Kurta Waldheima. Janka Micuta była matką chrzestną jedyne go syna Liselotty.

W ramach swojej działalności Wacław odbył szereg podróży, w czasie których poznawał z bezpośrednich kontaktów i bliskości warunki bytu i pracy Trzeciego Świata. Miało to decydujący wpływ zarówno na kształtowanie jego światopoglądu, jak i zamiary na bliską przyszłość. Jednym z pierwszych rozpoznań było stwierdzenie trwonienia ograniczonych rezerw energetycznych. Na poziomie afrykańskiej wsi – gotowanie na otwartym ogniu z chrustu i gałęzi jako jedna z głównych przyczyn postępującej deforestacji. Niewydajne i bolesne zaprzęgi zwierząt pociągowych. Powszechna tendencja rządów nowo powstałych państw katapultowania dotychczasowej wczesnośredniowiecznej gospodarki w techniczne osiągnięcia Zachodu; w rolnictwie bezpośrednia zamiana motyk na traktory – bezużyteczne po pierwszej dysfunkcji lub uszkodzeniu, których nie umiano naprawiać.

Jeszcze przed zakończeniem swojej pracy w ONZ Wacław zatroszczył się o zorganizowanie pokazów używania energii odtwarzalnych: słońca, wiatru, wody i biogazu, oszczędnego gospodarowania energią dla gotowania i ogrzewania oraz racjo-

17. Mój dowolny przekład: *Jaka to dziwna droga/ dla Boga,/ prawie cud,/ wybrać żydowski lud./ To nie dziwna droga,/ to nie cud,/ to żydowski lud/ wybrać Boga./ Bo goje Go nudzą,/ a Żydzi trudzą/ i przez ich wieczne kłopoty/ nigdy nie jest bez roboty...*

nalnego i humanitarnego używania siły mięśni ludzkich i zwierzęcych. Pokazy odbywały się w miejscach i czasie konferencji poświęconych problemom rozwoju krajów Trzeciego Świata i wskazywały także na możliwość zastosowywania narzędzi, takich jak kieraty, pługi, kosy i cepy, które na Zachodzie zostały już zastąpione bardziej nowoczesnymi. Poszukując tych narzędzi i ludzi, którzy nie zapomnieli ich używaniu w tradycyjnych szwajcarskich gospodarstwach i warsztatach, Wacław spotkał i zaprzyjaźnił się z Emilem Haasem, który okazał się z Bożej łaski rzemieślnikiem – kowalem i zdunem¹⁸. Dzięki codziennej współpracy z Emilem powstały modele tanich i wydajnych pieców.

Zorganizowane przez Wacława pokazy zwróciły uwagę ustępującego po 12 latach służby w ONZ Wysokiego Komisarza ds. Uchodźców (UN High Commissioner for Refugees – HCR) księcia Sadruddina Aga Khana, który zaprosił Wacława i Emila do współpracy w założonej przez siebie Fundacji Bellerive¹⁹. Na jego prośbę Wacław i Emil rozpoczęli od Kenii, wprowadzając tam uproszczone chomąta, wzorowane na polskich i szwajcarskich modelach. Przede wszystkim jednak zrewolucjonizowali metody gotowania. Tradycyjne gotowanie na otwartym ogniu pod kilkoma kamieniami i z większością energii cieplnej ulatującej bezużytecznie w powietrze zostało zastąpione na wszystkich poziomach przez wydajne, spalające zarówno drzewo, jak i odpadki, prawie w całości zbudowane z miejscowych materiałów

18. Emil Haas był menonitą, wierzącym członkiem tej głęboko religijnej grupy, z której wywodzą się między innymi amerykańscy Amish. Bezinteresowna pomoc bliźnim była jego codzienną potrzebą. W Wacławie znalazł bratnią duszę. Założyli rodzaj świeckiego bractwa: spotykając się, łamali się chlebem i oświadczaali: „Nie dla pieniędzy, nie dla reklamy i nie dla chwały, a dla pomocy bliźnim! Kiedy Emil zginął nieopatrnie w styczniu 1992 w pożarze swego warsztatu, nie mogliśmy go odżałować.

19. Sadrudin Aga Khan (1933-2003) doświadczył w swoim życiu wielu zawodów. Był bezdzietny. Dziedzicznym przywódcą sekty Izmaelitów był jego ojciec Mohamed Aga Khan, któremu jego zwolennicy wyrażali roczny hołd, odważając go ofiarowanym złotem. Sadrudin był zawiedziony, kiedy Aga Khan w testamencie wyznaczył swoim następcą nie jego, a bratanka Karima. Drugą niespełnioną ambicją było stanowisko Generalnego Sekretarza ONZ. Nominacji sprzeciwił się w 1981 roku ZSSR, a w 10 lat później USA i Wielka Brytania. Fondation Bellerive, później Initiative des Alpes były w niemałej mierze instrumentami poszukiwania popularności. Po zgonie Sadruddina Bellerive została włączona do Fundacji Karima Aga Khana.

piece. Od małodzinowego wyposażonego w jeden tylko garnek do dużego wielootworowego przeznaczonego dla szpitali i szkół. Miarą sukcesu był przyswojony Wacławowi tytuł *Bwana dziko* – dosłownie „Pan pieca”²⁰.

Po sukcesach w Kenii nastąpiły w oparciu o Bellerive udane działania w Maroku, Jordanii, Afganistanie i Pakistanie. Zgodnie z zasadniczym nastawieniem Wacław zaczynał na poziomie bezpośrednio zainteresowanej wsi lub instytucji, takiej jak szpital, szkoła lub ochronka, demonstrując dostępny oszczędny użytek stojących do dyspozycji energii.

Zarówno on, jak i towarzyszący mu Emil Haas robili to całkowicie bezinteresownie, otrzymując od Bellerive tylko koszty przejazdu i części utrzymania. Resztę Wacław pokrywał z własnej kieszeni. Za oczywiste osiągnięcia Bellerive otrzymywał od ONZ i od szeregu organizacji poparcia Trzeciego Świata nie tylko uznanie, ale i przejęcie finansowania. Na francuskie i angielskie wydania swojej książki o budowie i używaniu oszczędnych i wydajnych pieców Wacław wystarał się o szwedzkie finansowanie. Bellerive nie tylko firmował jako wydawca, ale także sprzedawał te książki. Autor nie otrzymał jakiegokolwiek honorarium. Na zwoływanych przez Bellerive konferencjach Sadrudin zbierał pochwały i uznania dla swojej działalności. Wacławowi, przedstawianemu przez niego jako „mój dyrektor”, było zlecane pokazywanie poszczególnych modeli²¹. Mnie było tego za dużo i namówiłem Wacława do założenia własnej niezależnej instytucji: REDI – Renewable Energy Development

20. Zob. J. Venulet, *«Bwana Jiko»*, czyli rzecz o Wacławie Micucie, „Nowy Dziennik”, Nowy Jork 9 III 1993.

21. Sadrudin podjął próbę naprawienia sytuacji, mianując 27 VIII 1984 Wacława wiceprezydentem Bellerive. Jak się okazało, za późno: 20 XII 1985 Wacław zgłosił swoją dymisję. Sadrudin pisał: „Pański współudział, działalność i zasób wiadomości są rzeczywiście wyjątkowe i pragnę przy tej okazji powtórzyć moje serdeczne podziękowania” (24 I 1986). I znowu: „...bardzo mnie cieszy to, że PNUD uhonorowało osiągnięcia Fundacji Bellerive, nadając jej zaszczytny tytuł «Global 500». Donoszę to Wam osobiście, bo to są Wasze działania w ciągu ostatnich ośmiu lat, które są w ten sposób wyróżnione...” (list z 1 VI 1981 adresowany do Wacława i Emila). W kilka lat później nie przeszkodziło to Sadrudinowi złożyć w imieniu Bellerive pięciopointonowe zażalenie przeciwko REDI i Wacławowi za rzekomą niełojalną konkurencję w produkcji pieców (8 X 1992). Skończyło się oczywiście na anulowaniu tej skargi.

Institut (Instytut odnawialnej energii i rozwoju), zatwierdzonej w listopadzie 1986 roku i uznanej przez władze szwajcarskie jako instytucja użyteczności publicznej.

Osiągnięcia dwudziestu lat (1986-2006) działalności REDI zasługują na książkę. Żywię nadzieję, że będzie kiedyś przynajmniej tematem jakiejś rozprawy doktorskiej. W każdym razie nie widzę możliwości wyszczególniania tych osiągnięć w zakresłonych przeze mnie ramach wspomnień. Niezbędną do podkreślenia jest niecodzienna koncepcja rekrutacji współpracowników. Wacław postanowił szukać ich pośród pełnosprawnych emerytów chętnych do ochotniczego stosowania umiejętności i wiadomości nabytych w ciągu długich lat pracy zawodowej. W krótkim czasie dookoła Wacława i Emila zgromadziła się grupa chętnych do pracy fachowców, przeważnie emerytowanych wykładowców genewskiej szkoły inżynierów²².

Jednym z pierwszych wyczynów REDI była podjęta dla programu rozwojowego ONZ (UNDP) prawie dwumiesięczna (maj-lipiec 1988) wyprawa do Chin. Dwaj starsi panowie, pracując ramię w ramię z młodymi Chińczykami, wzbudzili ich podziw, uznanie i wdzięczność. Przekonali gospodarzy, że ich na ogół dobrze działające piece będą działać o wiele lepiej, jeżeli zaopatrzy się je w dotychczas nieznane drzwiczki i kominy.

W tym samym programie w 1990 roku REDI, zaopatrując w Port-au-Prince na Haiti miejscowe liceum w lokalnie, według modeli REDI wyprodukowane piece komunalne, zademonstrowało możliwości 80% oszczędności paliwa w warunkach sprzyjających pracy personelu. Pochwały posypały się od bezpośrednio zainteresowanych, rządu i Ambasady Francji finansującej liceum. Podobną akcją z tą samą miarą powodzenia przeprowadzono w tym samym roku w Paragwaju.

Prawdziwe dni chwały dla REDI, jak również osobiście dla Wacława przyszły w latach 1992-2006 we współpracy z

22. Między nimi Roland Schilling, Emil Pettinaroli, George Rosier. Bardzo cennym okazał się Valentin Mulin, który po zgonie Emila Haasa zastąpił go w modelowaniu palników na płynne paliwo, którymi zajmuje się aktywnie po dzień dzisiejszy. Kulturowana przez Wacka i Emila idea świeckiego bractwa z rytualnym łamaniem chleba i wygłaszaniem hasła musiała zostać po zgonie Emila opuszczona: przyziemni Szwajcarzy nie mieli dostatecznego zrozumienia dla polskiej romantyki i mistycyzmu.

Międzynarodowym Komitetem Czerwonego Krzyża (CICR), Wysokim Komisarzem ds. Uchodźców, szwajcarskim federalnym Biurem Pomocy w Katastrofach (HA abd SDR), Fundacją Bagnoud i ORT. Rewelacyjnym okazał się wynalazek uproszczonego, taniego i łatwego do miejscowej produkcji palnika na płynne paliwo. Tradycyjny *prymus* działający na zasadzie stężonego powietrza został zastąpiony palnikiem, w którym niezbędne ciśnienie powodowane jest spływem paliwa z wyżej umieszczonego zbiornika. Ulepszone na podstawie zebranych w użyciu doświadczeń piece mogły być opalane, w zależności od najłatwiej na miejscu dostępnego paliwa, ropą, drzewem lub węglem i produkowane w pobliżu zapotrzebowania. Tak się stało w Somali, gdzie obozy uchodźców zostały szybko wyposażone w prymitywne, ale dobrze funkcjonujące piece skonstruowane z przepołowionych blaszanych beczek z wbudowanymi palnikami. Dzięki przeszło stu tysiącom wyprodukowanych w Zagrzebiu według modeli REDI pieców opalanych drzewem setki tysięcy ofiar rozpadu Jugosławii uniknęły zimnych i głodowych zim. Tak samo stało się w Czeczenii i na Kaukazie. Produkcję palników podjęto w Gwinei, Haiti, Myanmarze i Senegalu. W 1998 roku Wacław z Emilem Pettinarolim pracowali trzy tygodnie w Korei Północnej, organizując finansowaną przez Szwajcarię lokalną produkcję 2000 pieców REDI.

Kilka cytat z powodzi listów dziękczynnych:

...korzystam z tej okazji, aby wyrazić moją głęboką wdzięczność za Pańskie pionierskie wysiłki we wprowadzeniu oszczędzających opał pieców w kołach afgańskich uchodźców. Droga od pokazu na trawniku Pałacu ONZ w Genewie do realnego projektu w Pakistanie nie była łatwym przedsięwzięciem, ale Pańska oddanie sprawie i wytrwałość zapewniły powodzenie (Wysoki Komisarz ds. Uchodźców, 15 XI 1984);

...śląc Panu bardzo gorące słowa podziękowania z Myanmar, zapewniamy, że jesteśmy świadomi Pańskich zasług w powodzeniu tej misji... (Association Bagnoud, 28 XI 1999);

...zadania CICR wyrażające się w bezpośredniej pomocy uchodźcom, przesiedleńcom, zubożałym, a także szpitalom, ochronkom, szkołom i domom starców i przytułkom mogą być realizowane dzięki nieustającym wysiłkom Instytutu REDI (25 IX 2002).

Szybko pogarszający się stan zdrowia nie pozwolił Wackowi na kontynuowanie dwu ostatnich zainicjowanych przez niego projektów: tanich i nie skomplikowanych filtrów do zaopatrywania w wodę pitną i palników spalających olej niejadalnych roślin. Pierwszy z nich został przejęty przez genewskie stowarzyszenie kierowane przez dawnego współpracownika REDI Rollanda Schillinga; nad drugim pracuje Valentin Mulin wspomagany przez Jacka Micutę.

Zacieśnienie naszej przyjaźni zostało walenie ułatwione tym, że także nasze obydwie panie: Janka i Sonia od razu się sobie spodobały i zaprzyjaźniły tak, że wkrótce zaczęliśmy się uważać za jedną rodzinę. Przyczyniły się do tego odmienne, ale w gruncie rzeczy jednak podobne przeżycia i daleko idąca zgodność poglądów. Z czasem do tej wspólnoty dołączyły siostra Dominika Zaleska z Sióstr Matki Syjońskiej i „przybrana siostrzenica” Wacława Agnieszka. Nasze częste spotkania rozpoczynaliśmy ulubionym przez Wacka łamaniem się chlebem, uzupełnianym moim upodobaniem do zakrapiania. Ukoronowaniem rytuału była piosenka:

*Więc pijmy wino szwoleżerowie,
niech troski zginą w rozbitym szkle.
Gdy nas nie będzie, nikt się nie dowie
czy dobrze było nam, czy źle!*

Ta piosenka podrywała Wacława jeszcze w ostatnich miesiącach życia, kiedy już na mało co reagował. A w dawnych czasach rozpoczynaliśmy nią wieczór piosenek. Ja fałszowałem okropnie, ale za to pamiętałem dobrze słowa zarówno wszystkich starych przebojów jak i bogatego repertuaru pieśni i piosenek wojskowych. Śpiewaliśmy *Tango Milonga* i inne przeboje „Qui quo pro”, „Morskiego Oka” i „Starej Bandy”. Przychodziła kolej na zaślyszane w dzieciństwie rosyjskie piosenki rewolucyjne i poważny repertuar. Wacław za każdym razem wzruszał się „pieśnią swojego ojca”, polskimi słowami robotniczej *Marsylianki* 1905 r.:

*Po wszystkich ulicach Warszawy
bagnet carski wytacza z nas krew,
my za wolność sprawimy chrzest krwawy*

*i z piorunem zanucim ten śpiew
Do twierdz przypuścimy szturm, do więzień i do tiurm!
Na bój! Na bój! Na krwawy bój! Hej ludu, zbrój się, zbrój!*

Pewnego wieczoru dośpiewaliśmy się do hymnu narodowego. Ja zapamiętałem z Sowietów powszechnie zapomnianą czwartą zwrotkę, którą na życzenie Wacława powtórzyłem parokrotnie:

*Moskal Polski nie dobędzie,
gdy, jąwszy pałasza,
hasłem wszystkich zgoda będzie
i Ojczyzna nasza.*

Wacław z miejsca zatelefonował do Monachium do Nowaka-Jeziorańskiego, który przyznał, że i on jej nie pamiętał i dziękował za przypomnienie. I od następnego dnia ta zwrotka była regularnie śpiewana w Radio Wolna Europa.

Bohaterskie zachowanie Wacława w wojnie i Podziemiu zostały udokumentowane w Kraju nie tylko wymienionymi na początku odznaczeniami, ale także wieloma wzmiankami w opublikowanych wspomnieniach uczestników tych zdarzeń. Natomiast pół wieku owocnej działalności za granicą na rzecz ofiar wojen, głodu, ubóstwa lub po prostu braku potrzebnych wiadomości, pozostały do niedawna w Kraju niemal że nieznanne. Po likwidacji PRL razem z prof. Janem Venuletem próbowaliśmy zwrócić na to należną uwagę. Wysłany za pośrednictwem Ambasady RP w Bernie nasz memoriał nie doczekał się odpowiedzi. Nieoficjalnie dowiedzieliśmy się, że nie został poparty przez ówczesnego ambasadora, który uważał, że „cywilne” zasługi Wacława mają mało wspólnego z Polską. Radykalna zmiana nastąpiła dopiero za urzędowania ambasadorów Janusza Niesyto w Bernie i Zdzisława Rapackiego w Genewie. Ich inicjatywa, poparta w Polsce zarówno przez przodujących historyków takich jak Tomasz Szarota i Andrzej Krzysztof Kunert, jak i przez koła Armii Krajowej, w szczególności weteranów „Zośki”, doprowadziła do nadania mu przez Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego 10 kwietnia 2007 roku Krzyża Komandorskiego z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski. Z najbliższymi byliśmy szczęśliwi, że Wacławowi danym było doczekać się ukoronowa-

nia działalności jeszcze w pełni rozeznania i sił umysłowych.

Przeszło dwa lata wcześniej świętowaliśmy z licznym udziałem zgromadzonych przyjaciół w gmachu Misji RP przy ONZ w Genewie dziewięćdziesiąte urodziny Wacława. W moim przemówieniu przypominałem odwieczną legendę o Sprawiedliwych. Legenda głosi, że grzesząca ludzkość znajduje Boskie wybaczenie dzięki anonimowej obecności wśród nas trzydziestu sześciu Sprawiedliwych. Ta piękna legenda stała się częścią żydowskiego folkloru: w hebrajskim alfabecie liczba 36 oznaczona jest literami *lamed* i *vav*. Stąd nazwa Sprawiedliwego: *Łamedwownik*. Powiedziałem więc, że gdybym był wierzącym, byłbym gotów uwierzyć, że Wacław jest *Łamedwownik* – jeden z trzydziestu sześciu Sprawiedliwych. To samo powtórzyłem na wydanym na cześć Wacława w Pałacu Prezydenta przyjęciu i w genewskim kościele św. Teresy na mszy żałobnej w Jego intencji.

Edward KOSSOY

ANEKS

LISTY J. GIEDROYCIA, J. NOWAKA- -JEZIORAŃSKIEGO, J. STEMPOWSKIEGO DO W. MICUTY

3 lutego 1951

Drogi Panie,

W nrze lutowym, który jest obecnie na maszynach, zamieszczam list Edwarda Raczynskiego wraz z Pana odpowiedzią. Nr ten jest jak corocznie nrem podwójnym: za luty i marzec. Ponieważ jest większa przerwa, więc ponawiam prośbę czy można będzie Pana skarotować o artykuł do nast. Ma się rozumieć interesowałyby mnie tematy nie tylko ekonomiczne. W każdym razie – gdyby Pan nie miał czasu przy swych zajęciach, to proszę pamiętać choćby o krótkich notkach czy to do działu krajowego, czy też do recenzji (niewątpliwie Pan ma sporo ciekawej lektury, której samo zaawizowanie będzie cenne dla czy-

telnika polskiego). Na wszelki wypadek podaję, że numer kwietniowy zamknę ok. 10-15 marca.

Pana artykuły wywołują ogromne zainteresowanie ale odgłosów prasowych jeszcze nie było. Bardzo napada (z tego samego powodu co Raczyński plus zarzut niezrobienia reformy rolnej) Juliusz Poniatowski. Ale on jest przekonany, że autorem jest Bobrowski. W ogóle w tym kierunku idą domysły.

Nie podał Pan gdzie przekazać honorarium.

Oczekując odpowiedzi łączę wiele serdeczności

Jerzy Giedroyc



16 kwietnia 1951

Drogi Panie,

Sprawa konkretna: nasz projekt uniwersytetu jakby się realizował, gdyż zamierza go sfinansować Free Europe. Pomyślane to jest jako fundacja amerykańska, pod kierownictwem amerykańskim (założyciele Free Europe i nasz Mouvement pour la liberté de la Culture) przy jednym z uniwersytetów francuskich (albo Strasburg, albo Grenoble), gdzie byłyby tylko dwa specjalne wydziały: prawno-ekonomiczny oraz humanistyczny (literatura i historia). Inne fakultety byłyby miejscowe francuskie. Z grubsza jest to w tej linii projektu uniwersytetu, o którym mówiłem i pisałem Panu. W ciągu miesiąca sprawa będzie zorganizowana i należy spodziewać się otwarcia uniwersytetu na jesieni tego roku. Jest sprawa doboru profesorów. Otóż chciałbym się zapytać czy teoretycznie zgodziłby się Pan być jednym z profesorów. Idzie mi w tej chwili o Pana generalną zgodę, gdyż jasne, że decyzja Pana mogła być powzięta po bliższym zapoznaniu się z imprezą i przedyskutowaniem warunków. Jeśli Pan zasadniczo tej myśli nie odrzuca, to bardzo proszę o możliwe odwrotne przysłanie swojej krótkiej biografii w trzech egzemplarzach w języku angielskim. To jest naprawdę bardzo pilne. Jak zaznaczam, nie zobowiązuje to Pana do niczego. Piszę to w ścisłym porozumieniu z A. Rose.

Bardzo proszę o odwrotną odpowiedź.

Bardzo jestem niespokojny dłuższym milczeniem Pana.

Mam nadzieję, że jest to nawał pracy a nie zniechęcenie do współpracy z „Kulturą”.

Łączę wiele serdeczności,

Jerzy Giedroyc



7 lipca 1951

Drogi Panie,

Przepraszam, że nie odpisałem Panu na ostatni list ale byłem w ciągłych rozjazdach i kłopotach. Naprawdę jest mi bardzo nieprzyjemnie, że ciągle są takie „kawały” z Pana artykułami. Nie jest to jednak sabotaż tylko głupota i brak znajomości języka polskiego u drukarzy. W tym wypadku po prostu forma się obsuwała przy druku i poprawiali ją sami z wiadomym skutkiem. Daję sprostowanie w bież. nrze.

Na pociechę przesyłam Panu nr „Monde Nouveau”, które zamieściło obszernie streszczenie Pana artykułu. Jest to poważny miesięcznik więc to jest sukces. Mam poza tym przed chwilą otrzymany list z „Der Monat” berlińskiego, że zamieszczą oni to samo streszczenie w swym nrze lipcowym. Ci w przeciwieństwie do periodyków francuskich płacą i to dobrze. Jak tylko to się ukáže i wypłacą honorarium – zaraz je Panu przekażę.

Bardzo bym chciał, by te kłopoty korektorskie nie zniechęciły Pana do dalszej współpracy tym bardziej, że mam nadzieję, że w okresie letnim będzie Pan swobodniejszy. Dla informacji podaję, że bież. nr będzie nrem podwójnym za lipiec-sierpień, nr wrześniowy będę zamykał ok. 10 sierpnia.

Łączę wiele serdeczności,

Jerzy Giedroyc



Monachium, dn. 1 marca 1952

Drogi Wacku!

Wybacz ten krótki *business-letter*, ale jestem w tej chwili tak zavalony robotą, że muszę pisać krótko, lakonicznie i na temat.

Jak już wiesz zapewne, objąłem kierownictwo Polskiej Sekcji Radia „Wolna Europa” w Monachium. 3 maja rozpoczynamy nadawanie całodziennego programu na dwóch, bardzo potężnych antenach i wydaje mi się, że poczynając od roku 1945, Polacy nie mieli jeszcze w rękach tak wielkich możliwości i tak dużej swobody działania.

Nawiązując do naszej rozmowy w lecie ubiegłego roku, zwracam się do Ciebie z zapytaniem, czy podjąłbyś się funkcji redaktora ekonomicznego w naszym zespole. Warunki są następujące: \$ 215 – miesięcznie – z możliwością podwyżki po kilku miesiącach – plus mieszkanie, bezpłatna szkoła amerykańska dla chłopca, oraz przywileje związane z posiadaniem tzw. „Karty PX”.

Praca wymagałaby dużej wydajności pisarskiej i zdolności popularyzowania zagadnień ekonomicznych w taki sposób, aby były przystępne, zrozumiałe i interesujące dla najprostszego człowieka.

Sprawa wymagałaby szybkiej decyzji z Twojej strony i możliwie rychłego przyjazdu do Monachium.

O ile w zasadzie interesujesz się moją propozycją, to mógłbym zaprosić Cię na rozmowę do Monachium w ciągu następnego tygodnia. Koszty przejazdu byłyby, oczywiście, pokryte przez RFE.

Łączę serdeczny uścisk dłoni oraz ucałowania rącek dla Twojej Pani,

Jan Nowak



Monachium, dn. 3 czerwca 1953 r.

Drogi Wacku!

Dziękuję Ci serdecznie za nieoceniony materiał, który mi nadesłałeś. Broszur nie mieliśmy w naszej bibliotece i zostaną one, oczywiście, jak najpełniej wykorzystane. Fakty, które podałeś, oraz załącznik – są niezmiernie interesujące. Natychmiast po wykorzystaniu, prześlę Ci skrypt na nich oparty.

Wydaje mi się bardzo wskazane, żebyśmy mogli nawiązać jakąś bliższą współpracę. Niestety, nie wybieramy się w najbliż-

szym czasie do Szwajcarii. Może Ty za to mógłbyś wraz ze swoją Panią odwiedzić nas w Monachium?

Jeszcze raz dziękuję Ci za pomoc bardzo serdecznie i cieszę się z ponownego nawiązania kontaktu.

Dłoń Twoją ściskam, dla Pani łączę ucałowania rąk.

Jan Nowak



Monachium, dn. 27 czerwca 1953 r.

Kochany Wacku!

Dziękuję Ci bardzo za list z dn. 23 czerwca. Wydaje mi się, że sugestie, które wysunąłeś, znajdują swój wyraz w naszych audycjach. Trudno jest dyskutować na podstawie jednego skryptu.

Nie dalej jak wczoraj rozmawiałem z robotnikiem od Cegielskiego z Poznania, który opuścił Polskę bardzo niedawno. Z tej rozmowy wnoszę, że nastroje zmieniły się wśród robotników zupełnie radykalnie od r. 1948, to znaczy od chwili, kiedy opuściłeś Kraj. Wyzysk robotnika posunął się tak daleko, że brakoróbstwo i ograniczanie wysiłków w miarę możliwości i bezpieczeństwa – uważa on za jedyną swoją broń przed pełnym fizycznym wyczerpaniem i przed dalszą eksploatacją.

W Monachium z nikim na Twój temat nie rozmawiałem, więc nie bardzo rozumiem, skąd ludzie mogą tu znać Twoje nazwisko. Korespondencję od początku kierowałem na Kallenbacha.

Łączę serdeczne pozdrowienia dla Obojga Państwa,

Zdzisław



Berno, 27 kwietnia 1954

Kochany Panie Wacławie,

Po zastanowieniu się nad naszą rozmową, chciałbym donieść

Panu, jak sobie wyobrażam ewentualny przyjazd tu Jerzego Giedroycia, który – jak wspominałem – chciałby zobaczyć się z przyjezdnymi z Warszawy, jeżeli przyjadą stamtąd osoby mające ochotę do takich kontaktów. Ponieważ nic o ich przyjeździe nie wiadomo, Giedroyc nie może czekać na to w Szwajcarii, mając pilne zajęcia w Paryżu. Z drugiej strony Pan był łaskaw obiecać mi swoją pomoc w ewentualnym zorganizowaniu takich kontaktów, o ile by do nich w ogóle doszło. To bardzo ułatwia całą sprawę. Pisałem więc do Giedroycia, aby wziął wizę szwajcarską na Bern – bo na Genewę wizy nie dostanie i czekał na wiadomość ode mnie, gotowy do wyjazdu. Liczę więc na to, że Pan mnie zawiadomi na 2-3 dni przedtem o możliwościach, dla których warto by sprowadzać Giedroycia z Paryża. Giedroyc liczy bardzo na te kontakty chcąc przedstawić „Kulturę” na pewnego rodzaju zbliżenie do kraju, zwłaszcza wobec wiadomości, że jego pismo dochodzi teraz do kraju lepiej niż w roku ubiegłym. Piszę do Pana dla upewnienia się, że Pana dobrze zrozumiałem i że Giedroyc nie potrzebuje robić żadnych innych kroków w związku ze swym ewentualnym przyjazdem. Będę dbał o to, aby te sprawy nie wychodziły poza nas trzech.

Śpieszę też dodać, że niezależnie od tego cieszę się niezmiernie z naszego ostatniego spotkania. Najserdeczniejsze pozdrowienia i zapewnienia szczerej przyjaźni łączę,

Jerzy Stempowski



Berno, 30 kwietnia 1954

Kochany Panie Wacławie,

Nasze listy rozminęły się. Serdecznie dziękuję Panu za wiadomości. Horodyńskiego trochę znam i z krótkiej rozmowy z nim wyniosłem mniej więcej takie same wrażenia jak Pan i w konkluzji tę samą wątpliwość co do słuszności mego sądu. Nie mam mu do zrobienia żadnych propozycji już chociażby z racji mojej samotności, bo nie należę nawet do „Zespołu «Kultury»” i nie pochwalam wcale niedorzecznych wystąpień politycznych

tego ostatniego. Rzeczą interesującą dla mnie byłoby tylko zrobienie z nim i Żuławskim pewnego *tour d'horizon* i omówienie kwestii ważnych w tej chwili dla emigrantów i mogących także interesować taktyków warszawskich w obecnej fazie rozwoju wypadków. Żuławskich znam prawie wszystkich, będąc z nimi nawet spokrewniony. Wdowa po Jerzym Żuławskim, matka Marka, Juliusza i Wawrzyńca, jest mianowicie moją krewną. Z synów Zygmunta Żuławskiego znałem Jacka. Nie znam natomiast tego, który przyjechał i który, jak przypuszczam, nazywa się Mirosław. Jeżeli Horodyński i Żuławski mają ochotę mnie widzieć, zobaczę się z nimi z największą przyjemnością. W najbliższą niedzielę, prócz 12-13, będę cały dzień w domu. Mogą do mnie zadzwonić pod 2.61.85 lub przyjść bez dzwonięcia kiedy zechcą. Na dole w westibulu powinni pociągnąć za dzwonek z napisem Tzaut-Vis.

Najserdeczniej dziękuję Panu za wszystko. Kochany Panie Wacławie. Jest Pan niezrównanym przyjacielem i nie przestaję cieszyć się z odnalezienia Pana. Zawsze myślałem, że w naszych czasach zapalczywości i nieumiaru ludzie środka mają – mimo pozorów – ważne zadanie do spełnienia, bynajmniej nie w roli „kłajsterników” i ugodowców, ale w rolach bardziej istotnych. Czy zna Pan książeczkę Felixa Weltscha *Das Wagnis der Mitte*, traktującą teoretycznie o tym przedmiocie?

Najserdeczniejsze pozdrowienia przesyła szczerze oddany,

J.S.



Monachium, dn. 21 lipca 1954

Kochany Wacku!

Dziękuję Ci bardzo za Twój list, który żywo mnie zainteresował.

Jestem w tej chwili uwięziony przy biurku, bo mój zastępca wyjechał na urlop. Mój pierwszy *weekend* wypadnie prawdopodobnie 7 i 8 sierpnia. Chciałbym wtedy wyjechać na sobotę lub niedzielę w okolice Zurichu, by oderwać się trochę od codziennej orki. Jeżeli dojdzie to skutku, to napiszę do Ciebie

w początkach sierpnia. Kto wie, może będziesz przypadkiem znajdował się także w tych stronach.

Jeżeli spotkanie nasze dojdzie do skutku, absolutnie nikt nie będzie o tym wiedział, nie wyłączając wspólnych znajomych.

Wiele serdeczności łączę dla Ciebie i Pani Janki,

Zdzisław



22.9.54 r.

Kochany Wacku,

Zwracam Ci jako załącznik do tego listu Twoje notatki. Maszynopis wyślę osobno. Korzystam z okazji by Ci raz jeszcze podziękować za *weekend* nad Zürichsee. Oddałeś wielką usługę, nie tylko mnie osobiście, ale całej mojej pracy. Dobrze było również przekonać się, że chociaż spotykamy się rzadko – rozumiemy się nawzajem doskonale.

W imieniu Wiśki i własnym łączę serdeczny uścisk dłoni, dla Twojej Pani – pozdrowienia

Twój,

Zdzisław

PS Koperta odklejona i ponownie zaklejona przeze mnie.



6 stycznia 1961

Drogi Panie

Przepraszam, że odpowiadam z takim opóźnieniem na Pana ostatni list (12 XII). Jest on b. ciekawy.

Zapytuje Pan dlaczego chcę stawiać na jankesów. Nie mam co do nich żadnych złudzeń, ale oni jeszcze mogą być zainteresowani w dopuszczaniu nas na teren Afryki. Nie ze względu na Afrykę, ale by spróbować dynamikę antykolonialną i nacjonalistyczną narodów Afro-afrykańskich obrócić również czy raczej przerzucić na teren bloku sowieckiego. To jest moja *idée fixe*.

Zdaję sobie sprawę z niebywałych trudności – przede wszystkim braku ludzi [z] emigracji, którzy by się do takiej koncepcji zapalili lub się nadawali a poza tym ludzie w kraju są tak zgaszeni, bierni, tak straszliwie prowincjonalni, że jakiegokolwiek projekty wychodzące poza dorzecze Wisły uważają za bajki o żelaznym wilku. Ani Anglicy, ani Francuzi na taką koncepcję nie pójdą. Choćby dlatego, że chcą utrzymać *status quo* i nie psuć sobie stosunków z Moskwą. Nie jestem Mackiewiczem i nie mam obsesji antyangielskiej, ale w obecnej sytuacji Anglicy są automatycznie *contra* naszym jakimkolwiek planom już nie uwolnienia wsch. Europy, ale rozluźnienia tam stosunków. Amerykanom kto wie czy nie da się tego wytłumaczyć. Oni nie wiedzą co robić ale już są w panice, że ziemia się im usuwa spod nóg.

Nie wiem czy mi się to uda (wyjaśni się to w końcu stycznia), ale chciałbym wyskoczyć na parę tygodni do USA w marcu, by spróbować przewentylować te zagadnienia. Może coś z tego wyjdzie.

W każdym razie, gdyby się to choć w części udało, to daje nam to pewną szansę. Powinniśmy wrócić do swej starej roli z XIX w. być *championami* wolności, bo to się może najlepiej opłacać. Piszę to z całym realizmem politycznym a bynajmniej nie mam żadnych ciągotek romantycznych.

Ma się rozumieć, trzeba by przede wszystkim zapoznać się z problemami tych wszystkich niezliczonych kraików, nawiązać tam kontakty, poznać ludzi, zorientować się w potrzebach i możliwościach, stwierdzić jacy Polacy, istniejący w terenie, są do wykorzystania i wtedy dopiero próbować ustalić jaki plan. Jeśli mi się uda w czasie pobytu w USA wyrwać sfinansowanie takiej tury, to już to będzie w naszych warunkach wielkim sukcesem. Jest tylko kwestia, kto mógłby się tego podjąć. Czy Pan miałby w razie czego na to czas i ochotę? Ideałem byłby jakiś duet Pan i np. Miłosz. Tu potrzebny byłby obok człowieka rzeczowego jakiś intelektualista, trochę różowy czy lewicujący, by łatwiej się włączyć w te wszystkie ruchy i iść po siatce murzyńskiej a nie białej. Niestety Miłosz obecnie wykląda na uniwersytecie i raczej nie wchodzi w rachubę.

Raz jeszcze powtarzam – to wszystko wygląda w tej chwili zupełnie nierealnie. Jeśli by jednak te sprawy Pana interesowały, to bardzo będę wdzięczny za wiadomość czy Pana taki objazd by

interesował a jeśli tak, to czy mógłby Pan naszkicować plan takiego wojażu, jego czas, kosztu etc. No i ma się rozumieć bardzo proszę o wszystkie sugestie. Jestem w tych sprawach zupełnym ignorantem a nie można operować koncepcją nawet pociągającą ale kompletnie oderwaną od rzeczywistości.

Bardzo ostrożnie te sprawy zaczynamy poruszać w „Kulturze”, poczynawszy od nru styczniowego.

Wysyłam Panu książkę Kenyatty razem z tym listem.

Numer styczniowy jako podwójny ukaże się trochę później. Będzie ekspediowany 9 stycznia.

Najlepsze pozdrowienia,

Jerzy Giedroyc



Dn. 30 sierpnia 1963 r.

Drogi Wacku,

Dawno już bardzo nie miałem z Wami kontaktu i chętnie bym go odnowił. Nasze poprzednie spotkania i rozmowy były dla mnie niezwykle pożyteczne i dawały dużo materiału do przemyślenia.

W początkach września wybieram się na jeden dzień do Genewy w pewnej sprawie związanej z moją pracą. Czy mógłbyś poświęcić mi kilka godzin na dłuższą rozmowę i jakie dni najlepiej by Ci odpowiadały. Nie potrzebuję dodawać, że dyskrecja z mojej strony jest zapewniona. Możesz odpisać mi na nowy adres prywatny: 3, Amsterdamerstrasse, München 23 (Apt. 804) Tel.: 330187

albo – jeśli chcesz w to wtajemniczyć Kallenbacha – możesz mi odpowiedzieć za jego pośrednictwem.

W połowie września wyjeżdżam służbowo do Stanów i w Monachium będę z powrotem dopiero w połowie października więc w rachubę wchodzi właściwie tylko pierwsza dekada września.

Mam nadzieję, że u Was wszystko OK. Serdecznie pozdrawiam całą Trójkę w imieniu własnym i Wiśki.

Twój,

Zdzisław

PS Czy słyszałeś może o książce Stefana Kurowskiego, która tak gwałtownie zaatakowana została na XIII Plenum a później w „Życiu Gospodarczym” i w „Nowych Drogach”. Czy nie masz przypadkiem egzemplarza tej książki? Niesłuchanie się nią interesuję a w żaden sposób niestety nie mogę jej zdobyć.



Monachium, dnia 1 listopada 1963 r.

Kochany Wacku,

Dziękuję Ci bardzo za Twój list. Załączoną do niego prośbę przekazuję do Studium Polski Podziemnej oraz naszemu Koledze z AK, Józefowi Garlińskiemu w Londynie. Sądzę, że mogą oni napisać do autora, nie narażając go na represje.

W czasie mego pobytu w Nowym Jorku rozmawiałem na Twój temat ze Zbigniewem Brzezińskim. Pamiętał o spotkaniu z Tobą i bardzo miło się o Tobie wyrażał. Brzeziński jest wschodzącą gwiazdą na politycznym firmamencie amerykańskim. Z reguły nie mówi o swoich kontaktach, które są bardzo poważne i sięgają wysokiego szczebla.

Nie jest wykluczone, że w początkach przyszłego roku przyjadę do Stanów i że na kilka dni zatrzymam się w Nowym Jorku. Niezależnie od tego, na pewno oboje z Wisią będziemy w Stanach w lecie. Nie omieszkam się z Tobą porozumieć i dziękuję Ci bardzo za adres.

Ostatnia rozmowa z Tobą i Twoim przyjacielem była dla mnie, jak zwykle, bardzo pożyteczna. Masz dar syntezy sięgającej do sedna rzeczy, a Twoje wnioski zawsze pobudzają do myślenia.

Ściskam Cię serdecznie,

Zdzisław



11 maja 1997

Wacku Kochany,

Dziś dopiero z największym żalem dowiedziałem się o śmierci Janki i w pierwszym odruchu pisałem do Ciebie te kilka

słów. Szliście ze sobą razem przez blisko 60 lat. Po tak długim i wiernym współżyciu para małżeńska zrasta się ze sobą. Jedno nie może sobie wyobrazić życia bez drugiego. Rozumiem więc dobrze, co czujesz i całym sercem jestem przy Tobie. W obliczu tak ciężkiej straty – wszelkie słowa są bezsilne.

Jesteśmy obaj rówieśnikami i przeżywamy późne lata starości, która jest niestety smutnym i ciężkim okresem życia. Im nas mniej – tym bliżsi stajemy się sobie. Sięgam do przedwojennych wspomnień, kiedy poznaliśmy się w Poznaniu. Pamiętam Jankę, śliczną, młodą studentkę, która przychodziła do seminarium ekonomicznego w budynku Raiffeisena, gdy byłem asystentem Taylora. Miałem zawsze dla Was obojga wielki sentyment i rosnący podziw.

Ściskam Cię bardzo serdecznie,

Twój – *Zdzisław Jeziorański*



1.9.98

Wacku Kochany,

Sprawiłeś mi niebywała frajdę Twoim listem, który wczoraj do mnie dotarł.

Na pewno nie zdajesz sobie sprawy, ile mam dla Ciebie szczerego podziwu, szacunku i sentymentu. Śledziłem Twoją drogę życiową od czasów poznańskich. Biegliśmy równoległymi, choć oddalonymi drogami. Pchały nas do przodu te same motywy i wspólny cel. Mieszkaliśmy daleko od siebie, ale wyczuwam w Tobie bliską, bratnią duszę. Byliśmy oboje zgnębieni nie-szczęściem, jakie na Ciebie spadło.

Moja Wiśka (Greta) jest już od dwóch tygodni w szpitalu. Mam wciąż nadzieję, ale nie mam pewności, czy wróci do domu. Jesteśmy razem od 54 lat. Jej bezgranicznemu oddaniu zawdzięczam dobrą formę w b. późnym wieku. Z naszej paczki tylko Ty pozostałeś, Staś Rączkowski i ja.

Wydaje mi się, że Twój mądry list do niezbyt mądrego Glempa wywarł swój wpływ. Wszyscy biskupi otrzymali mój artykuł zanim ukazał się w druku. Jeden z nich napisał do mnie, że był potrzebny.

Największym zagrożeniem dla Polski i dla Kościoła jest „Radio Maryja” i ksiądz Rydzyk. Jest to w rzeczywistości ruch polityczny albo raczej załączek katolickiego nazizmu. Niesie niebezpieczeństwo schizmy i śmiertelne zagrożenie demokracji i wizerunku Polski w świecie.

Ściskamy Cię oboje bardzo serdecznie,

Zdzisław

Annandale, 13 stycznia 2001 r.

Wacku Kochany,

Zrobiłeś mi wielką frajdę swoim okólnym listem świątecznym i dopiskiem. Z największą satysfakcją widzę, że zachowałeś tego niezwykłego ducha przedsiębiorczości, pomysłowości, która zawsze w moich oczach wyróżniała Cię od innych i budzi we mnie szczerą podziw.

Zaliczam Cię do najwartościowszych ludzi, jakich zdarzyło mi się spotkać w moim długim życiu.

Niestety grono ludzi z naszego pokolenia wciąż topnieje. Na schyłku ubiegłego roku odszedł prof. Drewnowski, mój drużynowy z lat szkolnych i Stanisław Broniewski, mój bliski kuzyn, naczelnik Szarych Szeregów, który dowodził akcją pod Arsenalem. Przeżyliśmy wspólnie lata dzieciństwa, lata szkolne i razem z Tobą studiowaliśmy w Poznaniu u Taylora. Pozostał Staś Rączkowski i Ty. Bardzo sobie wyrzucam, że moje błyskawiczne wizyty w Warszawie, przeładowane spotkaniami, nie pozwoliły mi na telefoniczne choćby skontaktowanie się ze Staszkiem.

Ściskam Cię bardzo serdecznie. Trzymajmy się.

Twój – oddany,

Zdzisław

PS Odpisuję tak późno, bo dopiero przed kilku dniami wróciłem z Polski. Przez kilka tygodni odpoczywałem w spokoju, ciszy i odosobnieniu w prastarym klasztorze ss. Benedyktynek w Krzeszowie.

Annandale, 31 marca 2001 r.

Wacku Kochany,

Dotarł do mnie Twój list wraz z załącznikami a nasza rozmowa telefoniczna sprawiła mi wielką frajdę, bo mam dla Ciebie ogromny sentyment a także uznanie i szacunek dla Twoich życiowych osiągnięć, niespożytej energii i ducha inicjatywy. Na podstawie załączników opracowałem notatkę, którą załączam i którą rozsyłam do prasy polonijnej. Przyślę Ci wycinki.

Mam być 18-19 kwietnia w Izraelu. Zaproszony zostałem do wygłoszenia tam wykładu o raportach AK dotyczących prześladowań Żydów zakończonych ich zagładą oraz metodach ich dostarczania do Londynu. Notatkę załączam przy niniejszym.

Byłbym Ci bardzo wdzięczny gdybyś mi napisał jaką rolę odgrywał w czasie Powstania w Batalionie Zośka „Stasinek” Sosabowski, który zmarł przed kilku tygodniami w Londynie.

Ściskam Cię bardzo serdecznie

Twój,

Zdzisław

Jan Nowak-Jeziorański



Annandale, 31 marca 2001 r.

Przesyłam poniższą notatkę z prośbą o jej zamieszczenie

Jan Nowak-Jeziorański

Spóźnione uznanie Yad-Vashem dla Batalionu
„Zośka”

Dr Mordecai Paldiel, dyrektor Yad Vashem w Jerozolimie w piśmie skierowanym do kapitana Wacława Micuty, dowódcy plutonu pancernego Batalionu „Zośka” w czasie Powstania Warszawskiego, wyraził uznanie dla „heroicznej walki Batalionu «Zośka»”, który uwolnił i ocalił w czasie Powstania Żydów, trzymany w obozie zagłady na ulicy Gęsiej zwanego „Gęsiówką”.

Dlatego ten zasłużony wyraz uznania został przekazany

dopiero teraz, w 57 lat po Powstaniu? Do niedawna panowało przekonanie, że natarcie na ulicy Gęsiej nie było podyktowane chęcią uratowania żyć ludzkich, lecz koniecznością otwarcia drogi do Starego Miasta. Sprawą tą zainteresował się przed laty dr Edward Kossoy, prawnik, który występował jako adwokat ofiar hitleryzmu w sprawach o odszkodowania niemieckie. Zebrał on dowody, że natarcie Batalionu „Zośka” nie miało celów wojskowych. Chodziło o ratowanie żyć ludzkich. Dwukrotne szturmety przeprowadzone zostały przez oddziały AK bez powodzenia w ciągu pierwszych dwóch dni Powstania. Za trzecim razem użyty został „Tygrys”, ciężki czołg niemieckiej dywizji pancernej, zdobyty przez Batalion „Zośka”. Uruchomił go kapitan Wacław Micuta. Dowodzony przez niego czołg w dniu 5 sierpnia 1944 r. w brawurowym natarciu włamał się do środka ufortyfikowanego obozu, otwierając drogę plutonowi „Felek” z kompanii „Rudy”. Dzięki zaskoczeniu nie zginął żaden z więźniów.

Kapitan Wacław Micuta, który ma dziś 85 lat jest jedną z najbardziej bohaterskich postaci Powstania Warszawskiego. Dwukrotnie bronił Warszawy. W czasie oblężenia we wrześniu 1939 r. został ciężko ranny. Harcmistrz Micuta był w latach okupacji czynny w „Szarych Szeregach”. W czasie Powstania Warszawskiego walczył na Woli i na Starówce, gdzie został ponownie bardzo ciężko ranny. Odznaczony został przez dowódcę AK Krzyżem Virtuti Militari. Po wojnie pracował na wysokim stanowisku w Genewie.

Yad Vashem upamiętnia tylko indywidualne zasługi „Sprawiedliwych Wśród Narodów Świata”. Jedyny wyjątek uczyniony został na rzecz „Żegoty”, bo była to organizacja powołana wyłącznie w celu ratowania Żydów. Oficjalne i jednoznaczne uznanie przez Yad Vashem zasługi Batalionu „Zośka” w uratowaniu Żydów, uwięzionych w „Gęsiówce” ma dziś swoją znaczącą wymowę.

Jan Nowak-Jeziorański

**WPLĄTY NA FUNDUSZ INSTYTUTU
LITERACKIEGO**
jakie wpłynęły na nasze konto
od 1 grudnia 2007 r. do 31 grudnia 2008 r.

Hubert M. ARTER, Ashfield, NSW, Australia	50 €
śp. Mieczysław BORNET, Toronto, ON, Kanada	120 €
Andrzej BRZESKI, Davies, CA, USA, zamiast kwiatów na groby Przyjaciół z Maisons-Laffitte	775 €
Alexander FREJSZMIDT, Toronto, ON, Kanada	20 €
Wojciech KARPIŃSKI, Paryż, Francja	100 €
śp. Jacek MACHNIEWICZ, Formentera, Hiszpania	100 €
Elżbieta MAJEWSKA, Wyomissing, PA, USA	125 €
Małgorzata PTASIŃSKA, Warszawa, Polska	90 €
Hanna SABBAT, Londyn, Wielka Brytania	621 €
Natan TENENBAUM, Hagersten, Szwecja	27 €
Włodzimierz TUGENDREICH, Lund, Szwecja	27 €
Piotr WANDYCZ, Hamden, CT, USA	170 €

**WPLĄTY NA FUNDUSZ INSTYTUTU
LITERACKIEGO**
jakie wpłynęły na konto warszawskiego Towarzystwa
Opieki nad Archiwum Instytutu Literackiego w Paryżu
od 1 grudnia 2007 r. do 31 grudnia 2008 r.

Jan BEME	20,00 zł
Andrzej KĘDZIERSKI	50,00 zł
Władysław MAJKRZAK	100,00 zł
Aniela UZIEMBŁO	240,00 zł
Anna WOLIŃSKA	300,00 zł
Marek WÓJCICKI	100,00 zł
Fundacja „Pogranicze”	10 000,00 zł
Kancelaria Prezesa Rady Ministrów	80 000,00 zł
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego	350 000,00 zł
Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa	43 500,00 zł

Wszystkim ofiarodawcom serdecznie dziękujemy!

LISTY DO REDAKCJI

New Haven, 5 grudnia 2008 r.

Szanowna Redakcjo,

Na francuskim rynku wydawniczym ukazała się nakładem Tallandier praca zbiorowa pt. *Sortir de la grande Guerre. Le Monde et l'Après 1918* pod redakcją Stephane Audoin-Rouzeau i Christophe Prochasson, Paris 2008. W zbiorze tym znajduje się mój artykuł o Polsce zatytułowany *Se remobiliser pour renêtre: les voies polonaises de la sortie de guerre*, s. 307-328. Tytuł i podtytuły zostały dane przez redakcję.

W poniższym oświadczeniu chciałbym wyjaśnić czytelnikom „Zeszytów Historycznych” oraz kolegom historykom przyczyny poważnych niedociągnięć i błędów w tekście. Otóż, artykuł napisałem po angielsku. Przekładu francuskiego nigdy mi nie pokazano i zobaczyłem tekst dopiero wydrukowany w książce. Podobnie rzecz się miała z krótką bibliografią, którą przygotowałem na życzenie redaktorów. Z trzynastu podanych przeze mnie pozycji usunięto (oczywiście znów bez porozumienia ze mną) jedenaście tytułów takich autorów, jak Chwalba, Grochulska i Skowronek, Żarnowski, Landau i Tomaszewski, K. Kozłowski, Janowska i Jędruszcak, Kołodziejczyk, Holzer i Molenda, Pajewski i Wróbel. Jeśli kryterium był język – w innych bibliografiach w tomie są tytuły jedynie po francusku, angielsku i niemiecku – to nie jest zrozumiałe usunięcie J. Żarnowskiego *State Society and Intelligentsia*.

W samym artykule tłumacz pododawał zwroty lub słowa, których nie było w oryginale. I tak: Księstwo Warszawskie zaopatrzył przymiotnikiem „wielkie” – *Grand duché de Varsovie*. Jakkolwiek ta nazwa występuje w niektórych książkach, jest błędna i nigdy jej nie używałem. Brygadier (Piłsudski) został przetłumaczony jako *général* – znów oczywisty błąd. Rozbiory Polski nazywane stale po francusku *Partages* występują tutaj jako *partitions*. W związku z powstaniem rządu lubelskiego tłumacz dodaje do PSS słowo Rewolucja (po polsku) „le PPS-Rewolucja”, mając zapewne na myśli Frakcję Rewolucyjną.

W innym miejscu kresy zamieniają się na *krezy*. Dodany przez redakcję podtytuł *Wojna polsko-bolszewicka* znajduje się z niewłaściwym miejscem.

Zarówno redaktorzy jak i wydawca, których poinformowałem o tym

wszystkim, wyrazili ubolewanie i przeprosiny. Zapewnili mnie, że w następnym wydaniu wszystkie moje poprawki, które przesłałem będą uwzględnione. Jest to ważne, gdyż to dzieło zawierające kilkanaście artykułów jest niewątpliwie bardzo cenne.

Wyrazy poważania łączę,

Piotr WANDYCZ



Kraków, 20 grudnia 2008

Drogi Panie Redaktorze,

Z zainteresowaniem przeczytawszy cenny i wnikliwy tekst dr. Nowińskiego o ambasadorze Wacławie Grzybowskim w Moskwie („Zeszyty Historyczne” nr 164), pozwalam sobie dorzucić dwa spostrzeżenia. Otóż chcąc ocenić kwalifikacje Grzybowskiego, należałoby poszukać opinii o nim w różnych archiwach europejskich, zaś ograniczenie sprawy do wypowiedzi dr. Fierlingera nie posuwa jej naprzód. Z racji polsko-czeskich antypatii nie może być on wiarygodnym obserwatorem polityki polskiej, jeszcze i dlatego, że wyrażał tendencje silnie prosowieckie.

Sprawa zaś druga to problem warunków pracy polskiej Ambasady w Moskwie. Każdy dyplomata poza prasą i korpusem nie miał tam źródeł innych w poszukiwaniu dostępu do wiedzy o polityce tego mocarstwa. Trudno bowiem wysławać ambasadora Włoch Rosso za to, że von Herwarth zawiadomił jego ambasadę o tajnym protokole do Paktu Hitler-Stalin. Był to przypadek.

W ZSRR doby Stalina każdy właściwie dyplomata obcy był postrzegany *a limine* jako wróg i potencjalny szpieg. Czy ktokolwiek inny na miejscu Grzybowskiego misję tę wypełniłby lepiej? Niech pytanie to zostanie otwarte do nowych rozważań i badań.

Łączę życzenia wszelkiej pomyślności na Nowy Rok – dla pisma i Redakcji.

Marek KORNAT

SPIS TREŚCI

Krzysztof Tarka: <i>«Życie z krajem». «Casus» Bolesława Taborskiego</i>	3
Andrzej Paczkowski: <i>Komitet Obrony Kraju w latach 1959-1991</i>	58
Patryk Pleskot: <i>Molier w defensywie. Regres znajomości języka francuskiego w Polsce Ludowej</i>	66
Waldemar Grabowski: <i>Biuro Wojskowe Sprawiedliwości («Rada», «Pałac», «Hipoteka»)</i>	88

DOKUMENTY

Krzysztof Jasiewicz: <i>Relacja Marii Korytowskiej o ks. Franciszku Paulińskim, przewodniczącym Komisji Duchowieństwa przy Delegaturze Rządu RP na Kraj</i>	97
Bartłomiej Noszczak: <i>Memoriał ks. Hueta ws. walki z rewizjonizmem na Ziemiach Odzyskanych (1954 r.)</i>	108

OKRUCHY HISTORII

Paweł Libera: <i>Interwencja Konstantego A. Jeleńskiego w sprawie żołnierzy II Korpusu</i>	122
Piotr Daszkiewicz: <i>Głos Józefa Czapskiego w dyskusji na temat łysenkizmu we Francji w 1948 r.</i>	130

KSIĄŻKI

Edward Kossoy: <i>Groteska? Na marginesie książki M. J. Chodakiewicza «Po Zagładzie»</i>	137
Tadeusz Wyrwa: <i>Stosunki polsko-brytyjskie od Wersalu do Jalty</i>	146
Robert Skobelski: <i>Polska wobec Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie</i>	161
Piotr Wandycz: <i>Nowa książka Jana Kieniewicza</i>	171

WSPOMNIENIA

Janusz Jeżewski: <i>Gorycz wolności</i>	179
Jerzy R. Krzyżanowski: <i>Russkij dymok i angijskij dymok...</i>	196
Krystyna Przyborowska-Orłowska: <i>Historia listka figowego i więcej</i>	201
Robert Kaczmarek: <i>Bez programu</i>	202

CI, CO ODESZLI

Andrzej Dyja: <i>Jerzy Kujawski (1921-1998)</i>	211
Edward Kossoy: <i>Wacław Micuta 1915-2008. Bohater, Don Kiszot i «łamedwownik»</i>	217
<i>Listy do Wacława Micuty.</i>	236



WPLATY NA FUNDUSZ INSTYTUTU LITERACKIEGO	251
--	-----

LISTY DO REDAKCJI

Piotr Wandycz	252
Marek Kornat	253

ZESZYTY HISTORYCZNE

ASSOCIATION INSTITUT LITTÉRAIRE KULTURA
Adres Redakcji: 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte – Telefon 01-39-62-19-04
Fax: 01-39-62-57-52
e-mail: kultura@club-internet.fr

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egzemplarz pojedynczy	Cena prenumeraty rocznej
Ceny na rok 2009		
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22, tel.: (1) 526-31-14	€ 22,00	€ 80,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji i w księgarniach polskich w Paryżu	€ 22,00	€ 80,00
KANADA: Maciej Głodowski, 6025, Boul. Langelier, Montréal Québec H1M 2B6, tel. (514) 255-48-84, e-mail: mglodowski@sympatico.ca ; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches, 7986 Parkway Rd., Metcalfe, ON K0A 2P0, tel./fax: (613) 821-33-09, www.polishbookstore.com	€ 22,00	€ 80,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessstr. 39/41, D 80328 München, tel.: (089) 54-21-80; Janusz Łatka, Polnische Buchhandlung, Franz-Marc-Str. 36, 50374 Erftstadt, www.polbuch.de , e-mail: J.Latka@t-online.de , tel. (223) 598-93-73	€ 22,00	€ 80,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 27, rue de la Fontenette, 1227 Carouge/GE, tel.: (22) 343-05-84	€ 22,00	€ 80,00
SZWECJA: Wojciech Luterek, PostGiro konto 614 8710-4	€ 22,00	€ 80,00
USA: Ada Dziewanowska, 2462 North Prospect Avenue # 425, Milwaukee, WI 53211; POLONIA Bookstore, 4738N Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60630, tel. (773) 481-6968; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, CA 94306-1541, tel.: (650) 327-55-90 & (650) 851-07-48; Księgarnia «Nowego Dziennika», 333, West 38th Street, New York, NY 10018, tel.: (212) 594-22-66	€ 22,00	€ 80,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books Ltd., 206 Blythe Road, London W14 OHH, tel.: (020) 7602-55-41	€ 22,00	€ 80,00

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konta:

– pocztowe: La Poste, SCE 4797689V033

IBAN: FR 51 20041 01012 4797689V033 49

BIC: PSSTFRPPSCE

– bankowe: Credit Lyonnais, 2, Avenue de Longueil,

78600 Maisons-Laffitte, Agence 023 32, nr konta 79595 P.

IBAN: FR 13 3000 2023 3200 0007 9595 P53

BIC: CRLYFRPP

ACHEVÉ D'IMPRIMER
LE 24 FÉVRIER 2009
SUR LES PRESSES DE
ART GRAPHIQUE IMPRESSION
16 bis, AVENUE GABRIEL PÉRI
93400 SAINT-OUEN

Dépôt légal : 1^{er} trim. 2009



€ 22